

Wyrazista i namiętna fabuła zaskakuje i wzbudza w czytelniku całą gamę emocji. Rzadko zdarza się, by książka w tak intensywny sposób zapisała się w mojej pamięci i sercu jak najnowsza powieść Bogny Ziembickiej.

**Sylvia Winnik**, autorka bestsellera *Dziewczęta z Auschwitz*

BOGNA  
ZIEMBICKA

PAMIĘTASZ  
TAMTO  
LATO

znak

BOGNA  
ZIEMBICKA

PAMIĘTASZ  
TAMTO  
LATO

WYDAWNICTWO ZNAK  
KRAKÓW 2018

*Kasi, z miłością*

Jak miło się na promie w dzień słoneczny.

Światło jest ukośne, popołudniowe.

Lekki wietrzyk marszczy rzekę w wieńcu piany.

(...)

Wystrojeni młodzieńcy dodają do trunków lodu,

Dziewczęta kroją soczyste kłaczki lotosu,

Nad nami ciemnieje chmura, rozszerza się

Jak plama wilgoci na jedwabiu.

Zapisz to szybko, nim spadnie deszcz!

(...)

Wiatr targa naszym statkiem, jego lina

Wytarła ranę w korze wierzby.

Firanki mają koronkę z rzecznej piany.

Jak nóż w melonie, jesień lato rozcięła.

A w drodze będzie zimno.

Tu Fu, *Piknik*, przeł. Czesław Miłosz

## Prolog

„Jesteśmy marionetkami – myślała Nora Gylensson, patrząc, jak zgromadzona w studiu publiczność klaszcze, gdy na tablicy wyświetlała się komenda APPLAUS. – Marionetkami w rękach innych ludzi, losu, historii. A ponieważ Bóg obdarzył nas rozumem, wcześniej czy później dostrzegamy sznurki”.

– To cudowne, że są na świecie tacy dobrzy ludzie jak pani! Gdyby nie pani, mój synek by nie żył! – Młoda kobieta wierzchem dłoni otarła łzy, zerwała się z kanapy, podbiegła do Nory i spontanicznie ją uściskała.

Rozległy się brawa, potem muzyka.

– Naszym gościem była dziś Nora Gylensson. – Truda Jung uśmiechnęła się szeroko, prezentując olśniewająco białe zęby.

Ten uśmiech kochało osiem milionów widzów, którzy co tydzień oglądali jej program.

– Pokazaliście łzy? – spytała cicho, odwracając się do ubranej od stóp do głów na czarno asystentki, która stanęła za jej fotelem, gdy tylko studio znikło z wizji.

Kobieta w czerni skinęła głową.

– Dziękuję państwu. – Truda uśmiechnęła się teraz do swoich gości siedzących na dwóch pluszowych kanapach. – Zapraszam na mały poczęstunek do sali obok. Moja asystentka wskaże drogę. Zaraz do państwa dołączę.

Trzeci uśmiech, najpiękniejszy, Truda zarezerwowała dla honorowego gościa.

Wiedziała, że Nora Gylensson ma osiemdziesiąt trzy lata, lecz nie dałaby jej więcej niż siedemdziesiąt. Na dawnych zdjęciach włosy hrabiny Gylensson były czerwone jak marchewka, teraz, zbielewały ze starości, zmieniły się w skandynawski lniany blond. Pasowały do nich jasnoniebieskie oczy, przejrzyste niczym u psa husky, i mleczna skóra rozpięta na wysokich kościach policzkowych, tak ostrych, że niemal ją przebijały. Długą, chudą szyję, pewnie pomarszczoną jak zgnieciona papierowa torebka, okrywał tiulowy szal. Truda spojrzała na dłonie gościa – zaskakująco młode, białe i gładkie.

„Nie splamiły się pracą”, pomyślała z niechęcią.

Nie lubiła dobrze urodzonych. Miała ich za rodzaj mafii – świetnie zorganizowaną międzynarodową sieć popierających się bez względu na wszystko, skoligaconych z sobą ludzi, których rodowody spisywano w księgach, jakby byli rasowymi końmi. Dopuszczenie świeżej krwi było w ich wypadku możliwe tylko wtedy, gdy jakaś hrabianka się znarowiła albo gdy w grę wchodziły wielkie pieniądze. No i błękitna krew w końcu stawała się wodą.

– Jestem pani niezmiernie wdzięczna, że zechciała pani przyjąć moje zaproszenie. Jeśli mogę sobie pozwolić na osobistą uwagę, to powiem, że od dawna pragnęłam panią poznać, bo szczerze panią podziwiam. Pani fundacja czyni cuda.

– Chciałabym, żeby tak było. Jednak cuda czyni tylko Bóg.

– Karmienie głodnych, odziewanie nagich, uzdrawianie chorych...

Do tonu Trudy wkradła się nuta ironii. Łatwo pomagać, gdy ma się miliony.

Nora Gylensson spojrzała na nią tak, jakby czytała w jej myślach.

– To tylko kwestia pieniędzy – powiedziała chłodno. – Mam ich więcej, niż mogę wydać, więc dzielę się z innymi.

Truda zręcznie ukryła zmieszanie. Szkoda, że ta Szwedka nie powiedziała tego w programie. Widzowie byliby zbulwersowani jej szczerością, a o to też w nim chodziło.

– Wszyscy się zastanawiają, skąd pani wie, komu pomagać. Pani intuicja stała się niemal legendą. Gdy ktoś o to pyta, zawsze pani odpowiada, że ma wsparcie sztabu ludzi. To samo powiedziała pani dziś...

– A co chciałaby pani usłyszeć? – przerwała jej Szwedka.

– Prawdę.

Truda zrobiła minę, jakby to słowo jej się wyrwało. Ćwiczyła ją przed lustrem godzinami i opanowała do perfekcji.

– Prawdę... Cóż, jeśli ktoś cierpiał głód, chłód i nędzę, potrafi rozpoznać potrzebującego.

„Do diabła! Jak to możliwe, że ona mówi to dopiero teraz, że nie wyciągnęłam z niej tego przed kamerami?!”

Nora Gylensson podniosła dłoń do oczu. Chciała przepędzić spod powiek obraz małej dziewczynki przełazącej niezdarnie przez wysoki próg. Dziewczynka płakała, ale nie dlatego, że w sieni, w wyszorowanym do czysta korycie leżał trupek jej nowo narodzonej siostry. Nawet nie dlatego, że bolało ją gardło, a na całym ciele miała czerwone plamki, jakby ją ktoś obił drucianą szczotką. Płakała z głodu.

– Jeśli mogę sobie pozwolić na osobistą uwagę... – Hrabina Gylensson przesunęła dłonią po twarzy i spojrzała na dziennikarkę.

Truda Jung poczuła mróz przechodzący jej po kościach. Jasnoniebieskie oczy były puste jak wyschłe stawy.

„Głodowała? Marzła? W czasie wojny? Przecież, choć dobrze mówi po niemiecku, nie jest Niemką i, na litość boską, z takim wyglądem nie może być Żydówką!”

Truda utkwiała wzrok w lewym przedramieniu swego gościa, jakby chciała przeniknąć spojrzeniem mięsisty jedwab szytej na miarę marynarki i sprawdzić, czy na skórze nie ma obozowego numeru.

– Jeśli mogę sobie pozwolić na osobistą uwagę – powtórzyła Nora Gylensson – to radziłabym nie sądzić po pozorach. I więcej myśleć o tych nieszczęśliwych ludziach, którzy zwierniają się pani na oczach widzów.

„A trochę mniej o sobie”, dokończyła w myśli.

\*

– Świetnie pani wypadła. Wiem, że nie lubi pani wywiadów, ale zawsze znakomicie wypada pani w telewizji.

– Jedyne pocieszenie, Martusiu.

– Jeszcze zanim program się skończył, zadzwoniły dwie osoby, które chcą sponsorować fundację.

– To dobrze. Trzeba je sprawdzić, zresztą sama wiesz. Jeszcze coś? Jestem zmęczona. Ten mój nieszczęsny kręgosłup... – Nora Gylensson poprawiła się na skórzanym siedzeniu volvo.

Marta Jasioniuk dotknęła przycisku, żeby skorygować ustawienie podnóżka przed fotelem szefowej i włączyć zainstalowany w oparciu system masujący. Uważała za swój obowiązek uprzedzenie życzeń pani Gylensson i była szczęśliwa, gdy w zamian dostawała taki uśmiech jak ten.

– Były jeszcze trzy telefony. Profesor Dwornik prosił, by pani przekazać, że Jureczek będzie władał rączką. Przyszyte paluszki są już prawie całkiem sprawne.

– Wspaniale! – Nora Gylensson znów się uśmiechnęła do Marty. – Musimy mu kupić zajączka. Pamiętasz? Gdy dostał misia, przytulił go, ale powiedział: „Miałem zajączka... Jak byłem jeszcze malutki”. – Roześmiała się cicho.

– Jego mama przysłała mi zdjęcie z tym zajączkiem. Znalazłam podobnego. Ma takie same uszy w czerwonej kratkę.

– Uszy w kratkę? To musi być niezwykły zajac. Pewnie jeden z tych, które wykluwają się z pisanek... A pozostałe telefony?

Jeden był od dalekiego kuzyna, którego szefowa nie znosiła, bo stale próbował od niej wyciągać pieniądze, drugi od nieznanego. Marta najchętniej by o nich nie wspominała, miała jednak obowiązek informowania pani Gylensson o wszystkich, którzy dzwoniли na prywatny zastrzeżony numer.

– Jak co miesiąc dzwonił kuzyn pani męża...

– No tak – przerwała jej szefowa. – Zajmę się tym.

– Trzeci telefon był dziwny. Zadzwonił jakiś mężczyzna, starszy, sądząc po głosie. Mówił po polsku.

– Nie przedstawił się?

– Powiedział, że dzwoni kujbyszewiak i że pani go zna, ale mówił o pani „Ela”. Pomyślałam, że powinnam sprawdzić ten numer.

Nora Gylensson znieruchomiała. Natłok obrazów z przeszłości był tak gwałtowny, że aż brakło jej tchu. Przycisnęła dłoń do piersi i na chwilę zamknęła oczy.

„Kujbyszewiaków nie ruszają!”

Zobaczyła pokój spowity chmurą dymu z grunwaldów, półki ciasno zastawione kartonowymi teczkami, duszny korytarz i twarz pani Olgi lśniąca od potu w jaskrawym słonecznym świetle, a potem siebie leżącą na łące, patrzącą na letnie niebo i powtarzającą zdanie, które było niezrozumiałe jak czarodziejskie zaklęcie i jak zaklęcie wszystko w jej życiu odmieniło: „Se sre domaž kel dewien in bon”.

Westchnęła spazmatycznie, z trudem łapiąc oddech. Serce boleśnie tłukło się w piersi.

– Nie musisz sprawdzać, Martusiu. Znam go. Co mówił?

– Że jest w Berlinie i chciałby panią zaprosić na kolację. Dzisiaj. Powiedziałam, że pani jest już umówiona...

– Odwołaj tamto spotkanie.

OLGA

Przemawiacie tak, jakbyście byli szefem wielkiego mocarstwa, a jesteście przywódcą słabej partii i słabego kraju, który my wyzwoliliśmy.

Józef Stalin w rozmowie z Władysławem Gomułą w 1945 roku



Do pokoju o przybrudzonych ścianach, z wiszącą wysoko pod sufitem gołą żarówką, z taboretą dla więźnia, prostokątnym stołem i twardym krzesłem dla przesłuchującego, wpadł promień słońca.

„Wolni i niewolnicy. Dwa światy oddzielone tak ściśle jak jasność i ciemność. Więzienie. Jedno z tych słów, które rzadko się słyszy i nad którymi człowiek się nie zastanawia. Nigdy nie wypełniałam go treścią, nawet gdy przed wojną przeczytałam, że w Berezie jedynym wyposażeniem celi było wiadro na nieczystości, ani gdy Maszka mi opowiadała, jak w więzieniu w Charkowie czekał próbowali wiarę w nowy ustrój zaszczyć jej siłą i trzymali jej ręce we wrzasku, aż spod skóry wyszło krwawiące mięso”.

Za obitym metalową siatką oknem kołysały się liście klonu. Patrząc na nie, zapomniała na chwilę o tym, że więzienie to stanie godzinami twarzą do ściany, żeby człowiek poczuł się samotny, słaby i opuszczony, popychanie i bicie kluczami w drodze na przesłuchanie, spanie na betonie, w zaduchu, ciasnocie. Niegasnące światło raniące oczy. Obnażona fizjologia – jedzenie, trawienie i wypróżnianie się na oczach wszystkich. Pchły i wszy.

Szelest papierów ustał. Oficer śledczy podniósł głowę znad kartki. Był całkiem inny niż przysadzisty prostak, który przesłuchiwał ją wcześniej. Miał inteligentne, ciemne oczy, szczupłą twarz, podgolone po żołniersku, lekko siwiejące na skroniach włosy. I jeszcze ani razu jej nie uderzył.

Od początku starała się sobie wyobrazić, że więzienie, a szczególnie pokój przesłuchań, to teatr. Musiała odegrać swoją rolę, od tego nie było ucieczki, lecz sposób gry zależał od niej. Dziś udało się jej przykuć uwagę śledczego do tego stopnia, że kilka razy się zapomniał i powiedział do niej „pani”.

– Przyznajesz się, że napisałaś ten list, to dlaczego zaprzeczasz, że szkalujesz w nim państwo polskie i rozpowszechniasz fałszywe wiadomości dotyczące naszej sytuacji społeczno-gospodarczej? Chyba sama widzisz, że to nielogiczne.

– Tak, napisałam ten list, ale każde słowo jest prawdą.

– Przyznaj się po dobroci. Dostaniesz pół roku obozu pracy i wrócisz do domu. – Wziął kartkę ze stołu i zaczął czytać. – „Kraków, szósty sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego. Wniosek o rozpoznanie sprawy przed Komisją Specjalną. W dniu trzecim sierpnia bieżącego roku przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa w Krakowie została aresztowana objęta niniejszym wnioskiem Olga Mężyńska, z domu Zacharenko, pochodzenie społeczne: arystokracja, podejrzana o rozpowszechnianie wrogiej propagandy. W toku przeprowadzonego śledztwa ustalono, że Olga Mężyńska, będąc wrogo ustosunkowana do obecnego ustroju państwa polskiego, chciała nawiązać korespondencyjne kontakty z osobą przebywającą za granicą, w kraju kapitalistycznym, Klementyną Zabierzeską, obywatelką polską zamieszkałą od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku w Londynie, i napisała do niej list, w którym podała fałszywe wiadomości dotyczące sytuacji społeczno-gospodarczej w Polsce Ludowej. Poza tym w fałszywym świetle przedstawiła swoje warunki materialne i stosunki panujące w Polsce Ludowej i w ZSRR. Jak wynika z zeznań podejrzanej Olgi Mężyńskiej, jej wrogość do obecnego ustroju Polski Ludowej wynika z jej pochodzenia społecznego i wychowania (urodzona w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku w Petersburgu, obecnie Leningrad, jako córka księcia Aleksandra Nikołajewicza Zacharenki i hrabianki Marii Konstancji Struś) oraz z systematycznego słuchania wrogich audycji radiowych z państw kapitalistycznych. W wyżej przytoczony sposób podejrzana ułatwiła wrogim ośrodkom zagranicznym szerzenie propagandy wojennej wśród społeczeństwa polskiego, wyrządzając przez to szkodę interesom Polskiej Ludowej. Za okoliczności łagodzące w niniejszej sprawie należy uznać niekaralność oskarżonej oraz jej szczerą przyznanie się w toku śledztwa do zarzucanych jej czynów”.

Odłożył kartkę na stół.

– Podpiszesz protokół z przyznaniem się do winy, sąd cię szybko osądzi i dostaniesz najwyżej pół roku obozu pracy, tyle co nic.

Olga przypominała sobie radę towarzyszkę z celi: „Niech się pani przyznaje tylko do tego, czego w żaden sposób nie może się pani wyprzeć”.

– Jestem niewinna.

– Niewinne to może być nowo narodzone dziecko, a i to zależy, z jakich rodziców. No już, podpisuj, mam ważniejsze rzeczy na głowie niż ta twoja sprawa.

Wiedziała, że nie wolno jej przeciągać struny. Mógł ją tu zatłuc jak psa, gdyby tylko przyszła mu ochota. Nie było żadnych świadków, nawet protokolanta.

– Napisałam list do Klementyny Zabierzeskiej, nie przeczę, podałam przecież na kopercie swoje nazwisko i adres. Słuchałam Londynu i Free Europe, ale to wszystko po to, żeby się dowiedzieć czegoś o synu. Mówiłam panu, że Teofil w czterdziestym roku uciekł przez zieloną granicę do polskiej armii we Francji i od tamtej pory nie dał znaku życia. Od Klementyny dowiedziałam się, że dotarł na Bliski Wschód.

– To znaczy ona pisała do ciebie z Londynu?

– Tak. Napisała do mnie raz, zaraz po wojnie, w sierpniu albo we wrześniu czterdziestego piątego roku.

Olga powiedziała to pewnym głosem, patrząc śledczemu prosto w oczy. Już dawno przygotowała sobie tę odpowiedź.

– Tego listu nie ma w zabezpieczonym materiale dowodowym.

– Gdy jesienią czterdziestego szóstego roku wyrzucono mnie z domu, mogłam zabrać tylko trochę rzeczy. Wszystkie listy zostały we dworze, a potem je spalono.

Oficer sięgnął do leżących na stole papierów.

– „Charakterystyka podejrzanej Olgi Mężyńskiej – przeczytał na głos. – Sporządził...” Mniejsza o nazwisko. „Wyżej wymieniona jest »białą« Rosjanką. Urodziła się w Leningradzie. Matka, Polka, wcześniej ją odumarała. W rozmowach indywidualnych nieraz mówiła, że pochodzi od księcia Ruryka, że do jej rodziny należało pół Ukrainy i że poznała swojego przysłego męża, Jana Mężyńskiego, na ślubie cara Mikołaja. W tych samych rozmowach wychwalała carat i Polskę sanacyjną, do której przyjechała z mężem w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym albo dziewiątym roku (pytani na okoliczność podają różne daty). Jej córka, mając osiemnaście lat, umarła na hiszpankę. Mąż poległ w dwudziestym roku w bitwie warszawskiej. Także ten fakt był dla niej powodem do poniżania Związku Radzieckiego. Syn Teofil na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego roku uciekł do Francji, do reakcyjnej armii generała Sikorskiego. Po parcelacji majątku Olszynka w rozmowach indywidualnych starała się wpoić mieszkańcom przekonanie, że parcelacja była bezprawna, a także wpoić nienawiść do Polski Ludowej i innych krajów demokracji ludowej. Ponieważ majątek był resztówką o powierzchni czterdziestu dwóch hektarów, mogła pozostać na jego terenie. We dworze urządzono magazyn i mieszka w dawnym domu stajennego przy częściowo rozebranych stajniach. W rozmowach indywidualnych wychwala Amerykę i inne kraje kapitalistyczne, a także prawdopodobnie utrzymuje z nimi kontakt, znając język angielski, niemiecki i francuski. Paczek z zagranicy nie otrzymuje. Nie należy do żadnej organizacji społecznej ani nie przejawia żadnej działalności”.

Oficer milczał chwilę.

– Tylko ode mnie zależy, czy przekażę tę charakterystykę dalej – powiedział. – Już ona sama jest gotowym aktem oskarżenia.

– Aktem oskarżenia ze strony władz, które odebrały mi dom i ziemię, choć reformie rolnej podlegały majątki mające co najmniej pięćdziesiąt hektarów?

– Rozumiem, że wszystko się zgadza?

– Moje rodzinne miasto nazywało się Petersburg, a w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku, gdy przyjechałam z mężem do Olszynki, nie było ani sanacyjnej Polski, ani żadnej innej. Poza tym nie mam zwyczaju nikogo wychwalać ani poniżać. I na pewno nie chwaliłam się księciem Rurykiem. Jestem słaba z historii średniowiecznej.

– Dość tych żartów! – Oficer uderzył pięścią w stół.

Olga drgnęła. Rozgniewać go to było najgłupsze, co mogła zrobić.

– Ja nie żartuję, tylko się bronię – powiedziała cicho. – Przecież pan wie, że mam siedemdziesiąt jeden lat i w obozie nie przetrwam nawet miesiąca.

Żałowała, że nie ma na podporządku łez. Nawet gdy robiła sceny zazdrości Jasiowi, nie potrafiła się rozplakać, choć wiedziała, jaki był czuły na kobiece łzy.

– A więc słuchała pani zagranicznych stacji i napisała list tylko po to, żeby zdobyć wiadomości

o synu? – spytał śledczy po długiej chwili.

– Tak.

– A ta ulotka o treści antypaństwowej? – Oficer wyjął z teczki wiersz napisany na maszynie na burej przebitce.

*Kochajmy Rosję – rozkaz dla Polaków,*

*Bo jej zawdzięczamy niezniszczony Kraków*

*I takież Lublin, w nim rząd nasz kochany*

*Wolą narodu na Kremlu wybrany.*

*Gdyby nie Rosja, całe nasze dzieje*

*Inne by zgoła przybrały koleje.*

*Ona wytycza nam kontury*

*Politycznego bytu i kultury.*

*Wszystko, co wielkie i co dla nas święte,*

*Wszak dzięki Rosji zostało poczęte.*

*Bez Rosji czyżby nam przeszło przez głowę*

*Zaspiewać nasze hymny narodowe:*

*„Z dymem pożarów”, „Jeszcze nie zginęła”*

*Lub „Warszawiankę”? Bo to Rosji dzieła.*

*W Rosji się rodzą, bądźmy z sobą szczerzy,*

*Nasi wieszczowie, nasi bohaterzy.*

*Gdyby nie Rosja, czym byłby Kościuszko*

*Lub ksiązę Józef? Spasibo, Matuszko!*

*No i ksiądz Marek, i Anelli*

*Czyby bez Rosji kiedyś zasłynęli?*

*I przyznaj, gdyby nie Rosji chęć mocna i szczerza,*

*Czy miałabyś, Polsko, swojego Grottgera?*

*Wreszcie Piłsudski, Wyspiański,*

*Karmieni piersią siostrzycy słowiańskiej.*  
*Przecież tylokrotnie w tym życiowym wirze*  
*Moskwa nam dała gościnę w Sybirze.*  
*Gdzie się obrócisz, w którą spojrzysz stronę,*  
*Wszędzie masz figury w Rosji ulepione.*  
*I dziś mamy tej przyjaźni próbki,*  
*Ślą nam Bieruty, Gomulki, Osóbki!*  
*I czyż to już nie jest wprost szczytem wszystkiego,*  
*Że nam na marszałka dano Żymierskiego?*  
*Iluz podobnych Rosja nam daje,*  
*Oczy łzami zachodzą, dech w piersi ustaje.*  
*I czyż cię zachwyt, Polaku, nie bierze,*  
*Widząc ducha Moskwy w naszym Pepeerze?*  
*Rosja nam stworzy armię, co wystrzeli*  
*Do tych faszystów Andersa, którzy by chcieli*  
*Przekroczyć te nasze granice,*  
*Gdzie płyną bogactwa wielkie krynice.*  
*Taka rzeczywistość tylko dla nas, chłopcy!*  
*Kochajmy Rosję, liźmy Rosji stopy!!!*

Ten wiersz zawsze wywoływał u Olgi gorzki śmiech. Nie spaliła go właśnie dlatego, że zawarta w nim ironia była odtrutką na absurd otaczającego ją świata.

– Pierwszy raz go widzę – powiedziała.

– Znalaziono go podczas rewizji.

– Nie wiem, czy to zaznaczono w protokole, ale ja nigdy nie zamykam drzwi na klucz. Włamano się do mnie dwukrotnie i żeby ocalić to, co z nich zostało, przestałam je zamykać. Każdy może wejść i podrzucić mi, co chce.

– Zgłosiłaś włamanie?

– Za pierwszym razem. Powiedziano mi wtedy, że takie osoby jak ja nie zasługują na ochronę ludowej milicji.

– Nie lubią cię we wsi – raczej stwierdził, niż spytał oficer. Wziął do ręki kilka kartek w kratkę wyrwanych z zeszytu. – „Kupiła w gminnym sklepie papierosy Mocne i powiedziała, że ich nazwa

pochodzi od słów »Moskwa okrada całą naszą Europę«».

– To kłamstwo. Nie palę i nie kupuję papierosów.

– „Wyraża się wrogo w stosunku do obecnej rzeczywistości. W końcu miesiąca maja bieżącego roku opowiedziała taki kawał: Trzej mali chłopcy się przechwalają. Jeden mówi: Mój tatuś przyjechał z Ameryki i przywiózł mamie srebrnego lisa. Drugi mówi: Mój przyjechał z Anglii i przywiózł czarnego lisa. Trzeci na to: A mój ojciec przyjechał z Rosji i przywiózł mamie syfilisa. Nadmieniam, że mówiła to w formie złośliwej do ZSRR”.

– Nie lubię wulgarnych dowcipów.

– Nawet jeśli to dowcipy na temat Rosji?

– Przecież to moja ojczyzna.

Spojrzała mu w oczy i w nagłym przeblysku zrozumiała, że on z jakiegoś powodu jest jej ciekaw i że grzeszyła pychą, myśląc, że styl tego przesłuchania, innego niż wszystkie dotychczasowe, zawdzięcza własnej przemyślności.

– No to niech mi pani powie, co myśli o swojej ojczyźnie.

„Pani”! Postanowiła zaryzykować i odrzekła szczerze:

– *Strana rabow, strana gospod.*

– Ojczyzna niewolników, ojczyzna panów... To słowa Lermontowa, nie twoje.

– Czyta pan... – Urwała. Jego poprzednik kilka razy boleśnie jej uświadomił, kto tu jest od zadawania pytań.

Uśmiech błysnął w jego oczach.

– *Lisz w legkom czelnokie iskusstwa ot skuki mira upływiosz.*

– To Błok, prawda? – Nie mogła sobie przypomnieć tytułu. O czym był ten wiersz? Coś o smutku, florenckim skwarze w porze sjesty, cichym kościele, mdlejących w upale kwiatach...

Spojrzała na liście klonu za oknem. Tam było lato, dzieci grały w piłkę, ludzie chodzili po ulicach, jakby ich nie dotyczyła ani polityka, ani historia...

„Tylko w lekkiej łódeczce sztuki umkniesz od nudy świata”. Czemu zacytował wiersz, który Błok napisał we Włoszech na długo przed rewolucją? Chciał jej dać jakiś znak? Może głos Lorci, który usłyszała w pierwszy dzień po aresztowaniu, nie był urojeniem? Może...

– No to porozmawialiśmy sobie o poezji, a teraz powiedz coś własnymi słowami.

Z trudem oderwała wzrok od liści za oknem.

– Czasem myślę, że Rosja jest jak trojka.

– Trojka? Masz na myśli Stalina, Lenina i Marksa?

– Zwykłą trojkę zaprzęzoną do sań. Na obrazach wspaniałe rumaki galopują przez bezkresną równinę, malowniczo odginając łby. Prawdziwe są tam tylko rosyjskie przestrzenie, śnieg i bujne końskie grzywy. Kto choć raz widział trojkę, wie, że zaletą tych wiackich koników nie jest uroda, tylko wytrzymałość. Na płótnie nie widać bólu ani strachu, których musiały zaznać, by się nauczyć tak zgodnie mknąć przez śniegi: żeby środkowy kłusował, a boczne galopowały. Ten po lewej zawsze z prawej nogi, drugi zawsze z lewej...

– Do czego zmierzasz? Nie mam całego dnia – przerwał jej śledczy.

– Do tego, że Rosja inaczej wygląda z daleka, inaczej z bliska. Z daleka może wydawać się piękna, z bliska jest brutalna.

– Pozostaje się cieszyć, że odeszła w przeszłość i że Związek Radziecki nie ma z nią nic wspólnego.

„Wszystko jest jak dawniej – pomyślała Olga. – Tylko sto razy gorzej”.

Przypomniała sobie wynędzniałych ludzi, kolejki przed sklepami, puste witryny, żebraków grzebiących w śmieciach i starca w zgrzebnej koszuli, który przy marmurowych drzwiach mauzoleum Lenina zdjął czapkę, przyklęknął na jedno kolano i się przeżegnał.

– „Rozumem Rosji nie ogarniesz ani arsyznem jej nie zmierzysz: w Rosję można tylko wierzyć”

– zacytowała Tiutczewa. – Ten wiersz przyszedł mi na myśl, gdy w trzydziestym pierwszym roku udało mi się pojechać na kilka tygodni do Moskwy i Petersburga, to znaczy wtedy już Leningradu.

– Byłaś tam legalnie?

– Oczywiście. Towarzyszyłam lady Edwinie Mountbatten. – Nie miała zamiaru dodawać, że podczas tego wyjazdu legitymowała się brytyjskim paszportem na nazwisko Attkins. Victoria Attkins. – Chciałam odwiedzić grób rodziców i jeszcze raz zobaczyć miejsca, w których upłynęło moje dzieciństwo.

– A co w Związku Radzieckim robiła lady Mountbatten?

– Zakupy. – Olga pozwoliła sobie na uśmiech. – Miała wtedy trzydzieści lat i myślała głównie o biżuterii i futrach. Gdy się dowiedziała, że bolszewicy wyprzedają klejnoty carów...

– To podłe oszczerstwo!

Był taki szczery w swoim oburzeniu, że zrobiło jej się go żal.

– Widziałam to na własne oczy.

Lady Edwina, zajęta najnowszym kochankiem i wydawaniem fortuny odziedziczonej po dziadku, żydowskim bankierze, nie interesowała się swoją switą i Olga mogła pojechać do Petersburga, a potem starą cesarską drogą, prostą jak strzelił, kiedyś starannie utrzymaną, teraz pełną dziur i wybojów, do odległego o dwadzieścia pięć kilometrów Carskiego Sioła. Przydzielony jej „opiekun”, słabo mówiący po angielsku młody człowiek, oszołomiony hotelem dla cudzoziemców, w którym wynajęła mu pokój, i posiłkami w restauracji, za które płaciła, z każdym dniem odrobinę gorzej się wywiązywał z obowiązków wobec swoich mocodawców. Olga jednak cały czas miała się przed nim na baczności, żeby nie pokazać wzruszenia ani tego, że zna rosyjski. Czy to zresztą nadal był rosyjski? Schamiał, stracił słodki francuski akcent...

Za trzydzieści kopiejek kupiła dwa bilety, nałożyła na buty wytarte filcowe ochraniacze i ze ściśniętym sercem weszła do Pałacu Aleksandrowskiego. Przewodniczka snuła zabarwione pogardą opowieści o carze i jego rodzinie, Olga zaś, patrząc na skromne sprzęty i stojące wszędzie fotografie cara Mikołaja, carycy Aleksandry i ich pięciorga dzieci, trzynaście lat wcześniej zamordowanych przez bolszewików, wdychała ledwie uchwytny zapach wosku do podłóg, safianu, olejku różanego oraz *tristesse et mélancolie imperiale* i myślała o zimnym listopadowym dniu, w którym nad wiek poważna heska księżniczka, wnuczka królowej Wiktorii, w srebrzystej sukni z trenem obszytym gronostajami i w carskim płaszczu ze złotogłowiu, w obecności setek gości zgromadzonych w kaplicy Pałacu Zimowego powiedziała sakramentalne „tak” Mikołajowi, imperatorowi Rosji.

Kiedy w dziecięcej jadalni na piętrze „opiekun” zapatrzył się na stół nakryty porcelaną z monogramem Romanowów, Olga wmieszała się w grupę opuszczającą pałacyk, wróciła do auta i powiedziała kierowcy, by jechał aleją wzdłuż metalowego ogrodzenia parku Aleksandrowskiego.

Szpalery starych drzew stały w morzu chwastów i niekoszonej trawy. Nie było śladu po alejkach, którymi jeździła na kucyku albo na pięknym rowerze z bambusową ramą, sprowadzonym przez ojca z Anglii. Znikły róże i wonne syberyjskie jaskry. Ten widok opuszczenia nie przygotował jej jednak na to, co zobaczyła, gdy auto stanęło przed letnią willą nazwaną jej imieniem. Drżąc na całym ciele, wodziła wzrokiem po wybitych oknach, załamany dachu, oberwanych balkonach. W końcu wysiadła z auta. Podeszła do urwanego skrzydła bramy, niemal ginącego w dzikim zielsku, i nie bacząc na parzące pokrzywy, zdjęła rękawiczkę i pogłaskała ułożony z kutych różyczek napis „OLUNIA”.

– Pojechała więc pani zobaczyć miejsce swego urodzenia. – Oficer przerwał długie milczenie.

Nie miała zamiaru dzielić się z nim swoim bólem.

– Tak, zobaczyłam je i zrozumiałam, że wszystko się zmieniło, a jednocześnie pozostało takie samo.

– To znaczy?

– Kuranty grały tak samo, na Baszcie Spasskiej ciągle były resztki orła, choć Kreml nie jest już cesarski... Czy to nie dziwne, że bolszewicy mieszkają w pałacu carów?

Zrobił taki ruch, jakby chciał wstać, i przestraszyła się. Widok liści za oknem, żywe wspomnienia i spokojny ton śledczego sprawiły, że na chwilę zapomniała, czym jest ta rozmowa.

– Towarzysz Stalin mieszka w Kuncewie – powiedział przyciszonym głosem, rzucając okiem na drzwi.

„A więc i on się boi. Wie, że może zająć moje miejsce na taborecie, a za stołem usiądzie ktoś inny, może nawet jego kolega”.

– Wtedy mieszkał w Pałacu Uciech, tam gdzie kiedyś był cesarski teatr i garderoby aktorów... – Zawiesiła głos, żeby mu uprzytomnić symbolikę tego faktu.

Zastanawiała się, jak opowiedzieć o spotkaniu z tym kaukaskim bandytą, który partyjną karierę zaczął od napadów na banki i z każdym rokiem był bardziej brutalny, który wymyślił sobie nazwisko, ojca, cały życiorys, podobno nawet datę urodzenia. Przecież ktoś, kto tak postępuje, kończy w domu wariatów. On chyba jednak myśli, że stworzył sam siebie, jak Bóg.

– Nie byłam z lady Edwiną na Kremlu, ale dzięki jej uprzejmości mogłam pójść do teatru Bolszoi na *Jeziro łabędzie*. Na spektakl przyjechał Stalin. Wszyscy mówili, że to jego ulubiony balet i że nie opuszcza żadnego przedstawienia. Podczas antraktu lady Edwina z nim rozmawiała. Stałam blisko niej i widziałam go tak jak teraz pana.

– Jaki on jest? – zapytał cicho.

– Raczej jaki był dwadzieścia lat temu. – Uśmiechnęła się lekko. – Czarujący – powiedziała i usłyszała głębokie westchnienie, może zachwytu, a może ulgi. – Spokojny, mówił cicho i uważnie słuchał rozmówcy. Otaczał go krąg ludzi chłonących każde jego słowo. Patrząc na nich, widziałam cara i dawnych dworzan, którzy wiedzą, że przywileje zależą od lojalności.

Otworzył usta, lecz nim zdążył jej przerwać, dodała:

– Wszyscy patrzyli w niego jak w obraz, jakby nie widzieli, że to zwyczajny człowiek, niski, krępy, niezgrabny, o ziemistej twarzy poznaczonej dziobami po ospie...

– Dość! – Uderzył pięścią w stół.

„Po co się wdałaś w krytykę jego idola? Nie mogłaś poprzestać na tym, że był czarujący?”, strofowała się w myślach. Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że skoro zabrnęła tak daleko, to może pójść o krok dalej i zapytać o Lorcię. I choć jej instynkt samozachowawczy bił na alarm, powiedziała:

– Proszę nie myśleć, że mam jakieś uprzedzenia stanowe, że na mój osąd wpływa jego niskie urodzenie, jednak dom szewca pijaka...

– Jesteś głucha?! Dość!

– Wychowałam sierotę pochodzącą z podobnej rodziny i wiem, jakie to ma znaczenie.

Gniewna twarz oficera w jednej chwili zmieniła się w nieruchomą maskę.

– Jej matka, Emilia Maszczyk, umarła w połogu, po urodzeniu drugiego dziecka. Eleonora, Lorcja, miała wtedy cztery lata. – Nie przerwał jej, więc ciągnęła dalej: – Wychowała się w moim domu. Gdy wybuchła wojna, była we Lwowie, potem na Syberii. Wróciła do Polski z armią Berlinga. Nie wiem, co się z nią teraz dzieje, ale gdy mnie tu przywieziono... – Urwała. Poczula, jak brakuje jej tchu na samo wspomnienie tej chwili, gdy stała na korytarzu, niemal dusząc się w futrze, półprzytomna z gorąca. – Gdy mnie przywieziono, wydawało mi się, że słyszę na korytarzu jej głos.

– A jej ojciec?

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co ją pyta.

– Ojciec Lorci?

– Znała go pani?

„Jeśli już kłamiesz, kłam dobrze”, pomyślała Olga.

Spojrzała oficerowi prosto w oczy i powiedziała z lekkim naciskiem:

– Nie. Cała wieś wiedziała, kto był ojcem drugiego dziecka Emilii, ale kto ją „zepsuł”, jak to określała jej matka, wiedziała tylko ona.

– Nieślubne dziecko – szepnął w zamyśleniu.

Jego ton dodał Oldze odwagi i spytała:

– Czy ona, Lorcja, tutaj pracuje?

– Żadna z zatrudnionych tu kobiet nie ma na imię Eleonora. Takie oryginalne imię bym zapamiętał.

– Lorcja go nie lubiła, odkąd się zorientowała, co ono znaczy.

– A coś znaczy?

– Nasz świętej pamięci proboszcz, wyjątkowo dobry człowiek i mądry duszpasterz, kładł niezwykle nacisk na kontynuowanie rozmaitych tradycji. Jedna niestety nie była godna kultywowania. Gdy matka przynosiła do chrztu nieślubne dziecko, mogła wybrać jedno z dwóch imion: Eleonora albo Genowefa dla dziewczynki i Lucjan albo Alojzy dla chłopca.

– I ty go nazywałeś dobrym człowiekiem? – spytał gniewnie.

– Wszyscy czasem błądzimy, i wierzący, i niewierzący.

– Mój dowódca mawiał: „Gdyby Bóg istniał, byłbym wierzący”. My nie wierzymy w Boga, wierzymy za to w historię. Może czasem popełniamy błędy, ale historia jest po naszej stronie.

Zerwał się z krzesła i podszedł do okna. Gdy znów zajął swoje miejsce, na jego twarzy nie było już śladu wzburzenia.

– Wróćmy do donosów obywatelskich. – Znów sięgnął do kartek wyrwanych z zeszytu. – „W rozmowie ze mną wyśmiewała przodowników pracy. Powiedziała, że Stachanow musi mieć ze sześć rąk, żeby wyrobić tysiąc pięćset procent normy”.

– Niech mi pan wierzy, że darzę szacunkiem ludzi pracy. Ale kto, mając opanowane podstawy czterech działań i odrobinę zdrowego rozsądku, uwierzy, że górnik może wydobyć piętnaście razy więcej węgla niż inni? Toż to niedorzeczność.

– Czyli do tego się przyznajesz. – Wziął ołówek i zrobił jakiś znaczek na donosie. – „Rozpowszechnia fałszywe informacje o tym, że we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku na Polskę napadł Związek...” – Urwał.

Olga nachyliła się lekko w jego stronę.

– Musi pan pamiętać siedemnasty wrzesień, tak jak ja pamiętam. I dopóki będą żyli ludzie tacy jak my, prawdy nie da się ukryć.

– „Podburza ludność na tle politycznym i wyraża się wrogo o spółdzielczości produkcyjnej, mówiąc: Najpierw rozkułaczanie, potem kołchozy, na końcu głód” – czytał dalej, jakby jej nie usłyszał.

– Wie pan, miałam kiedyś pokojówkę Maszkę. – Słowo „pokojówka” zabrzmiało obco, jak nazwa dawno wymarłego zwierzęcia. – Gdy wyszłam za męża i wyjechałam z Petersburga, wróciła z posagiem do rodzinnej Cwietochówki. Nieraz mi o niej opowiadała: o zadbanych domach z pełnymi kwiatów ogródkami, o czarnej jak smoła tłustej ziemi, która rodziła wspaniałe warzywa, len, konopie, buraki, o wodzie ze studni, krystalicznie czystej, słodkiej i pachnącej świeżością... Po wojnie polsko-bolszewickiej wieś znalazła się po sowieckiej stronie i listy od Maszki przestały przychodzić. Kilka lat później jakimś cudem udało się jej przekraść przez zieloną granicę i zapukała do dworu w Olszynie. Straciła wszystkich: rodziców, męża, dwie córki, synka. Płakałyśmy obie, gdy mi o tym opowiadała. Ale równie straszna była historia o rozkułaczeniu. W jej wsi było kilku bogatych gospodarzy, których majątki rozgrabiono, a ich samych wywieziono i słuch po nich zaginął. Rodzice Maszki nie byli zamożni, jednak dzięki jej posagowi i pracy własnych rąk wybudowali ładny dom, kryty nie strzechą, jak inne, lecz czerwoną dachówką. Pewnego letniego dnia, gdy zanoszono się na burzę, z Kamieńca ciężarówką przyjechał aktyw młodzieżowy. Jeden z młodych ludzi wyjął harmonię, pozostali rzucili się na dom jak szarańcza: zrzucali dachówki, piłowali krokwie, rozbijali sufit. Maszka i jej rodzina uwijali się jak w ukropie, żeby wynieść z domu pościel, garnki, kołyskę. Do środka sypała się glina, spadały belki... Z całej wsi zbiegli się ludzie, ale tylko stali i patrzyli. A potem lunął deszcz, dopełniając dzieła zniszczenia. Mąż Maszki wspólnie z jej ojcem sklecił maleńki domek, w którym cała rodzina gnieździła się dwa lata, dopóki nie wywieziono ich do Kazachstanu.

– Pani hrabina wierzy w takie opowieści?

– Maszka nigdy nie kłamała. To była dobra dziewczyna, tylko życie okrutnie się z nią obeszło.

– Co się z nią teraz dzieje?

– Umarła dwa lata temu.

Przyglądał się jej przez chwilę.

– A zatem odmawiasz przyznania się do winy?

– Odmawiam.

Uśmiechnął się zimno.



– Bez trudu mógłbym cię zmusić do podpisania każdego papieru. Mógłbym tu wezwać twoją synową, dać jej pałkę i powiedzieć: „Bij ją, bo jak nie, to ja ją będę bił”...

– Elżbieta była w obozie. Gdyby nie Szwedzi, którzy ją z tego piekła wyrwali, już by nie żyła. Chciałby pan dać jej okazję do porównania waszego okrucieństwa z niemieckim? – przerwała mu, nie bacząc już na nic.

– Jeszcze jedno słowo i przekonasz się, co to jest piekło na ziemi – syknął.

Wyprostowała się na taborecie.

– Ja już przez nie przeszłam. Nie, nie myślę o wojnie: Bóg oszczędził mi cierpień, przez które musiała przejść moja synowa. Piekło to mieć dzieci i je stracić. Odkąd mój mąż poległ, jestem wdową, nie ma jednak nic strasniejszego, niż pochować własne dziecko, bo to jest wbrew naturze. Jak nazwać taką osieroconą matkę? Nie ma nawet na to słowa.

– Obarczasz nas winą za hiszpankę, na którą trzydzieści lat temu umarła twoja córka?

– Nie. Waszą winą jest ten nieludzki system, przez który mój syn nie wraca do domu.

– Jeśli jest taki hardy jak ty, to być może więcej go nie zobaczysz. – Podniósł słuchawkę telefonu.

– Dyżurny! Wyprowadzić aresztowaną!

\*

– Dawno, dawno temu, gdy istniał świat, w którym wszystkie życzenia się spełniały, żyła sobie dziewczynka. Miała na imię Olga. Jej matka umarła, gdy Olga była jeszcze mała, lecz ojciec nie ożenił się po raz drugi i zamiast złej macochy miała trzy ciotki, jak trzy dobre wróżki. Dziewczynka mieszkała w pałacu o stu bramach, z wielkim dziedzińcem, szerokimi schodami i złoconymi sufitami.

Olga spojrzała na przedwcześnie postarzałe kobiety o szarych twarzach, zapadniętych policzkach, oczach opuchniętych od braku snu. Może w dzieciństwie nikt nie opowiadał im bajek? A może zawsze tak było, że ludzie gromadzili się w kręgu i ktoś zaczynał opowiadać, żeby mniej się bali otaczającego ich mroku?

– Zimą ślizgała się na zamrożonej sadzawce albo przy dźwięku janczarów pędziła z ojcem trojką, a jej sobolowe futro skrzyło się jak szadź w promieniach słońca. Wiosnę spędzała w domu o ażurowych gankach i balkonach, bawiąc się w ogrodzie, w którym kwitły najpiękniejsze na świecie syberyjskie jaskry. Latem ojciec zabierał ją do nadmorskiej willi położonej wśród rozległych sadów, różanych ogrodów i winnic, z których pochodziły najlepsze krymskie wina. Wszystkie dni były tam słoneczne, noce zaś świetliste, bo gwiazdy nigdzie nie świecą tak jasno jak na Krymie. Dziewczynka jeździła konno, grała w tenisa, pływała, a popołudniami odpoczywała na przeszklonej werandzie albo w wysokich, przestronnych pokojach, w których stały wazony pełne świeżo ściętych kwiatów o słodkim zapachu. Gdy skończyła szesnaście lat, ojciec wydał wielki bal. Olga po raz pierwszy upięła włosy, a po kolacji tańczyła do świtu, fruując w tiulowej sukni jak biały motyl. Księżyc w pełni świecił na bezchmurnym niebie, błyszczały klejnoty dam...

Rozległy się kroki na korytarzu, szczerknął judasz, zgrzytnęły zamki i zasuwają.

– Uwaga! Bacność! – zawołała Janka, starsza celi, aresztowana za to, że roześmiała się podczas dekorowania stołówki przed akademią pierwszomajową, gdy kolega, wskazując na portrety Bieruta i Cyrankiewicza, powiedział: „Podaj mi tych skurwysynów”.

Więźniarki zerwały się na równe nogi i stanęły pod ścianami, twarzą do drzwi.

– Obywatelu oddziałowy, cela numer dwanaście! Stan osiem! Obecnych siedem, jedna nieobecna usprawiedliwiona! – zameldowała Janka.

– Już obecna – powiedział strażnik z krzywym uśmiechem. – Spocznij!

Wepchnął do celi ślaniającą się na nogach kobietę i zatrzasnął drzwi.

– O Jezu! – jęknęła Róża. – Zrobili jej przypalankę!

Olga chwyciła futro, które w dniu aresztowania, gdy stało się narzędziem tortur, przeklinała, teraz zaś błogosławiła, bo oddzielało ją od betonowej podłogi, i ułożyła pod oknem, z którego do dusznej celi sączył się słabiutki powiew.

– Posadźcie ją tutaj! – zawołała.

– Parszywy Żyd! – syknęła Róża. Pulchna i macierzyńsko troskliwa, nie kryła, że jest podejrzana o handel walutą i że na wolności trudni się prostytutką. – Tylu porządnych poszło do gazu, a taka kanalia się uchowała!

Najbardziej zniechęcony w więzieniu śledczy, który na protokołach przesłuchań podpisywał się „Gradomski Bolesław”, ale był Żydem i kiedyś pewnie nazywał się inaczej, miał dwie ulubione tortury: wiatraczek polegający na włóczeniu kobiet po podłodze za włosy i przypalankę – rozżarzonym końcem papierosa dotykał kącików warg i kącików oczu ofiary, a w końcu gasił go na jej czole.

Róża uklękła przy Stasi.

– Nie płacz – szeptała, głaszcząc ją po głowie. – Gdy tylko stąd wyjdę, napuszcę na tego...

Olga chrząknęła. Nie miały w celi stukaczki, ale im mniej o sobie wiedziały, tym dla wszystkich było lepiej.

– Płacz, dziecko, ile tylko możesz – powiedziała, patrząc na spuchnięte, przekrwione oczy Stasi.

– Dla-dla-czego? – łkała dziewczyna.

– Natura tak mądrze nas wyposażyla, że łyzy są lekarstwem. Płacz, przestanie cię boleć i szybciej się zagoi.

– Skąd pani wie? – spytała Róża.

– Mój syn jest lekarzem i kiedyś mi o tym opowiedział. Podobno Flemingowi, temu, który wynalazł penicylinę, kapnęła łza na jakąś próbkę i zabiła wszystkie mikroby. Wtedy odkrył, że łyzy odkażają jak jodyna.

– Chciałabym być taka mądra jak pani – westchnęła Róża.

„Jaka szkoda, że mądrość nie wyłania się w jednej chwili, w pełni ukształtowana, jak Atena z głowy Zeusa, że dochodzi się do niej z takim trudem”, pomyślała Olga.

– Skoro jestem od ciebie trzy razy starsza, to chyba powinnam być trzy razy mądrzejsza – powiedziała z uśmiechem.

– Niech nam pani coś jeszcze opowie – poprosiła Janka.

Wszystkie się do niej przyłączyły.

– O balu.

– O pani ślubie.

– O tym, jak pani dokuczała swojej guwernantce.

– O morzu – szepnęła Stasia. – Tylko żeby to było jak bajka.

Olga usiadła przy Stasi i wzięła ją za rękę.

– Opowiem wam o Juracie. Wiecie, skąd się wzięła ta nazwa? To imię królowej, która dawno, dawno temu władowała Bałtykiem. Mieszkała na dnie morza, w bursztynowym pałacu, którego okna były obramowane perłami, szyby zaś zrobione z rybich łusek. Jej ojciec panował nad całym światem, a jej oddał władzę nad wodami, by pilnowała, żeby żadnemu wodnemu stworzeniu nie stała się krzywda. Pewnego dnia Jurata usłyszała, że jakiś człowiek wypłynął na morze i zarzucił sieci, w które złapało się mnóstwo fląder. Rozgniewana wynurzyła się z wody, ledwie jednak spojrzała na młodego rybaka, zakochała się w nim, on zaś oniemiał z zachwytu na widok dziewczyny o włosach w kolorze bursztynu i oczach zielonych jak morska toń. Obiecał, że już nigdy nie będzie wypływał na połów, i spytał, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Od tej chwili codziennie o zachodzie słońca spotykali się na morskim brzegu. W końcu jakaś mewa plotkarka opowiedziała o tym ojcu Juraty. Ten słysząc, że jego córka oddała serce śmiertelnikowi, wpadł w straszliwy gniew i wzburzył morskie fale, tak że pod ich naporem runął bursztynowy pałac, grzebiąc królową. Młody rybak na próżno na nią czekał o zachodzie słońca. Już nigdy nie zobaczył Juraty, przypominały mu o niej tylko kawałki bursztynu, które fale wyrzucały na piasek. Kiedyś moja synowa przebrała się za Juratę i tańczyła na balu maskowym w przybranej bursztynami koronie. Był lipiec, cudowny upalny lipiec. Pamiętacie tamto lato? Ostatnie przed wojną? Byłyście jeszcze dziećmi...

\*

– Znam matki i teściowe, którym nigdy nie przychodzi do głowy, że mogą być *de trop*, ale ja do

nich nie należą.

– Mamo! Ty zbędna? Jak możesz tak mówić! – Teofil ujął jej rękę i pocałował.

– Myślałam o Karlsbadzie, ale tam teraz są Niemcy, może więc Krynica...

– Pamiętasz nasz spacer do Jastarni, *maman*? Zachwycałaś się tą drogą wśród sosen i brzoź. A mówiłam ci, że na naszej ulicy z jednej strony zrobili drewniany chodnik, drugą zaś obsiali niebieskim i żółtym łubinem? Wygląda uroczo, a jaki zapach! – kusiła Bisia.

– Nie pojechałaś do Juraty w zeszłym roku i straciłaś paradę jachtów. Poza tym jako lekarz mogę cię zapewnić, że leczenie klimatyczne nad morzem nie ustępuje temu w górach.

– Mamusiu, jedź z nami! Czasy są takie niespokojne, nie rozłączajmy się.

Tydzień później, gdy rozpromieniona Bisia powiedziała, że zamiast kolejną chcą pojechać autem, Olga żalowała, że uległa ich prośbom. Dwa dni w podróży i ani nóg rozprostować, ani przejść się do wagonu restauracyjnego! Nie cofnęła jednak obietnicy i nie nalegała na zmianę środka lokomocji, by nie zrobić zawodu synowej, która uwielbiała jazdę samochodem.

Cięższe bagaże wyeksponowano kolejną w piątek, trzydziestego czerwca, pod opieką Lorci, Maszki i kucharki, a dzień później przed dwór w Olszynie zajęła pięciometrowa srebrna limuzyna z czarnymi błotnikami i czarnym dachem.

– Mamo, pozwól, że ci przedstawię Klementynę Zabierzeską, moją koleżankę po fachu.

Olga przyjrzała się młodej kobiecie o smagłej cerze i wielkich melancholijnych oczach, w świetnie skrojonym szarym kombinezonie przewiązanym czerwonym paskiem.

– Mam nadzieję, że nie przeraża pani ten smok. – Klementyna machnęła ręką w stronę auta. – W moim fiaciku byłoby ciasno, a tu jest siedem miejsc.

– Och, mamo, są opuszczane szyby i nawet telefon, żeby można było wydawać dyspozycje kierowcy podczas jazdy! – mówiła podniecona Bisia, witając się z teściową.

– Świetne auto! Sześć cylindrów, pięć biegów, hydrauliczne amortyzatory. Wyciąga sto kilometrów na godzinę! – dorzucił Teofil.

– Chcecie mi je sprzedać, że tak je zachwalacie? A może przestraszyć mnie tym pędem? – zażartowała Olga.

– Obiecałam ojcu, że nie będę przekraczać siedemdziesięciu – powiedziała Klementyna. – Skoro zaś mowa o sprzedaży, chętnie je odstąpię. Może wtedy ojciec kupi coś bardziej nowoczesnego.

– Myślisz o czymś konkretnym? – spytał Teofil.

– Marzę o lux-sporcie. Ojciec kupuje tylko polskie auta, a ono jest cudowne: ma bajeczne nadwozie, migające kierunkowskazy i, wyobraź sobie, reflektory wbudowane w błotniki.

Olę, która niewiele zrozumiała z tego technicznego wywodu, zaniepokoił poufały ton i wyraźne zżycie się syna z tą obcą kobietą.

– Pracuje pani z Teofilem? – spytała, gdy auto wyjechało już na częstochowską szosę.

Klementyna odwróciła głowę do tyłu. Długi czarny lok musnął ramię siedzącego obok niej Teofila. Lustrzana szyba oddzielająca kabinę kierowcy od siedzeń dla pasażerów opuszczała się tylko do połowy i Olga, czekając na odpowiedź, automatycznie wychyliła się do przodu. Gdyby nie to, nie zauważyłaby, że Teofil położył dłoń w miejscu, którego dotknęły włosy Klementyny.

– Tak, tylko że on jest już drugim sekundariuszem, a ja niedawno skończyłam staż.

– Zastanawiam się, czemu nigdy nie zaprosiłaś pani na swoje imieniny.

– Poznaliśmy się dopiero trzy miesiące temu, na zjeździe Towarzystwa Chirurgów we Lwowie. – I zwracając się do Klementyny, dodał: – Już dziś cię zapraszam na trzydziestego stycznia. Mama wydaje wtedy w Olszynie wspaniały bal, na który przyjeżdżają wszyscy ze Świętego Łazarza, z profesorem Nowickim na czele.

– Gdzie pani odbywała staż? – spytała Bisia.

– Może będziemy sobie mówić ty? – zaproponowała Klementyna. – Byłoby mi bardzo miło, gdyby i pani – znów odwróciła twarz do Olgi – mówiła mi po imieniu.

„Wolałabym tak bardzo się z tobą nie zaprzyjaźniać, moja droga – pomyślała Olga. – Wolałabym też, żebyś patrzyła na drogę, nie na mnie albo na mojego syna”.

– Mam na imię Elżbieta, ale wszyscy mówią do mnie Bisia.

– Ładnie! – Klementyna znów się odwróciła, pokazując w uśmiechu białe zęby.

Było w niej coś egzotycznego, obcego. Oczy aksamitne jak brązowe bratki i włosy, których czerń podkreślała pąsowa apaszka. Nie wyglądała jednak na Żydówkę i Olga się zastanawiała, czy nowa znajoma jej syna nie ma w sobie hiszpańskiej albo włoskiej krwi.

– Byłam na stażu w klinice chirurgii dziecięcej w Lozannie. Rodzice nalegali, bym potem wróciła do Krakowa, ja jednak wolałam pojechać do Lwowa. – Milczała chwilę, jakby się zastanawiając, czy wyjaśniać powody tej decyzji. – Myślałam o chirurgii doświadczalnej albo plastycznej u profesora Dobrzanieckiego.

– Klementyna ma talent plastyczny. Wiesz, Bisiu, tę karykaturę, którą przywiozłem ze Lwowa, narysowała właśnie Klementyna.

– Doskonale uchwyciłaś podobieństwo. Kazałam ją oprawić i wisi w naszym salonie – powiedziała Bisia.

Olga przypomniała sobie ten obrazek. Jeśli karykatura może być pochlebna, to ta taka właśnie była. Miała ochotę zapytać, jaki udział miał Teofil w zmianie decyzji Klementyny.

– I jak znajduje pani krakowski szpital po Lozannie i Lwowie? – spytała.

– W Lozannie, gdy mówią „chirurgia ogólna”, mają na myśli tylko kawałek jamy brzusznej, no i jeszcze tarczycę. Padli ofiarą amerykańskiej podspecjalizacji. Ale co to za chirurgia bez czaszki, bo nią zajmuje się neurochirurg, bez klatki piersiowej, bo to domena pulmochirurga, bez kręgosłupa, rąk i nóg oddanych ortopedzie – zaśmiała się Klementyna. – We Lwowie zaś niechętnie patrzą na kobiety chirurgów. Nadal jest tam żywy duch profesora Rydygiera, który powtarzał: „Prędzej mi włosy na dłoni wyrosną, niż kobiety zaczną studiować na naszym uniwersytecie”.

– Tak, widziałam anonse, które dawał do gazet: „Precz z Polski z dziwołagiem kobiety lekarza”. Chirurgia to jednak trudny zawód dla kobiety. Wymaga siły i psychicznej, i fizycznej.

– Ale w jakim innym zarobisz trzysta złotych za godzinę pracy? – zaśmiał się Teofil. – Pamiętasz, *maman*, jak porwano profesora Glatzla? Milion złotych okupu!

– Chciałabym mieć jego ręce – westchnęła Klementyna.

– Masz talent, zdolności manualne, błyskotliwy intelekt – gorąco zapewnił ją Teofil. – Kiedyś będziesz legendą tak jak on.

Klementyna zdjęła dłoń z kierownicy i uściśniła jego ramię.

– Dziękuję!

Olga rzuciła jej niechętnie spojrzenie. Wcale jej się nie podobała ta poufałość.

Być może Klementyna zobaczyła jej oczy w lusterku, bo powiedziała:

– Rzadko jesteśmy tacy zgodni. To chyba ten cudowny pierwszy dzień wakacji nastraja nas pokojowo.

– W czym się nie zgadzacie? – spytała Bisia.

– Och, w tysiącu rzeczach. Mamy inne zdanie na temat wycinania wyrostka robaczkowego „na zimno”, ja jestem za resekcją żołądka, Teofil dopuszcza zespolenie żołądkowo-jelitowe, przepuklinę pachwinową operowałabym metodą Girarda, a Teofil metodą Bassiniego...

– Czy to znaczy, że Teofil nie jest nowoczesny?

– O nie! – zawołali jednocześnie Klementyna i Teofil, a potem się roześmiali.

– Nie, kochanie. – Teofil odwrócił się do Bisi. – Jestem bardziej praktyczny. Gdy mam pacjenta z chorobą wrzodową, mogę zrobić trudniejszą niż zespolenie resekcję żołądka, ale tylko w większym szpitalu, z asystą. Pamiętam jednak, jak musiałem operować sam, bez pomocy nawet przy znieczuleniu.

– Jak sobie radziłeś? – spytała Klementyna.

– Przez jałową serwetę naciskałem tłok strzykawki z evipanem.

Zatrzymali się na noc w hotelu w Łodzi, a na drugi dzień Klementyna zaproponowała Bisi, by usiadła z przodu, obok niej. Dopiero wtedy Olga mogła się cieszyć podróżą. Patrzyła na błękitne niebo, jaskry żółcące się na łąkach, maki w zbożu, odświętnie ubranych ludzi idących do kościoła.

– W zeszłym roku za Częstochową zobaczyłam na drodze staruszkę, który podpierając się kijem,

szedł z żywą kurą pod pachą. Zatrzymałam się i spytałam, czy go podwieźć. Okazało się, że od świtu wędrował do jakichś krewnych i miał jeszcze przed sobą prawie trzydzieści kilometrów. „Dobrzy ludzie zawsze dadzą miejsce na wozie”, powiedział. Poczęstowałam go papierosem, potem sandwichem. Gdy wysiadał przy jakiejś bocznej drodze, chciał mi zostawić kurę w prezencie. „Dziękuję, ale co z nią zrobię w aucie?” „Co racja, to racja”, zreflektował się. „No i taka kura warta ze trzy złote, więcej niż bilet na kolej”. „Właśnie, jak bym wydała resztę?”

– Musisz być dobrym lekarzem... – powiedziała Bisia.

– Znakomitym! – włączył się do rozmowy Teofil.

Klementyna uciszyła go machnięciem ręki.

– Jaki to ma związek z żywą kurą? – spytała.

– Teofil ceni twoje zdolności, ale dobrym lekarzem może być tylko dobry człowiek.

– Myślisz, że jestem dobra?

Bisia kiwnęła głową.

– Nie wiem. Może. Chciałabym. – Klementyna się zamyśliła. – Nigdy nie myślałam o chirurgii w ten sposób.

– A jak?

Klementyna uniosła okulary słoneczne i mrugnęła do Bisi.

– Zapytaj męża. On ma na ten temat piękny pogląd, godny pieśni trubadura.

Olga spojrzała na Bisie. Od razu zgadła, że Teofil nigdy się z nią nie podzielił tymi myślami.

– Chirurgia? – Teofil się uśmiechnął. – Cóż, to wielka dama, żądająca oddania i bezwarunkowej miłości. Na jej sztandarze widnieją słowa: „Bądź wierny i pracuj”. Jeśli ktoś szuka zaszczytów, pieniędzy albo sławy, to nie ma dla niego miejsca na jej dworze. W jej służbie wytrwają jedynie najlepsi, najsilniejsi, ci, którzy nigdy się nie poddają. W zamian piękna pani daje im czasem dłoń do pocałowania. Jest to tak czarowna chwila, taki zaszczyt, że człowiek nabiera sił na całe miesiące niepokoju i trudu.

Bisia miała łzy w oczach.

– Jakie to ładne – powiedziała.

Olga słuchała ze ściśniętym sercem. Znała ten ton, ten żar. Teofil był nieodrodnym synem swego ojca. Czemu nie był podobny do niej, oddanej mężowi duszą i ciałem? Czy mężczyźni z natury są niewierni? Nawet jej ojciec utrzymywał haremik powabnych Czerkiesek i mogła tylko mieć nadzieję, że te kobiety pojawiły się dopiero po śmierci jej matki. Kiedyś, gdy była już dorosła, zapytała o to jedną z sióstr ojca. Ta uspokajająco poklepała ją po ręce. „Monogamia, *chéri*? To dobre dla biednych i brzydali”.

– Twój ojciec mawiał, że medycyna to nie powołanie, tylko przekleństwo – powiedziała.

– Jakbym słyszała mojego – roześmiała się Klementyna. – Mama podchodzi do tego znacznie trzeźwiej. „Medycyna? Kaprysy. Wybierze pediatrię i wcześniej czy później bardzo jej się to przyda. Pomyśl, ile zaoszczędzi na lekarzach, gdy będzie mieć własne dzieci”.

– Mówiłaś, że pojechałaś do Lwowa, bo chciałaś się poświęcić chirurgii eksperymentalnej. Dlaczego zrezygnowałaś?

„Brawo, Bisiu! – pomyślała Olga. – Mnie też to ciekawi”.

– Bo kocham zwierzęta. – Klementyna już się nie uśmiechała. – I uważam, że tak naprawdę niewiele nas od nich różni.

Teofil się nachylił, wyciągnął rękę i ponad szybą dotknął jej ramienia.

– Tylko tacy powinni się tym zajmować – powiedział miękko.

Klementyna odwróciła głowę i przez ułamek sekundy jej policzek dotykał palców Teofila. Potem zwróciła się do Bisi.

– Chirurg z nożem w ręku nie kojarzy ci się pewnie z łagodnością. Ale wierz mi, chirurgia nie jest okrutna, jest miłością, czasem łaską. A to, co tam zobaczyłam... Wiem, te doświadczenia są nieodzowne, są przyszłością medycyny, nie tylko chirurgii. Jeśli jednak jakiś niedouczoney prostak prowadzi eksperymenty dla czysto ambicjonalnych celów, nie licząc się z cierpieniem zwierzęcia... Dla mnie wiedza jest narzędziem, nie celem. Jak mawia nasz mentor – znów na moment odwróciła się do

Teofila – trzeba leczyć nie chorobę, lecz chorego człowieka. W Krakowie uczę się od najlepszych i choć na razie tylko usypiam albo trzymam haki, nie narzekam, a potem w domu przy obiedzie mówię od niechcienia: „Dziś operowałam z profesorem Nowickim”.

– Teofil wybrał na część stażu prowincjonalny szpital – zauważyła Olga.

– Pojechałam do Puław, żeby jak najwięcej operować. Chirurgii nie da się nauczyć z książek.

– Przypomina mi się angielski dowcip – powiedziała Klementyna. – Anglik chwali się Francuzowi, że na Wyspach ukazuje się najczęściej na świecie pism ze skąpo ubranymi paniami. Francuz na to: „Nikt się jeszcze nie nauczył pływać, czytając artykuł o pływaniu”.

Wszyscy się roześmiali.

– Uff! – westchnęła Klementyna. – Dobrze, że moi rodzice mnie nie słyszeli. Taki jest skutek pracy wyłącznie z mężczyznami.

– Pani rodzice spędzają całe wakacje w Juracie? Mają tam państwo dom?

– Rodzice mieszkają w hotelu Lido. Myśleli o wynajęciu jakiegoś domu, ale nie znaleźli nic wygodnego. Pojechali już na początku czerwca i chcą zostać do końca sierpnia, bo mama przeszła ciężki bronchit i nasz lekarz domowy zalecił jej kurację klimatyczną.

– Dwa lata temu w Lido mieszkała Jadwiga Smosarska, a wcześniej Eugeniusz Bodo – powiedziała Bisia.

– Właśnie to przesądziło o wyborze – uśmiechnęła się Klementyna. – Mama z pochodzenia jest Amerykanką i ogromne wrażenie robią na niej gwiazdy kina i inne znane osoby. Podobno w tym roku w Juracie ma być minister Beck oraz generał Sikorski, a już przyjechał ten słynny jasnowidz Ossowiecki, który udziela się towarzysko i jak pisała mi mama, przy herbacie zapewnia wszystkich, że wojny nie będzie. Och, przepraszam! Jestem niepoprawna! Poruszam same zasmucające tematy, gdy na świecie jest takie piękne lato!

Rzeczywiście, tego lata słońce świeciło tak, że szary zazwyczaj Bałtyk lśnił szafirem południowych mórz. W Krakowie wszyscy myśleli i mówili tylko o wojnie, tu najważniejszym tematem był bal maskowy w hotelu Lido. Wcześniej odbyły się wybory Miss Juraty, Najpiękniejszej Pani Polskiego Morza oraz Królowej Mody Letniej. Na te ostatnie Olga wybrała się z Bisią, bo chciała zobaczyć towarzyszący konkursowi pokaz butów od Leszczyńskiego i torebek braci Neuman. Gdy weszły do kawiarni hotelu Lido, trwała właśnie koronacja.

– Panna Iga Staniewiczówna! Królowa Mody! – wołał konferansjer.

Olga przyjrzała się nagrodzonej kreacji. Duży kapelusz bez główki, ciemnobłękitna kloszowa suknia plażowa bez pleców i rękawów, z zastępującym ramiączka białym kołnierzykiem, biała torebka i białe lakierowane sandały.

– Ładna ta sukienka – powiedziała do Bisi. – Ty byś ślicznie w niej wyglądała. Masz takie szczupłe, zgrabne nogi.

Konferansjer wprowadził na podium młodą kobietę w długim płaszczu kąpielowym.

– Pani Monika Ceglarska, Wicekrólowa Letniej Mody!

Wicekrólowa jednym ruchem zrzuciła płaszcz kąpielowy, biały w czerwone rozgwiazdy, i zaprezentowała publiczności kostium składający się z napierśnika przytrzymywanego na szyi cienkim sznureczkiem i krótkich szortów uszytych z wzorzystego materiału. Musiała się w tym odważnym stroju pokazywać na plaży, bo ramiona i widoczny nad szortami pasek brzucha były pokryte złotą opalenizną.

Rozległy się oklaski, a jakiś mężczyzna krzyknął:

– Brawo, Moniko!

– Bajeczne kolory! – westchnęła Bisia. – Biało-granatowe trykoty są eleganckie, ale spójrz mamó na te rozgwiazdy, ryby i ukwiały. Cudo!

Siedzący przy stoliku opodal młody mężczyzna spojrział na nią z uśmiechem, a potem zwrócił się do swej towarzyszki, której figura nie kwalifikowała się do sznureczków i krótkich spodni.

– Izuniu, jaka to jednak zdrowa moda! Swobodny kontakt ciała z wodą, powietrzem i słońcem!

– Przekraczać granice przyzwoitości, zasłaniając się względami zdrowotnymi, to już za wiele – prychnęła Izunia.

– Dzień dobry! Nie mają panie zarezerwowanego stolika?

Olga się odwróciła i zobaczyła Klementynę w uszytych z drukowanego jedwabiu szerokich spodniach i obcisłej bluzce bez rękawów.

„Gdzie jury miało oczy? – pomyślała. – Przecież ona wygląda szykowniej niż królowa i wicekrólowa razem wzięte!”

– Przyszliśmy tylko na pokaz torebek. Nie pomyślałam, że w takie piękne popołudnie będzie tu tylu ludzi.

– Niektórzy chyba wcale nie wychodzą z hotelu. Rano widzę ich na śniadaniu, gdy wracam z plaży, popijają w barze, a po podwieczorku zasiadają do brydża. Są odporni na uroki lata – mówiła Klementyna, obejmując Bisię. – Zapraszam do naszego stolika.

– Nie chcemy przeszkadzać.

– To mama mnie po panie wysłała. Od razu panią zauważyła, gdy tylko pani stanęła w drzwiach.

– Ach, pani hrabina! – zawołała matka Klementyny. – Zapraszamy!

Olga zdążyła ją polubić, choć amerykańska krzykliwość, skłonność do przesadnej gestykulacji i słabość do tytułów nieco ją irytowały. Podobnie jak szczerść pani Debory, z domu Lewinson, która już przy drugim spotkaniu opowiedziała jej historię swego małżeństwa. „Pieniądzy było coraz więcej i rodzice marzyli, że poślubię księcia. Wysłali mnie do Francji, a tam poznałam Zygmunta i zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. Rodzice odwodzili mnie od tego małżeństwa, grozili nawet wydziedziczeniem, ale miłość zwyciężyła”.

– Pani hrabina pozwoli, że jej przedstawię hrabiego Curyłę. To kolega Klementyny, poznali się we Lwowie.

Młody człowiek się zaczerwienił.

– Takie to tam hrabiostwo – wymamrotał, całując rękę Olgi.

– Na Floriańskiej miał kiedyś sklep jubilerski Eustachy Curyło. Czy to może pański krewny? – spytała Olga.

– Tak, pani hrabino, to był mój dziadek.

– Mąż kupił mi u niego przepiękny naszyjnik. – Olga przypominała sobie, że ten kosztowny drobiazg miał jej osłodzić kolejną zdradę Jasia, i poczuła irracjonalną złość. – A czym trudni się pański ojciec, jeśli wolno spytać? – powiedziała i się zawstydziała. Nie powinna wyładowywać gniewu na tym Bogu ducha winnym młodzieńcu.

– Jest nafiarczkiem. To znaczy ma szyby w Borysławiu.

– I milionerem – dorzuciła Klementyna ze śmiechem. – Dostał tytuł hrabiowski od króla Portugalii.

– Szkoda, że twojemu ojcu nie zależy na takich rzeczach – westchnęła pani Debora. – Cesarz Franciszek Józef hojnie rozdawał tytuły. *Ritter* Zabierzeski, jak to ładnie brzmi.

– Tatuś pewnie nie chciał tytułu kawalera, skoro ma taką żonę jak ty, mamusiu – zażartowała Klementyna. – A jeśli mowa o nieobecnych, to gdzie się podziewa twój mąż, Bisiu?

– Ma lekcję z Lorcją. Złapała bakcyła żeglarstwa. W jedno popołudnie przestudiowała podręcznik i teraz wiąże węzły z zamkniętymi oczami.

– Zauważyłam, że to jego ulubienica. – Pani Debora zerknęła na córkę.

– Zawsze tak było, odkąd pamiętam – zaśmiała się Bisia. – To dzięki wstawiennictwu Teofila mama pozwoliła jej się uczyć i zdawać maturę.

– Ma maturę? – zdziwiła się pani Debora. – Na cóż służącej matura?

– Ona nie jest służącą, mamó. Mówiła mi, że chce iść na studia, i na pewno pójdzie, bo zrobi wszystko, co sobie zaplanuje. Na razie będzie pracować jako sekretarka. Dostała świetną posadę u lwowskiego profesora.

– I co pani na to, pani hrabino?

– Miałam co do niej inne plany – westchnęła Olga. – Chciałam ją wykształcić na gospodynię. Konstytucja zniosła tytuły, uchwalono reformę rolną, ale my jesteśmy tacy skostniaли. Ludziom z nizin nadal trudno się przebić. Z jednej strony mój syn miał rację, bo zdała maturę celująco, sama się nauczyła

pisania na maszynie i stenografowania... Z drugiej boję się dla niej upokorzeń, rozczarowań. Sierota bez majątku...

– Teofil na pewno ją wspomógł, jeśli będzie chciała dalej się uczyć – powiedziała Bisia. – A ja temu przyklasnę. Ona jest taka zdolna!

– Może tam, we Lwowie, znajdzie dobrego męża – pocieszyła Olę pani Debora, jakby nie słysząc Bisi.

– Zamążpójście jako szczyt możliwości kobiety! To pachnie osiemnastym wiekiem! – zaśmiała się Klementyna.

– *À propos* osiemnastego wieku. Jak przebierają się panie na jutrzejszy bal? – spytała pani Debora.

– Jestem za stara na tańce – odrzekła Olga. – Przyjdę tylko na chwilę, popatrzeć, jak bawią się młodzi.

– Nie zgadzam się z panią, pani hrabino. Na tańce człowiek nigdy nie jest za stary.

– Tak czy inaczej, ani myślę się przebierać.

– Teofil ma chyba po tobie, *maman*, tę niechęć do maskarady. Gdyby nie to, że w podróży poślubnej kupił sobie strój torreadora, i to niemal pod przymusem, poprzestałby na maseczce.

– Torreador! Kapitalne przebranie. Ja będę cesarzową Józefiną, a Klementyna, która od miesiąca ćwiczy...

– Och, mamó, niech to zostanie tajemnicą!

Gdy następnego wieczoru Olga weszła do rześkie oświetlonej sali dancingowej w Lido, od razu dostrzegła posągową Józefinę z wysoko upiętymi włosami, w odciętej pod biustem sukni z bufiastymi rękawami. Tiara wyglądała na kopię tiary Leuchtenbergów z szafirów, brylantów i pereł, za to szafirowy naszyjnik był prawdziwy.

Teofil tańczył z Bisią. Suknia z lazuruwej gazy pięknie się odcinała na tle jego białej koszuli i czarnej, lamowanej złotem kamizelki.

– Dobry wieczór, pani Olgo! Nasz stolik jest tam. Dziękuję, że pozwoliła mi pani iść na ten bal.

– Lorciu, masz osiemnaście lat i wakacje! Jakże mogłabym ci zabraniać zabawy. Ładnie wyglądasz.

Lorcja sama sobie uszyła zielony kostium lady Marion i zrobiła przewieszony przez plecy łuk.

Fokstrot się skończył i do stolika wrócił Teofil z Bisią.

– Napijesz się szampana, mamó? – Nie czekając na odpowiedź, skinął na kelnera.

Bisia wzięła ze stolika przybraną bursztynami koronę i włożyła na głowę.

– Zsuwa mi się przy szybszych tańcach. Powinnam była pomyśleć o gumce, tak jak ona. – Wskazała głową na młodzieńca królową w złotej sukni i złotej koronie przytrzymywanej pod brodą cielistą gumką.

Orkiestra zagrała walca angielskiego.

– Mamó, czy mogę cię prosić? Jeden taniec, nie odmawiaj, proszę.

Tańcząc, Olga rozglądała się po sali pełnej rycerzy, korsarzy, arlekinów, nimf i dam dworu.

– Mignęła mi wcześniej pani Zabierzeska, ale teraz jej nie widzę. Czy nie mieliście siedzieć przy jednym stoliku?

– *Oui, maman*. Tuż przed twoim przyjściem Klementyna szepnęła mi, że ma zamiar zostać królową balu, i znikła gdzieś z rodzicami.

– Pewnie poszli przekupić liczących głosy. To najprostszy sposób.

– Czemu jej nie lubisz?

„Bo ty za bardzo ją lubisz”, pomyślała Olga.

– Ja miałabym jej nie lubić? Nic podobnego!

Olga zatańczyła jeszcze bostona z siwym marynarzem, wypita drugi kieliszek szampana, gdy jednak do stolika podszedł rybak we fraku i w ceratowej kapuzie, wymówiła się od tańca i powiedziała, że wraca do domu.

– Odprowadzę cię, mamó.



– Przecież to kilka kroków.

– Nie chcesz się przywitać z państwem Zabierzeskimi? – spytała Bisia.

„Nie”, pomyślała Olga.

Światła na chwilę przygasły. Reflektor wydobył z mroku sylwetkę wodzireja.

– Idę – szepnęła Olga.

Nie znosiła, gdy w tańcu ktoś komenderował: „Teraz koszyczek! Kóleczek! Kładziemy ręce na ramionach partnerów!”.

– A teraz wystąpi przed państwem panna Klementyna Zabierzaska! Brawo!

Olga opadła na krzesło. To ci dopiero niespodzianka!

Rozbłyły światła. Na parkiecie pojawiła się Klementyna w czerwonej falbaniastej sukni z dużym dekoltem, hiszpańskiej chustce z frędzlami, z pasową różą we włosach i czarnym wachlarzem w ręku. Uniosła suknię i tupnęła nogą obutą w czarny trzewik. Wyciągnęła rękę z wachlarzem i złożyła go ze stukiem. Rozległy się pierwsze dźwięki pieśni torreadora z *Carmen*. Klementyna zaczęła tańczyć.

Olga nie mogła od niej oderwać oczu. Już wcześniej myślała, że czerwień, choćby czerwony pasek, czerwony kwiat albo czerwona apaszka, jest symbolem temperamentu Klementyny. Teraz zobaczyła, jak jest on nieokiełznany.

Gdy powoli wracała do domu, usiłując się cieszyć chłodną bryzą, zapachem sosen, szumem morza, skrzypieniem piasku pod butami, widziała tylko wirującą czerwoną spódnicę i długie frędzle hiszpańskiej chustki haftowanej w różę. A potem Carmen tańczącą z torreadorem, blisko, coraz bliżej, twarz przy twarzy.

\*

Popołudnie to dobry czas. Ociężali po obiedzie śledczy rzadziej wzywają na przesłuchania, a jeśli już, to niektórym nawet nie chce się bić. Myślą o domu, o spacerze z żoną, może o grzaniu wody na wieczorną kąpiel małego synka. Niedługo zastąpi ich świeża zmiana.

Czas w więzieniu jest ściśle odmierzony posiłkami, apelami, pobudką i ciszą nocną. Za chwilę na korytarzu rozlegną się kroki, zgrzyt zasuw, pisk zawiasów, suchy trzask zamków przypominający karabinowe wystrzały, suwanie kotła z zupą i drugiego, z czarną zbożową kawą. Apel, potem cisza nocna.

Światło pali się do świtu, rani oczy. Koc, płaszcz, sweter nie służą jako przykrycie, bo w celi jest gorąco, lecz jako izolacja od spoconych obcych ciał stłoczonych na podłodze. Noc nie jest dobra. Kroki na korytarzu i drzenie, czy miną celę, czy zatrzymają się przy drzwiach. Noc to czas przesłuchań.

– Proszę pani, czy oni już zawsze będą rządzić?

– Nie, Stasiu. Ja pewnie tego nie doczekam, ale ty będziesz żyć w wolnej Polsce.

– Myśli pani, że wybuchnie trzecia wojna? Że Anglia i Francja przyjdą nam na pomoc?

– Tak jak przyszli we wrześniu – zjadliwym tonem rzuciła Róża.

– Nie, nie mam na myśli wojny. Chodzi mi o to, że taki ustrój, takie porządki nie mogą wiecznie trwać.

– W Rosji trwają od trzydziestu lat – zauważyła Róża.

Olga uśmiechnęła się do niej.

– Byłaś kiedyś w cyrku? – spytała.

– Raz. Przed wojną. Tatuś mnie wziął.

– To pewnie widziałaś lwa skaczącego przez płonącą obręcz i niedźwiedzia tańczącego w tiulowej spódniczce. Co by się stało, gdyby udało im się uciec do puszczy?

– Bałyby się ognia.

– Nie nosiły ubrań.

– Znów byłyby dzikimi zwierzętami – odpowiadały jedna przez drugą.

– Tak samo jest z ludźmi. Komuniści o tym zapominają, gdy twierdzą, że człowieka można ukształtować jak glinę.

– Niektórych można – wtrąciła Róża.

„Nie, ona nie jest cyniczna – pomyślała Olga. – Po prostu za dobrze zna życie, choć mogłaby być moją wnuczką”.

– Nawet jeśli im się to uda z pojedynczymi ludźmi – powiedziała – to ich dzieci będą musieli ugniatać od początku. Każdy, kto miał choćby psa, wie, że szczenięta nie dziedziczą jego umiejętności, że trzeba je uczyć od nowa. Wszystkie stworzenia, nawet najbardziej bezrozumne, są zrodzone do wolności.

Stasia zapatrzyła się w zakratowane okno, jakby tam widziała lepszą przyszłość. Janka zmarszczyła czoło w namyśle.

– Czemu oni tego nie widzą? – spytała. – Przecież skoro zawojowali pół świata, muszą być wśród nich mądrzy ludzie.

– Nie wiem, dziecko. Ale chyba bezkrytycznie uwierzyli w to, co wymyślili i teraz głoszą. A jeśli ktoś ma wątpliwości, to milczy ze strachu.

– Mój dziadek mówi, że niektórzy komuniści są mądrzy, ale komunizm jest głupi – szepnęła Stasia.

– Ja też tak myślę. – Olga się uśmiechnęła. – Był taki starożytny filozof, nazywał się Platon, który tak jak komuniści marzył, że kiedyś nastanie złoty wiek, bez wojen, i wszystko będzie wtedy wspólne, nawet żony i dzieci. Ale już jego uczeń Arystoteles trzeźwo zauważył, że wspólnicy często się kłócą.

– Powiedziały jaskółki, że niedobre są spółki – zaśmiała się Janka.

– Pamiętasz, jak mówiłaś, że ślusarze w twojej fabryce pracują tylko tyle, ile muszą, bo gdyby bardziej się starali, zwiększono by im normy? Komunizm karze za dobrą pracę, marnotrawi talenty, ludzki zapał. Rosja jest wielka i bogata, ale nawet największe bogactwa kiedyś się wyczerpią.

Wszystkie wpatrywały się w Olę. Gdyby nie ich zaczerwienione oczy w szarych, ściągniętych twarzach, mogłaby pomyśleć, że ma przed sobą pilne uczennice.

„To jednak ironia losu, że szczerze można dziś mówić tylko w więzieniu – pomyślała Olga. – Oczywiście przyciszonym głosem i tylko gdy ktoś, tak jak ja, już niewiele życia ma przed sobą”.

– Słyszałyście o Marku Aureliusz?

Wszystkie przecząco pokręciły głowami.

– Tak myślałam. – Olga się uśmiechnęła. – Kiedyś to był najpotężniejszy człowiek na świecie. Jego państwo było ogromne, miał wielką, doskonale wyszkoloną armię, uzbrojoną w najnowocześniejszą broń, a po śmierci został uznany za boga. Nawet najwięksi władcy umierają, ich imperia obracają się w pył, a pamięć o nich przepada.

Hania, która rzadko się odzywała, podniosła rękę jak w szkole. Rękaw bluzki zsunął się i odsłonił chude ramię z czarnymi sińcami. Ten sam śledczy wzywał ją co kilka dni i tłukł nahajką, powtarzając przy tym: „*Ženszczina kak koszka – i pałkoj nie dobjosz*”. Przynosili ją potem do celi, bo sama nie mogła iść. Olga robiła jej kompresy z własnej halki zmoczonej w zimnej kawie, starając się nie płakać nad swą bezsilnością.

– Czy pani wierzy w Boga?

Olga nieraz sama zadawała sobie to pytanie.

– Tak – odrzekła pewnym głosem.

Ta ciasna, duszna cela nie była odpowiednim miejscem, by wyznać, że o życiu coraz częściej myśli jako o przymusie, nie darze. Że życie jest nieustającą utratą: ludzi, lat, miejsc, że rozciągnięte między koniecznością narodzin a nieuchronnością śmierci jest jak więzienie. Może ojciec i miejsce urodzenia były ważniejsze niż matka, której nawet nie pamiętała? Może był w niej duch rosyjskich chłopów, którzy trwają, bo są pesymistami? Nie spodziewają się niczego dobrego, oczekują, że będzie gorzej. Szykują się na to, lecz z wiarą, że przetrwają.

– Pani jest łatwiej. Pani jest wykształcona, mądra, bogata. Mojego ojca zabili Niemcy zaraz na początku wojny i mama musi pracować, żebyśmy nie umarli z głodu. Pierze i sprzęta po domach, ja jej pomagam. A pani? Pani nigdy tu nie tknęła zupy. Czy kiedyś była pani głodna?

Oldze nie przyszło do głowy, że wystawia na widok ludzi nie tylko udręczone ciało, ale i ducha.

– Nie, Haniu, Bóg mi tego oszczędził. A zupy nie biorę, bo starzy ludzie nie mają apetytu. Chleb

aż nadto mi wystarcza.

Kiedy nauczyła się tak dobrze kłamać? Gdy udawała, że zapomniała o kolejnej zdradzie Jasia? Gdy zdejmując żałobę po śmierci córki, mówiła, że czas leczy rany? Gdy na pytania o Lorcę odpowiadała: „Przygarnęłam ją z litości”?

– Gdyby moja mama miała takie futro jak pani, nigdy by go nie położyła na podłodze. Wkładałaby je w niedzielę do kościoła i myślała, że jeśli będzie w potrzebie, zawsze może je sprzedać. Odebrali pani majątek, ale biedna nigdy pani nie będzie i nigdy nie zrozumie takich ludzi jak my.

– Masz rację, Haniu, sytemu trudno zrozumieć głodnego. Ale powinien próbować. – „*Stirb und werde*”. Umrzyj i stań się. Czy w szkole uczono jeszcze o Goethem? – Pamiętasz List do Koryntian? Te słowa, że jeśli ktoś uwierzył w Chrystusa, jest nowym stworzeniem? Tak jakby umarł i narodził się na nowo. Nigdy nie zapomnę tego, co widziałam w czasie wojny i tutaj, ale nie chcę tym żyć, bo cierpienie nie uszlachetnia, nie umacnia ducha, tylko zatwardza serce.

Olga przypomniała sobie nagle wigilijną noc. Niemal poczuła zapach choinki, woskowych świeczek, wina i cynamonu. Wróciła z Bisią z pasterki, owinęła zmarzniętą synową ciepłym szalem, naląła jej gorącego ponczu. I właśnie wtedy Bisia jej opowiedziała, jak żywy, czujący człowiek zamienia się w pustą powłokę.

\*

Wojna się skończyła!

Olga głośniej nastawiła radio. Warszawa, Paryż, Londyn i Moskwa mówiły tylko o jednym: Zwycięstwo! Wojna się skończyła!

Wysunęła się ze schowka, podobno zbudowanego jeszcze w czasie insurekcji kościuszkowskiej, w którym w czasie okupacji przechowywała radio, biżuterię, najlepsze wina, a czasem nielegalnie zabite ciele lub świnię, i stanęła u stóp schodów.

– Maszka! Maszka! – zawołała. – Chodź szybko!

– Co się stało?

– Chodź, pomożesz mi z radiem.

– To już wolno go słuchać?

– Dziś wszystko wolno! Wojna się skończyła!

– Idę, tylko zasłonę okna.

„Ruska chłopka! – pomyślała Olga. – Najpierw sprawy praktyczne, potem, jeśli w ogóle, radość”.

– Gdzie je damy? Do kuchni? Tam najłatwiej schować i od ogrodu nikt nie usłyszy – mówiła Masza, schodząc do piwnicy.

Olga nie posłuchała zarządzenia nowych władz nakazującego oddanie radiodbiorników na najbliższy posterunek milicji, choć groziła za to kara śmierci. Nie przestraszyła się zarządzenia okupacyjnego, to nie będzie się bała bolszewickiego.

– Prędej czy później pozwolą na słuchanie, a na razie schowamy je w kredensie, na dolnej półce. Maszka! Wojna się skończyła!

– To przeniosę rondle do spiżarni.

Olga wzniosła oczy do nieba.

„Szampan – pomyślała. – W taki dzień trzeba tańczyć i pić szampana”.

Jeszcze raz zeszała do piwnicy, minęła pudła, skrzynki, puste beczki i weszła do schowka. Szampan, startka... Może została jakaś puszka z łososiem?

– Maszeńko! Dziś świętujemy! Mamy kwaśną śmietanę? – spytała, stawiając butelki na kuchennym stole.

– Tak, pani Olgo. Bliny z łososiem?

– Zgadłś! Ale zaczniemy od szampana. Nie, od tańca – poprawiła się, słysząc dobiegające z radia dźwięki walca granego na akordeonie. – Maszka! To przecież Rachmaninow! Cały Paryż tańczy jego walca! Czy mogę panią prosić? – Skłoniła się, zamiatając podłogę piórami nieistniejącego

kapelusza.

Tańczyły, wirując po kuchni, piły szampana.

Nagle Maszka znieruchomiała z kieliszkiem podniesionym do ust. Pokazała palcem na radio.

– *Na sopkach Man'czzurii*. Czy Francuzi to tańczą?

– Nie wiem. Nawet jeśli tak, to słyszą tylko piękną melodię, nie mają pojęcia, że to pieśń o poległych żołnierzach. Oni mało wiedzą o nas, Rosjanach.

– Cudzoziemcy! – Maszka z pogardą wzruszyła ramionami. – Co to znaczy „wikła”?

– *Victoire*? Zwycięstwo.

Masza się zamyśliła.

– Zwycięstwo. I co teraz będzie, proszę pani?

– Jak to co? Teofil i Bisia wrócą do domu!

– Tak, wiem, ja nie o tym. Co będzie ze światem?

– Och, Maszka, jaka ty jesteś ruska! Aż miło! Od razu takie zasadnicze pytania!

– Bolszewicy doszli do Berlina. Chcieli tam dojść już w dwudziestym roku. Pani się nie boi? Bo ja prędzej się zabiję, niż pozwolę znowu się wywieźć. Pani nie wie, jacy oni są. – Masza spojrzała na pokryte bliznami dłonie.

– Wiem, Maszeńko, dobrze wiem, ale teraz jesteśmy Polkami, jesteśmy w Polsce. Nic nam się nie stanie.

Bardzo chciała w to wierzyć. Obie jednak wiedziały, że bolszewicy przynieśli wyzwolenie, lecz nie przynieśli wolności. Nie mogli przynieść czegoś, czego sami nie mieli.

W lipcu do Olszynki przyszedł list z Czerwonego Krzyża: Bisia przeżyła obóz i była teraz w Szwecji, Teofil jeszcze się nie znalazł, na szczęście nie było go na żadnej liście poległych.

Olga rzuciła się w wir pracy – pilnowała żniw, sianokosów i smażenia konfitur, szykowała dom na powrót dzieci. Minęło jednak lato, potem jesień, a żadne z nich nie dało znaku życia.

Któregoś grudniowego dnia Olga stała przy oknie i patrząc na zasypany śniegiem podjazd, rozmyślała, czy warto się starać o drzewko na święta. Ostatnią choinkę mieli w tym domu w trzydziestym dziewiątym roku, gdy jeszcze wszyscy byli razem i łamiąc się opłatkiem, życzyli sobie, by wojna skończyła się na wiosnę. Ubierać drzewko tylko dla siebie? Jaki to ma sens?

Na końcu alei pojawiła się ciemna postać. Kobieta. Wojenni rozbitkowie byli teraz rzadsi, ale nadal się zdarzali, ona jednak nie wyglądała na bezdomnego wędrowca – w wysokich butach, eleganckim palcie, futrzanej czapce, z porządnym plecakiem.

Olga narzuciła futro i wyszła na ganek.

– Mamo!

– Bisia?!

Nie bacząc na śnieg, który wsypywał się do jej domowych trzewików, Olga biegła aleją.

– Bisiu! Dziecko moje kochane! Jak się tu dostałaś?

– Przyszłam ze stacji. Och, mamo, nareszcie... A Teofil? Wrócił?

– Jeszcze nie, córeńko, ale wróci. Zobaczysz, niedługo wróci.

Bisia stanęła na progu i rozejrzała się po sieni.

– Nic się tu nie zmieniło. Jakie to szczęście! – szepnęła.

– Maszka! Zobacz, kto przyjechał!

Masza wyjrzała z kuchni i jednym susem była przy Bisi. Ścisnęła ją z płaczem, rozpinając jej palto, zdejmowała czapkę i rękawiczki jak małej dziewczynce.

Bisia ją całowała, powtarzając:

– Nie płacz, Maszeńko, nie płacz!

– Bisiu, pewnie jesteś głodna, mamy krupnik...

– Nie bardzo, mamusiu, jadłam w Krakowie.

– Byłaś w waszym mieszkaniu? Zainstalowałam tam Lusię, żeby go pilnowała. Czerwonoarmiści, którzy kwaterowali w jej domu, zaproszyli ogień i została bez dachu nad głową.

– Tak, wiem, widziałam się z nią. Poczęstowała mnie drugim śniadaniem, odprowadziła na

dworzec, kupiła mi bilet.

- A ja mam jeszcze jedną butelkę szampana. Schowałam na wasz powrót.
- Może napijemy się herbaty? Szampana otworzymy, gdy Teofil wróci.
- Chodźmy do kuchni. Tam jest najcieplej.

Olga usiadła obok synowej i co chwila dotykała jej ramienia, jakby się bała, że to sen, że Bisia rozplynie się w powietrzu.

- Och, konfitury – westchnęła Bisia.
- Co to za herbata bez konfitur. Truskawkowe, panienki ulubione. A ci Szwedzi, z czym piją herbatę?

- Wolą kawę. Od święta pieką do niej bułeczki z cynamonem.
- Ubrania i buty to porządne mają. – Maszka spojrzała na grubego sweter i wełnianą spódnicę Bisi.
- Zaprowadzili nas do magazynu i pozwolili wybrać. Śmiali się, że żadna z nas nie wzięła eleganckich pantofli, tylko sznurowane buty na grubej podeszwie.

– Właściwie jak się tam znalazłaś? W lutym dostałam od ciebie kartkę z obozu, tak się cieszyliśmy, że żyjesz.

- Lekarz pozwolił mi ją napisać i dopilnował, żeby ją wysłano.
- Lekarz? Chorowałaś tam?
- Trochę.

Olga przysunęła się bliżej i objęła Bisie.

- Chcesz odpocząć? Może się położyć? Wasz pokój jest gotowy, trzeba tylko oblec pościel.
- A czy mogłabym się wykapać?
- Oczywiście. Od rana palimy w piecu, woda jest nagrzana. Pomóc ci, dziecko?
- Nie, dziękuję, mamo.

Masza, nucąc, oblekała pościel, potem smażyła naleśniki, Olga zaś co chwila biegała pod drzwi łazienki.

- Masz wszystko, córciu? Może ogrzać ręczniki?

Za chwilę znów:

- Woda nie za zimna? Może dolać ci wrzątku?

Gdy Bisia weszła do kuchni w swojej starej domowej sukience zapinanej z przodu na długi rząd guziczków i w turbanie z ręcznika na głowie, stół był nakryty, a Olga i Masza stały przy piecu, gotowe do nalewania zupy.

– Gdybym wiedziała, że przyjedziesz, ugotowałybyśmy pomidorową. Za to na drugie są twoje ulubione naleśniki.

- Och, mamusiu, dziękuję!
- W tej Szwecji pewnie nie mają naleśników.
- Nie wiem, Maszeńko, może mają, ale nie widziałam.
- Dbali tam o ciebie, córciu?

– Bardzo. Mogłyśmy jeść, ile chciałyśmy. Pierwszego dnia przynieśli na tacach stosy białego chleba posmarowanego masłem. Kilka kobiet zjadło tak dużo, że potem umarły. Ja na szczęście miałam gorączkę i dałam radę wypić tylko trochę mleka.

Olga i Masza spojrzały na siebie.

– Na święta przygotowujemy mnóstwo smakołyków – powiedziała Olga sztucznie różnym tonem. – Pojedziemy do Krakowa i zrobimy zakupy.

- Nie ma już kartek?

– Są, oczywiście że są. Ale na pasku jest wszystko, nawet ananasy. Najtrudniej z monopolem, zapalek ani drożdży w sklepie nie uświadczysz, paskarze zaś boją się nimi handlować, bo kary za to są drakońskie. Jednak sobie poradziłyśmy: mamy starą zapalniczkę Jasia, działa na benzynę, naftę, nawet na spirytus, a ze zdobytych cudem drożdży Masza zrobiła zaczyn i możemy piec chleb i placki. Mąki mamy dość. Urodzaj w tym roku był wspaniały. Od obowiązkowych dostaw nie udało mi się wprawdzie wykręcić, ale i tak dużo nam zostało, wystarczy do następnych żniw i na siew.

Skończyły obiad, gdy na niebie różowiły już wieczorne zorze.

– Pamiętasz, mamó, ostatni wieczór przed wojną? Wróciliśmy z Juraty i tu, w kuchni, pomagałyśmy szykować kolację. Lorcja już wyjechała do Lwowa, Teofil był w ogrodzie, ja kroiałam placek ze śliwkami, ty wybierałaś wino... Pamiętasz tamten zachód słońca? Horyzont zrobił się taki czerwony, jakby ziemia płonęła. Potem wzeszedł księżyc w pełni. Pachniała maciejka, grały świerszcze i nie mieliśmy ochoty kłaść się spać.

– Pamiętam, córciu. A pamiętasz, jak zawsze czesałam cię przed snem? Opowiadałaś mi wtedy o całym swoim dniu, nawet o psotach. Chodź, wyszczotkuję ci włosy.

Masza przycupnęła na krześle w kącie sypialni, a Olga, patrząc na odbicie twarzy Bisi w lustrze toaletki, zdjęła ręcznik z jej głowy i dłonią rozczesała sięgające ramion włosy. Natrafiła na zgrubienie na skórze i przejechała po nim palcem.

– Skąd masz tę bliznę?

– Fryzjer skaleczył mnie w obozie. W pierwszy dzień ogolili nas wszystkie na zero.

Olga stłumiła westchnienie. Nachyliła się i pocałowała Bisię w czubek głowy. Wśród blond pasm zauważyła nagle srebrne nitki. Poczowała łzy w oczach i mocno przygryzła wargi. Przecież jej synowa przed dwoma miesiącami skończyła trzydzieści jeden lat! Była jeszcze taka młoda!

Wzięła z toaletki ciężką srebrną szczotkę i naraz przypomniała sobie, jak stała w tej samej sypialni i patrzyła na fryzjera, który czesał Bisię do ślubu. Wtedy sobie uświadomiła, że skończył się ich codzienny rytuał, że już nie będzie co wieczór dotykać tych miękkich jak u dziecka włosów, zwijających się nad uszami i czołem w loczki.

– Złapali mnie na Starowiśnej – powiedziała nagle Bisia. – Wszystkich z łapanki, chyba ze sto osób, pognali na policję na Franciszkańską.

Olga znieruchomiała z uniesioną do góry szczotką. Potem znów zaczęła nią przesuwając po włosach Bisi.

– Nieraz później żałowałam, że nie spróbowałam wtedy uciec. Tylko że tak okropnie się bałam. Gdybym uciekła, nie byłoby tego wszystkiego...

Olga objęła Bisię.

– Nie mów tak, córeczko. Sama wiesz, jak ryzykowna byłaby taka próba, i wątpliwe, czyby się udała.

Masza nerwowo poprawiła się na krześle. Zaszleścił wykrochmalony fartuch.

– W ten dzień w tramwaju, w tłoku, ktoś mi włożył gazetkę do kieszeni płaszcza i podczas przeszukania na posterunku, policjant ją znalazł. Nie chciał słuchać moich tłumaczeń, tylko zamknął mnie w pojedynczej celi. Potem przyprowadzono do niej jeszcze pięć kobiet. Strasznie się bałam, że będą mnie przesłuchiwać... Gdy rano załadowali nas na ciężarówkę, zawieźli na bocznice w Płaszowie i powiedzieli, że jedziemy na roboty, to się ucieszyłam. Wiedziałam przecież, że wojna niedługo się skończy, że Rosjanie stoją pod Warszawą. Policjanci dali nam na drogę po pół bochenka chleba i po butelce oranżady. Nigdy nie piłam takiej dobrej oranżady! W wagonie był tłok, ale się zmienialiśmy i co jakiś czas mogłam na chwilę usiąść na podłodze. Jechaliśmy dwa dni. Z początku rozmawialiśmy, zastanawiając się, do jakiej pracy nas przydzielą, nawet śpiewaliśmy. Potem mało kto się odzywał. A później... później...

Bisia zamilkła.

– Mów, dziecko, to ci przyniesie ulgę – szepnęła Olga.

– Pociąg stanął, usłyszałam szczekanie psów. Ktoś odsunął drzwi i wszyscy podnieśliśmy dłonie do oczu, bo oślepiło nas słońce odbite od śniegu. „*Schnell!* Szybko! Szybciej!” Zeskakiwaliśmy na oślep, ktoś upadł, jakaś kobieta krzyczała, płakały dzieci... Kiedyś próbowałam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał Sąd Ostateczny, gdy anioł ognistym mieczem oddzieli złe dzieci od dobrych rodziców, wiarołomnych mężów od wiernych żon, ale nie potrafiłam. Teraz wiem. Upuściłam torebkę, schyliłam się po nią i poczułam uderzenie kijem. „*Schnell!*” Wrzaski, razy i to okropne ujadanie psów sprawiły, że zmieniliśmy się w stado przerażonych owiec. „*Links! Rechts!* Na lewo! Na prawo!” Gnali nas, rozdzielali na mniejsze strumyki, sortowali. Ta na wełnę, ta na rzeź...

Olga z trudem powstrzymywała szloch. Zagryzła wargi i tak ścisnęła szczotkę, że zbieleły jej palce.

– Wbiegłyśmy do jakiegoś baraku. Kazali nam się rozebrać do naga. Odebrali mi wszystko, nawet obrączkę i twój pierścionek, który Teofil dał mi na zaręczyny. Nie chciałam płakać, ale trzęsłam się z zimna i łzy same leciały mi z oczu. Jakaś kobieta nie mogła zdjąć wąziutkiej złotej obrączki. Na próżno ją szarpała i zwilżała śliną. Podszedł do niej strażnik, przygwoździł jej rękę do stołu, wziął zamach i bagnetem obciął palce, a potem przyłożył jej pistolet do skroni i strzelił. Nigdy tego nie zapomnę. Lamenty i płacz, krzyk tej kobiety, tryskająca krew, huk wystrzału i nagła cisza.

Bisia spuściła głowę.

– Golili nas mężczyźni, włosy na całym ciele, ale mnie już było wszystko jedno. Potem po kolei musiałyśmy się zanurzyć w kadzi z jakąś śmierdzącą chlorem cieczą i jeszcze mokre pognali nas na zewnątrz, do leżących w stosie ubrań z namalowanym czerwona farbą krzyżem na plecach. Każda chciała wybrać coś pasującego, ale znów było „Schnell!” i porywałyśmy pierwszą lepszą bluzkę, spódnicę, sukienkę... Wieczorem dali nam zupę. Cuchnęła tranem i zgniłą kapustą, nie mogłam się przemóc, żeby choć jej skosztować. Na drugi dzień rano dostałyśmy po kawałku chleba. Żułam go po okruszku na śniadanie, obiad i kolację. Na trzeci marzyłam o wieczornej zupie. Objęłam miskę dłońmi, żeby choć trochę je ogrzać, i sama nie wiem jak, upuściłam ją. Stojąca obok kobieta upadła na kolana i błyskawicznie zjadła z podłogi kawałki brukwi. Jakiś tydzień później na porannym apelu Niemiec w lekarskim fartuchu narzuconym na płaszcz od munduru przeszedł wzdłuż szeregów i wskazał kilka kobiet. Za plecami usłyszałam szloch i szept: „To moja siostrzyczka, moja kochana siostrzyczka”.

Bisia podniosła głowę. Oczy błyszczały jej jak w gorączce, na policzkach miała wypieki. Spojrzała w lustrze na Olę. Ta odłożyła szczotkę.

– Połóż się, córeczko. Masza przyniesie ci ciepłego mleka. Jutro opowiesz nam resztę.

– Nie. Muszę to skończyć. Wysłałam przed szereg i poprosiłam, żeby wziął mnie zamiast niej. Spojrzał obojętnym wzrokiem i bez słowa kiwnął głową. Niewiele kobiet wracało z bloku szpitalnego, gdzie prowadzono doświadczenia medyczne, ale mnie się udało, bo cztery miesiące później, na początku kwietnia, do obozu przyjechał sznur pomalowanych na biało autobusów ze znakiem Czerwonego Krzyża, szwedzką flagą i napisami: „SVERIGE” i „SCHWEDEN”. Okazało się, że niemiecki lekarz, którego tak nienawidziłam, wpisał mnie na listę i Szwedzi zabrali mnie z obozu. Jechaliśmy przez spokojne wsie, w których kwitły wiśnie, i przez zrujnowaną Kilonię, aż do jakiegoś duńskiego portu w długiej, wąskiej zatoce. Dopiero gdy łódź zniknął nam z oczu, a naokoło była tylko woda i krzyczące mewy, uwierzyłyśmy, że to się dzieje naprawdę, że jesteśmy uratowane. Prom przycumował w jakimś szwedzkim mieście, oświetlonym, spokojnym, nienaruszonym. Ludzie wychodzili na ulice i machali do nas, rzucali nam cukierki i papierosy, marynarze salutowali. Pamiętasz, mamó, jak się umówiliśmy, że gdyby coś nas rozłączyło, to się spotkamy w Olszynie? Byłam okropnie słaba, ale cały czas sobie powtarzałam: „Wrócę do domu. Święta spędzę w Olszynie”.

– I tak właśnie będzie, córeczko. Taka jestem szczęśliwa.

W swojej sypialni Olga długo nie wstawała z kolan. Dziękowała Bogu, że ocalił Bisię, i błagała, żeby sprowadził do domu także Teofila. Gdy położyła się do łóżka, nie mogła zasnąć. Przypominała sobie każde słowo synowej, a łzy same ciekły jej z oczu.

Rano, po naradzie z Maszką, zrobiła długą listę zakupów. Postanowiła, że to będą takie święta jak przed wojną. Wystawne i radosne.

Bisia nie mówiła więcej o obozie, Olga zaś, im dłużej myślała o jej opowieści, tym więcej miała pytań. W Krakowie poszła do księgarni i spytała o książkę o obozach, choć wątpiła, czy ktoś zdążył taką napisać i wydać. Tymczasem księgarz podał jej *Dymy nad Birkenau* Seweryny Szmaglewskiej. Zaczęła czytać wieczorem w łóżku, potem długo leżała bezsennie, to modląc się, to płacząc, a gdy wreszcie zasnęła, dręczyły ją koszmary. Następnego dnia zmusiła się, by czytać dalej, i nie odłożyła książki, póki jej nie skończyła.

Siedemnastego grudnia nowy rząd zniósł stan wojenny, a z nim godzinę policyjną, i w Wigilię mogły pójść na pasterkę. Proboszcz wygłosił kazanie o cierpieniu, miłości i przebaczeniu. Olga siedziała

tak, by ramieniem dotykać ramienia Bisi. Śpiewała kolędy i czuła, jak z każdą nutą opuszcza ją gniew, a jego miejsce zajmuje spokój.

– Napijemy się ponczu – powiedziała, gdy brnęły zaśnieżoną aleją. – Rozgrzejemy się.

Dołożyła polan do kominka, owinęła zmarzniętą synową wełnianym szalem i poszła do kuchni. Na brzegu ciepłego pieca stał rondel z ponczem. „Kochana Maszka! Jak zwykle przewidująca”.

Olga nalała gorącej wody do dwóch termoforów, po czym zaniósła je do łóżka Bisi i swojego. „Jestem dożywotnio skazana na spanie z gumowym workiem – pomyślała. – Gdyby Jaś żył...” Przypomniała sobie słodki dreszcz, który ją przeniknął, gdy pierwszy raz się całowali. Nie były to grzeczne, zdawkowe pocałunki, o nie.

Postawiła rondel, szklaneczki i salaterkę z pierniczkami na tacy i zaniósła do salonu.

– Pij, póki ciepły – powiedziała, nalewając Bisi poncz.

Umieściła rondel z ponczem blisko ognia, zapaliła świece na choince, a potem zgasła górną lampę. Odblask płomienia kładł się ciepłym blaskiem na policzkach Bisi.

– Ślicznie wyglądasz w tej bluzce – powiedziała. – Niebieski to twój kolor.

– Pamiętasz, mam, przebranie Klementyny na balu w Juracie? Tę czerwoną hiszpańską suknię?

– Oczywiście. Pasowała do niej.

– I ten taniec... Nie mogłam od niej oderwać oczu.

– Ja też. Jej matka powiedziała, że Klementyna miesiąc ćwiczyła z nauczycielem tańca.

– Naprawdę? Nie pamiętam. Zastanawiałam się, czy wiedziała, że Teofil będzie przebrany za torreadora.

– Skąd mogłaby to wiedzieć? – spytała Olga i sama sobie w duchu odpowiedziała: „Od Teofila oczywiście”.

– Myślisz, że to był przypadek?

– Nie wiem, pewnie tak. A pamiętasz, jak ładnie wyglądała Lorcja przebrana za żonę Robin Hooda?

– Ciemnozielony kaftan i spiczasty kaptur na rudych włosach. Pamiętam. Co się z nią teraz dzieje? Z nią i z Klementyną?

– Nie mam pojęcia. Nalać ci jeszcze?

– Tak, proszę. Wiesz, że na drugi dzień Lorcja odtańczyła mi ten hiszpański taniec? Nie wierzyłam własnym oczom, choć przecież wiedziałam, jaka jest muzykalna. Po kim ona ma te zdolności?

– Na pewno nie po swojej głupiej matce – powiedziała Olga z nagłą złością.

– Znałaś ją?

– Znałam wszystkich we wsi.

– Lorcja nie jest do niej podobna?

– Ani trochę. Jej matka miała piękne blond warkocze, takie jak kiedyś twoje.

– Czasem mi się wydawało, że jej nie lubisz.

– Ja miałabym nie lubić Lorci? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie posłałaś jej do szkoły. Przyznaj, że gdyby nie Teofil, nie pozwoliłabyś jej się uczyć i zdawać matury.

„*Ce serait dommage qu'elle devienne une bonne*”. Szkoda jej na gospodynię.

– Rzeczywiście, to był jego pomysł. Często się zastanawiałam, czy dobry.

– Wspaniały! Inaczej tyle zdolności by się zmarnowało. Pamiętasz, jak Lorcja w kilka miesięcy nauczyła się od Maszy ukraińskiego i rosyjskiego? Raz jej pokazałaś, jak czytać cyrylicę, a ona od razu wszystko zapamiętała. Potem gdy ja miałam lekcje francuskiego i angielskiego, przysłuchiwała się, siedząc jak myszka w kącie, i niedługo mówiła lepiej ode mnie.

– Papuzie zdolności.

– Tak, pamiętam, mówiłaś o niej „papuga” albo „kameleon”.

– No dobrze, skoro chcesz wiedzieć, irytował mnie ten jej brak właściwości.

– Brak właściwości?



– Tak. Naśladowała ciebie albo Teofila, albo Maszkę, albo Klementynę. A jaka była ona sama? Jakiego koloru jest kameleon?

– Myślę, że chciała być taka jak ty.

– Jak ja? – spytała Olga ze zdumieniem. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo ja też chciałam. Obie cię podziwialiśmy i chcieliśmy ci dorównać. Tylko że to nie jest łatwe, bo ty jesteś doskonała.

– Ja doskonała? – zaśmiała się Olga. – A to paradne! – Dołała Bisi ponczu. – Pod jakim względem?

– Pod każdym. Moim największym marzeniem było stać się taką kobietą jak ty, mamo.

– W takim razie cieszę się, że marzenia nie zawsze się spełniają i że pozostałaś sobą. – Przytuliła Bisie. – Jestem szczęśliwa, że wróciłaś do domu. Gdy wróci Teofil, już o nic nie będę prosić Boga.

Bisia zapatrzyła się w ogień.

– Tam, w Szwecji, dali nam do wypełnienia ankietę. Były w niej takie naiwne pytania! „Czy w obozie wszystko było straszne, czy przeżyła tam pani też miłe chwile?“, „Jakie przeżycie było dla pani najstraszniejsze?“, „Jaką karę zaproponowałyby pani dla swoich oprawców?“, „Czego życzyłyby sobie pani na przyszłość?“

– I co odpowiedziałaś? – cicho spytała Olga.

– Na to ostatnie pytanie? Życ, to mi wystarczy.

– A na przedostatnie?

Bisia spojrzała jej prosto w oczy.

– Nic.

– Dlaczego?

– Bo żadne słowa nie wyraziłyby mojej nienawiści. – Odstawiła poncz i zacisnęła dłoń w pięści. – Inne kobiety pisały, że wszystkich Niemców trzeba wykastrować, ich miasta zburzyć, a pola posypać solą, żeby już nigdy nic na nich nie wyrosło, albo że powinno się ich powoli krajać na kawałki, albo że powinni do końca życia wozic taczkami kamienie, tam i z powrotem, tak jak my, i boso stać na śniegu na karnych apelach. A ja myślałam, że to wszystko za mało.

Olga wzięła ją za rękę, rozprostowała zacisnięte palce, podniosła je do ust i pocałowała.

– A czy pomyślałaś, że od takich słów zaczynają się wojny? – powiedziała łagodnie.

Bisia wyszarpnęła rękę z jej dłoni.

– A czy ty widziałaś kiedyś człowieka tak chudego, że przypominał kościotrupa? Albo kobietę zlizującą zupę z podłogi? Albo dziewczynę, która miała dziewiętnaście lat, a wyglądała jak staruszka? Albo chodzące trupy: kobiety, które się poddały, przestały myśleć, czuć i tylko wykonywały rozkazy. Nie reagowały nawet na bicie. Chodziły, nie odrywając stóp od ziemi, oczy im mętniały, w końcu przestawały nimi poruszać i umierały. – Bisia wierzchem dłoni otarła łzy. – Tak długo patrzyłam na śmierć, pragnęłam śmierci, że w końcu i ja umarłam. Jestem pustą powłoką, bez serca i duszy.

– Nieprawda – gorąco zaprzeczyła Olga. Przynęła swój fotel do fotela Bisi i objęła ją. – Wciąż masz w sobie światło. Widzę je.

Nieraz się przekonała, że pokrzywdzonym kamieniem serca, że się zasklepiają w swoim cierpieniu i stają się obojętni na ból innych, zapominają, że zło drzemie w każdym i że sami mogliby być katami. Lecz Bisia była inna.

– A czy widziałaś, jak cię okłamuję, gdy w pierwszy dzień opowiadałam o obozie?

– Niemożliwe. Owszem, dużo przemilczałaś, ale mówiłaś prawdę.

Bisia długą chwilę patrzyła w ogień.

– Tak, fakty się zgadzają, tylko one – powiedziała znacznie spokojniejszym głosem. – Może cała historia, której się uczymy, jest jednym wielkim kłamstwem? Znamy fakty, ale nie mamy pojęcia o ludzkich intencjach. Gdybyśmy je poznali, musielibyśmy ją opowiedzieć od początku, całkiem inaczej. Powiedziała ci, że w tramwaju ktoś wsunął mi gazetkę do kieszeni. Nie byłam jej ciekawa, bo od ciebie wiedziałam, co się dzieje na świecie. Mogłam ją komuś dać, wyrzucić nawet, poczułam się jednak jak konspiratorka. Byłam dumna, że mam w kieszeni bibułę. Potem na posterunku jakaś kobieta

szeptnęła mi, że trzeba spróbować przekupić granatowych, to może nas wypuszczą. Nie miałam pieniędzy, ale miałam przecież zegarek, pierścionek, obrączkę. Tylko że było mi ich tak żal! Na samą myśl o tym, że miałabym oddać obrączkę jakiemuś obcemu człowiekowi i nigdy jej nie odzyskać, chciało mi się płakać. W obozie i tak mi wszystko odebrali. Miałam szczęście, bo ze stosu ubrań wyciągnęłam grubą suknię z długimi rękawami i płaszcz. Kawałek dalej kilka więźniarek rozdawało buty i chustki na głowę. Biegłyśmy nagie, z butami w jednej ręce i ubraniem w drugiej do baraku. Barak... Smród stłoczonych ciał, dwupiętrowe prycze, klepisko zamiast podłogi. Ktoś mnie uderzył w plecy i wyrwał mi z ręki płaszcz. Szybko włożyłam suknię, żeby i jej nie stracić. Wyznaczono nam miejsce na dolnej pryczy, blisko drzwi. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że najlepsze są najwyższe prycze i że na każdym poziomie są miliony pcheł. W tę pierwszą noc nie zmrużyłam oka. O czwartej była pobudka, o piątej apel, potem praca przy budowie drogi. Gołymi rękami przenosiłyśmy kamienie, starając się uniknąć kija nadzorczyń. Niedaleko mnie na pryczy spała Wanda. Najpierw była na Pawiaku, potem w Oświęcimiu, w końcu przywieźli ją do tego obozu. Miała pomarszczoną twarz, zapadnięte oczy, brakowało jej połowy zębów. Myślałam, że ma co najmniej sześćdziesiąt lat, tymczasem była niewiele starsza od mnie. Rano strażniczka zabiła ją pałą, bo Wanda nie miała siły wstać na apel. Zwlokła się jakoś i z pomocą koleżanek poszła do pracy. Wieczorem nie miała siły, by ugryźć chleb, trzymała go tylko przy ustach. „Wandziu, musisz jeść, umrzesz, jeśli nie będziesz jeść”, powtarzała jej koleżanka. Stałam tam z innymi i patrzyłam na ten chleb. Chciałam, żeby jadła, a jednocześnie wyobrażałam sobie, że to ja go jem. Niemal czułam w ustach jego smak.

Olga gładziła ją po głowie. Milczała, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

– Opowiadam ci o tym, mam, żebyś zrozumiała, dlaczego na apelu wyszłam przed szereg. To było niestychane zuchwalstwo. Mogli mnie od razu zabić. Zgłosiłam się zamiast tamtej dziewczyny, bo żal mi się zrobiło tych sióstr, które trzymały się razem i pomagały sobie. Ale przede wszystkim chciałam się uwolnić od katorżniczej pracy, bicia, zimna, głodu, od zarobaczonego baraku. Wiedziałam, że w bloku szpitalnym wypróbują na ludziach różne sposoby leczenia. Ale były tam łóżka z pościelą i więcej jedzenia... A ja w swej pysze żony lekarza myślałam, że wiem, na czym polegają takie eksperymenty. Sama się zgłosiłam, taka jest prawda. I sama jestem sobie winna.

– O czym ty mówisz, córeczko? Co oni ci zrobili?

Bisia milczała. W końcu wstała z fotela, rozpięła bluzkę, zdjęła ją, potem ściągnęła halkę i w końcu sztywny biustonosz na szerokich ramiączkach. W świetle choinkowych świeczek i ognia w kominku Olga zobaczyła dwie olbrzymie gwiazdziste blizny i ślady po cięciach idących aż do pach.

## BISIA

Moc swoją ujęłam w Dłoń –  
I stanęłam naprzeciw Świata –  
Słabsza niż niegdyś Dawid –  
Lecz dwakroć śmielsza – za to –  
Zamierzyłam się swym Kamykiem –  
Ale upadłam – Ja Sama –  
Czy Goliat – był zbyt olbrzymi –  
Czy ja – za mała?  
Emily Dickinson, \*\*\* (540),  
przeł. Stanisław Barańczak

„Jak oni śmia! Jak można być tak bezdusznym, tak aroganckim!”

Zakreśliła jej się w głowie i o mało nie spadła z krzesła. Oparła ręce na stole, położyła na nich głowę.

Gdy się obudziła, już zmierzchało. Jej przymusowi lokatorzy głośno rozmawiali w kuchni. Poczekała, aż trzasną drzwi do ich pokoju, i dopiero wtedy poszła zrobić sobie herbatę.

Mogła trafić gorzej. Byli hałaśliwi, czasem coś kradli z jej części kredensu albo z jej półki w lodówce, ale właściwie tylko to mogła im zarzucić. Prócz tego, że w ogóle istnieją.

Kiedyś lubiła swoją kuchnię, teraz dwa sagany, dwa czajniczki, karafka i kieliszki z grubego szkła, napoczęta butelka wódki i bukietek sztucznych cyklamienów w zakurzonym flakonie krzyczały, że nie jest u siebie.

Nalała sobie herbaty i nie zapalając światła w pokoju, podeszła do okna. Właśnie dla tego widoku wybrali kiedyś to mieszkanie, choć mamie się nie podobało.

„Drugie piętro? Nie było czegoś na pierwszym? I tylko trzy pokoje? Jak się tu pomieścicie? A kiedy przyjdą dzieci?” „Wtedy się zastanowimy – odpowiedział Teofil. – Spójrz na ten ogród, *maman*. Prawie jak w Olszynie. Drzewa to dobrzy sąsiedzi”.

Bisia cieszyła się z windy, z centralnego ogrzewania, z kuchenki na gaz, lodówki, maszynki do parzenia kawy, a przede wszystkim z wolności – po raz pierwszy w życiu sama decydowała, co zjedzą na obiad i co będzie robić, gdy Teofil wyjdzie rano do pracy. Wysyłała wtedy Anielcię na rynek po zakupy, a sama z filiżanką herbaty stawiała jak teraz przy oknie i napawała się swoim szczęściem.

Zorze bladły, na czystym niebie zabłysły pojedyncze gwiazdy. W ogrodzie nie dało się już odróżnić pomarańczowych dyń od ich pożółkłych od upału liści, błyszczały tylko złote płatki słoneczników. Bisia otworzyła okno i do pokoju wpłynął sierpniowy zmierzch, niosąc zapach floksów, kawy, palonego drewna, nagranych murów i asfaltu. Odetchnęła głęboko, ale radość się nie pojawiła.

Spojrzała na książkę i na zmięty list. Znowu ogarnęła ją słabość, ręce zaczęły się trząść i musiała odstawić filiżankę na parapet.

„Jak tam napisali? Że wszyscy zapominają i spokojnie cieszą się życiem? Co za bzdury!”

Nagle przypomniała sobie pewien zimowy poranek. Szła z drepczącą za nią Lorcią do stajni z marchewką dla swego kucyka, gdy przy kurniku zobaczyła kucharkę niosącą za nogi białego koguta. Długa szyja huśtała się jak sprężyna, żółte oko łypało na boki. Potem głucho stuknęła siekiera, z koguciej szyi chlusnęła krew, głowa odskoczyła i spadła jej pod nogi. Wytrzeszczone żółte oko patrzyło na Bisie, naraz zmętniało i zakryła je błona powieki. Jaskrawoczerwony grzebień był coraz bledszy, jakby czerwień wsiąkała w śnieg: różowy, blad różowy, siny. Choć od tamtego poranka minęło wiele lat, pamiętała każdy szczegół, zimową ciszę, plamy krwi na śniegu. A oni myślą, że można zapomnieć.

Po co w ogóle otwierała drzwi? Po co otwierała kopertę? Przesyłka z zagranicy, w dodatku dostarczona przez posłańca, mogła oznaczać tylko kłopoty.

Sięgnęła po list, rozprostowała na parapecie gładki papier.

*Nie ma niestety francuskiego przekładu tej książki, mamy jednak nadzieję, że w Pani otoczeniu znajdzie się ktoś znający język szwedzki. Autorzy omawiają w niej szczegółowo odpowiedzi z ankiet, które wypełniały panie w Doverstorp, a także wywiady przeprowadzone przez Dory Engströmer.*

*„Nigdy nie zapomnimy!», mówi teraz wiele ofiar. Na szczęście jednak wszyscy zapominamy. Takie jest prawo natury”, napisała Gunhild Tegen...*

Bisia jednym ruchem zmiotła list na podłogę.

*De dödsömda vittna.* Nie była ciekawa, co to znaczy. Szara okładka z rysunkiem drutu kolczastego, oddzielającym nazwiska autorów od czterech linii tytułu i od nazwy wydawnictwa. Wzięła książkę do ręki. Dwieście siedemdziesiąt stron. Ile takich jak ona kobiet było nad jeziorem Glan? Na pewno ponad tysiąc. A ile w Szwecji było podobnych ośrodków? I teraz dwieście siedemdziesiąt stron.

Zielony półwysep nad jeziorem Glan. Kilkadziesiąt wojskowych baraków wśród brzoź. Pokój

z czterema piętrowymi łózkami i białą firanką w oknie. Czerwony Krzyż i Szwedzi uratowali jej życie, ale nie miała siły, żeby się z tego cieszyć. Chciała jedynie spać. Przez pierwsze dwa miesiące zasypiała kamiennym snem, gdy tylko na czymś złożyła głowę.

Ostro zaterkotał dzwonek do drzwi. Lokatorzy założyli go, nie bacząc na jej protesty, i obok bakelitowego guzika przykleili karteczkę: „Mężczyńska dzwonić raz. Samelowie dwa razy”.

Czekała na drugi dzwonek. Cisza.

Kto to mógł być o tej porze? Dziś już raz otworzyła i teraz żałuje. Na samą myśl o tym, że musi dojść do drzwi, ogarnęło ją takie znużenie, jakby dzieliły ją od nich kilometry.

Dzwonek odezwał się znowu.

Bisia usłyszała szuranie kapci, szcęk otwieranego zamka, głos swego lokatora i jakiś drugi, obcy.

„Oby to był ktoś do niego, Boże, żeby nie do mnie!”, błagała, jakby nieproszony gość był śmiertelnym zagrożeniem. Zapomniała, że Bóg już dawno przestał wysłuchiwać jej modlitw.

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Bisia żałowała teraz, że nie wstawiła w nich zamka. Dawno powinna była to zrobić.

– Proszę pani? To ja, Lorcja.

– Lorcja?!

Zrobiła krok w stronę drzwi, gdy nagle sobie przypomniała, że Lorcja zaraz po wojnie odwiedziła jej teściową i że Olga przyjęła ją chłodno, bo Lorcja przyjechała w towarzystwie dwóch oficerów i sama była w mundurze nowego wojska.

Drzwi się otworzyły.

– Siedzi pani po ciemku?

– Nie, skąd – odrzekła Bisia, zapalając lampę na stoliku przy serwantce.

Lorcja się schyliła, podniosła bielejący na podłodze list i podeszła bliżej. Była z gołą głową, uczesana w elegancki kok, w jasnej sukience z kołnierzykiem i modnym nakładanymi kieszeniami. Podała list Bisi.

– Dziękuję.

Bisia zamilkła. Jak się powinna zwracać do Lorci? Zawsze mówiła jej ty, lecz teraz Lorcja nie wyglądała jak służąca.

– Nie wiedziałam, że zna pani szwedzki. Ja też się go uczę. – Lorcja wskazała na książkę. – *De dödsömda vittna*. „Skazane zeznają”. Czyta pani takie rzeczy?

– Nie. Możesz ją sobie wziąć, jeśli chcesz.

Lorcja sięgnęła po książkę i przeglądała ją w milczeniu.

– Pani też wypełniała taką ankietę? – odezwała się po długiej chwili.

– Tak.

Skąd Lorcja wie, że była w Szwecji? Może w tej książce wymieniono jej nazwisko?

– I co odpowiedziała pani na pytanie: „Jaką karę zaproponowałyby pani dla swoich katów”?

Dlaczego spytała akurat o to? O jedno z dwóch pytań, na które Bisia nie odpowiedziała?

Nagle sobie uświadomiła, że Lorcja nigdy jej nie zadawała osobistych pytań. Tylko raz, w Juracie, podczas jedynych wakacji, które spędziły razem, spytała: „Czy pani lubi panią Klementynę?”.

– Pamiętasz, jak kiedyś szliśmy do stajni i kucharka na naszych oczach zabiła koguta? Był biały, pełen życia, a za chwilę na śniegu leżała głowa z siniejącym grzebieniem.

Lorcja zamknęła książkę.

– Nie, nie pamiętam.

Bezceremonialnie rozejrzała się po pokoju, potem spojrzała na Bisę. Jej niebieskie oczy były jak ze szkła: błyszczące, twarde, przenikliwe. Na pewno zauważyła każdą cerę na firance, ślad na ścianie po sprzedanym obrazie, kurz pod serwantką, może nawet dwie jedwabne chustki wypełniające biustonosz Bisi.

Podeszła do radia i włączyła je bez pytania.

– Kiedy ostatnio widziała się pani z panią Olgą? – spytała.

– Jakieś dwa tygodnie temu. Co się stało?!

– Została aresztowana.

– Aresztowana?

– Cenzura przechwyciła jej list do pani Klementyny. Podczas rewizji znaleziono u niej antypaństwowe ulotki, a ludzie ze wsi zeznali, że słucha zagranicznych stacji.

– Skąd o tym wiesz?

– Pracuję w bezpieczeństwie.

– Jesteś ubeczką?

Bisia podniosła rękę i zaczęła masować sobie szyję, jakby te słowa utknęły jej w gardle.

– Dlatego mogę pomóc.

„Wierzę i wiem, żeś ty moja i ja jestem twój, i ta wiara serdeczna nie raz była tarczą od kul”, śpiewał Chór Czejanda.

Lorcja lekko się uśmiechnęła.

– Gdyby było inaczej, przyszedłbym w większym towarzystwie – powiedziała. – A ta książka i list stałyby się dowodami.

– Czy ty... Czy to ty ją przesłuchiwałaś?

– Nie zajmuję się takimi rzeczami.

– Jak ona się czuje?

– Robię wszystko, żeby czuła się dobrze i żeby ją zwolniono.

– Dziękuję! Bardzo ci dziękuję! Mogę jej jakoś pomóc?

– Właśnie dlatego przyszedłam. Pani Olga zeznała, że pani Klementyna napisała do niej zaraz po wojnie i że ten list został spalony razem z innymi jej osobistymi papierami. Nie wierzę w to. Myślę, że napisała do pani, nie do niej, i to niedawno. List przyszedł pocztą?

– Tak, ale nie z Anglii. Ktoś go wysłał z Warszawy.

– Dlatego doszedł. Ma go pani jeszcze?

– Tak. Nie. Podarłam go i wyrzuciłam do śmieci.

– Proszę mi go dać – łagodnie powiedziała Lorcja.

– Ja... Dobrze go schowałam...

– Tam, prawda? – przerwała jej Lorcja, wskazując na szafę z książkami.

– Skąd wiesz?

– Tam pani spojrzała, gdy o niego zapytałam.

– To były dwa listy. Ten do mnie podarłam. Drugi jest do Teofila.

– Proszę się nie bać, nie będę go czytała. Nie interesują mnie miłosne wyznania.

– Skąd wiesz... – Bisia urwała. Spuściła głowę, by ukryć rumieniec.

Podeszła do szafy i z drugiego rzędu wyciągnęła grubą książkę w twardej oprawie, a z niej złożony na pół list napisany na cienkim lotniczym papierze.

Lorcja wyjęła z torebki zapalki, przysunęła sobie kryształową popielniczkę.

– Ten francuski też. – Wskazała list na stole.

Gdy oba listy zamieniły się w szary popiół, Lorcja roztarła go palcem, a później wychyliła się przez okno i opróżniła popielniczkę.

– Tych listów nigdy nie było. Jeśli ma pani w domu coś jeszcze, proszę to usunąć. Nie przypuszczam, żeby groziła pani rewizja, ale lepiej dmuchać na zimne. Pójdę już. Dziękuję za książkę.

Dopiero gdy Bisia zamknęła drzwi za Lorcją, uświadomiła sobie, że o nic jej nie zapytała, choć przecież nie widziały się od sierpnia trzydziestego dziewiątego roku.

Spojrzała na swoją spraną spódnicę. Lorcja była taka elegancka! Czy sama sobie uszyła tę sukienkę, tak jak kiedyś kostium na bal maskowy? Czemu Pan Bóg nierówno obdarza ludzi talentami! Ona tak się starała, spędzała długie godziny w kuchni, w pokoju do szycia, przy fortepianie, Lorcja tymczasem czego się tknęła, zaraz nabierała w tym biegłości. „Wytrwałością i pracą osiągniesz cel”, powtarzała Bisi przybrana mama. Gdybyż to była prawda!

Letni bal maskowy w Juracie był towarzyskim wydarzeniem sezonu. Bisia co roku odbywała naradę z krawcową, potem serię przymiarek, a jeszcze później bezskutecznie starała się przekonać Teofila, żeby sprawił sobie przebranie pasujące do jej kostiumu.

– Ojej! – zawołała na jej widok Lorcja. – Królewna Jurata! Jaka ładna sukienka! Zostanie pani królową balu!

Bisia obróciła się na palcach. Lazururowa gaza miękko zafalowała.

– Zazdroszczę ci, że tak dobrze umiesz szyć, Lorcju – powiedziała, patrząc na szmaragdowy kaftan z kołnierzem powycinanym w zęby i długim spiczastym kapturem. – Świetny kostium. Doskonale pasuje do twojej cery i włosów.

– Jesteście gotowe? – Do salonu wszedł Teofil w nieśmiertelnym stroju torreadora. – Pięknie wyglądasz, kochanie. – Pocałował Bisię w policzek. – Lady Marion. – Nisko skłonił się przed Lorcją. – Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i pozwoli sobie towarzyszyć na bal w zamku w Nottingham?

To Teofil wymyślił, że najlepszym sposobem uczczenia matury Lorcji będzie zaproszenie jej do Juraty. Bisia go poparła i wspólnymi siłami przekonali Olgę. „Lorcja zna swoje miejsce i na pewno nie przewróci jej się w głowie. Poza tym zaraz po wakacjach jedzie do Lwowa i nie wiadomo, kiedy znów ją zobaczymy”, zbijał argumenty matki. „Ale spać będzie z kucharką i Maszką. Co za dużo, to niezdrowo”. „Nie, mam. Damy jej pokój gościnnie. I proszę, nie przydzielaj jej żadnych obowiązków. Niech na te dwa miesiące stanie się letniczką, jak my”.

W Lido już tańczono. Dźwięki fokstrota było słychać aż na ulicy. Przed hotelem zatrzymywały się samochody, z których wysiadały wróżki, czarownice, królewny, syreny, damy dworu w towarzystwie korsarzy, rycerzy, Indian, paziów, marynarzy. Roześmiani ludzie w maskaradowych strojach nadchodzili grupkami ulicą Piłsudskiego od strony molo i od Café Casino.

Lorcja przystanąła przed wejściem do hotelu, odwrócona twarzą w kierunku niedalekiego morza. Ogarnęła wzrokiem sosny i niebo, pobliskie domy, pensjonat Juratka, sklepy, kiosk z gazetami, pocztę.

Bisia porozumiewawczo spojrzała na Teofila.

– Fotografuje – szepnęła do męża.

Bisia miała jedenaście lat, gdy zobaczyła w kuchni nieporadne stworzenie, rude i piegowate, o jasnoniebieskich, niemal przezroczystych oczach. Był chłodny październikowy dzień, a łapczywie pijący mleko mały roczochraniec miał na sobie tylko podarty lejbik sięgający kolan i chustkę na ramionach. Niewiele myśląc, Bisia pobiegła do swego pokoju i wyjęła z szafy futerko, z którego już wyrosła. „Masz, dziewczynko. Nie będzie ci zimno”. Gdy wiele lat później Lorcja przypominała jej tę scenę, opisała ze szczegółami buciki Bisi, sukienkę, nawet wstążki we włosach. Zatrzymywała się na chwilę, patrzyła na drzewo, kwiat, dom, człowieka i zapamiętywała, jakby zrobiła zdjęcie.

W hotelowym foyer natknęli się na wysokiego, chudego Napoleona prowadzącego pod rękę pulchną Józefinę z wysoko upiętymi czarnymi włosami.

– Dobry wieczór! – zawołała pani Zabierzeska. – Jak miło państwa widzieć! Klementyna jest jeszcze na górze, zaraz zejdzie.

– Piękna tiara – powiedziała Bisia.

– Imitacja! – machnęła ręką pani Debora.

– Wspaniałe szafiry. – Teofil spojrzał na naszyjnik. – Nawet Józefina de Beauharnais takich nie miała.

– Prawda? – ucieszyła się pani Zabierzeska. – Moja rodzina ma jedną z najpiękniejszych kolekcji szafirów na świecie.

Teofil znieruchomiał, zapatrzony w coś za jej plecami. Bisia spojrzała w tamtą stronę.

Po schodach schodziła Klementyna w czerwonej falbaniastej sukni, z pąsową różą wpiętą w czarne loki. Rozmowy w foyer ucichły, wszystkie spojrzenia skupiły się na niej.

Bisia zobaczyła czarne lakierowane buciki, szeroką spódnicę, hiszpańską chustkę z długimi frędzlami, haftowaną w czerwone róże, obcisły stanik, smagłą twarz, czerwone usta i smoliste oczy. Wpatrzona w Teofila.

Gdyby to były czasy karnecików, karnet Klementyny zapełniłby się w ciągu pierwszych minut balu. Ledwie jakiś mężczyzna odprowadził ją do stolika, następny już się kłaniał, prosząc ją do tańca.

Bisia zatańczyła z mężem walca, polkę i fokstrota, a potem, wirując w powolnym bostonie, sponad ramienia swego partnera w kowbojskim kapeluszu i kraciastej koszuli ukradkiem śledziła Teofila tańczącego z Klementyną. On coś do niej szepnął, ona odpowiedziała i oboje się roześmiali.

– Napijmy się czegoś – zaproponowała Bisia, gdy wszyscy znów usiedli. Chciała jak najdłużej zatrzymać przy sobie Teofila.

– Tak, należy nam się szampan i chwila odpoczynku – powiedział pan Zabierzeski. – Najważniejsze na balu to dobrze rozłożyć siły.

Do stolika podszedł młody mężczyzna w zielonej myśliwskiej kurtce, z kołczanem na plecach. Zdjął kapelusz z piórkami, kłaniając się przed Lorcią.

– Och, Lorciu! – zawołała Klementyna. – Toż to Robin Hood!

Saksofonista wysunął się przed orkiestrę i wdał się w synkopowy dialog z perkusistą. Lorcia stanęła na parkiecie, Robin Hood ją objął, ona położyła mu lewą rękę na ramieniu. Gdy ugiął nogi, natychmiast zrobiła to samo. Wiernie powtarzała ruchy partnera, podążała za nim, jakby jego ciało przekazywało jej wiadomość, jaki będzie następny krok. Tańczyli to objęci, to w rozdzielaniu, płynnie przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę.

– Co to za taniec? – spytała pani Debora. – Kroki są proste, a przecież jest taki widowiskowy.

Patrzyli, jak inne pary się zatrzymują, otaczają kręgiem Lorcię i Robin Hooda, zaczynają ich dopingować, rytmicznie klaszcząc.

– Proszę państwa! – zawołał wodzirej, gdy taniec się skończył. – Mamy króla i królową lindy hop! Brawo!

– Lorciu, skąd znasz ten taniec? – spytała Bisia, gdy Robin Hood odprowadził swą partnerkę do stolika.

– Nie znam. Kilka dni temu widziałam, jak go tańczono w Café Casino, ale sama tańczyłam go pierwszy raz.

– Niemożliwe – zdumiał się pan Zabierzeski.

– Myślę, że wiem, na czym polega twój sekret, dziecko. – Pani Debora uśmiechnęła się do Lorci.

– W przeciwieństwie do niektórych kobiet masz odwagę poddać się mężczyźnie i podążać za nim.

– Mama pije do mnie – teatralnym szeptem powiedziała Klementyna.

– Nie przeczę. Uważam, że dzisiejsze kobiety robią wielki błąd, gdy im się wydaje, że same sobie ze wszystkim poradzą. Otóż nie poradzą sobie, tylko skażą się na bytowanie na obrzeżach świata.

– Na obrzeżach lekko się oddycha, mamó. Dobrze mi tam.

– Odwieczny spór – westchnął pan Zabierzeski. – Niech państwo nie zwracają na to uwagi. Pamiętaj, moja droga, że i ty kiedyś byłaś sufrażystką? – Ujął dłoń żony i pocałował.

– Ale zmądrzałam.

– ... znalazłam sobie męża i wzięłam go pod pantofel – weszła jej w słowo Klementyna.

– Dobrze mi pod tym pantoflem – zaśmiał się pan Zabierzeski.

Klementyna nachyliła się i pocałowała go w policzek.

– Przepraszam, tатku. Jak widzicie – zwróciła się do Bisi, Lorci i Teofila – moi rodzice są idealnym małżeństwem. Gdybym miała tyle szczęścia co mama i spotkała takiego mężczyznę, poszłabym za nim na koniec świata.

Bisi ścisnęło się serce. Pomyślała, że te słowa są skierowane do Teofila.

– Tatusz skończył École polytechnique, ale zamiast pojechać do Wiednia i zostać jakimś ważnym inżynierem w Ministerstwie Wojny, jak planowali moi dziadkowie, wrócił z Paryża do Krakowa, w dodatku z amerykańską żoną, i zajął się budowaniem i sprzedawaniem domów.

– Pewnie bym poszedł utartą ścieżką, został generałem i się rozrył, gdyby nie twoja mama, która odkryła moje prawdziwe powołanie.

– Tata sprzeda każdy dom. Gdyby macica była nieruchomością, też by ją umiał sprzedać. – Klementyna mrugnęła do Teofila.



Lorcja i Teofil się roześmiali.

– Najważniejsze przy sprzedaży jest położenie domu – powiedziała Klementyna do Bisi. – A macica ma położenie najgorsze z możliwych: z przodu wór z moczem, z tyłu skład ekskrementów.

– Szkoda, że to takie szokujące – westchnął pan Zabierzeski. – Byłby z tego świetny slogan reklamowy dla naszego biura handlowego: „Sprzedamy każdy dom, nawet umiejscowiony tak niefortunnie jak macica”.

– Byłam zawiedziona, że pani hrabina nie przyszła na bal, teraz się cieszę – powiedziała pani Debora. – Co by sobie o tobie pomyślała?

Skarcona Klementyna stała się od tej chwili wzorem powściągliwości. Tańczyła, uprzejmie konwersując z partnerami i nie patrząc na Teofila, a podczas bufetowej kolacji ani razu go nie zagadnęła.

Bisia bawiła się coraz lepiej. Po którymś fokstrocie wróciła z Teofilem do stolika i zamiast Zabierzeskich zobaczyła swoją teściową rozmawiającą z Lorcją.

Teofil zamówił szampana.

– Tak się cieszę, *maman*, że przyszedłeś. A jeśli jeszcze zatańczysz ze mną, będę szczęśliwy.

Ledwie wstali, Lorcję znów poprosił do tańca Robin Hood.

„Ona jest naprawdę ładna – pomyślała Bisia. – Stale słyszałam o jej rudych włosach i nawet nie zauważyłam, jaką ma nieskazitelną cerę, wyjątkowe oczy, doskonałą figurę. Może we Lwowie, gdzie nikt jej nie zna, faktycznie znajdzie wielbiciela, zakocha się w wzajemnością i będzie taka szczęśliwa w małżeństwie jak ja”.

W samotnym smutnym dzieciństwie marzyła o starszym bracie albo choćby młodszej siostrze. Kiedy Olga przywiozła ją do Olszynki i przedstawiła jej Teofila, pięcioletnia Bisia w jednej chwili pokochała starszego o dwa lata dalekiego kuzyna. Chodziła za nim jak piesek, dla niego nauczyła się wdrapywać na wysokie drzewa, strzelać z łuku, pływać w głębokim, przerażająco ciemnym stawie. Cierpiała w milczeniu, gdy potem wyjeżdżał do szkoły, a jeszcze bardziej, kiedy sobie uświadomiła, że Teofil kiedyś się ożeni i straci go na zawsze. Gdy w pewien sierpniowy wieczór pocałował ją na ich ulubionej ławce, zakreśliło jej się w głowie i po raz pierwszy w życiu zemdląła.

– Czy zrobi mi pani ten zaszczyt i zatańczy ze mną? – Starszy pan w szerokich białych spodniach, koszulce w paski i marynarskiej czapeczce skłonił się Bisi.

Bisia zdjęła przybraną bursztynami koronę i położyła ją na stoliku.

– Zsuwa mi się z głowy podczas tańca – wyjaśniła i uśmiechnęła się do siwego marynarza.

Tańcząc, szukała wzrokiem Teofila. Był na parkiecie, tańczył z mamą. Klementyna i jej rodzice gdzieś znikli.

Marynarz odprowadził ją do stolika i od razu poprosił do tańca Olgę. Bisia słuchała dźwięków bostona, piła szampana z Teofilem i była szczęśliwa.

Po bostonie orkiestra znów zagrała fokstrotę i do Olgi podszedł mężczyzna we fraku i w ceratowej kapuzie.

– Dziękuję panu, ale cztery tańce z rzędu to dla mnie za dużo – powiedziała. – Świetne przebranie. – Mrugnęła do Teofila, gdy rybak się oddalił. – Powinieneś pomyśleć o czymś takim. Można je zmieścić w kieszeni.

Światła na chwilę przygasły. Reflektor skierował się na stojącego na podium wodzireja.

– A teraz, proszę państwa, niespodzianka! Wystąpi przed państwem panna Klementyna Zabierzeska! Brawo!

Rozbłysły światła. Na parkiecie stała Klementyna w czerwonej sukni, z różą we włosach i koronkowym wachlarzem w wyciągniętej do góry ręce. Uniosła falbaniastą spódnicę, tupnęła nogą obutą w czarny trzewik. Rozległ się metaliczny dźwięk. Musiała zmienić buty, bo wcześniej nie miała blaszek do stepowania. Rozległa się pieśń torreadora z *Carmen*.

Z początku Bisia nie mogła oderwać oczu od Klementyny, potem skierowała wzrok na Teofila. Lekko pochylony do przodu, z uśmiechem błędzącym po twarzy, zapatrzony w tańczącą Carmen, wyglądał, jakby zapomniał o całym świecie.

Bisi brakowało tchu, czuła się tak, jakby miała na sobie za mocno zasznurowany gorset. Gdy

Klementyna skończyła tańczyć, a cała sala biła brawo jak szalona, poszła do damskiej garderoby i poprosiła jedną z dyżurujących tam pokojówek, by poluźniła jej pasek u sukienki, potem zaś wyszła na hotelowy taras zaczerpnąć powietrza.

Wróciła do sali dancingowej i stanęła blisko wejścia. Ponad ramieniem kobiety w zielonej powłóczystej szacie spojrziała na parkiet i zobaczyła uniesioną twarz Carmen oraz jej oczy wpatrzone w oczy torreadora. Tańczyli blisko, zatopieni w sobie. Bisi ścisnęło się serce. Czy ten przekłety walc nigdy się nie skończy?

Zamknęła oczy i w tej samej chwili melodia umilkła.

– *Twoja na zawsze* – usłyszała Bisia za plecami. – Wieki nie słyszałam tego walca.

Wrócili do domu szarym świtem, zanim obudziły się ptaki. Lorcia, nucąc jakąś melodię, znikła w gościnnej sypialni. Bisia zdjęła gazową sukienkę i otulona w lekki szlafroczek stała w salonie przy drzwiach wychodzących na taras.

– Przeziębisz się, malutka. Zmykaj do łóżka – powiedział Teofil, zaglądając do pokoju.

– Teo... Widziałam, jak z sobą tańczyliście, jak ona na ciebie patrzyła i jak ty... patrzyłeś na nią.

– O czym ty mówisz, kaczuszeko?

– O Klementynie.

– Bisiu, kochanie, wypijaś za dużo szampana i coś ci się roi w tej ślicznej główce.

Chciał ją przytulić, lecz się odsunęła. Spojrzała mu w oczy i nagle ją olśniło.

– Ona cię kocha, a ty o tym wiesz, prawda?

– Zaraz kocha... Pracujemy razem, może z nudów odrobinę flirtuje...

– Teo! Nie wolno ci przestać mnie kochać!

– Wiesz, że jesteś tylko ty, od zawsze i na zawsze – szepnął. – Przecież tak się umówiliśmy – dodał żartobliwym tonem. Objął ją ramieniem i wskazał na niebo. – Popatrz, zapowiada się piękny dzień.

Stali przytuleni, słuchając dalekiego szumu morza i bliskiego szumu sosen.

– Przyjdź teraz do mnie – poprosiła.

– Jesteś zmęczona...

– Nie, Teo, jestem nieszczęśliwa! Czuję, że ona leży w swoim łóżku, ale nie śpi, tylko myśli o tobie. Pragnie cię!

– Nie mów głupstw, kaczuszeko.

Wspięła się na palce i przycisnęła wargi do jego warg.

– Kochaj mnie! Kochaj tylko mnie!

Kiedy się obudziła, nie było go przy niej. Stał na tarasie z papierosem w ręku i patrzył na wschodzące słońce, błyszczące na rudych pniach sosen. Ukryta za firanką widziała, jak odwrócił głowę, objął wzrokiem biały dom, trzcinowe fotele, stół z bukietem gladioli w szarym dzbanie. Wszystko takie proste i znajome.

– Tamto jest tylko szaleństwem – powiedział do siebie półgłosem.

Przycisnęła dłonie do serca, które przyspieszyło ze szczęścia.

Nagle jej się wydało, że coś czerwonego mignęło wśród drzew. Teofil odłożył papierosa i boso zszedł do ogrodu. Sosnowe igły, których ogrodnik nie zgrabił z trawnika, miękko ugięły się pod jego stopami.

Ktoś stał tuż za płotem.

Jeszcze przez chwilę miała nadzieję, że furtka będzie zamknięta na klucz. Teofil nacisnął klamkę i furtka się otworzyła.

\*

– Mamo! Jak się czujesz?!

– Dzień dobry, Bisiu. Nie, nie całuj mnie. – Olga ostrzegawczo wyciągnęła rękę. – Mam wszy.

– Nieważne...

– Ważne – przerwała jej Olga. – To jest to, o co prosiłam? – spytała, wskazując neseser.

– Tak. Mam wszystko. Letnią sukienkę, pantofle, perukę.

– Znalazłaś łaźnię z odwyszalnią?

– Tak, na Zwierzynieckiej. Może weźmiemy taksówkę?

– I zostawimy w niej kilka miłych stworzonek? No i ten zapach. Nie myłam się od tygodnia. Tylko raz, gdy strażnik był w wyjątkowo dobrym humorze i zaprowadził nas do ubikacji, umyłam ręce i twarz.

– Daj mi chociaż to futro, *maman*.

– Myślisz, że ono nie jest zarobaczone? Poza tym to brajtszwance od Apfelbauma, lekkie jak piórko. – Olga uniosła rękę, przez którą przewiesiła brązowe futro. – Mam nadzieję, że ich nie zniszczą w odwyszalni. Chciałam je zostawić koleżankom w celi, ale mi nie pozwolili.

W parku Krakowskim Olga zatrzymała się przy gazonie róż. Odetchnęła głęboko.

– Bałam się, że już nigdy nie poczuję tego zapachu. Jeden z oficerów śledczych, którego tam nazywają Kujbyszewiak, straszyl mnie obozem pracy.

– Może to były tylko pogrożki.

– Nie bądź naiwna, Bisiu. Obie wiemy, że zawdzięczam Lorci życie.

– A ona zawdzięcza je tobie. Gdyby nie ty, mammo...

– Myślisz, że to się znosi, jak w arytmetyce?

Bisia milczała. Tak czy inaczej, ona była wyłącznie dłużniczką: Olgi, którą od zawsze nazywała mamą, niemieckiego lekarza, Czerwonego Krzyża, Szwedów.

– Jak się sprawy mają w Olszynie?

– Anielcia jest pocziwa. Posprzątała po rewizji, zaparła drzwi i poszła do księdza, żeby na kazaniu zabronił tykać swoją własność.

– Gdyby to był nasz stary proboszcz... Ten nowy mnie nie lubi.

– Anielcia mówi, że on się boi zrobić coś przeciwko władzy. Nie wziął cię bezpośrednio w obronę, ale wygłosił płomienne kazanie poświęcone siódmemu przykazaniu. Resztę zrobiła Anielcia. Rozpowiedziała po całej wsi, kogo miał na myśli i że nikt, kto cię ograbi, nie dostanie rozgrzeszenia.

– Nie chce mi się wierzyć, że obiecał jej coś takiego.

– Była bardzo przekonująca. Ona jest ci prawdziwie oddana.

– Raczej tobie, Bisiu. Dzięki tobie wydała się za gospodarskiego syna.

– Ja jej tylko pożyczałam sukienki, a potem poprosiłam Teofila, żeby ją wyposażył. To żadna zasługa.

Robiło się coraz cieplej. Bisia z niepokojem patrzyła na poczerwieniałą twarz teściowej, na jej zimowe buty, wełniane pończochy, suknię z długimi rękawami. Czemu tak się ubrała w środku lata?

– Zapytałam Lorcię, czy cię przesłuchiwała. Odpowiedziała, że nie zajmuje się takimi sprawami.

Co ona właściwie tam robi?

– Nie wiem. W pierwszy dzień mi się zdawało, że słyszę na korytarzu jej głos, a potem widziałam ją tylko raz, przez chwilę, gdy mnie prowadzili na przesłuchanie. Powiedziała, że mnie wypuszczą i że cię zawiadomi.

– Zmieniła się.

– Wojna zmienia ludzi.

– Tak. Niszczy wszystko, czego się dotknie. Wyniszcza wnętrze. – Bisia chciała powiedzieć „duszę”, ale wydało się jej to zbyt patetyczne.

– Trochę za wczesna pora, by mówić o tak poważnych sprawach, nie sądzisz, *mon enfant*?

Gdy dotarły na Zwierzyniecką, dochodziła jedenasta i w łaźni były pustki.

– Mogę z tobą wejść, mammo?

– Przyjdź po mnie za dwie godziny, córeczko. Nie bierz tego do siebie, ale marzę o chwili samotności.

Bisia znalazła ustronną ławkę na Plantach i patrząc niewidzącym wzrokiem na rabatę krwistych begonii, zastanawiała się, czy powiedzieć teściowej, że wymówiono jej posadę. To dzięki jej protekcji dostała etat w dzielnicowej bibliotece prowadzonej przez dawną znajomą Olgi. Kierowniczką w czerwcu przeszła na emeryturę, a pierwszą decyzją nowej było zwolnienie Bisi. Dostała premię

i trzymiesięczne pobory, lecz nawet z zasiłkiem dla byłych więźniów wystarczy tego najwyżej na pół roku, choćby nie wiadomo jak oszczędzała.

Bisia spojrzała na swoje chude ręce. Co można robić takimi rękami? Do czego nadaje się ktoś taki jak ona, kto nie skończył żadnej wyższej szkoły i umie tylko trochę grać na fortepianie, śpiewać, gotować, układać kwiaty, haftować? Trudno się dziwić, że nowa kierowniczką nie chciała jej zostawić nawet w charakterze sprzątaczk.

Gdybyż miała energię swojej teściowej! Hrabina Olga, o której matka Bisi mówiła, że jest twarda jak stal i dumna jak paw, i której Bisia bała się jak ognia, przyjechała do ubożuchnego dworku w Mańkówce niecały rok po śmierci własnego dziecka, w grubej żałobie, żeby wziąć do siebie osieroconą Bisie. Pięcioletnia Bisia schowała się wtedy w stodole i wyszła dopiero po kilku godzinach, skuszona kromką chleba grubo posmarowaną masłem.

W swoje dziesiąte urodziny Bisia postanowiła, że zrobi wszystko, żeby się upodobnić do przybranej mamy, i że nigdy jej nie opuści – nie wyjdzie za mąż i zawsze będzie mieszkać w Olszynie.

Olga trzymała majątek, rządząc i dzierżawców żelazną ręką, ale żaden pogorzelec, żaden żebrak nie odchodził z Olszynki bez wsparcia. Ludzie szeptali, że jest ruską wiedźmą i ma konszachty z diabłem, bo udawało się wszystko, czego się dotknęła. Jej krowy zdobywały medale, serami zajadali się Francuzi, karpie chwalił minister Beck. Udało się jej nawet wyegzekwować od Towarzystwa New York pieniądze z polisy zmarłego w osiemnastym roku ojca, choć polisa spoczywała w ich oddziale w ogarniętym rewolucyjnym zamętem Petersburgu. Nie poddała się także, gdy latem czterdziestego szóstego roku do Olszynki zjechała „brygada robotnicza” i kazała się jej w ciągu trzech dni wyprowadzić poza obręb powiatu. Natychmiast pojechała do starostwa i wróciła z pismem pozwalającym jej pozostać na terenie majątku, a także dającym na opuszczenie dworu trzy miesiące. Nawet Bisi nie powiedziała, jakim sposobem to osiągnęła. Może rzeczywiście była wiedźmą.

Ku oburzeniu Bisi sprowadziła do Olszynki sześciu niemieckich jeńców i do jesieni ich rękami postawiła w domku stajennego nowe piece, doprowadziła wodę ze studni, wymieniła okna i podłogi. Na początku listopada kierownik brygady robotniczej pracującej przy parcelacji Olszynki osobiście sprawdził, czy właścicielka nie zabiera z dworu nic poza przedmiotami osobistego użytku. Najpierw skrupulatnie obejrzał piwnicę, strych, trzy izby i kuchnię w domku stajennego, potem kazał Oldze, Bisi i Maszce otworzyć walizki oraz pudła, które tam z sobą przyniosły. „Niby taka pani, a ani pieniędzy, ani biżuterii”, powiedział rozczarowany. Pewnie jeszcze bardziej rozczarowany był kustosz muzeum, do którego trafiły obrazy z olszyńskiego dworu. Może zresztą zawisły na ścianach nowych władców, którzy nie byli w stanie poznać, że w starych ramach umieszczono naprędce sporządzone kopie. „Nawet ram mi szkoda – fukała Olga. – Za dobre dla tej szajki, co to się uważa za polski rząd”.

Bisi zaburczało w brzuchu. Rano nic nie mogła przełknąć, teraz, gdy zbliżała się pora obiadowa, poczuła głód. Wstała z ławki i przeszła kilka alejek, żeby rzucić okiem na wawelski zegar. Przypomniała sobie złoty zegareczek z brylancikami – cudencko, które dostała od Teofila na dwudzieste czwarte urodziny. Co się stało z rzeczami odebranymi więźniarkom? Może jakiś Niemiec podarował ten zegarek młodej żonie albo zabrała go sobie strażniczka i kiedyś da swojej córce?

Jak to jest mieć córkę? Gdy wychodziła za Teofila, marzyła, żeby go obdarzyć synem. Następna jednak miała być córeczka: małe bobo z jego zielonymi oczami i blond loczkami. Wszystko rozwijało się wtedy gładko jak nitka z jedwabnego motka. Ojca, który został gdzieś w okopach Wielkiej Wojny, znała tylko z fotografii, chorująca na płuca zaharowana matka trzymała ją od siebie z daleka i Bisia poznała ciepło rodzinnej miłości dopiero w Olszynie. Tu kochali ją wszyscy i ona wszystkich kochała.

„Teo, proszę, wróć do mnie!” Patrząc na wieże katedry, złożyła ręce i przycisnęła je do piersi. Świadomość okaleczenia uderzyła ją tak gwałtownie, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Przypomniała sobie wyraz oczu asystenta Teofila, swego rówieśnika, który przed wojną trochę się w niej durzył. Gdy przypadkiem spotkali się na ulicy, w pierwszej chwili jej nie poznał, potem zabłysła w nich radość, przerażenie, w końcu współczucie.

Ruszyła cienistą stroną ulicy, jakby cień mógł jej zapewnić niewidzialność. Były wakacje, pora obiadowa i niewielu przechodniów, lecz jej się wydawało, że każdy mijający ją człowiek patrzy na nią

z politowaniem. Słabeusz. Ofiara. Czemu ani trochę nie była podobna do Klementyny, która nigdy się nie poddawała?

\*

– Wspaniałe śniadanie. Dziękuję! – powiedziała Klementyna, odkładając sztucce. – Dawno nie jadłam takiego dobrego chleba. I to ciasto! Pyszne!

– To mazurek ze świąt, a chleb pieczemy sami. Na wsi łatwiej przeżyć niż w mieście. Mamy zapasy jeszcze sprzed wojny, warzywnik i sad, kwiat lipy i poziomkowe liście, które świetnie udają herbatę, jajka, miód i melasę. Maszka umie nawet zrobić mąkę i kawę z żołądzi. Głodem nas nie zamorzą – uśmiechnęła się Olga. – Gdybym jeszcze miała w ogrodzie kilka maronów na mąkę kasztanową... Ale to już fanaberie.

– Teofil lubi tort kasztanowy, prawda?

Bisia spojrzała na Klementynę. Skąd ona o tym wie?

– Ugotowana i przetarta przez sito fasola do złudzenia przypomina purée z kasztanów – powiedziała Klementyna.

– Umie pani gotować?

– Niestety, nie. W dzieciństwie myślałam, że zupę kupuje się w sklepie. Mama wchodzi do kuchni dwa razy w roku, żeby złożyć personelowi życzenia świąteczne. Ale nasza kucharka przestawiła się na wojenną gospodarkę prawie tak błyskawicznie jak Trzecia Rzesza.

– Jak państwo sobie radzą?

– Nie poddajemy się.

Olga pogłaskała ją po ramieniu. W oczach Klementyny błysnęły łzy.

– Prosiłam rodziców we wrześniu, żeby wyjechali, ale nie chcieli, a teraz jest za późno – powiedziała cicho. – Nie zgłosiłyśmy się z mamą, gdy Niemcy kazali się zarejestrować wszystkim Żydom. Mama nie uważa się za Żydówkę, bo jest protestantką, jednak na wszelki wypadek rzadko wychodzi z domu. Ja jestem ochrzczona w dwóch obrządkach, protestanckim i katolickim, ale dla nich to bez znaczenia.

– Teofil mówił, że ma pani teraz bezterminowy urlop.

– Tak, siedzę w domu i powoli zapominam wszystko, czego się nauczyłam. Ojciec nas pociesza, że wojna niedługo się skończy. Tylko że ja zwariuję, jeśli będę siedzieć z założonymi rękami. Poza tym w przeciwieństwie do rodziców nie mam złudzeń i wiem, że wcześniej czy później ktoś doniesie o nas Niemcom. Dlatego muszę uciekać.

– Nie boisz się? – spytała Bisia.

– Boję się, i to jak. Strach mnie jednak nie powstrzyma. Muszę dotrzeć do Szkocji, do szwagra mamy, a potem skontaktować się z jej amerykańską rodziną. Moi dziadkowie, którzy nigdy jej nie wybaczyli zmiany wyznania i małżeństwa z mym ojcem, już wprawdzie nie żyją, siostra mamy też, ale dalsi krewni na pewno nie odmówią pomocy. Muszę zdobyć dla rodziców amerykańską wizę i pozwolenie na wyjazd. Przeprawa przez zieloną granicę to nie dla nich.

– Naprawdę chcesz się przedrzeć na Węgry? – szeptem spytała Bisia.

Klementyna pokiwała głową.

– W Tatrach leży jeszcze śnieg. Czy nie lepiej poczekać do lata?

– Na razie zakazali Żydom się przeprowadzać i podróżować koleją, oznakowali żydowskie sklepy, każą nosić opaski z gwiazdą Dawida i zgłosić cały majątek. Myślisz, Bisiu, że na tym poprzestaną?

– Jeśli pani chce, może pani u nas zostać. Pani rodzice także będą mile widziani.

– Dziękuję. Proszę mi wierzyć, to zaproszenie wiele dla mnie znaczy, ale co jeśli wojna potrwa jeszcze rok? Ludzie wcześniej czy później się zorientują, że mieszkają tu jacyś obcy. Na wsi bardziej będziemy się rzucać w oczy. Włosy mogłabym utlenić. – Klementyna uśmiechnęła się gorzko. – Ale oczu i cery nie dam rady rozjaśnić.

– Gdybyśmy mogli w jakikolwiek sposób pani pomóc, oczywiście pani rodzicom także, to my

obie i Teofil jesteśmy do państwa dyspozycji – powiedziała Olga.

– Jeżeli Teofil się zgodzi, to zabiorę cię do Kościeliska – zaproponowała Bisia. – Mamy tam zaprzyjaźnionych górali, u których kilka razy spędzaliśmy ferie zimowe. Oni znają góry jak własną kieszeń. Przeprowadzą cię na drugą stronę.

– Przepraszam na chwilę – mruknęła Olga i wyszła z jadalni.

– Napijesz się jeszcze herbaty?

– Tak, poproszę. Pamiętasz, Bisiu, jak wtedy, gdy jechaliśmy do Juraty, Teofil zaprosił mnie na swoje imieniny? Bal w Olszynie... Nie przypuszczałam, że zobaczę jego dom w takich okolicznościach.

Bisia nie wiedziała, co powiedzieć. Z jednej strony współczuła Klementynie i chciała jej pomóc, z drugiej – obawiała się jej. Nie zapomiała zeszłorocznego balu w Juracie i twarzy Carmen tuż przy twarzy torreadora. Przeprowadzenie przez Tatry, do tego teraz, wczesną wiosną, była niebezpieczna i Bisia czuła, że powinna odwieźć Klementynę od tego zamiaru, lecz nie potrafiła się na to zdobyć.

– Znalazłam – powiedziała Olga, wchodząc do jadalni. – Brytyjski paszport. Prawdziwy, choć na fałszywe nazwisko, i z moim okropnie staroświeckim zdjęciem, są jednak przecież specjaliści, dla których zmiana zdjęcia to nie kłopot. Gdyby go trochę przerobić, mógłby się pani przydać po drodze.

– Nie wiem, jak mam pani dziękować! – zawołała Klementyna. – Pani wielkoduszność przywraca mi wiarę w ludzi. Proszę sobie wyobrazić, że niedawno odwiedził ojca stary znajomy i chciał za pół darmo odkupić jego kolekcję znaczków. Tłumaczył się, że Niemcy zakazali sprzedawania cennych rzeczy i że się naraża. Gdy ojciec odmówił, powiedział: „Niedługo, Zygmunco, będziesz jak Midas, otoczony zbytkami, których nie wolno ci będzie sprzedać. Czy z tych znaczków ugotujesz wtedy zupę?”. W takich chwilach łatwo stracić wiarę i w ludzi, i w Boga.

– Przecież pani wie, pani Klementyno, że to nie my jesteśmy potrzebni Panu Bogu, tylko On jest potrzebny nam.

Gdy po południu z Krakowa przyjechał Teofil, długo siedzieli przy kominku, pijąc wino, śmiejąc się i żartując, jakby wcale nie było wojny.

W łóżku Bisia przytuliła się do męża.

– Naprawdę myślisz, że najpóźniej jesienią wojna się skończy? – spytała.

– Niemcy szykują się teraz do napaści na Francję i mam nadzieję, że połamią sobie zęby na Linii Maginota.

– Mówisz tak, jakbyś w to nie wierzył.

Teofil westchnął.

– Masz rację, kaczuszeko. Gorąco życzę im klęski, ale nie wierzę we Francuzów. Już raczej w Anglików.

– To co teraz będzie?

Teofil namyślał się chwilę.

– Każdy, kto jest w stanie unieść broń, powinien stanąć do walki.

Bisia znieruchomiała. Czuła, jak jej żołądek zaciska się w małą kolczastą kulkę.

– Czy ty... czy ty...

– Długo o tym myślałam. Teraz, gdy Niemcy zrobili spis mężczyzn do czterdziestego piątego roku życia i gdy coraz więcej ludzi wywożą na roboty do Rzeszy, a do szpitala wolno nam przyjmować Polaków tylko chorych zakaźnie, nie mam innego wyjścia. Wiem, że zrozumiesz, że nie mogę siedzieć w domu, gdy inni walczą. Musimy zrobić wszystko, żeby ta wojna skończyła się jak najszybciej.

– Zamierzasz iść z Klementyną? – spytała zdławionym głosem.

– Tak. Jej decyzja przyspieszyła moją. We dwoje łatwiej nam będzie przejść na Węgry i potem do Francji. Ja wstąpię tam do polskiej armii, a ona pojedzie dalej, do Anglii.

– Och, Teo...

– Ani się obejrzyysz, jak wrócę, kaczuszeko. Może już Boże Narodzenie spędzimy razem, a Wielkanoc to na pewno.

\*

Olga czekała w przedsionku łaźni, na drewnianej ławce. W amerykańskiej letniej sukience z rękawami trzy czwarte i w czarnej peruce była nie do poznania.

– Mamo, wyglądasz o dwadzieścia lat młodziej!

– Zawsze byłam zdania, że kobiety powinny farbować włosy. Z siwymi niewiele jest do twarzy.

– Spojrzała na Bisię i dodała: – Może tylko blondynkom takim jak ty.

– Skąd masz tę perukę?

– Jaś kazał ją dla mnie zrobić z moich własnych warkoczy, które mi obcięto, gdy zachorowałam na tyfus.

– Nosilaś wtedy perukę? Naprawdę?

– No widzisz, jak łatwo ludzi oszukać! Żeby tylko w banku mnie poznali.

– W banku?

– Tak. Chcę cię zaprosić na obiad i muszę wybrać trochę pieniędzy.

– Masz rachunek w banku?

– Naturalnie. Nic ci nie mówiłam, bo jest na nim jedynie ta marna renta, którą mi wypłacają od zrabowania ziemi. Wolę, żeby listonosz nie przynosił mi pieniędzy. Potem każde dwadzieścia złotych rośnie w oczach ludzi do dwóch tysięcy.

W banku było czynne tylko jedno okienko. Kolejka posuwała się w żółtim tempie i szybko zrozumiały, że przed półgodzinną przerwą obiadową nie zdążą do niego dojść.

– Może zjemy u mnie? – szeptem zaproponowała Bisia. – Ugotowałam zupę jarzynową.

– Mam ochotę na befsztyk – mruknęła Olga. – Poczekaj tu na mnie. Zaraz wrócę.

– Ale dokąd...

– Proszę, poczekaj.

Bisia posłusznie pokiwała głową.

Za chwilę na korytarzu zrobił się jakiś ruch. Karna do tej pory kolejka zafalowała. Kilku ciekawskich nie wytrzymało i poszło zobaczyć, co się dzieje. Bisi wydawało się, że wśród podnieconych głosów poznaje spokojny głos teściowej. W końcu i ona nie wytrzymała.

– Zerknę tylko, co się stało – powiedziała do stojącej za nią kobiety. – Zaraz wracam.

Wyrzała na korytarz i zaparło jej dech. Dwóch urzędników prowadziło pod ręce słaniającą się na nogach Olę. Młoda kobieta, z wyrazem przerażenia na twarzy, szła za nimi, trzymając w jednej ręce kapelusz, w drugiej czarną perukę. Bisia zobaczyła jeszcze błyszczącą, świeżo ogoloną głowę swojej teściowej i procesja znikła w jakimś pokoju.

– Ja jednak nie będę stała – powiedziała do kobiety, przed którą zajęła sobie kolejkę.

Ta z zadowoleniem skinęła głową.

– A co tam się stało? – spytała.

– Ktoś zasłabł, ale już się nim zajęli.

Bisia wyszła przed bank. Po dziesięciu minutach w drzwiach ukazała się jej teściowa.

– A jednak befsztyk – powiedziała.

– Mamo, jesteś niemożliwa.

– Piją herbatę w tych wszystkich pokojach i niewiele robią, a do obsługi klientów wysyłają jakąś ślamazarę. Dostarczyłam im rozrywki, oni w zamian wypłacili mi pieniądze na zapleczu. Uważam, że jesteśmy kwita.

Bisia się roześmiała.

– Dawno nie słyszałam twojego śmiechu, *ma chérie*. Stęskniłam się za nim. – Olga ją uściśnęła. –

Czy istnieje jeszcze ta prywatna restauracyjka na Jagiellońskiej?

– Upaństwowili ją. Ale pan Gołabek jest teraz jej kierownikiem.

– To świetnie!

– Tylko żeby zamówić befsztyk, trzeba mieć kartki, a ja swoją zostawiłam w domu.

– Na jakim świecie my żyjemy!

W restauracji wszystkie stoliki były zajęte.

Olga skinęła na kelnera. Gdy nie zareagował, podeszła do młodej kelnerki.

- Czy zastałam pana Franciszka Gołąbka? – spytała.
- Szef jest w kuchni – burknęła dziewczyna.
- Jestem jego znajomą. Hrabina Mężczyńska. Czy byłaby pani tak uprzejma i poprosiła go?
- Zaraz, proszę pani.

Olga mrugnęła do synowej.

– Pani hrabina?! – Pan Gołąbek zgiął się wpół, całując podaną mu rękę. – Rączki całuję, padam do nóżek! Ostatnio widziałem tu panią chyba w czterdziestym szóstym...

– Co za pamięć! – uśmiechnęła się Olga. – Jak miło znów pana zobaczyć, panie Franciszku! Nic się pan nie zmienił.

– Latka leca! – Pan Gołąbek przygładził przerzedzone włosy. – Za to pani hrabina piękna jak zawsze, jeśli mogę sobie pozwolić...

– Dziękuję, panie Franciszku – weszła mu w słowo Olga. – Pamięta pan moją synową? A co u pana słychać?

– Ano – pan Gołąbek zniżył głos – jestem teraz u siebie samego pracownikiem. Ale nie narzekam – dodał szybko. – Zawsze może być gorzej. – Palcem pokazał kelnerowi stolik, od którego wstawali goście. – Zmień obrus – syknął.

Za chwilę Olga i Bisia siedziały przy świeżo nakrytym stole.

– Co nam pan poleci, panie Franciszku? Mówiłam właśnie synowej, że zjadłabym befsztyk. – Nachyliła się do niego. – Tylko że nasze kartki zostały w domu.

– To drobiazg, pani hrabino. A befsztyczek zaraz będzie. Średnio wysmażony?

– Rasowy restaurator, który pamięta, co lubią goście. Dziś już takich nie ma, panie Franciszku. Na początek poprosimy dwie wódki.

– Starka i bliny z wędzonym łososiem, to zawsze pani zamawiała. Łososia nie mamy, ale proponuję jajeczko z sardynką, barszczyk ukraiński, świeżutki, i befsztyczek z dodatkami.

– Cudownie! – westchnęła Olga. – Bisiu, dla ciebie to samo?

Bisia z uśmiechem pokiwała głową.

Pan Franciszek ukłonił się, strzepując białą serwetką niewidzialny pyłek z obrusa.

– Twoje zdrowie! – powiedziała Olga do synowej, gdy kelner przyniósł wódkę.

– Dziękuję, mamo.

– Wzięłaś dzień urlopu czy więcej? – spytała Olga, kiedy zjadły zupę.

Bisia okłamała ją jeden jedyny raz, gdy na pytanie o listy od Klementyny odpowiedziała, że przyszedł tylko ten do niej, który jej pokazała. Nie miała serca jej ranić, zdradzając, że Klementyna zakochała się w Teofilu i że on nie był na to uczucie obojętny. Teraz bardzo chciała skłamać po raz drugi.

– Zwolnili mnie. Nie pracuję od początku sierpnia.

– Czemu nic mi nie powiedziałaś? Masz jakieś plany?

Bisia przecząco pokręciła głową.

– A pieniądze?

– Dostałam odprawę i nawet premię. Wystarczy na jakiś czas.

Olga się zamyśliła.

– Wiem, że nie lubisz teraz przyjeżdżać do Olszynki, ale proszę cię, jedź tam dziś ze mną. Noc przynosi dobrą radę.

\*

Bisia kochała drogę prowadzącą ze stacji do dworu. Przy kaplicy zbudowanej przez pradziadka Teofila, w cieniu lip, które posadził własną ręką, zawsze czekały konie, gdy wychodziła z budyneczku stacji. Potem był kwadrans powolnej jazdy między połyskującymi rybnymi stawami, wzdłuż parkanu okalającego ogród i białego muru odgradzającego dwór od drogi. Stróż z ukłonem otwierał bramę, powóz wjeżdżał w lipową aleję, okrążał różany klomb i zatrzymywał się przed gankiem, gdzie już czekała mama.



„Dziś nie ma Teofila, nie ma dworu, nie będzie powozu – myślała ze ściśniętym sercem. – Jak mama może tu mieszkać i co dzień patrzeć na swój zrujnowany, pusty dom? Ja bym tego nie wytrzymała”.

Czy ona sama jednak nie kładła się co wieczór do łóżka, w którym sypiała z Teofilem, nie otwierała szaf, w których wciąż wisały jego garnitury, nie patrzyła z okna na widok, który kiedyś, objęci, razem podziwiali?

– Wiesz, co najbardziej lubiłam w Lorci? – odezwała się siedząca naprzeciwko teściowa.

Na popołudniowy pociąg przyszło mało ludzi i były same w przedziale.

– Lotność jej umysłu?

– To podziwiałam, masz rację. Najbardziej jednak mi się podobało, że Lorcja, w przeciwieństwie do innych ludzi, myślała o tym, co ma, a nie o tym, czego jej brakuje.

– Pewnie to pomogło jej przetrwać na wschodzie. Mówiła ci, dlaczego wybrała armię Berlinga, nie Andersa?

– Wybrała? Myślisz, że oni tam, na Syberii, mieli wybór?

– Nie wiem. Tak mi się wydawało.

– Za dużo czytałaś gazet w tej bibliotece. – Teściowa nachyliła się do niej z uśmiechem i uściśnęła jej rękę. – Bolszewicy to mistrzowie manipulacji. Pomyślałabyś we wrześnie, że jeden z tych, którzy na nas napadli, będzie ogłoszony zbrodniarzem, a drugi naszym dobroczyńcą?

Bisia mimowolnie spojrzała na drzwi przedziału. Korytarz był pusty.

– Lorcja była na Syberii? – spytała, żeby zmienić temat.

– Tak, w Altaju, przy mongolskiej granicy, w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi górskiej wsi. Wiadomości docierały tam pewnie nie szybciej niż w średniowieczu.

– Nie wiedziała o układzie Sikorskiego z Rosjanami?

– Coś im tam powiedzieli, ale ani słowa o tym, że można się zaciągnąć do wojska. Za to przenieśli ją z pracy w lesie do jakiegoś magazynu. Szkoda, że nie widziałaś jej twarzy, gdy mówiła: „Praca pod dachem, w ciepłym miejscu, większy przydział chleba”.

Bisia spuściła głowę.

– Świetnie ją rozumiem.

– Och, córeczko, jestem taka bezmyślna! – Olga usiadła obok niej i objęła ją ramieniem. – Przepraszam.

– Rzeczywiście, w bibliotece czytałam gazety i czasem myślałam, że Pan Bóg zrobił błąd, obdarzając człowieka wolną wolą. Gdyby nie to, gdyby nami kierował, na świecie nie byłoby zła.

– Wiesz, *ma chérie*, że to samo powiedziałam Jasiowi, gdy dotarli do nas wieści o bolszewickich bestialstwach, a potem o zamordowaniu cara Mikołaja i jego rodziny?

– I co odpowiedział?

– Że choć bez wolności nie byłoby zła, to świat byłby gorszy, bo jego doskonałość polega właśnie na wolności.

– Jestem za głupia, żeby to zrozumieć.

Olga się roześmiała.

– Tak samo mu odpowiedziałam. Ale wiesz, córeczko, gdy teraz o tym myślę, to chyba trochę rozumiem. Spójrz na Rosję: rządzi ją carowie, wielu miało naprawdę dobre intencje, a władzę niemal boską. I co? Decydowali o życiu swoich poddanych i Rosjanie nigdy nie stanęli na własnych nogach, nie wzięli odpowiedzialności za swój los. Teraz mają wymuszoną siłą równość, przemoc jako metodę rządów i się nie buntują.

Pociąg zaczął zwalniać. Olga spojrzała przez okno.

– Dojeżdżamy. Dasz sobie radę z plecakiem? Ja wezmę walizkę.

– To za ciężkie dla ciebie, mamo. Weź nesesor.

Bisia zeskoczyła na peron, postawiła bagaże, odebrała od teściowej nesesor i pomogła jej zejść po żelaznych stopniach. Z lokomotywy wyjrzał maszynista, konduktor machnął chorągiewką i pociąg ruszył.

– Nie damy sobie rady z tym wszystkim – powiedziała Bisia, patrząc na bagaże, a potem na pusty peron. – Myślałam, że spotkamy jakiegoś znajomego...

Ktoś się wyłonił zza ceglanego budynekczku stacji. Kobieta w ciemnej sukni i chustce na głowie.

– Pani hrabina! Pani Elżbieta!

– Anielciu! Skąd się tu wzięłaś?!

– Wyjechałam z moim na wieczorny pociąg, bo do Kalmowicza zatelefonowała dziś Lorcja. Powiedziała, że panią hrabinę wypuścili i że pewnie dziś albo jutro wróci pani do domu.

– Zadzwoiła do Kalmowicza? – Olga się roześmiała. – To przewodniczący gminnej rady narodowej – wyjaśniła Bisi. – Jakie to miłe z jej strony! Okazała tyle troski.

– Powiedziała, że wszystkie oskarżenia były fałszywe i tylko jej wstawiennictwo uratowało go od aresztowania. Ale jeśli znów na panią doniesie, drugi raz mu nie pomoże. Od razu przysłał po mnie swojego chłopaka, bo nie wiedział, co robić. Chciał nawet wyjechać po panią na stację, lecz mu odradziłam.

– Teraz pewnie jeszcze bardziej mnie znienawidzi.

– Ale będzie się bał i przestanie na panią czekać jak wściekły pies – mówiła Anielcia, chwytając jedną ręką plecak, drugą walizkę.

– Dziękuję, Anielciu.

– Pani hrabina mi dziękuje? Ja przecież nigdy się nie wywdzięczę za dobro pani i pani Elżbiety. Mój czeka koło kapliczki. Tylko czy na wozie będzie wygodnie?

– Pamiętasz, jak mawiała twoja świętej pamięci matka? Lepiej źle jechać, niż dobrze iść.

Gdy usadowiły się na ułożonej w poprzek wozu desce i koń ruszył, Bisia zapytała:

– Dlaczego ten przewodniczący cię nienawidzi, *maman*?

– To długa historia.

– Opowiedz, proszę.

– W zeszłym roku, gdy zrobili te swoje lipne rady narodowe, zamiast naszego wójta dali nam tego Kalmowicza. To znaczy najpierw były wybory, na które nie chodzę, bo szkoda mi zelówek, a potem zebranie gminne.

– Pani hrabina nie opuszcza żadnego zebrania – powiedziała Anielcia. – I zawsze się odzywa, gdy inni milczą.

– Niewiele to daje, prawda, Anielciu? Trzeba jednak próbować. Na tym zebraniu przewodniczący rady powiatowej przedstawiał nowego zarządcę gminy, urzędującego już zresztą od dwóch miesięcy. Ten wstał, wyjął z kieszeni kartkę i przeczytał: „Nazywam się Kalmowicz Władysław i jestem nowym przewodniczącym. Wybraliście mnie, bo ta praca odpowiada moim kwalifikacjom i mojemu tempre... tempre...”. Zaciął się już przy „kwalifikacjach”, przez „temperament” nie udało mu się przebrnąć. Ludzie zaczęli się trącać łokciami i uśmiechać pod nosem, a ja wstałam i powiedziałam: „Szanownemu prelegentowi chodzi zapewne o temperament. Zgadzam się, że każdy powinien znaleźć pracę, która odpowiada jego temperamentowi. Ci, którzy kochają to, co robią, wykonują swoje zadania znacznie bardziej sumiennie. Dogłębnie poznają tajniki swojej profesji i dzięki temu lepiej służą społeczeństwu. Także swojej rodzinie, którą nowy pan przewodniczący zatrudnił *en masse*”.

– Szkoda, że nie widziała pani jego miny, pani Elżbieto! – zawołała Anielcia. – Teraz wszyscy go przezywają Prelegent. No i to jeszcze nie był koniec!

– Tu wmieszał się powiatowy przewodniczący i zapytał, czy mam jakieś zarzuty, czy Kalmowicz zrobił coś podejrzanego. „Nie, chyba nikt z nas nigdy nie widział, by pan Kalmowicz robił coś podejrzanego albo żeby w ogóle coś robił”, odpowiedziałam. Ludzie już jawnie się śmiali, więc trochę się przestraszyłam, że mogą mnie wyprosić, i szybko dodałam: „Ale mam jedną wątpliwość. Otóż nie wierzę, że nowy pan przewodniczący jest prawdziwym komunistą”. Kalmowicz zerwał się od stołu prezydialnego, czerwony jak koguci grzebień. „Ja?! Ja nie jestem komunistą?!”, zapiał fałsetem. „To, cytując wielkiego radzieckiego pisarza Nikołaja Erdmana, niech pan na milicji na krzyż przysięgnie, że jest komunistą”. „A przysięgnę, choćby zaraz, stara czarownico!”

– Naprawdę tak cię nazwał, *maman*?

– Tak. I właśnie to, w połączeniu z Erdmanem, mnie uratowało.

Bisia westchnęła.

– Kiedy następne zebranie? – spytała.

– Nie wiadomo – zaśmiała się Anielcia. – Prelegent zwołuje je tak rzadko, jak tylko się da.

Końskie kopyta miarowo uderzały w wyschniętą gliniastą drogę, stawy błyszczały w ostatnich promieniach dnia, pachniały nagrzane zioła, tatarak, wiklina, łopiany. Bisia przymknęła oczy i przez chwilę miała wrażenie, jakby czas się cofnął, jakby w sobotni wieczór jechała z mężem, by spędzić niedzielę w Olszynie.

– Prrr!

Wóz zatrzymał się przed domkiem stajennego.

– Może pierwszą noc prześpią panie u nas – zaproponowała Anielcia.

– Dziękujemy, ale najlepiej się śpi we własnym łóżku.

– Z Bogiem! – zawołał mąż Anielci, gdy zdjął z wozu ich bagaże.

– Może jednak założysz zamek, mamó – powiedziała Bisia, wyjmując kołek ze skobla. – Okazja czyni złodzieja.

– Miałam zamek i złodziej dwa razy go sforsował.

– Oby kazanie pomogło – westchnęła Bisia.

– Kazania jeszcze nikogo nie ulepszyły. Bardziej liczę na strach przed brakiem rozgrzeszenia i przed urokiem, jaki może rzucić ruska czarownica.

– Telefon Lorci też pomoże. Ten przewodniczący pewnie już wszystkim rozgadał, że pracuje w безпеce.

– A jeśli nie, to trzeba będzie rzecz rozgłosić. Opinii mi to nie poprawi, ale niektórym napędzi strachu.

Teściowa mrugnęła do Bisi i obie się roześmiały.

– Zapalę w piecu, napijemy się herbaty – zaproponowała Bisia.

– Za gorąco na palenie. Napijmy się wina.

– Masz jeszcze zapasy, mamó? Złodziej nie odkrył twojej spiżarni?

– Solidna niemiecka robota! – powiedziała Olga i zaraz dodała: – Chcemy czy nie, Niemcy mają też zalety.

Bisia przypomniała sobie, jak się uniosła, gdy teściowa sprowadziła do Olszyny kilku niemieckich jeńców, by wyremontowali jej dom. Chcąc ją ukarać za to, że codziennie musiała patrzeć na Niemców, porównała ją wtedy do Scarlett O'Hary, bohaterki książki *Gone with the Wind*, którą pani Debora Zabierzeska pożyczyła im w Juracie.

Zobaczyła, jaka była różnica między Olgą a Scarlett, bezlitośnie wykorzystującą więźniów w swoim tartaku, gdy po kilkumiesięcznej pracy Niemcy mieli wyjechać i błagali, żeby mogli zostać dłużej. Jak opowiadał ich dowódca, jedyny, którego Bisia bez wstrętu mogła słuchać, bo mówił po francusku, wcześniej mieszkali w namiotach, głodowali i gołymi rękami rozminowywali bałtycką plażę.

– Byłam wtedy dla ciebie niesprawiedliwa, mamó. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Świetnie cię rozumiem. Ale to przecież też są ludzie.

Dotarło to do Bisi wcale nie wtedy, gdy teściowa powiedziała, że wojny zaczynają się od nienawistnych słów, tylko gdy do jej drzwi w Krakowie zapukał wynędzniały niemiecki jeńiec.

Odkąd wojna się skończyła, jechali z Syberii do domu chorzy i kalecy, już nieprzydatni w kopalniach, przy kopaniu kanałów, budowaniu dróg, osuszaniu bagien i rąbaniu tajgi. Pociągi towarowe zatrzymywały się czasem w Krakowie, a kolejarze i straż kolejowa patrzyli przez palce, gdy zarośnięci i brudni nędzarze wymykali się z wagonów, by w mieście zebrać o jedzenie.

Ten żołnierz, ze zgasłymi oczami, zapadniętymi policzkami, śladami odmrożeń na twarzy i bez dwóch palców u prawej ręki, wyglądał jak starzec, Bisia jednak wiedziała, co z ludźmi robi obóz i że równie dobrze mógł mieć sześćdziesiąt lat, jak i trzydzieści.

Zapukał nieśmiało, a gdy otworzyła, szepnął: „*Suppe, Brot, bitte!*”. Wyciągnął okaleczoną dłoń z żołnierską menażką i ze spuszczoną głową czekał na jałmużnę. Miała ochotę napluć do tej menażki,

zrzucić go ze schodów, wykrzyczeć mu w twarz, co przeszła w obozie.

Odwróciła się i bez słowa zatrzasnęła drzwi.

Napiła się wody prosto z kranu, bo wiedziała, że nie utrzyma szklanki w drżącej dłoni. Przypomniało się jej, jak upuściła miskę z zupą w obozie i jak jakaś więźniarka zlizywała ją z klepiska, łapczywie połykając kawałki brukwi.

Krażyła po domu jak dzikie zwierzę po klatce. Potem przysiadła w kącie na podłodze i objęła głowę rękami. Nagle usłyszała dziwny dźwięk i zorientowała się, że to ona wyje jak pies. Jakby znów była w obozie, głodna, przemarznięta, udręczona brudem i wszami.

To, co dla niej było przeszłością, dla innych było teraźniejszością. A jeśli Teofil prosi gdzieś w obcym kraju o kawałek chleba i wszystkie drzwi się zatraskują?

Poszła do kuchni i przez okno wyjrzała na ulicę. Żołnierza nie było. Może wszedł do któregoś z domów, a może wszyscy go przepędzali i powlókł się z powrotem na stację?

Wyjęła koszyk i pospiesznie włożyła do niego wszystko, co przywiozła z Olszynki: bochenek chleba, jabłka, dwa słoiki konfitur, biały ser, placek ze śliwkami. Potem z koszykiem w ręce zaglądała do bram, wchodziła na podwórka, ale kaleki żołnierz przepadł jak kamień w wodę.

Na dworcu kolejarz wskazał jej stojący na bocznicy pociąg towarowy, taki sam, jakim ona jechała do obozu. Poczula ten sam smród stłoczonych ciał, nędzy i strachu. Chude ręce wystające z wystrzępionych rękawów niemal wyrwały jej koszyk. „*Danke, danke! Gott segne Sie!*”

– Bisiu! Przynies drabinę! – Olga zapaliła już lampę naftową, odsunęła chodnik i otworzyła klapę do piwnicy.

Bisia otarła oczy, weszła do sieni, wzięła drabinę i wsunęła ją do czarnego otworu.

– Daj mi lampę, mamo. Zejdę pierwsza i poświecę – powiedziała.

– Uważaj, łatwo się tam potknąć. Ta piwnica ma zniechęcić każdego, kto do niej wejdzie.

Nierówno ułożone na podłodze deski, leżące na stalowych prętach, chwiały się pod nogami. Żelazne haki wbite w ceglane ściany podtrzymywały nieregularnie rozmieszczone półki z kompotami, śliwkami w occie, korniszonami. W kącie stała beczka do kiszenia kapusty.

– Pamiętasz, które to deski? – spytała Olga.

– Te.

– Tak. Otworzysz?

Bisia uniosła dwie deski, uklękła przy otworze, pociągnęła za dwa stalowe pręty. Na ceglanej ścianie pojawiła się ledwie widoczna rysa. Bisia wstała i popchnęła mur ramieniem. Zazgrzytało łożysko, fragment ściany odwrócił się jak obrotowe drzwi, odsłaniając wejście.

– Zapomniałam, że ta ściana jest taka gruba – westchnęła.

– Dlatego do woli można ją ostukiwać. Daj lampę. – Olga weszła w ciemny otwór.

Druga piwnica była większa od pierwszej. Olga wysoko uniosła lampę.

– Od czasu do czasu trzeba sprawdzać, czy nie ma wilgoci. Choć sama nie wiem, co by można na nią poradzić. Boję się o obrazy. Pomyślałam, że mogłabyś najcenniejsze wziąć do Krakowa i przechować choćby pod łóżkiem.

Bisia spojrzała na zawinięte w szary papier rolki.

– Przechowam je, oczywiście.

– Pokażę ci, które są na sprzedaż. Reszta to pamiątki rodzinne, można je spieniężyć tylko w wielkiej potrzebie. W tym kącie składam puste butelki i inne śmieci, których nikt nie powinien widzieć. Tutaj są konserwy. Niewiele ich zostało. Oliwa, sardynki, trochę mleka w proszku. Tu najcenniejsze rzeczy: kawa i herbata. W tej puszcze jest pięć świnek i kilka pierścionków. Jeśli ktoś by odkrył ten schowek, powinien myśleć, że tu ukryłam wszystko. Reszta złota i biżuterii jest tam, gdzie była. Pamiętasz gdzie?

– Tak – odrzekła Bisia. – Mamo... Czy masz zaufanie do tych ludzi, którym sprzedajesz świnki? Przecież to jest gardłowa sprawa.

– Obie strony ryzykują głowę, więc i mnie, i im zależy na dochowaniu tajemnicy. Ale nie mam złudzeń: przynajmniej niektórzy muszą współpracować z milicją i bezpieką.

– Mamo! Błagam, uważaj na siebie!

– Dużo na mnie zarabiają i to jest moja gwarancja bezpieczeństwa. Ale nie po to tu przyszedliśmy, żeby się straszyć. Na jakie wino masz ochotę?

– Na dobre.

– Nie ma tu innego – cicho zaśmiała się Olga.

Wybrała dwie butelki.

– Ostrożnie, żeby nie poruszyć osadu – powiedziała, podając je Bisi. – Tu chowam kilka starych kieliszków. Takiego wina nie można pić w byle czym.

Bisia z ulgą zamknęła klapę. Gdy mieszkała w tym domku z teściową i Maszką, czuła się tak, jakby w piwnicy była bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć.

– Co to za wino? – spytała, patrząc pod światło na złocisty płyn. – Miód i kwiaty – mówiła, wachając. Upiła łyk i próbowała na języku. – Tak, miód, korzenie, rodzyunki, suszone morele... To przecież twój najlepszy muszkatel!

– Dziś jest specjalna okazja. Moja córeczka mnie odwiedziła.

– Ach, mamo...

– Twoje zdrowie, *ma chère fille!*

Gdy zrobiło się ciemno, usiadły przed domem, na ławce ustawionej pod lipą.

– Kazałam ją tu przenieść z oranżerii. To kopia ławki, którą zobaczyłam podczas podróży poślubnej w parku Monceau. W paryskich parkach zwykle są krzesła, a tu nagle ławka, i to jaka! Jaś w tajemnicy przede mną kazał ją narysować, a potem zrobić taką samą. Ofiarował mi ją na pierwszą rocznicę ślubu. Ale pewnie sto razy ci o tym opowiadałam.

– Wiesz, mamo, że na tej ławce Teofil pierwszy raz mnie pocałował? Miałam dziewiętnaście lat i zemdlalam ze szczęścia.

– Ach, ci Mężczyńcy! Teofil jest taki podobny do Jasia! Pamiętasz go? Byłaś mała, gdy pojechał na wojnę.

– Pamiętam, jak się z nami żegnał. Tak mocno mnie przytulił... Czułam się, jakbym żegnała ojca.

– Kochał cię jak córkę. Nasza duma i pociecha, tak zawsze o tobie mówił. – Olga objęła synową ramieniem.

– Podczas pierwszej spowiedzi wyznałam proboszczowi, że grzeszę, bo kocham was bardziej niż prawdziwych rodziców.

– *Ma petite fille!* I co na to powiedział?

– Że prawdziwa miłość nigdy nie jest grzechem i że każda jest inna, więc nie da się porównać, która większa, która mniejsza.

– To był mądry człowiek. Brakuje mi go. Za naszego proboszcza, niech spoczywa w pokoju! – Olga uniosła kieliszek.

Noc była ciepła, pachniała maciejką i świeżym sianem. Cykały koniki polne. Biała smuga Drogi Mlecznej wyraźnie rysowała się na niebie.

– Pamiętam, jak mi opowiadałaś o białych nocach w Petersburgu. Nie potrafiłam ich sobie wyobrazić. W Szwecji też są takie spokojne, jasne noce. Szary zmierzch przechodzi w brzask. Za to od jesieni nie ma nawet popołudnia, tylko od razu zapada noc. Czasem się bałam, że któregoś dnia słońce nie wzejdzie i już zawsze będzie ciemno.

– Jak ci tam było?

„Źle”, pomyślała Bisia. Przypomniała sobie, jak czekając na transport do Polski, pracowała w szwalni w Borås. Były więźniarki przyjęto tam wspólnie obiadem i zakwaterowano w hotelu robotniczym. Przy pierwszej pensji okazało się, że firma słono sobie liczy za mieszkanie i potrąciła im też koszt powitalnego obiadu.

– Różnie.

– Obcy kraj, obcy ludzie... Do tego samotność.

– Pamiętasz, jak Klementyna opowiadała, że była przerażona, gdy zobaczyła doświadczenia na zwierzętach?

– Tak.

– Czasami o tym myślałam i zawsze wyobrażałam sobie okrutników. Ale to są tacy sami lekarze jak Teofil i Klementyna. Tylko uznali, że mają władzę nad zwierzętami, że mogą nimi dowolnie rozporządzać w imię wyższych celów, zużywać je jak rzeczy. Tam, w obozie, było trzech lekarzy. Słyszałam czasem, jak się śmiali, jak z sobą żartowali. Pierwszą operację zrobił mi doktor Wolf, a odjętą pierś przyszył Czeszce Jarmili. Moje rany ładnie się goiły, jej się jadziły, gorączkowała i w końcu umarła. Widziałam, jak doktor Wolf się cieszy, że moja operacja się udała, i martwi, że przeszczep się nie przyjął. Bo nie myślał, że ona umarła, a ja wracam do zdrowia. Uczył się leczyć choroby, nie ludzi, i nas zużywał przy tym jak psy albo króliki. Po miesiącu drugą pierś amputował mi doktor Runge. Nie wiem, co z nią zrobił, bo długo leżałam w gorączce. Nie był taki biegły jak Martin Wolf. Pamiętam, że raz stali nade mną wszyscy trzej, gdy jęczałam z bólu. „Morfina?“, spytał doktor Wolf. „Nasi żołnierze na froncie jej nie mają”, rzucił doktor Runge.

– Och, Bisiu! Moja kochana!

– Ból można wytrzymać. Przychodzi falami i jak fale się cofa. Liczyłam do dziesięciu, do stu, czasem do tysiąca i w końcu mijał. Najgorsza jest beznadzieja. I wtedy przyśnił mi się Teofil. W obozie nigdy mi się nic nie śniło, tylko raz, po drugiej operacji. Przyszedł w stroju trubadura, jakby się wybierał na bal maskowy, popatrzył na mnie i powiedział: „Będiesz żyła. Ja cię wyleczę”.

– Trubadur?

– Tak, w służbie królowej chirurgii. Zapytałam go w Juracie o radość, którą czuje, gdy ona pozwala pocałować swą dłoń. Opowiedział mi, jak podczas stażu w Puławach przywieźli dziewczynkę chorą na krup. Był sam, ordynator dokądś wyjechał. Dziecko się dusiło, podał mu tlen i pobiegł do telefonu, żeby wezwać laryngologa. Nie zastał go w domu, tak samo jak drugiego lekarza. Wrócił do izby przyjęć i gdy spojrzał na przekrwioną twarz dziewczynki, sine wargi i oczy wychodzące z orbit, zrozumiał, że ona za chwilę się udusi. Matka z płaczem chwyciła go za fartuch, wołając: „Panie doktorze, ona umiera! Niech ją pan ratuje!”. Po raz pierwszy zrobił wtedy tracheotomię. Mówił mi, że gdy naciął skórę i włożył metalową rurkę do tchawicy, usłyszał ostry świst wciąganego powietrza, a potem dziecko w jednej chwili odzyskało kolory. Czuł wtedy, że pod jego drżącymi z emocji palcami życie wchodzi w tę dziewczynkę i że jest prawie jak Bóg.

– Mnie powiedział kiedyś, że najpiękniejsza operacja to cesarskie cięcie, bo wielkość chirurgii łączy się w niej z wielkością natury.

– Mamo, czy on wróci?

– Wróci, dziecko, na pewno wróci. Musimy wierzyć i czekać.

Teściowa mówiła z takim przekonaniem, że Bisia nie miała serca wspomnieć o śnie, który ostatnio co noc ją nawiedzał. Po raz pierwszy przyśnił się jej po wizycie Lorci.

We śnie nie widziała Teofila, słyszała tylko jego głos. Z początku nie odróżniała słów, to były jedynie dźwięki, jakby mówił językiem, którego nie znała. Jednak każdej nocy słyszała go wyraźniej i w końcu wydawało jej się, że mówi: „Zapomnij”.

## KLEMENTYNA

I jak to dobrze samemu na świecie

Wędrować pieszo z szumiącego dworca

Dobrze, że nie masz tu kogo obwiniać

Dobrze, że z nikim nie masz żadnych więzi

Że nie ma kogoś, kto ciebie jedynie

Musiałby kochać aż do samej śmierci

(...)

Kiedyś powrócisz do kraju... no właśnie

Zobacz, czy jesteś tu potrzebny komu

Czy ktoś się może z tobą zaprzyjaźnić

Kup na kolację, wracając do domu

Byle jakiego czerwonego wina

Usiądź przy oknie, zastanów się chwilę

Wszystko to twoja, tylko twoja wina

I chwała Bogu

Świetnie

Tylko tyle

Josif Brodski \*\*\* (*Kiedyś powrócisz...*),

przeł. Katarzyna Krzyżewska

24 grudnia 1943, godzina 10 wieczór

Moja Najdroższa!

Siedzę w śpiworze, zasznurowany aż po pachy, i popijam whisky na rozgrzewkę. Na głowie mam szalik, który jest tak uszyty, że można go używać jako kaptura pod hełm. Noc jest czarna, leje deszcz. W świetle latarni polowej widzę krople przeciskające się z wiatrem przez sznurowanie namiotu. Bębnienia deszczu o płachtę tylko się domyślam, bo wszystko zagłusza kanonada – kule świszczą jak na froncie. Poza wartami, służbowymi, kapelanem i mną w całym batalionie nie ma ani jednego trzeźwego człowieka i wszyscy strzelają na wiwat.

Przybyliśmy tu dwa dni temu. Obóz jest prowizoryczny, nie ma żadnego kasyna, oficerowie i żołnierze świętują grupkami w swoich namiotach. Mam nadzieję, że Ty spędzasz ten wieczór inaczej, że w kominku płonie ogień, pijesz gorący poncz i jesteś otoczona przyjaciółmi.

Miasto, koło którego stacjonujemy, leży w gruzach. Po ogniu dział okrętowych nawet w dzielnicach, które najmniej ucierpiały, nie ma ani jednego całego dachu. W basenie portowym straszą statki widma – jedne stojące na kotwicy, z porozbijanymi pokładami, puste, zardzewiałe, inne zatopione, ze sterczącymi z wody czubkami masztów lub kominami. To resztki zatopionej włoskiej floty.

Wyruszyliśmy 14 grudnia rano i po godzinie weszliśmy do Kanału Sueskiego. Statek był przepelniony. Nawet w kabinach oficerskich upchali nas jak śledzie w beczce. Na szczęście podróż była krótka, a poza tym większą część dnia i tak spędzałem w ambulatorium urządzonym w szpitalu okrętowym.

Gdy statek przybił do brzegu i czekaliśmy na wyladunek, kto tylko mógł, stał na pokładzie i patrzył. Po czterech latach wracaliśmy do domu! Żołnierze pokazywali sobie kępi trawy między porozbijanymi kamiennymi płytami nabrzeża: „Patrz, jaka ładna trawa. Zielona. Całkiem jak u nas”. Trawa wcale nie była ładna, ale zupełnie inna niż afrykańska, która zawsze wygląda tak, jakby uschła jeszcze przed wykiełkowaniem.

Od morza wiał lodowaty wiatr i w końcu wszyscy zaczęliśmy dzwonić zębami. Nasze ciała, wyprężone w pustynnym słońcu, odzwyczyły się od zimna. Ale i tak gdy wszedłem do namiotu, moją pierwszą myślą było: „Nie rozwiesili moskitier”, a rano obejrzałem pod światło wnętrza rękawów i nogawek i wytrząsnąłem buty, tak jakby i tu mogła się w nich schować falanga, czterdziestonóżka albo black widow.

Nie miałem pojęcia, że na południu Włoch są takie biedne miejsca, z kurnymi chatami krytymi sięgającą ziemi trzcinową strzechą, bardziej podobnymi do stogów siana niż do ludzkich siedzib. Jechaliśmy wczoraj przez taką okolicę, błotnistą drogą wśród podmokłych łąk. Droga się wiała, rozwidlała i nie wiedziałem, gdzie jesteśmy, bo tak jak w Anglii, i tu pozdejmowano wszystkie drogowskazy i tablice z nazwami miejscowości, a może na tym odludziu nigdy ich nie było. W pewnej chwili samochód wjechał do małej osady. Kwadratowy plac, otoczony niskimi domami, był jedną wielką kałużą. Nagle poczułem się jak na ryneczku jakiegoś miasteczka gdzieś we wschodniej Polsce, w jesiennej szarudze. „Jak u nas późną jesienią”, powiedział ktoś tęsknym głosem i naraz wszyscy ucichli.

Kochana moja, życzę Ci wesołych Świąt. Oby to była ostatnia zima, którą spędzamy tak daleko od siebie.

Teofil



Klementyna wrzuciła list do ognia i sięgnęła po następny.

14 lutego 1943, niedziela

*Najdroższa moja Klementynko!*

*Bardzo Ci dziękuję za piękny, długi list. Cieszę się, że spędziłaś święta z rodziną, choćby daleką. Uśmiełem się, gdy czytałem charakterystykę Twego szwagra i jego drugiej żony. Pisz jak najczęściej, bardzo czekam na Twoje listy. Czy udało Ci się dowiedzieć czegoś o Rodzicach? Rozumiem Twój niepokój, bo sam często myślę o Olszynce, o tym, co się dzieje z Mamą i Bisią. Wieści z Polski nie mamy prawie wcale.*

*Dostałem wczoraj list i paczkę z whisky i blaszankami piwa z Australii, od Iana McTawisha, mojego towarzysza broni z Libii. Pisałem Ci o nim kiedyś, pamiętasz? To ten, który cierpiał na zapalenie kości stopy i mimo kilku operacji rana nie chciała się wygoić. Ponieważ wykluczono kiłę, gruźlicę i promienicę, pomyślałem o malarii, bo już wtedy wiedziałem, jaka to nieszablonowa choroba (w swoich propagandowych audycjach Niemcy nie bez powodu nazywają nas „dywizją widliska”). Ian twierdził, że nigdy na malarię nie chorował, okazało się jednak, że ma we krwi zarodźca pasmowego. Wyobraź sobie, po leczeniu przeciwmalarycznym rana zagoiła się w ciągu kilku dni. Ian w każdym liście zaprasza nas do siebie po wojnie i jak zwykle grozi, że jeśli nie przyjedziemy, najlepiej na stałe, to wybierze się do Europy i zabierze nas, choćby siłą.*

*A my tu wojujemy z szakalami. Do ich wycia już dawno przywykliśmy, ale ostatnio tak się rozzuchwały, że wchodzi do namiotów i kradną jedzenie, nawet chleb.*

*Idzie hamsin, nie ma czym oddychać i ludzie zrobili się kłótlivi. „Buzułuki” od Andersa klóć się z „Lordami” (tymi, którzy tu przyjechali z Anglii), a jedni i drudzy z nami, „Ramzesami”...*

Ktoś zapukał do drzwi. Klementyna przez chwilę walczyła z sobą. Miała ochotę cicho wstać i zamknąć zasuwkę.

– Proszę! – zawołała, nie podnosząc się z podłogi.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Wanda.

– Co robisz? Skończył ci się węgiel? – spytała, patrząc na szary popiół ze spalonego papieru. – Pożyczę ci.

– Jutro wyjeżdżam, zapomniałaś? Nie mogłabym ci oddać.

– No to ci dam... – Urwała. – Palisz listy?

– Nie. Chowam je do kominka.

– Ale przecież... przecież w nim się pali.

– Zauważyłam.

Wanda milczała chwilę. Patrzyła na siedzącą na podłodze Klementynę, na rozsypane wokół niej listy, potem przeniosła wzrok na leżącą na łóżku walizkę.

– Spakowałaś się już?

Klementyna kiwnęła głową.

– To może zejdziesz na dół? Adam przyjechał i pyta o ciebie.

– Jaki Adam?

Przed kwadransem słyszała dzwonek i zamieszanie na dole, ale ku jej radości wszystko szybko ucichło.

– MacKay.

– Aidan?

– Te szkockie imiona zawsze wylatują mi z głowy. Nie mogliby się nazywać Arthur, Alex albo Mary?

– Wolą Artaira, Alasdaira i Marion.

– Boże! – Wanda wzniosła oczy do nieba. – Aleś zagrzecotała! Jak stara skrzynia biegów albo rodowita Szkotka. To co, zejdziesz?

– Za chwilę.

Kiedy drzwi się zamknęły, Klementyna spojrzała na listy. Zgarnęła je na kupkę, podniosła z podłogi, przycisnęła do ust, zamknęła oczy, a potem wyciągnęła ręce i upuściła listy na rozżarzone węgle. Założyła ręce na piersi i dopiero wtedy otworzyła oczy.

Ogień w kominku na chwilę przygasł. Białe, szare i niebieskie koperty otoczył wianuszek siwego popiołu. Gdyby je teraz chwyciła szczypcami, mogłaby je jeszcze uratować.

Siedziała nieruchomo i patrzyła, jak spod papieru wypełzają czerwone ogniki, przebiegają po brzegach kopert, znikają, znów się pojawiają, większe i śmielsze. Gdy listy zapłonęły jasnym ogniem, wstała z podłogi.

Otworzyła schowek w ścianie. Na krótkim drążku wisiało kilka sukienek, dwie bluzki, płaszcz z wielbłądziej wełny, który kupiła na pchlim targu za pierwszą angielską pensję. Zdjęła szlafrok i włożyła swoją ulubioną sukienkę z lazurowego jedwabiu drukowanego w zielone listki. Była za lekka na jesień, zarzuciła więc na ramiona szal z kaszmiru. Przez chwilę patrzyła na krzyżujące się na nim granatowe, zielone i żółte pasy. Kolory kiltu Aidana. Pomyślała, żeby zdjąć szal, choć przyjemnie grzał jej plecy, potem wzruszyła ramionami i ciasniej się nim otuliła. Nawet jeśli Aidan go pamięta, jakie to teraz ma znaczenie?

Choć po schodach schodziła powoli, brakowało jej tchu i na korytarzu musiała przystanąć. Z kuchni dobiegały podniesione głosy.

– ... pospolity dezertor, w dodatku z pola walki!

– Chciał wrócić do Lwowa, lecz Mościcki mu to odradził. Zresztą nawet gdyby wrócił, to na pewną śmierć.

– Gdyby był we Francji, mógłby walczyć dalej.

– Przecież nie był wróżką, nie mógł przewidzieć, że Rumuni zdradzą i go internują.

– Tak, siedział sobie w Rumunii, pisał wiersze i malował. Świetne zajęcia dla marszałka.

– Złożył funkcję zaraz na początku, w październiku. Poza tym go pilnowali. Ale i tak przy pierwszej okazji prysnął na Węgry i chociaż był po pięćdziesiątce, przeszedł przez Tatry i dostał się do Warszawy.

– Dużo się tam nawojował. Mógł wojować we wrześniu. Czemu przy takiej słabej łączności nie pomyślał o podziale na fronty? Albo o obronie na linii Wisły, Bugu i Sanu zamiast od samych granic? Co to za wódz naczelny, który nie widzi choćby tego, że plany mobilizacyjne są oparte na fikcji?

– Przecież wiesz, Władku, że wszystko rozbijało się o pieniądze. Nie można go obciążać za sytuację gospodarczą, za przewagę Niemców, za cios w plecy, który nam zadali Sowietci, za zdradę Rumunów, Francuzów i tych pieprzonych dzemojadów.

– Ale za zakaz walki z Sowietami można.

Klementyna odetchnęła głęboko, nacisnęła klamkę i weszła do salonu.

Jak zawsze poraziła ją brzydota tego pokoju: musztardowe zasłony w jaskrawe czerwone romby, tabaczkowe tapety z brązowymi i czarnymi małgami, bohomaz wiszący nad kominkiem i siedzące po obu jego stronach dwa gipsowe lwy, pomalowane na rudo i udające miedziane. Jednemu farba zeszała z oczu i wydawało się, że są zasnucone bielmem.

– *Clementine, how nice to see you!*

Aidan zerwał się z narożnej kanapy, na której siedział między panią Hughes, ich *landlady*, a Wandą. Wyglądał jak wtedy, gdy przyjechał na rekonwalescencję z północnej Afryki, z wypłowiałymi od słońca rudymi włosami i pokrytą piegami twarzą.

Uścisnął ją i pocałował w policzek.

– Aidan! Skąd się tu wziąłeś? Nie pisałeś, że przyjeżdżasz do Londynu.

– Napije się pani herbaty, pani Klementyno?

Klementyna odwróciła się do pani Hughes.

– Tak, poproszę.

Usiadła na pluszowej ławce, po drugiej stronie niskiego stolika, a Aidan zajął miejsce obok niej.

– A więc jutro nas pani opuszcza. – Gospodyni podała jej filiżankę.

– Wyjeżdżasz? Dokąd? – spytał Aidan.

– Do Cromarty Park.

– Do Szkocji na zimę? To szaleństwo! – zaśmiał się Aidan.

Klementyna przypomniała sobie pełen przeciągów kamienny dom, nieopalone sypialnie, w których pokojówki ogrzewały lodowatą pościel staroświeckimi szkandelami, gdzie w długie zimowe noce jedynym źródłem ciepła był termofor. Czasem, dzwoniąc zębami, schodziła nad ranem do kuchni, grzała wodę w elektrycznym czajniku, jedynym w tym domu sprzęcie przypominającym, że to dwudziesty wiek, i nalewała wrzątek do termofora.

– Sir Crispin, mój wuj, i lady Isobelle zaprosili mnie do siebie – powiedziała Klementyna.

Sir Crispin nie był jej krewnym, tylko mężem jej dawno zmarłej ciotki. Wiedziała jednak, że pani Hughes jest czuła na punkcie arystokratycznych koneksji.

– To miłe z ich strony! – zagruchała gospodyni.

– Sir Crispin? Dziwne imię jak na... starozakonnego. Bo skoro to pani wuj... – rzucił siedzący obok Wandy sierżant Barankiewicz.

Tak właśnie kazał się nazywać: sierżant Barankiewicz, jakby nie miał imienia i choć nikt nigdy nie widział go w mundurze. Wprowadził się przed rokiem i już pierwszego dnia ogłosił świętą wojnę przeciwko Klementynie, jako renegatce kalającej własne gniazdo.

– Żyd to nie jest brzydkie słowo – zauważyła cierpko. – Nie, sir Crispin nie ma żydowskiego pochodzenia jak moja matka. Jest Szkotem z dziada pradziada. Małżeństwo z moją ciotką pan pewnie by zaliczył do błędów młodości.

– To taka romantyczna historia! – zawołała Wanda. – Amerykanka przyjeżdża do Londynu, poznaje szkockiego lorda, zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia i mimo sprzeciwów jego rodziny biorą ślub.

– Pani mama jest Amerykanką? – spytała gospodyni. – Nigdy pani o tym nie wspomniała, ale ja od razu wyczułam ten akcent.

Aidan nachylił się do Klementyny i szepnął:

– Jakby sama używała Queen's English, a nie cockneya.

Klementyna spojrzała na Wandę.

– Wandziu – powiedziała po polsku – przecież ci mówiłam, że ożenił się z nią dla pieniędzy. Był lordem, to prawda, ale biednym jak mysz kościelna. Gdyby nie jej żydowskie dolary – spojrzała na sierżanta Barankiewicza – nie miałby za co załatać dziur w dachu swego zamku i do dziś woda by mu kapiała na głowę.

Wanda poczerwieniała jak piwonia.

– Moja ciotka była miłą, zgodną kobietą – dorzuciła Klementyna łagodniejszym tonem. – Może z czasem by się w niej zakochał.

I jakby nigdy nic zwróciła się do pani Hughes.

– Tak, mama była Amerykanką. Ściśle mówiąc, amerykańską Żydówką, choć protestantką. Zginęła w krakowskim getcie.

– Kto ją zabił? – spytała pani Hughes.

„Cyjanek potasu”.

– Niemcy.

– Może jeszcze herbaty, panie MacKay? – Gospodyni uśmiechnęła się do Aidana.

– Bardzo dziękuję, ale muszę się już pożegnać. – Aidan odstawił filiżankę i wstał. – Do widzenia pani. Do widzenia państwu.

Klementyna także się podniosła.

– Do widzenia, pani Hughes. Dziękuję za gościnę w pani domu.

– Ach, gdyby pani wróciła kiedyś do Londynu, zawsze będzie tu pani mile widziana.

– Dziękuję. Wandziu – dodała Klementyna po polsku – mogę zajrzeć do ciebie wieczorem?

Chciałabym się pożegnać.

– Będę czekała.

Za drzwiami Klementyna głęboko odetchnęła.

– Co się stało? – spytał Aidan. – Czemu tu jest tak... tak... nieprzyjaźnie?

– Słyszałeś takie wyrażenie „polskie piekielko”?

Aidan przecząco pokręcił głową.

– To jest właśnie to, co widziałeś. Siedzimy w kotle z gorącą smołą i pilnujemy, żeby wszyscy byli równo zanurzeni, aż po szyję.

– Nie rozumiem.

– Bo tego nie da się zrozumieć.

– Czy ten pan... Baranek?

– Baranek to on na pewno nie jest. Barankiewicz.

– Czy ten Barankiewicz jest antysemitą?

– Nie wiem. Ale nienawidzi mnie, to pewne. Gdybym była Marsjanką, mówiłby źle o Marsjanach.

– Dlaczego?

– Bo wiem coś, co on chciałby ukryć.

– Teraz rozumiem.

– Prawdę mówiąc, wątpię.

Uśmiechnął się.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy na tej drodze we Francji? Płakałaś, a ja jak kretyń spytałem, jak się czujesz. Spodziewałem się usłyszeć: „Dziękuję, świetnie!”, tymczasem ty powiedziałaś: „Nie widzisz, głupku, że jestem nieszczęśliwa?”. Naprawdę jutro wyjeżdżasz?

– Tak. Z samego rana.

– Czy mogę cię zaprosić na kolację?

„Dobre jedzenie, szampan. Byłoby miło”, pomyślała.

– Obiecałam Wandzie, że spędzę z nią wieczór.

– Ją też zaproszę, choć wolałbym być tylko z tobą.

Nagle poczuła, że nie chce siedzieć sama w brzydkim pokoju, patrząc na spakowaną walizkę i spopielone listy.

– Może chodźmy na spacer i na herbatę do Kew Gardens.

– Świetny pomysł!

– Poczekaj, wezmę płaszcz.

Patrzył za nią, gdy wchodziła na schody.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział. – Pamiętam ten szal z Francji.

\*

Wiosna czterdziestego roku była we Francji gorąca. Pod plandeką ciężarówki czuło się jednak trochę przewiewu.

Po godzinie jazdy w kompletnym milczeniu jeden z żołnierzy sięgnął pod ławkę, wyjął worek, rozwiązał i postawił na środku. Drugi puścił w obieg oplecioną wikliną butlę.

Klementynie zrobiło się słabo z głodu. Widok poruszających się szczęk przyprawiał ją o niemal fizyczny ból. Od poprzedniego dnia nie miała nic w ustach.

Siedzący obok niej żołnierz podał jej blaszany garnuszek. Poczowała zapach wina. Gdyby wypięła na pusty żołądek, spadłaby z chybotliwej ławki.

– Na! – Sąsiad z drugiej strony podał jej dwa suchary.

Chwyciła je skwapliwie. Poczuła na języku słodkawy smak pieczywa i z rozkoszy aż przymknęła oczy.

– Dziękuję!

Dawno nie jadła czegoś tak smakowitego.

– Pani głodna? To czemu nie powiedziała? – Żołnierz sięgnął do kieszeni i wysypał jej na podolek kilka kostek cukru. – Niemiecki, zdobyczny. Gorszy niż nasz, mało słodki, ale zjeść się da.

Do cukru przykleiły się drobinki tytoniu, mimo to smakował wybornie.

Przełknęła ostatni kęs suchara, potem napiła się wina.

– Och! – zawołała.

– Mocne, co? – zaśmiał się jej sąsiad.

– Wspaniale! – Nachyliła garnuszek. W cieniu rzucanym przez płachtę na ciężarówce nie dało się ocenić koloru, ale widać było jego gęstość. – Stare! Jak panowie je zdobyli?

– Francuzi nie mają fantazji. Wszystkie chowają przed Niemcem beczki w stawie. A jak schowane, to znaczy się dobre, a jak dobre, to dobre wojsko powinno je pić, nie te francuskie łajzy.

Klementyna nie знаła się na wojsku, ale nie trzeba było się na nim znać, by zauważyć, że armia francuska straciła bojowego ducha. Dwa dni wcześniej, gdy w strumieniu uchodźców szła zakurzoną wiejską drogą, zobaczyła na poboczu długi rząd francuskich czołgów i ciężarówek, a obok rozchełstanych żołnierzy i oficerów machających oraz wykrzykujących coś do przechodzących dziewcząt. Naraz z daleka dobiegł huk detonacji. Jak na komendę wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę, potem zaś podniosły do góry. Klementyna usłyszała serię z karabinu maszynowego i zobaczyła lecący nisko nad polami samolot z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Uciekinierzy wrzasnęli jednym głosem i rozpierzchli się w popłochu. Klementyna, schowana w rowie, w osłupieniu patrzyła, jak żołnierze wyskakują z czołgów i z aut, popychają się i krzyczą, w panice niemal tratuja cywilów i uciekają, gubiąc broń, czapki oraz hełmy.

– Połowa francuskiej armii jest już w domu – powiedział siedzący naprzeciwko Klementyny młodziutki żołnierz. Miał najwyżej osiemnaście lat. – W koszarach w Saint-Étienne widzieliśmy, jak przyjechało kilka kobiet. Nawymyślały oficerom i zabrały swoich mężów, bo są potrzebni w polu.

– Takie to i wojsko! Walczyć im się nie chce!

– Łajzy!

– Z nas się śmiali, że dostaliśmy baty od Niemców, choć sami nie lepsi.

– Dziady!

Klementyna pomyślała, że gdyby wszystkie Francuzki i Niemki zabrały swoich mężów do domu, wojna by się skończyła, a ona mogłaby wrócić do Krakowa.

Mimo wszystko podziwiała tych żołnierzy, których dowódcę ubłagała, by jej pozwolił wsiąść do ciężarówki. Czyści, ogoleni, w porządnie pozapinanych mundurach, zdyscyplinowani w przeciwieństwie do Francuzów. Choć Niemcy byli tak blisko, że rano słyszała ogień artyleryjski, ich kolumna złożona z kilkunastu ciężarówek jechała jak na manewrach, ani nie przyspieszając, ani nie zwalniając, prowadzona przez kilku motocyklistów, którzy sprawdzali trasę i znajdowali objazdy na zbombardowanych drogach.

Przejechali długi most nad jakąś rzeką. Klementyna próbowała odtworzyć sobie w głowie mapę Francji. Kierowali się na północny zachód, więc to musiała być Garonna. Omijali zatłoczone uchodźcami miasta, a nazwy miasteczek nic jej mówiły.

Kolumna zwolniła, mijając grupę uciekinierów. Gdyby nie to, że wokół wszystko kwitło i się zieleniło i że mijali nie furmanki, tylko samochody, niektóre z przyczepionymi domkami kempingowymi na kółkach, można byłoby pomyśleć, że czas się cofnął i że są na jakiejś polskiej drodze we wrześniu poprzedniego roku.

Klementyna popatrzyła za mijanymi ludźmi i nagle po przeciwnej stronie drogi dostrzegła tablicę: „Bordeaux 30 km”.

– Minęliśmy Bordeaux – powiedziała. – Chciałam tam wsiąść.

Zanim jeszcze skończyła zdanie, zorientowała się, jak idiotycznie zabrzmiało: jakby miała

pretensje do taksówkarza, że zawiózł ją pod zły adres.

Żołnierze milczeli, kołysząc się w zgodnym rytmie na drewnianych ławkach.

Było już prawie ciemno, gdy kolumna się zatrzymała. W rzadkim wierzbowo-topolowym lasku rosnącym nad kanałem stało kilka kamiennych domów. Wodę w kanale pokrywała zielona rzęsa. Klementyna usłyszała rechot żab, a potem cienkie brzęczenie i poczuła piekący ból na łydkach i ramionach. Komary. Całe chmary komarów. Choć wieczór był ciepły, wyjęła z plecaka brezentową kurtkę.

Żołnierze stanęli w dwuszeregu, występowali z niego, salutowali, potem wracali na swoje miejsce. Poczekala, aż skończą swoje niezrozumiałe rytuały, i dopiero gdy się rozbiegli, podeszła do dowódcy.

– A, jest pani – powiedział na jej widok. – Musieliśmy ominąć Bordeaux. Jesteśmy sześć kilometrów od Niort. Gdy patrol motorowy wróci z miasta, zdecyduję, co dalej. Teraz zapraszam panią na kolację.

Gospodyni dała jej miednicę i dzbanek ciepłej wody. Klementyna zmyła z siebie kurz, zmieniła bluzkę, włożyła spodnie zamiast spódnicy. W domu było trochę mniej komarów niż nad kanałem, ale tylko trochę.

Gdy weszła do wielkiej kuchni, na stole już stały dwa półmiski, jeden z ziemniakami, drugi z zieloną fasolką, waza z wołowym gulaszem, koszyk z chlebem i butelka wina. Dowódca jadł bez słowa. Jeszcze nie skończył, gdy do kuchni wszedł żołnierz. Strzelił obcasami i zameldował, że wrócił patrol z Niort.

– Proszę spokojnie jeść – powiedział dowódca do Klementyny. – Zaraz wracam.

Została sama. Dołożyła sobie gulaszu, dołała wina. Gdy skończyła jeść, kawałkiem chleba wytarła talerz.

Dowódca wrócił, ciężko usiadł przy stole, nalał wina do szklanek i swoje wypił duszkiem.

– Niemcy zajęli Paryż.

Minęło kilka chwil, zanim to do niej dotarło.

– Niemcy zajęli Paryż – powtórzyła jak echo. – Skąd pan wie?

– Radio podało wczoraj oficjalny komunikat. Niort świętuje. Wojna się skończyła i mężczyźni wrócą do domu.

Znów sobie nalał i wypił.

– Za chwilę ruszamy – powiedział. – Jedziemy do Saint-Nazaire. Jeśli pani chce, może pani jechać z nami.

– A co dalej?

– Anglia będzie się bronić i w niej teraz cała nasza nadzieja. Angielskie statki zabiorą wojsko z plaży, tak jak w Dunkierce. Ale nie wiem, czy cywilów też.

Samochody jechały bez świateł. Klementyna wyobrażała sobie, jak kierowcę muszą boleć oczy od wypatrywania jadącego przed nim auta.

O świcie kolumna dojechała do mostu na Loarze. Gdy ich ciężarówka czekała na przejazd w długiej kolejce wojskowych pojazdów, zbliżył się do niej francuski żołnierz. Poszeptał z siedzącym z brzegu Polakiem, odszedł, a za chwilę wrócił z karabinem maszynowym. Polak wziął karabin i w zamian dał Francuzowi jedną z oplecionych wikliną butli.

– Sprzedają, bo już się nawojowali – powiedział, widząc pytający wzrok Klementyny. – A nam się przyda. Karabinki są jeszcze tańsze. Można dostać dwa za litr wina.

Klementyna była kiedyś na Riwierze i w Bretanii, ale nigdy na zachodnim wybrzeżu. Weszła do lasku. Za nim rozciągały się piaszczyste wydmy, plaża i morze. Serce jej się ścisnęło. Wiedziała, że ma przed oczami Zatokę Biskajską, ale czuła się jak nad Bałtykiem, jakby znów była w Juracie.

– Proszę pani! Nie wolno wychodzić na wydmy!

W lasku stało dwóch francuskich żołnierzy.

– Jestem cywilem – odrzekła.

– To nie ma znaczenia. Nikomu nie wolno wychodzić na wydmy. Bosze strzelają także do

cywilów, nawet do kobiet i dzieci.

„Wiem”, pomyślała Klementyna.

Usiadła w cieniu sosen i patrzyła na morze. Na redzie stał duży statek pasażerski, a obok niego dwa mniejsze, pomalowane na szaro, wyglądające na okręty wojenne.

Nagle nie wiadomo skąd pojawiły się trzy niemieckie samoloty i jednocześnie rozległ się huk wystrzałów z dział na okrętach. Klementyna zerwała się na równe nogi. Samoloty zapikowały nad redą, rzuciły bomby i odleciały nietknięte.

– Byli blisko. – Usłyszała za plecami.

Odwróciła się. Dwóch polskich oficerów obserwowało morze przez lornetki.

– Jedna spadła jakieś dwadzieścia metrów od burty. Woda zalała górny pokład.

– Przepraszam – zwróciła się do nich. – Czy ten statek przyplynał po wojsko? Czy weźmie także cywilów?

– Musi pani zapytać w porcie – odrzekł jeden z oficerów. – Ale myślę, że weźmie tylu ludzi, ilu się zmieści.

W lasku gromadziło się coraz więcej wojska, ciężarówek, aut osobowych. Żołnierze ustawiali się w kolumny marszowe.

Klementyna wróciła do swojego oddziału. Myślała o nim „mój”, choć spędziła z nim zaledwie dobę.

– Przyszłam się pożegnać – powiedziała do dowódcy. – Bardzo dziękuję, że mnie pan zabrał i nie zostałam w tamtej wsi na zawsze. Teraz tam już pewnie są Niemcy.

Spojrzał na nią. Miał przekrwione z niewyspania, zmęczone i smutne oczy, ale był gładko ogolony i włożył świeży mundur.

– Proszę zostać na śniadanie – powiedział. – Potem będzie msza polowa. Jeśli ma pani ochotę, to zapraszam.

Miała wrażenie, że spojrzał na jej czarne włosy i że czyta w jego wzroku pytanie: „Jesteś Żydówką?”. Może jednak była przeczulona.

– Bardzo dziękuję, przyjdę.

Żołnierze wbili w ziemię na polanie wysoki krzyż, powiesili na nim obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Zbity z kilku desek stół służył za ołtarz.

Kazanie było krótkie. Do stojącej z tyłu Klementyny dolatywały tylko strzępy zdań: „Ojczyzna na nas czeka... Nasze matki, żony, siostry... Z bronią w ręku... Nie damy, by nas gnębił wróg...”.

Po błogosławieństwie ksiądz w ornacie włożonym na mundur zaintonował *Boże, coś Polskę*. Klementynie łzy napłynęły do oczu, gdy usłyszała, jak tę pieśń śpiewa wojsko: szybciej niż zwykle wierni, w niemal marszowym tempie. Przy słowach „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie” głosy się załamały. Klementyna poczuła skurcz w gardle. Jeszcze nigdy nie widziała tylu mężczyzn płaczących jak dzieci.

Dopiero gdy doszła do portu, uświadomiła sobie, że nie zna nazwiska dowódcy „swego” oddziału ani mu się nie przedstawiła. Gdyby ktoś kiedyś jej szukał albo pytał o niego, żadne z nich nie mogłoby udzielić informacji.

Stała na jakimś murku blisko trapu i patrzyła, jak kolejne polskie oddziały wchodziły po nim na statek. Dolne pokłady były już pełne i teraz upychano żołnierzy na górnym.

Podjechały dwa auta osobowe z francuską rejestracją i wysiedli z nich dwaj polscy generałowie z żonami i piątką kilkunastoletnich dzieci. Klementyna nie знаła się na stopniach wojskowych, ale wiedziała, co znaczy srebrny wężyk na naramienniku. Rodziny weszły na trap, za nimi podążyli ordynansi z walizami i pudłami.

W końcu nadszedł jej oddział. Dowódca skinął głową w odpowiedzi na jej machanie i po chwili znajomi żołnierze znikli we wnętrzu statku. Klementyna już miała zeskoczyć z murku i odejść, gdy zobaczyła długą kolumnę wojska. W hełmach, brudni, wyraźnie zmęczeni, niektórzy z prowizorycznymi opatrunkami, kilkunastu na noszach, wyglądali tak, jakby dotarli tu prosto z pola walki. Mimo to maszerowali w szyku, prowadzeni przez oficerów.

Żołnierz stojący przy trapie wyprężył się przed idącym na czele oficerem.

– Panie majorze, pański batalion ma wyznaczone miejsce na górnym pokładzie. Pokażę drogę.

– Kabiny zajęli zaleszczyccy pułkownicy! – zawołał ktoś ze statku.

– Ich rodziny i przyjaciółki! – dodał ktoś inny.

Oficer podniósł głowę, jakby chciał zobaczyć tych, którzy to powiedzieli. Potem spokojnym głosem zwrócił się do żołnierza przy trapie:

– Proszę wskazać dla moich ludzi pomieszczenia pod dachem. Mamy rannych, idziemy prosto z walki.

– Niestety...

Oficer nie pozwolił mu dokończyć.

– Prowadź, kurwa, do kabin! – Wyjął z kabury pistolet. – Moi ludzie mają spać w łóżkach!

Gdy ostatni zakurzony żołnierz przeszedł po trapie, angielscy marynarze rzucili cumy i statek odpłynął.

Klementyna poszła w stronę budynków portowych.

Wszędzie koczowali cywile. Dzieci siedziały na stosach tobołków, płakały niemowlęta, kobiety nerwowo przywoływały biegających chłopców. Kilka zakonnic rozdawało bułki z wiklinowego kosza i nalewało mleko do podstawianych garnuszków.

W hali dworca morskiego kłębił się tłum. Klementyna potykała się o walizki, pudła, nogi jakichś siedzących na podłodze ludzi. Nie doszła nawet do połowy hali, gdy zaczęła się bać, że tłum ją uduśi. Torując sobie drogę łokciami, przedarła się z powrotem. Stała przed budynkiem i głęboko oddychała.

– To nie Gdynia, tu nie ma jodu – usłyszała nagle.

Mężczyzna mniej więcej w jej wieku, w eleganckim letnim garniturze, patrzył na nią, mrużąc oczy.

– Jak pan zgadł, że jestem Polką?

– Ma pani przypiętą na plecaku odznakę Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego, choć nie wygląda pani na taterniczkę.

– To plecak mojego ojca.

– Czeka pani na niego?

Klementyna pomyślała o rodzicach i serce jej się ścisnęło.

Spojrzała na natręta. Nawet się nie przywitał ani nie przedstawił. Wyglądał jednak na osobę obrotną.

– Czekam na jakiś statek, który mnie stąd zabierze.

– Dokąd chciałaby pani popłynąć? Do Ameryki?

– Na razie do Anglii.

– Widzi go pani? – spytał, wskazując ręką.

Klementyna spojrzała na morze. Statek pasażerski z widocznym z daleka grubym kominem płynął na zachód.

– Tak. Ale chyba tutaj nie zawinie.

– To Lancastria. Wpłynie do estuarium Loary i zacumuje jakieś dziesięć mil stąd. Jutro po południu odpłynie do Liverpoolu.

– Skąd pan to wie?

Nie odpowiedział.

– Myśli pan, że weźmie także cywilów? – spytała po chwili.

– Przede wszystkim weźmie lotników z RAF-u, potem Brytyjczyków, Belgów, którzy czekają już od kilku dni, Holendrów, ale Polaków też. Mnie na przykład. Tylko psy są wykluczone.

Klementyna przypomniała sobie niemiecką tabliczkę na jednym z krakowskich sklepów: „Psom i żydom wstęp wzbroniony”.

– Nie pyta pani, dlaczego akurat psy?

– Boją się zawleczenia na Wyspy wściekliczyny.

– Ach! Mam do czynienia z osobą zorientowaną. Jest pani weterynarzem?



– Nie. Chirurgiem.  
– Wspaniale! Zapraszam panią do moich amerykańskich przyjaciół.  
– Dziękuję, ale nie mam czasu. Do widzenia!  
– Nie przyjmuje pani zaproszeń od nieznajomych. Rozumiem. Jestem Witek. A jak pani ma na imię?

– Wie pan wszystko, więc pewnie i to.

– Oczywiście, Rozamundo.

Mimo woli się roześmiała.

– Tak lepiej. Rozamundo, zjemy kolację u amerykańskich przyjaciół, a rano pojedziemy ich sanitarką tam, gdzie zacumuje Lancastria.

– Sanitarką? Co to za Amerykanie?

– Młodzi, wysportowani, uwielbiający futbol ochotnicy, których wysłał amerykański Czerwony Krzyż, żeby pomagali w ewakuacji rannych. Ponieważ jednak rannych tu nie ma, zajmują się myciem i polerowaniem swoich sanitarek, grają w piłkę albo boksują.

Dwóch wysokich jasnowłosych młodych ludzi w mundurach koloru khaki, z czerwonym krzyżem na rękawach i naramiennikach, stało przy pomalowanej na biało przyczepce samochodowej.

– *Hello*, Witek! – zawołali na ich widok.

Klementyna miała słabość do amerykańskiego akcentu.

– Jesteś Amerykanką? – spytali, gdy się przywitała.

– W połowie. Moja mama urodziła się w Bostonie.

Phil i Jack stacjonowali trzydzieści kilometrów od Saint-Nazaire, a do portu przyjechali po francuski autoklaw polowy. Pokazali Klementynie, jak działa i jak można sterylizować narzędzia podczas jazdy. Potem obejrzała wyposażenie sanitarki. Wszystko lśniło jak nowe.

– Używaliście jej kiedyś do przewozu rannych? – spytała.

– Jeszcze nie.

– Na razie przewiozą nas i skrzynkę szampana – powiedział Witek.

Gdy sanitarka ruszyła, spytał:

– A ty, Rozamundo, miałaś do czynienia z rannymi?

– Tak.

– We Francji?

– Nie. W Warszawie.

– Jesteś warszawianką?

– Nie. Wracalam z wakacji i wojna zaskoczyła mnie w Warszawie.

– Jak tam było?

– Jak było? – Zamyśliła się. – Dużo przypadków inop.

– Co to znaczy?

– *Inoperabilis*. Beznadziejnych.

Pierwszy ranny, przy którego operacji asystowała, miał trzewia pocięte odłamkami na drobne kawałki. „Tu nic nie da się zrobić. Zszyj go, ja biorę następnego”, powiedział operator. Potem nie było czasu nawet na gotowanie narzędzi. Całymi dniami opatrywała rannych, grzebiąc rękami we krwi i w ropie. Gdy zabrakło katgut, jedwabiu i lnu, zszywała rany przędzą do cerowania albo zwykłymi nićmi.

– A postrzał? Jakie się wtedy ma szanse?

– Zależy gdzie. Jeśli dostaniesz w kończynę, możesz się wykrwawić w ciągu dwudziestu minut. Strzał w środek tułowia łamie kości i rozrywa tętnice. A po trafieniu w głowę człowiek pada jak szmaciana lalka i umiera, zanim zdąży pomyśleć, co się stało.

– Nie jesteś optymistką, Rozamundo. W książkach inaczej piszą o wojnie.

– Szczególnie ci, którzy prochu nie wachali. Teoria ma skrzydła, praktyka i chirurg jedynie ręce.

Prócz karetek z załogą Amerykanie przysłali wyposażenie szpitala polowego. Z zazdrością oglądała sprzęt i narzędzia. Gdyby choć dziesiątą ich część miała w Warszawie! Było tu wszystko – nie

tylko do ratujących życie zabiegów w warunkach polowych, ale także do operacji ocznych, laryngologicznych, urologicznych.

Wzięła do ręki łyżkę Breisky'ego.

– Przewidujecie również operacje ginekologiczne?

Phil stanął w pasach.

– Ja jestem tylko sanitariuszem po trzymiesięcznym kursie.

– Widzę, Rozamundo, że jesteś pod wrażeniem – powiedział Witek po polsku. – Nie okazuj tego tak wyraźnie, bo jeszcze bardziej wbiją się w dumę i uwierzą, że mają wszystko.

– Nie pomyśleli o jednej rzeczy.

– O czym?

– O trumnach.

Phil i Jack zajmowali piętro w starym kamiennym domu. Wprost ze schodów wchodziło się do wielkiej kuchni z kominkiem, dalej były małe sypialnie w amfiladzie.

Po pierwszej butelce szampana Amerykanie powiedzieli „dobranoc” i znikli w swoich pokojach.

– Za drugą przegraną! – Witek uniósł kieliszek. – Żabojady dostały baty i wcale mi ich nie żal.

Z taką pogardą mówili, że Niemcy nas pokonali w pięć tygodni. Oni wytrzymali niewiele dłużej, choć mają Linię Maginota i nie musieli jak my walczyć na dwa fronty.

– Jeszcze się nie poddali – zauważyła Klementyna.

– Niedługo to zrobią. Wolą żyć na kolanach, niż zginąć na stojąco.

– Tak dobrze ich znasz?

– Mieszkam tu od dziesięciu lat.

– Czym się zajmujesz?

– Zarabianiem pieniędzy. – Uśmiechnął się. – A ty dobrze znasz Amerykanów?

Klementyna się zamyśliła.

– Nie – powiedziała w końcu.

– Skromna kobieta! Wybryk natury!

Otworzył kolejną butelkę.

– Za Amerykę! Oby jak najszybciej przyłączyła się do tej wojny.

– Myślisz, że to będzie wojna światowa? Tak jak Wielka Wojna?

– Jestem tego pewien, Rozamundo. Roosevelt najpierw zwietrzy w wojnie interes, tak jak go wyczuł w sowieckiej Rosji, a potem, gdy wojna się rozkręci, gdy na Amerykanów posypią się bomby, nie będzie miał innego wyjścia, jak się do niej przyłączyć.

– Interes w wojnie?

– Pomyśl, Rozamundo, ile stali będą mogły sprzedać amerykańskie huty, ile Roosevelt wyeksportuje węgla, ropy, broni, żywności. Wojna to złoty interes.

– Nie dla wszystkich.

– Masz rację, tylko dla niektórych. Takich jak ja. A czym się trudni twoja amerykańska rodzina?

Boston nie kojarzy mi się z niczym konkretnym.

– Handluje diamentami.

– Świetny fach! – zawołał z przesadnym żydowskim akcentem. – Wiesz, jak diamenty pójdą w górę? Jeśli musisz szybko sprzedać wszystko, co masz, i uciekać, to przecież nie będziesz brać walizki pieniędzy. Ale woreczek diamentów już tak.

– Jak się dostaniesz jutro na statek? – spytała, by zmienić temat.

– Wejdę po trapie. – Mrugnął do niej. – Napijmy się jeszcze. I daj mi rękę.

– Prosisz mnie o rękę?

– Zobaczymy. Lewą poproszę.

Rozprostował jej dłoń, pogładził ją, potem długo na nią patrzył.

– Dwóch mężczyzn. Pierwszego opuściłaś, ale będzie cię kochał aż do śmierci.

Chciała wyszarpnąć rękę, lecz chwycił ją mocniej.

– Jeśli popłyniesz do Anglii, będziesz musiała zrezygnować z chirurgii.

– Dlaczego? – spytała odruchowo, choć nie wierzyła w chiromancję.

– Nie wiem. Może nie dostaniesz pozwolenia na pracę, może nikt cię nie zatrudni, może wyjdiesz za mąż i on zabroni ci pracować. Lepiej zostań we Francji, ukryj się gdzieś na południu, ale nie nad morzem, bo morze ci nie sprzyja.

– Dlaczego miałabym się ukrywać?

Spojrzał na nią.

– To wiesz lepiej niż ja.

Wyrwała mu dłoń.

– A co powiesz o swojej przyszłości, jasnowidzu?

– Nie jestem jasnowidzem. Nawet gdybym był i ją znał, to i tak nie mógłbym przed nią uciec. –

Sięgnął po butelkę. – Napijmy się.

– Nie wierzę w chiromancję.

– Ja też nie.

– To po co ci była moja ręka?

– Może gdy chce się zajrzeć w przyszłość, łatwiej patrzeć na rękę albo w karty zamiast w oczy?

Obudziła się z wrażeniem, że zasnęła. Podniosła leżący na szafce nocnej zegarek – dochodziło południe. Szampan, wygodne łóżko i poprzednia noc spędzona w ciężarówce zrobiły swoje.

Szybko się ubrała i poszła do kuchni. Na stole leżała kartka.

*Droga Rozamundo,*

*Francuzi się poddali. Na wieść o tym nasi amerykańscy przyjaciele dali dyla.*

*Dziękuję za cudowny wieczór!*

*Witek*

*PS Chiromancja, wirujące stoliki i Marsjanie to bzdury. Ale zostań we Francji.*

Zmieniła kartkę i rzuciła ją na podłogę.

Phil i Jack znikli, tak jak Witek. Klementyna założyła plecak i ruszyła drogą w kierunku Saint-Nazaire. Miała przed sobą jakieś trzydzieści kilometrów i wiedziała, że Lancastria odpłynie bez niej.

„Anglicy przyślą inne statki. Teraz, kiedy mają nóż na gardle, gdy cały niemiecki impet skieruje się na nich, będą potrzebowali każdej pary rąk”, pocieszała się w myślach.

Dzień był upalny i po dwóch godzinach marszu pustą drogą usiadła na chwilę w cieniu, żeby odpocząć. Ledwie weszła między drzewa, na drodze pojawił się samochód. Minał ją, zanim zdążyła z powrotem wybiec na drogę.

Była u kresu sił, gdy znowu usłyszała motor. Stanęła na środku drogi.

„Niech mnie przejedzie, nie ruszę się stąd”, myślała.

Kierowca zahamował, otworzył drzwi i wychylił się z auta.

– Czy pani zwariowała?! – krzyknął. – Mogłem panią zabić!

– Muszę się dostać do Saint-Nazaire. Podwiezie mnie pan? Zapłacę.

– Nie musi mi pani płacić. Akurat tam jadę.

Otworzył tylne drzwiczki. Usiadła koło starszej pani w niemodnym kapeluszu i chustce na ramionach. Kobieta kołysała się do przodu i do tyłu, mamrocząc w kółko pod nosem: „Zwyciężyli, bo są silniejsi od nas”.

Gdy wysiadła koło portu, z głodu i pragnienia zakręciło jej się w głowie. Prócz filiżanki kawy od rana nic nie miała w ustach. Pod platanem stało kilka stolików przykrytych obrusami w kratkę. Usiadła przy jednym z nich. Po chwili podeszła do niej kelnerka.

- Poproszę szklankę wody. Co mogę dostać do jedzenia?
- Mamy zupełną jarzynową, wołowe ragoût, zieloną sałatę, brokuły i naleśniki.
- Poproszę wszystko.

Kelnerka odeszła, lecz za chwilę wróciła.

- Wszystko – powtórzyła z naciskiem Klementyna.

- Tak, wiem. Przyszłam zapytać, czy chce pani posłuchać przemówienia marszałka Pétaina.

Będzie mówił przez radio.

W restauracyjce wszystkie miejsca były zajęte. Kelnerka przyniosła Klementynie krzesło z zewnątrz, postawiła na stole dzbanek wody, potem talerz z zupą. Inni goście siedzieli nad szklaneczkami wina albo cydru, rozmawiając leniwie.

Gdy spiker zapowiedział orędzie marszałka Pétaina, wszyscy umilkli.

– Francuzi! Po rozmowie z prezydentem Republiki przyjmuję urząd premiera. Wyrażam podziw dla naszej armii walczącej z przeważającymi siłami wroga. W tych tragicznych chwilach myślę o nieszczęsnych uchodźcach zapełniających nasze drogi. Ze ściśniętym sercem oświadczam wam, że należy podjąć próbę przerwania walki. Zwróciłem się tej nocy do przeciwnika z prośbą, aby jeśli jest na to przygotowany, podjął razem ze mną, jak żołnierz z żołnierzem po honorowej walce, próbę znalezienia sposobu na położenie kresu działaniom wojennym.

Przemówienie trwało nie dłużej niż dwie minuty. Gdy się skończyło, Klementyna podeszła do kontuaru i zapłaciła za obiad, którego nie skończyła jeść. Stojąc już w drzwiach, odwróciła się twarzą do gości i powiedziała głośno:

– Teraz niemieccy oficerowie przybywający do Paryża mają przed sobą tylko jedną walkę: o lepszy stolik w kawiarni.

Szła do dworca morskiego i myślała, że jeśli Witek ma rację i wojna ogarnie cały świat, to może już nigdy nie zobaczyć rodziców, Teofila, Krakowa. Weszła do hali i usłyszała płacz.

„Są więc ludzie, którym wstyd za Pétaina i wcale się nie cieszą, że mogą się poddać”, pomyślała. Zaraz jednak usłyszała nazwę Lancastria.

- Co się stało? – spytała jedną ze szlochających kobiet.
- Niemcy zbombardowali Lancastrię. Zatonęła.
- A pasażerowie?!

Kobieta wyjęła chusteczkę i wysiąkała nos.

– Jeszcze nie wiadomo. Ale ze statku wyciekła ropa i się zapaliła. Niektórzy widzieli z brzegu płomienie.

– Podobno niemieccy lotnicy strzelali do rozbitków. Co za barbarzyństwo! – dorzuciła inna kobieta.

„Witek! Witek miał płynąć Lancastrią! Czy podczas ewakuacji robi się listę pasażerów?”, gorączkowo myślała Klementyna. Nagle przypomniała sobie, że nie zna jego nazwiska.

- Ktoś z pani bliskich był na statku? – spytała kobieta ze współczuciem.
- Miał nim płynąć mój znajomy.
- Moja kuzynka tam jest. Czekam, bo mają ogłosić komunikat.

Klementyna stanęła w kącie, oparta o ścianę.

Gdy do hali weszło trzech marynarzy, zrobiło się cicho. Ludzie wspinali się na palce, żeby ich lepiej widzieć.

- Oficjalny komunikat...
- Głośniej! Głośniej! – rozległy się okrzyki.

Za chwilę z megafonu rozszedł się pisk, a potem trzech mężczyzn po kolei przeczytało ten sam komunikat po francusku, angielsku i niderlandzku.

– Statek Lancastria, który wyszedł dziś z portu Saint-Nazaire, o piętnastej czterdzieści osiem został zaatakowany przez samoloty Junkers i zbombardowany. Statek przewrócił się do góry dnem i w ciągu dwudziestu minut zatonął w odległości pięciu mil morskich od Pointe de Chémoulin. Na statku było ponad sześć tysięcy pasażerów i trzystu siedemdziesięciu pięciu członków załogi. Mamy

wiadomość z trawlera Cambridgeshire, że wzięli na pokład dziewięciuset rozbitków. Na innych statkach ratowniczych znalazło się ich około dwóch tysięcy. Los pozostałych czterech tysięcy jest nieznanym.

Klementyna przedarła się przez tłum płaczących ludzi. Szła przed siebie jak automat. „Cztery tysiące – myślała. – Na Titanicu zginęło tysiąc pięćset”.

Kiedy się w końcu zatrzymała, nie wiedziała, gdzie jest. Po lewej stronie miała rzadki las, po prawej pola. Jak okiem sięgnąć nie było domów ani ludzi. Tylko bury kot czaił się na wróble dziobiące coś na skraju pola. Okolica wydała się jej nieprzyjazna i kiedy pomyślała, że będzie musiała spać pod gołym niebem, pożałowała, że nie wsiadła na Lancastrię.

„Szkoda, że nie jestem wróblem. Mogłabym stanąć przed tym kotem i poprosić: »Zjedz mnie i niech się to wszystko skończy!«”.

Uklękła na skraju drogi i się rozplakała.

Nie podniosła głowy, gdy usłyszała zatrzymujący się samochód.

– Bardzo przepraszam – powiedział ktoś po francusku z wyraźnym angielskim akcentem. – Czy wszystko w porządku?

Spojrzała na natręta w świeżutkim letnim garniturze i błyszczących butach. Uśmiechał się nieśmiało. Jego jasnorude włosy lśniły w słońcu.

Ogarnęła ją złość.

– Nie widzisz, głupku, że jestem nieszczęśliwa?

Przestąpił z nogi na nogę, przełknął ślinę.

– Bardzo przepraszam. Nie wiem, czy panią dobrze zrozumiałem. Nie mówię zbyt dobrze po francusku.

– Zapytałeś, to odpowiadam – odrzekła po angielsku. – Nic nie jest w porządku.

Stał i gapił się na nią. Chyba nie był przyzwyczajony do takiej otwartości.

– Koniec przedstawienia. – Wyjęła z kieszeni chusteczkę, wytarła oczy, wysiękała nos. – Czuję się świetnie. Może pan jechać.

Nie ruszył się z miejsca.

– Widziałem panią w kawiarni. Dobrze im pani powiedziała. Jest pani odważna.

„Jestem głupia”, pomyślała Klementyna.

– Niepotrzebnie się odzywałam. To nie ich wina, że mają takiego marszałka.

– Ich. Oni go uwielbiają. Pani nie jest Francuzką?

– Nie.

– Hiszpanką?

– Polką.

– Polką? – Zamyślił się.

– Polska to taki mały kraik wciśnięty między Niemcy a Rosję.

– Ja jestem Szkotem. I wiem, gdzie leży Polska. – Uśmiechnął się. – Marszałek Piłsudski, Kraków, zabory, caryca Katarzyna.

– O! Dlaczego Kraków, a nie Warszawa?

– Jeden z moich przodków, Thomas Burnett, wyemigrował do Polski w siedemnastym wieku i osiedlił się w Krakowie. Gdy Szwedzi najechali Polskę, opowiedział się po ich stronie, ale potem król Jan Kazimierz uwolnił go od kary.

Powiedział „Jan Kazimierz” po polsku. Wzruszyło to Klementynę.

– Tak jak wy walczyliśmy o niepodległość i wiemy, że prymitywniejszy, ale większy sąsiad zawsze rozepchnie się łokciami i przy pierwszej okazji zdepcze mniejszego. Nasz poeta Thomas Campbell, który założył Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski, napisał: „*And Freedom shrieked as Kosciuszko fell*”.

– „A Wolność krzyknęła, gdy upadł Kościuszko” – powtórzyła w zamyśleniu. – Jestem Klementyna Zabierzeska. – Wyciągnęła dłoń.

– Aidan MacKay. – Pocałował ją w rękę.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Zrobiłem coś nie tak? Widziałem na filmach, że tak witają się Polacy.  
– No właśnie, Polacy, nie Szkoci. – Uśmiechnęła się. – To było miłe. Czy moglibyśmy mówić sobie po imieniu?  
– Będę zaszczycony.  
Wskazała czarnego citroëna.  
– Twój? – spytała.  
– Mojego stryja. Ma dom na Riwierze i zaprosił mnie na wakacje. A co ty robisz we Francji, Klementyno? Mieszkasz tu czy uciekłaś z Polski?  
– Uciekłam.  
– Jak?  
– Przez zieloną granicę.  
Oczy mu zabłyśły.  
– Uwielbiam takie historie.  
– To nie była zabawa, tylko walka o życie.  
– Przepraszam.  
– Co zrobisz, gdy Niemcy zajmą Francję?  
– Wrócę do domu.  
– Zaciągniesz się do wojska?  
Znów się uśmiechnął.  
– My nie idziemy na ochotnika. Ale jestem kawalerem i na pewno mnie powołają. Nie będę się uchylał.  
– Jak się dostaniesz do Szkocji?  
– Myślałem o statku, ale po tym, co się stało...  
Przypomniała sobie o Lancastrii i znów ścisnęło ją w gardle.  
– Ja też chciałam nią płynąć. – Nie był już taki sztywny, jak na początku rozmowy, i dodała: – Jestem z Krakowa.  
– Ja z Caithness. Mieszkam koło Thurso.  
– Na końcu świata. Dalej są już tylko Orkady, prawda?  
– Polacy są dobrze wykształceni. Żaden Francuz z niczym nie kojarzy tych nazw.  
– Moja ciotka mieszkała kiedyś w Cromarty Park, niedaleko Inverness.  
– Mieszkała? Przeniosła się do Polski?  
– Umarła.  
– Współczuję ci.  
– To było dawno temu.  
Przestąpił z nogi na nogę.  
– Masz jakiś plan? – zapytał. – Uciekłaś i co dalej?  
– Chcę się dostać do rodziny ciotki, do Cromarty Park.  
– To jedziemy w jedną stronę. Może cię podwieźć?  
Uśmiechnęła się.  
– To daleko. I nie dojedziemy tam autem.  
– Wiem.  
– A jaki ty masz plan?  
– Samolot z Lizbony. Portugalia jest neutralna i Niemcy tam nie wkroczą.  
– Jak to daleko stąd?  
– Jakieś tysiąc mil. Dwa dni drogi.  
– Jest wojna.  
– No to trzy.  
– Nie wiedziałam, że Szkoci są takimi optymistami.  
– Optymistami? Po prostu nie przejmujemy się byle czym. Pojedziesz ze mną? Byłoby mi bardzo miło.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.  
– Przy drodze do Nantes.  
– Znasz jakiś skrót do La Rochelle albo Bordeaux?  
– Do La Rochelle jest ponad sto mil. Nie dojedziemy przed nocą. Przez Loarę nie ma skrótów, a przy mostach mogą być kolejki. Pierwszeństwo ma wojsko.

Zastanowiła się chwilę.

– Jedźmy do Nantes i tam przenocujemy, a jutro zobaczymy, co dalej.

Aidan nie miał wprawy w prowadzeniu auta po prawej stronie drogi. Kilka razy chciała mu zaproponować, żeby zamienili się miejscami, lecz bała się go urazić.

– Świetnie trzyma się drogi – powiedziała, gdy ściał kolejny zakręt.

– To gangstalimuzine, ulubiony samochód gangsterów. Ma przedni napęd, dobry rozkład masy i nie trzeba zwalniać na zakrętach.

– Kiedyś miałam fiacika pięćset osiem. Ojciec jest patriotą i kupuje tylko polskie auta.

– Myślałem, że fiaty są włoskie.

– Tak, ale my też je produkujemy, na licencji.

– Umiesz prowadzić?

– Uwielbiam.

– Moglibyśmy się zmieniać, gdybyś ze mną pojechała.

W jego głosie pojawiła się nuta przymilności i Klementyna zeszywniała. Nie wyglądał na wariata, ale był od niej o głowę wyższy i na pewno silniejszy.

– Czym się zajmujesz? – spytała, by zmienić temat.

– Na razie niczym.

– Nie pytam o wakacje, tylko w ogóle.

– Poluję, jeżdżę konno, bywam na przyjęciach.

Roześmiała się.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

– Nie jesteś. Po prostu jeszcze nie zdecydowałem, czym się zajmę.

Spojrzała na niego, próbując ocenić, ile ma lat.

– Trzydzieści dwa. O to chciałaś spytać, prawda? – Uśmiechnął się do niej. – Zawsze ciągnęło mnie w świat i gdy skończyłem studia... Tak, tak, studiowałem. – Znów się uśmiechnął. – Skończyłem prawo i ojciec, który zasiada w Izbie Lordów, od jakiegoś czasu namawia mnie na kandydowanie w wyborach do Izby Gmin.

– Jesteś synem lorda! Ho, ho! – wyrwało się Klementynie.

– Tylko młodszym synem. Zapasowym. Mój brat odziedziczy wszystko: tytuł, majątek, dom. Należy mu się. Regi to świetny gość! Pasuje do Izby Lordów. Polityka to raczej nie dla mnie i pomyślałem, że mógłbym pracować u stryja we Francji.

– Podoba ci się tutaj?

– Bardzo. Lubię ciepłe kraje.

Klementyna przypomniała sobie przeciągi w szkockich domach, śnieg długo leżący na szczycie Ben Macdui, lodowate strumienie.

– Tylko że teraz to bez znaczenia – ciągnął. – Najpierw musimy wygrać wojnę.

– A po wojnie?

– Nie wiem. Wojna zawsze zmienia świat. Po niej nie da się wrócić do starych kolein.

„Obyś miał rację! Żeby Teofil wrócił z niej do mnie, nie do Bisi!”

Spędzili noc w hotelu w Nantes. Gdy Klementyna zeszła na śniadanie, Aidan już siedział przy stoliku, pił kawę i przeglądał gazetę.

– Co piszą o Lancastrii? – spytała. – Wydrukowali listę pasażerów?

– Nie ma o niej ani słowa. – Podał jej gazetę.

Nerwowo ją przejrzała. Może coś przeoczył? Chociaż trudno nie zauważyć listy kilku tysięcy nazwisk.

– Dlaczego nic nie napisali?  
– Cenzura – westchnął. – Nie chcą osłabiać morale.  
– A rodziny tych, którzy utonęli?  
– Dostaną zaadresowany na maszynie list z wiadomością, że ich bliski zginął w wyniku operacji wojskowej.

Straciła apetyt, zmusiła się jednak do przełknięcia croissanta.

– Nie smakuje ci? – spytał z troską.  
– Nie jestem głodna.  
– To weź jednego na drogę. Zatrzymamy się dopiero na obiad. Niemcy idą szybko, a wolałbym się z nimi nie spotkać.

Ucieszyła się, że nie zmienił zdania i chce ją zabrać.

Gdy mijali bagna w pobliżu Niort, opowiedziała mu, jak utknęła w zabitej deskami wsi, gdzie nikt nie chciał jej sprzedać nic do jedzenia, i jak ubłagała dowódcę polskiego oddziału, który akurat tam się zatrzymał, żeby pozwolił jej wsiąść do ciężarówki.

– A jak się dostałaś do Francji?

– Statkiem ze Splitu.

– Split? Gdzie to jest?

– W Jugosławii.

– Jugosławia... – Rozmarzył się. – Opowiedz mi o tym, proszę! Cały czas podróżujesz sama? Naprawdę jesteś odważna!

Pomyślała o Teofilu. Czy dopłynął już do Syrii? Ogarnęła ją taka tęsknota, że nie mogła złapać tchu.

– Co się stało? Zbladłaś. Źle się czujesz? Może się zatrzymać?

– Nie. Zaraz mi przejdzie.

– Mamy trzy mile do La Rochelle. Zatrzymajmy się na lunch. Może chcesz pójść na spacer?

– Aidan, naprawdę nic mi nie jest. Szkoda czasu na wjeżdżanie do miasta. Napijmy się czegoś w przydrożnej gospodzie.

Minęli La Rochelle. Droga prowadziła wzdłuż wybrzeża i Klementyna mogła patrzeć na wodę błyszczącą jak rybia łuska.

– Ostatnie wakacje przed wojną spędziłam nad morzem – powiedziała. – Pojechałam z rodzicami nad Bałtyk. Wyobraź sobie złote piaszczyste plaże ciągnące się kilometrami, niebieskoszare morze bez gwałtownych przypliwów i odpływów, muszelki i bursztyny na brzegu, pachnące żywicą sosny, borówki, poziomki i grzyby w lesie...

– Byłaś tam szczęśliwa, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Czym zajmuje się twój ojciec? – spytał.

– Handluje nieruchomościami. Dobrze mu idzie, choć nie kształcił się na handlowca. Skończył paryską politechnikę.

– Szkoła francuskich prezydentów i noblistów – zauważył z podziwem. – Carnot, Poincaré, Poisson.

– Interesujesz się naukami ścisłymi?

– Nie. Przypominam sobie wszystko, co wiem, bo chcę zrobić na tobie wrażenie.

– Udało ci się. – Zaśmiała się i ucisk w piersiach zelżał. Może kiedy dojedzie do Cromarty Park, będzie tam na nią czekał list od Teofila? Nagle zaczęło jej się spieszyć. – Właściwie to nie chce mi się pić. Może byśmy się zatrzymali gdzieś koło Bordeaux, nie tutaj?

– Jak wolisz – zgodził się.

Ogarnęła ją wdzięczność dla tego rudowłosego, szarookiego zapasowego syna lorda, marzącego jak chłopiec o przygodach w szerokim świecie.

– Wiesz, jak jest po węgiersku pianino? – spytała.

– Chyba we wszystkich językach nazywa się podobnie?



– Nie po węgiersku. Tam to jest *zongora*. A minuta?

– To z łaciny, więc wszędzie tak samo.

– *Perc*. A trzy?

– To także z łaciny.

– *Három*.

Roześmiał się.

– Węgierski też znasz?

– Nauczyłam się paru słów, gdy byliśmy w Budapeszcie. – Urwała.

Nagle poczuła ochotę, by opowiedzieć Aidanowi o Teofilu. Chciała wymawiać jego imię, przypomnieć sobie, jak to było, gdy obok niego się budziła i zasypiała.

– Uciekłam z Krakowa w kwietniu. – Przestraszyła się, że Aidan zapyta, dlaczego uciekła, bo w środku dnia, patrząc na niebieskie morze, nie mogłaby mówić o tych strasznych rzeczach, które tam się działy. – To znaczy uciekliśmy. Teofil i ja.

Lubiła wypowiadać na głos jego imię. W swoim pokoju często to robiła, jakby był obok i mógł odpowiedzieć.

– To twój mąż?

Zawahała się. Po co jednak miałyby kłamać? Za kilka dni rozstanie się z Aidanem i nigdy więcej go nie zobaczy. Był jak nieznajomy w pociągu.

– Jeszcze nie. Ale pobierzemy się, gdy tylko wojna się skończy.

„I gdy Bisia zgodzi się na rozwód. A jeśli nawet się nie zgodzi, to i tak będziemy razem”, dodała w myśli.

– Nie nosisz pierścionka zaręczynowego – zauważył.

Pomyślała o pierścionkach, które miała zawieszane na łańcuszku na szyi. „Nie, lepiej nie kusić losu”.

– Nie noszę – odrzekła i wróciła do opowieści. – Znaleźliśmy przewodnika, który przeprowadził nas przez góry na Słowację.

Przypomniała sobie dzień spędzony w szałasie w Dolinie Cichej i poczuła, jak napinają się jej sutki. Mimowolnie westchnęła.

– Było ciężko? – spytał Aidan.

– To też. Granicy pilnują Niemcy ze specjalnie tresowanymi psami, a po słowackiej stronie Gwardia Hlinki. Ale wiesz, było też pięknie. Widziałeś kiedyś kwitnące szafrany?

– Raz, w Hiszpanii, całą plantację.

– To wyobraź sobie podobne fioletowe kwiatki, tylko ładniejsze, rosnące dziko na górskiej łące, na której leżą jeszcze resztki śniegu.

Na chwilę zamknęła oczy i przywołała obraz krokusów kwitnących w Dolinie Olczyskiej. Znow westchnęła.

– No więc przeszliśmy przez Tatry, a po słowackiej stronie odnaleźliśmy gajowego, który pomaga Polakom przedzierającym się na Węgry. Poczęstował nas gorącą zupą. Nigdy nie jadłam lepszej. – Przełknęła ślinę.

– Widzę, że powinniśmy się zatrzymać na lunch. Jesteś głodna?

– Nie, ale wtedy byłam. Ján Hlava, bo tak się nazywał, zawiózł nas na stację w Popradzie, kupił bilety, wsadził do pociągu, polecił opiece znajomego konduktora. Narażał się dla nas, choć byliśmy całkiem obcy. Byłeś kiedyś w prawdziwym niebezpieczeństwie?

– Raz, kiedy moja kuzynka uznała, że powinniśmy się pobrać.

– Nie żartuj.

– Przepraszam. Myślisz o zagrożeniu śmiercią? Nie, nie byłem.

– W takiej chwili się okazuje, jaki kto jest naprawdę. – Przypomniała jej się Lancastria. – Wiesz, że na Titanicu oficerowie zastrzelili kilkunastu mężczyzn, którzy próbowali się wdrzeć do szalup przed kobietami i dziećmi?

– Nie wiedziałem. W ogóle nie wyobrażam sobie czegoś takiego.

– A jeśli takie niebezpieczeństwo trwa nie godziny, lecz miesiące, to ludzie stają się źli, egoizm bierze górę, a inni, słabsi, nagle się starzeją, ich oczy tracą blask, ruchy robią się niepewne. – Klementynie stanęła przed oczami matka, której przez osiem miesięcy okupacji przybyło z dziesięć lat. – Za to naprawdę dobrzy nie przestają tacy być. Mój ojciec kocha góry i kiedyś był wytrawnym turystą. Mógłby pójść ze mną, ale nigdy by nie zostawił mamy. Udało mi się uciec, a teraz ich muszę wydostać. – Klementyna spuściła głowę.

– Chciałbym ci pomóc.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Ale dlaczego? – spytała. – Przecież jestem dla ciebie obca.

– Już nie. – Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. – Pytałaś tego gajowego, czemu wam pomaga?

Pokręciła głową.

– No widzisz. I co było dalej?

– Z Popradu pojechaliśmy pociągiem do Kysaku na granicy węgierskiej. Przez te dwie godziny udawaliśmy, że śpimy, żeby nikt nas nie zagadnął. Umówiliśmy się, że w razie czego będziemy odgrywać Anglików. Ja mam brytyjski paszport.

– Co takiego?

– Dostałam go od mamy Teofila. Jest w nim wklejona moja fotografia. Nie zdziw się, jeśli się przedstawię jako Victoria Attkins.

– Masz fałszywe dokumenty? – Ze zdziwienia otworzył szeroko oczy. – Coraz lepiej.

– Granicę słowacko-węgierską też musieliśmy przejść nielegalnie. Jest tam las bukowy. Najpierw przebiegaliśmy od drzewa do drzewa, potem czołgaliśmy się pod krzakami... Okropnie się bałam, że nas złapią i zabiją. Gdyby nie Teofil, chyba bym zawróciła. Na szczęście noc była deszczowa, wiał wiatr, nie natknęliśmy się na żaden patrol. Udało nam się. Ale gdybyś nas zobaczył, gdy o świcie wyszliśmy z lasu po węgierskiej stronie! Ubłoceni jak nieboskie stworzenia! W dole błyszczały światła Koszyc. Nie wyobrażasz sobie, jakie to wrażenie, gdy po miesiącach życia w zaciemnionym mieście widzi się morze światła.

Zapatrzyła się w dal. Znow była na błotnistej drodze, a Teofil mocno trzymał ją za rękę.

– Nagle zobaczyliśmy kobietę. Stanęła jak wryta i uniosła dłoń, tak jakby chciała się przeżegnać. Myślałam, że już po nas, że zacznie krzyczeć i zaalarmuje policję. Tymczasem machnęła do nas i zawróciła. Poszliśmy za nią. Zaprowadziła nas do swojego domu, pozwoliła się umyć, oczyścić ubranie. Była Słowaczką.

– Jak to?

– Półtora roku wcześniej te tereny zaanektowali Węgrzy, rewanżując się Słowakom, którzy zaraz po wojnie światowej zajęli Koszycę i włączyli je do Czechosłowacji.

– Okropnie to skomplikowane.

– Masz rację. Chciałabym dożyć chwili, gdy w Europie nie będzie granic.

– Stany Zjednoczone Europy?

– Czemu nie?

– I co było dalej?

– Słowaczka powiedziała, żebyśmy u niej poczekali, i wyszła z domu. Bałam się, że nas wyda. Teofil jednak jej wierzył, uspokajał mnie, że dobrze jej z oczu patrzy. Wróciła po jakiejś godzinie i zaprowadziła nas do Polskiego Czerwonego Krzyża. Okazało się, że jest to także tajny punkt przerzutowy polskich żołnierzy do Francji.

– Jak w filmie szpiegowskim!

– Prawie. Po kilku dniach, gdy zebrało się kilkunastu uciekinierów takich jak my, wyekspediowali nas koleją do Budapesztu.

– Przecież Węgry są sojusznikiem Hitlera!

– Tak, tylko że *Lengyel Magyar két jó barát*.

– Co to znaczy?

– Polak, Węgier, dwa bratanki. W Budapeszcie dowiedziałam się, że na początku wojny Węgrzy odmówili przepuszczenia wojsk niemieckich, które miały zaatakować Polskę od południa. Nigdy nie zapomnę...

Klementyna urwała. To było zbyt osobiste – małe mieszkanie przy cichej uliczce w Budzie, balkon z widokiem na Dunaj, skrzynki z pelargoniami, zapach bzu i rezedy. Pięć dni w oazie po przewędrowaniu pustyni.

– Mama mnie uczyła, że nie wolno niczego brać od obcych, a jeśli coś się bierze, to trzeba zapłacić. Ale tam nikt nie chciał wziąć pieniędzy. Byliśmy wśród przyjaciół, którzy nie litowali się nad nami, tylko nam współczuli.

Zamilkła.

Zbliżali się do Bordeaux. Przed mostem nad Garonną stał długi wąż samochodów.

– Pójdę zobaczyć, co się tam dzieje – powiedział Aidan.

Zanim zdążył wysiąść, do ich auta podszedł francuski żołnierz, zasalutował i spytał, czy mają przepustkę na wjazd do miasta.

– Przepustkę? – zdziwił się Aidan.

– Wjazd mają tylko mieszkańcy i osoby z przepustką. Proszę zawrócić.

Skierowali się więc na Floirac. Znaleźli most, przejechali na drugą stronę Garonny.

– Zapraszam cię na lunch – powiedział Aidan. – Wypatruj jakiegoś miłego miejsca.

Zatrzymali się w małym miasteczku, usiedli w cieniu kasztanowca przy polakierowanym na niebiesko stole. Kelnerka przyniosła świeży obrus i karafkę wina.

– *Long live Scotland!* – Klementyna uniosła kieliszek.

– Jesteśmy blisko Arcachon. Tam jest piękna piaszczysta plaża, może taka jak nad Bałtykiem. Zatrzymajmy się na nocleg – zaproponował Aidan.

– Jest dopiero druga.

– Jakie to ma znaczenie?

„Takie, że nie jesteśmy na wakacjach”, pomyślała Klementyna.

– Chciałabym jak najszybciej dotrzeć na Wyspy. Może się rozdzielimy?

– Nie ma mowy.

Po lunchu ruszyli w dalszą drogę.

Klementyna patrzyła na spokojne wsie i miasteczka, nietknięte wojną, i przypominała sobie Budapeszt, radosnych, wolnych ludzi, neony, jasno oświetlone wystawy, tak kontrastujące ze smutnym, zaciemnionym Krakowem. W rodzinnym mieście wydawało się jej, że cały świat zamarł, tymczasem gdzie indziej ludzie żyli sobie spokojnie, niezagrożeni łapanką, wywózką, aresztowaniem.

W wagonie trzeciej klasy, którym jechali z Budapesztu do granicy jugosłowiańskiej, kurczowo trzymała Teofila za rękę. Miała dziwne przeczucie, że coś ich rozłączy i już nigdy się nie zobaczą. Oboje milczeli, wiedząc, że w pasie przygranicznym roi się od niemieckich szpicli, którzy polują na uciekinierów.

Wysiedli na stacji w Barcs. Prócz nich w pociągu było dziesięciu Polaków. Przewodnik zaprowadził ich do jakiegoś pustego magazynu i jeszcze raz się upewnił, że wszyscy są dobrymi pływakami. Mieli pokonać wplaw granicę na Drawie.

Ciemną nocą czekali w rzadkim zagajniku w czteroosobowych grupach, aż przewodnik da im znak. Wąskie tratwy były zamaskowane trzcina i gałązkami. Klementyna i Teofil mieli iść w pierwszej grupie.

Na znak przewodnika chwycili tratwę, pobiegli na brzeg i zanurzyli się w wodzie. Klementyna błogosławiła światła po jugosłowiańskiej stronie, bo wskazywały im drogę. Nurt nie był rwący, ale Drawa była szeroka. Czyjś plecak zsunął się z tratwy do wody. Teofil zrobił taki ruch, jakby chciał po niego zanurkować, na szczęście zrezygnował.

Prąd znosił ich na wschód i Klementynie się wydawało, że nigdy nie dopłyną do drugiego brzegu. Dotknęła piaszczystego dna tak nagle, że boleśnie wykręciła kostkę. Stłumiła jęk. Głos po wodzie niesie się daleko.

Mieli przed sobą łąkę porośniętą niskimi krzakami. Jeszcze przez chwilę kucali w wodzie, potem chwycili plecaki, puścili tratwę z nurtem, kilkoma susami dopadli krzaków i przycupnęli jak zające.

Klementyna czekała na serię z karabinu i krzyki rannych. Wokół jednak panowała cisza.

Każdy wziął swój plecak. Mężczyzna, którego bagaż utonął, zaklął cicho.

Teofil wskazał rząd ciemnych drzew. Pochyleni, pojedynczo do nich dobiegli. Dopiero wtedy Klementyna poczuła, że drży z zimna i ze strachu i że boli ją wykręcona kostka.

Nagle usłyszeli strzał, potem drugi i trzeci. Mieli iść na miejsce zbiórki w pięciominutowych odstępach, lecz dwaj mężczyźni jak smagnięci batem zerwali się do biegu i znikli w ciemności.

Klementyna i Teofil przypadli do ziemi. „Chodźmy”, szepnął jej do ucha, gdy strzały się nie powtórzyły. Syknęła, kiedy stanęła na bolącej nodze. „Co się stało?” „Skręciłam kostkę”. Zawiesił swój plecak na ramieniu i się pochylił. „Wskakuj”.

Przypomniała sobie jego ciepło, jego zapach, dotyk jego włosów.

– Wszystkim udało się przepłynąć Drawę? – spytał Aidan.

– Jedna czwórka nie dotarła na miejsce zbiórki. Przewodnik, który tam na nas czekał, powiedział, że musiała zawrócić, bo zauważył ją patrol. Na granicy żołnierze strzelali bez ostrzeżenia, na szczęście nikogo nie trafili.

– I co było dalej?

– Rozkolektanym autobusem dojechaliśmy do Zagrzebia. Tylko z daleka zobaczyłam stare miasto na wzgórzu i wieże katedry, bo zaraz ruszyliśmy dalej, do Splitu.

Siedziała w przedziale przytulona do Teofila i była szczęśliwa. Za oknem kołysały się palmy, różowiły bugenwille, błyszczał Adriatyk, a ona wyobrażała sobie, że wojna się skończyła i są w podróży poślubnej.

– Myślałam, że jeszcze kilka tygodni spędzimy razem, tymczasem w Splicie dowiedzieliśmy się, że Niemcy najechali Francję, że wojskowi mają się kierować do Turcji, Grecji albo Syrii i że w porcie stoi statek do Tartusu.

Gdy Teofil wszedł na trap i potem, gdy statek powoli odbijał od nabrzeża, całą siłą woli musiała się powstrzymać, żeby nie wskoczyć do wody i nie popłynąć za nim. Drogę do Marsylii przepłakała w swojej kabinie. Kiedy zeszła na francuski ląd, pierwsze zdanie, które usłyszała, brzmiało: „O, przypłynęli Polacy. To z powodu ich korytarza i Gdańska musimy teraz cierpieć”.

– Teofil popłynął do Syrii, a ja po dwóch dniach też wsiadłam na statek, tyle że do Francji – westchnęła.

Dojeżdżali do Bajonny. Aidan zaproponował, żeby zostali tam na noc, ale Klementyna chciała jechać dalej. Ledwie minęli miasto, zobaczyli żołnierzy zatrzymujących samochody.

– Chyba jakiś wypadek – powiedział Aidan.

Żołnierz otworzył drzwiczki od strony kierowcy.

– Proszę wysiąść – powiedział.

– Co się stało?

– Rekwirujemy ten samochód. Proszę zabrać swoje bagaże.

– Przecież to zwykła grabież! – włączyła się do rozmowy Klementyna.

– Nie, proszę pani. Czasowa rekwizycja mienia cywilnego na cele wojskowe.

– A więc grabież.

– Ile mamy do hiszpańskiej granicy? – spytał żołnierza Aidan.

– Czterdzieści kilometrów.

– Musimy poszukać noclegu – powiedział Aidan, gdy już szli drogą wśród wzgórz.

– To moja wina. Gdybyśmy się zatrzymali w Bajonnie, nie straciłbyś auta i jutro moglibyśmy jechać dalej.

– Mówiłem ci, że to samochód stryja. Żałuję tylko, że nie zobaczyłem, jak prowadzisz.

Ściemniło się, gdy dotarli do jakichś domów. Pukali do drzwi, ale nikt im nie otworzył.

– Chyba będziemy musieli spać pod gołym niebem – powiedział Aidan. – Może chodźmy na plażę?

– Dobrze.

Francuskie miasteczka na południu trudno odróżnić od większych wsi. I tu, i tam kamienne domy stoją w skupisku, a w centrum na placu toczy się życie towarzyskie. Placyk jednak był pusty.

Ruszyli kamienną uliczką. W jednym z domów zza drewnianych żaluzji sączyło się słabe światło. Klementyna zobaczyła błysk szyldu, ale było za ciemno, żeby przeczytać, co na nim napisano.

– Może to gospoda? – powiedziała.

– Jeśli nawet, to zamknięta na głucho.

Zapukali raz i drugi.

Ktoś otworzył okno nad ich głowami.

– Dziś zamknięte – powiedział kobiecy głos.

– Szukamy noclegu. Bardzo prosimy, niech nas pani wpuści – błagała Klementyna.

Okno zamknęło się ze stukiem. Już mieli ruszyć dalej, gdy szcękniętą zamek i w smudze światła z otwartych drzwi pojawiła się jakaś postać.

– *Madame* Martin zaprasza – usłyszeli.

Wnętrze było przesycone zapachem tytoniu i tanich perfum. Aidan spojrział na Klementynę.

– To burdel – powiedział bezgłośnie.

– Uciekinierzy? – Jasnowłosa kobieta w jedwabnym szlafroku, stojąca u stóp wyłożonych pluszowym chodnikiem schodów, zmierzyła ich wzrokiem.

– Tak – odrzekła Klementyna. – Ja przed dwoma miesiącami uciekłam z Polski. Aidan jest Szkotem. Chcemy się dostać na Wyspy.

– Jesteście głodni?

– Bardzo.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Podoba mi się pani – powiedziała.

Skinęła na dziewczynę, która otworzyła im drzwi.

– Chantal, daj państwu coś do jedzenia.

– Tak, *Madame* Martin.

Chantal zaprowadziła ich do kuchni, nalała wody do miednicy, żeby mogli umyć ręce, postawiła na stole szklanki, wodę, wino, chleb.

– Proszę! – Wskazała stół.

Za chwilę do kuchni weszła Arabka, powiedziała „dobry wieczór”, rozdmuchała ogień w piecu, przesunęła na środek blachy jakiś garnek.

– Zaraz będzie zupa – rzekła. – Jestem Maritte.

– A ja Klementyna. Co się pani stało?

Arabka otarła wierzchem dłoni krew sączącą się z nosa.

– Nic. Tylko odkąd tu przyjechałam, to znaczy od miesiąca, stale mi się leje krew.

– Była pani u lekarza?

– Tak. Zbadał mnie, dał krople, ale nie pomogły.

– Coś jeszcze pani dolega?

– Kaszel. I trochę mnie boli lewe ucho.

– Pozwoli mi się pani zbadać?

– Jesteś lekarzem? – spytał Aidan.

– Tak.

Klementyna wyszorowała ręce, poprosiła o więcej lamp naftowych, obejrzała nos i uszy Maritte. Nie znalazła nic poza skrzepami i świeżą krwią. Nagle przypomniała sobie opowieść lekarza, który w Algierii znalazł w krtani pacjenta coś, czego nigdy by się tam nie spodziewał.

– Piła pani przed przyjazdem tutaj surową wodę z rzeki albo jeziora?

– No pewnie.

– Muszę zbadać pani gardło. To nie będzie przyjemne.

– Krew kapiąca z nosa też nie jest przyjemna. Trudno mi pracować.

Klementyna przechyliła jej głowę, wyciągnęła język i włożyła palec najdalej, jak się dało, aż do sklepienia gardła. Tuż za języczkiem znalazła to, czego szukała: miękki, owalny, ruchomy twór.

– Potrzebuję szczypczyków, jak najdłuższych – powiedziała do *Madame* Martin, która przyglądała się badaniu.

*Madame* skinęła na jedną z dziewcząt.

– I jakiegoś alkoholu do odkażenia – dodała Klementyna.

Polała szczypczyki whisky i wsunęła je do gardła Maritte. Odczepiła pijawkę i podniosła ją do światła.

– Picie surowej wody może się źle skończyć – rzekła, pokazując ją Arabce. – W algierskich rzekach jest pełno larw i pasożytów.

– Co to jest? Pijawka? Niewiarygodne! – zawołała *Madame* Martin.

– Krwawienie z nosa do jutra powinno ustać – powiedziała Klementyna do Maritte.

– Dziękuję! Jak mogę się pani odwdziaczyć?

– Jesteśmy głodni – uśmiechnęła się Klementyna.

Gdy potem siedzieli w salonie, pijąc wino, rozmawiając z *Madame* i słuchając, jak jedna z dziewcząt gra na pianinie, Aidan pogłaskał kaszmirowy szal, który Klementyna zarzuciła na ramiona.

– Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. To kolory mojego kiltu – szepnął.

– Czuję się trochę jak w nowojorskiej piwnicy, w której Murzyni grają jazz – powiedziała po francusku, jakby go nie słysząc.

– Lubi pani jazz? – spytała *Madame*.

– Bardzo, bo czuje się w nim swobodę. Podobają mi się falujące biusty Murzynek, czarni muzycy w kapeluszach, zadymiona spelunka, burbon w grubych szklankach.

– Umie pani cieszyć się życiem. To rzadka umiejętność. – *Madame* Martin poklepała Klementynę po ręce. – Anette, zaśpiewaj naszą ulubioną piosenkę – zwróciła się do szczupłej brunetki, która nie odrywała oczu od Aidana.

Dziewczyna dygnęła, usiadła przy pianinie.

*Le fils du jardinier était là, trois fleurs il m'a donné,*

*La rose, la bleue, la violette radieuse,*

*Et le rouge, rouge rosier...*

*Mais le rosier j'ai refusé.*

*Et le saule pleureur, j'ai gagné,*

*Le monde entier saura désormais*

*Combien mon amour m'a blessé...*

– O czym ona śpiewa? – cicho spytał Aidan.

– O nieszczęśliwej miłości. „Syn ogrodnika przyszedł raz i kwiaty trzy mi dał, różowy, modry, fioletowy, i piękny róży krzak. Lecz ja nie chciałam róży wziąć i pod wierzbą zostałam, by cały świat zobaczył, jak miłość mnie oszukała”.

\*

– Dlaczego nie napisałeś, że wybierasz się do Londynu? – spytała, gdy już siedzieli w taksówce i jechali do Kew Gardens.

– Bo tego nie planowałem. Ojciec źle się poczuł i mama wezwała mnie telegraficznie.

– Co się stało?

– Stracił przytomność, upadł w łazience i złamał biodro. Ma się już całkiem dobrze, tylko nie znosi bezczynności i bywa zgryźliwy.

– Powinien...

– I tak by pani nie posłuchał, pani doktor – wszedł jej w słowo. – To uparty staruszek. Ale jest pod dobrą opieką. Mama zaangażowała pielęgniarkę i sama też nie odstępuje go na krok.

– Wracasz do Cape Town?

– Odpływam za pięć dni. Miałem nadzieję, że spędzimy ten czas razem. Ty też nie pisałaś, że jedziesz do Szkocji. Co z twoją pracą w szpitalu? Rzuciłaś ją w końcu?

– To raczej ona mnie rzuciła. Zwolnili mnie miesiąc temu.

– Ach! To stąd ten wyjazd! Jesień w Szkocji... Wysoka woda, wichury i deszcz... Ale to właśnie wtedy przylatują z Grenlandii bernikle, przyplływają stada delfinów, łososie szybują nad rzekami jak latające ryby...

Mówił coraz ciszej, twarz mu pojaśniała. Wyciągnęła rękę i lekko uściśnęła jego dłoń.

Zamknął ją w swojej i już nie wypuścił.

– Cóż, jestem tylko młodszym synem, a młodsi synowie zostają duchownymi albo ruszają w świat szukać szczęścia. Czasami zazdrościłem bratu, że ma wytyczoną prostą drogę, ale dziś bym się z nim nie zamienił.

– Znalazłeś szczęście w szerokim świecie?

Uśmiechnął się, podniósł jej rękę do ust i pocałował.

– Przyjechaliśmy – powiedział.

W ogrodach Kew były tłumy. Ludzie przechadzali się pod czerwonymi i złotymi klonami, brązowymi dębami, miedzianymi bukami. Na trawnikach uwijały się wiewiórki, zakopując żołędzie w sekretnych schowkach, dzieci zbierały kasztany.

Aidan schylił się i dotknął zielonej murawy.

– Duszą Anglii jest trawa – powiedział. – Jesień to taka kojąca pora.

Klementyna spojrzała na krąg czerwonych liści pod sumakiem.

– Czas śmierci. Liście muszą umrzeć, by drzewo przetrwało.

– Trzeba zrobić miejsce dla nowego życia. – Ujął ją za rękę. – My przetrwaliśmy zimę świata, czy to nie cud?

– Tylko co dalej?

– Jak to co? Po zimie jest wiosna. Widziałaś kiedyś łąny przebiśniegów w ogrodzie Cambo w Szkocji? Kwitnące tarniny, pola niebieskich dzwonek?

– Jak to możliwe, że wojna prawie cię nie zmieniła?

– Byłem sztabowcem – uśmiechnął się. – Stacjonowałem co najmniej kilkanaście kilometrów od pierwszej linii, pracowałem pod dachem, a po smacznej kolacji w kasynie i kieliszku koniaku kładłem się do całkiem wygodnego łóżka, które mi ścielił ordynans. Na wojnie nie ma sprawiedliwości. Jedni mogą się wyspać, inni całą noc leżą na deszczu albo pod ogniem nieprzyjaciela.

Świat nie był urządzony sprawiedliwie ani w czasie pokoju, ani w czasie wojny. W czterdziestym siódmym roku Klementyna poszła do Ogniska Polskiego w Londynie na pokaz filmu dokumentalnego o okupacji, po którym kilkoro cudem ocalonych Żydów opowiadało o życiu w getcie i ukrywaniu się po aryjskiej stronie. Opowieści były dramatyczne, lecz bardziej wstrząsnęło nią to, co po paru kolejkach whisky powiedział jeden z gości: gdy w getcie jedni umierali z głodu i zimna na ulicy, inni bawili się w kabaretach, restauracjach i burdelach. Śpiewały tam najlepsze żydowskie piosenkarki, do tańca grali wirtuozi, szampan lał się strumieniem. A gdy nadchodził koniec, biedni wsiadali do bydłych wagonów i jechali do komór gazowych, bogatych zaś stać było na cyjanek.

– Wejdziemy? – spytał Aidan, zatrzymując się przed wejściem do palmiarni.

– Tęsknisz już za palmami?

– Chciałbym, żebyś kiedyś zobaczyła mój ogród...

Urwał. Opalona twarz nagle zszarzała, źrenice się rozszerzyły.

Klementyna odruchowo chwyciła go za ramię. W tej samej chwili poczuła smród gnijącego

mięsa.

Zaraz za progiem palmiarni stała kolejka ludzi trzymających przy twarzy chusteczki. Chcieli z bliska obejrzeć ustawiony w głębi dwumetrowy kwiat, z którego plisowanej cielistej korony wylaniała się fioletowa kolba przypominająca zniekształcony fallus. Na stojącej przy drzwiach tablicy ktoś napisał kredą: „*Amorphophallus titanum*. Na Sumatrze roślina osiąga 7 m wysokości. Zapyłające ją chrząszcze i muchy wabi zapachem padliny. Kwitnie bardzo rzadko i jedynie 2–3 dni. Jeszcze tylko dziś”.

– Obejmij mnie – poprosił, gdy już usiedli na ławce, z dala od palmiarni i gigantycznego kwiatu.

Siedzieli tak, przytuleni, i patrzyli na rozległy trawnik, rabaty z późnymi różami, brzozy, których drobne żółte liście drgały w popołudniowym wietrzyku.

– Ten odór przypomniał mi Włochy – powiedział cicho Aidan. – Z Amerykanami, Nowozelandczykami i Algierczykami przez prawie cztery miesiące szturmowaliśmy ufortyfikowany przez Niemców klasztor na wzgórzu, a potem ruiny, które z niego zostały. Niemcy nas odparli i wtedy posłano tam Polaków, Gurkhów oraz Marokańczyków. To były jatki. Na wzgórzu leżały tysiące trupów. Gdy wiatr zawiął od tamtej strony, smród był taki, że aż dusiło.

Przytuliła go mocniej.

– Pociski leciały ze wszystkich stron. Było ich tyle, że czasem zderzały się w powietrzu i wybuchały. Kanonada ustawała tylko wtedy, gdy któraś strona ewakuowała rannych. Z miasteczka Cassino widziałem przez lornetkę, jak jeden z żołnierzy wysunął z ruin białą chorągiew ze znakiem Czerwonego Krzyża, a potem wyszedł przed bunkier i machał nią, stojąc w słońcu. Modliłem się w duchu, żeby nie trafiła go kula. Gdy obie strony przestały strzelać, z ruin bunkra wyszedł sanitariusz z flagą Czerwonego Krzyża, za nim ośmiu innych z rannymi na noszach. Schodzili ścieżką wzdłuż zbocza. Na dole zostawili nosze z rannymi, wzięli puste i znów zaczęli się wspinać po poboju. Ledwie znikli wśród ruin, kanonada rozpoczęła się na nowo. Wiesz, co było najokropniejsze? Że gdy ucichły karabiny maszynowe, zaczął śpiewać jakiś ptak.

Klementyna wyobrażała sobie, że to Teofil był na miejscu tamtego żołnierza, machał flagą, gdy wokół świszczały kule, i dziękowała Bogu, że pozwolił mu przeżyć i wrócić do niej.

– Nasz obóz był kilkanaście kilometrów od Cassino, w zielonej dolinie, którą przecinała wąska rzeczka. Grały świerszcze, nad łąką fruwały motyle. Usiadłem przed namiotem i piłem, dopóki się nie upiłem.

Ciałem Aidana wstrząsnął dreszcz.

Pogłaskała go po głowie.

– Ciii... To już przeszłość.

– Nie, to teraźniejszość. Gdy Polacy zdobyli klasztor i wywiesili na ruinach najpierw proporzycy swego pułku ułanów, a potem biało-czerwoną flagę, Anglicy zażądali, by powiesili także brytyjską. Zrobili to, ale po swojemu: zatknęli ją u stóp masztu z polską flagą.

Klementyna przypomniała sobie polskich lotników, uśmiechniętych od ucha do ucha, w czasie wojny niemal noszonych przez Anglików na rękach. A potem napisy „*Poles go home*”, które pojawiły się na murach, ledwie umilkły działa, oraz cierpkie uwagi robione na każdym kroku: „Nikt was tu nie potrzebuje”, „Po co tu jeszcze siedzicie? Dla nas samych brakuje chleba”, „Powinniście wracać, odbudować wasz kraj. Tu już nie macie nic do roboty”.

Mimo to powiedziała:

– Każde rozsądne państwo, jeśli już musi prowadzić wojnę, powinno walczyć rękami innych i myśleć przede wszystkim o własnym interesie. Szkoda, że my tak nie potrafimy.

– Czytam teraz o historii Polski i wschodniej Europy wszystko, co mi wpadnie w ręce. I widzę, że dla Anglików Polak to *kaffir*, czarnuch, tak jak kiedyś Szkot. Wiesz, że nasza historia jest podobna? Tak jak Polskę Niemcy i Rosjanie, tak nas najechali Anglicy. Ukradli nam Kamień Przeznaczenia, szkocki kamień koronacyjny, tak jak wam Prusacy ukradli królewskie korony. My też wznieciliśmy powstania i przegrywaliśmy je, a bitwa pod Culloden zmieniła się w rzeź szkockich klanów...

Klementyna przestała słuchać. Miała dość rozmów o zdradzie Zachodu, o Jałcie, o Lloydzie George'u, który w dwudziestym roku, gdy Sowieci dochodzili na przedpola Warszawy, planował



konferencję pokojową w Londynie i oddanie bolszewikom całej wschodniej Polski, co ćwierć wieku później zrobił Churchill.

Patrzyła na dzieci z zapalem zbierające kasztany i wyobrażała sobie, że siedzi na ławce na Plantach, a jasnowłosy chłopczyk w rudym sweterku, zielonych spodenkach na szelkach, w opadających podkolanówkach jest jej synkiem. Wróć do domu, zjedzą podwieczorek z Teofilem, a potem z jeszcze wilgotnych kasztanów o połyskliwej brązowej skórce będą robić ludziki i rude krówki w białe łąty.

– ... ilekroć żołnierze wszczynali kłótnię, od razu ktoś strzelał do lamp, światła gasły i w półmroku Polacy, Kanadyjczycy i Amerykanie zgodnie tłukli Bogu ducha winnych Anglików, za to tylko, że byli aroganckimi Brytolami.

Klementyna w zamyśleniu spojrzała na Aidana.

– To już przecież sześć lat, jak skończyła się wojna. Czemu ludzie nie mogą przestać o niej mówić i myśleć? W naszej kuchni dwóch byłych żołnierzy bez przerwy zdobywa Bredę. Oczy im błyszczą, tak jakby wojna mogła być piękna. Ja oddałabym wszystko, żeby jej nie było.

– Oni pewnie też, choć w tamtej chwili byli bohaterami. Świetnie ich rozumiem. Gdyby nie było wojny, nigdy bym nie pojechał do Afryki, a przede wszystkim nie poznałbym ciebie. Nasza wędrówka francuskimi i hiszpańskimi drogami to najpiękniejszy czas w moim życiu. Wiele bym dał, żeby się powtórzyła.

Otworzyła usta, ale nie zdążyła wydobyć głosu.

– Błagam, nie przerywaj mi, bo stracę odwagę i nie powiem tego, co już od dawna chcę ci powiedzieć. Przyjechałem na wezwanie mamy, ale przyjechałbym tak czy inaczej. Nie mogę bez ciebie żyć. Wyjechałem, gdy wrócił Teofil, ale od tamtej pory minęło pięć lat. Gdyby żył, na pewno byłby przy tobie. Żaden mężczyzna by cię nie opuścił. Klementyno, tak bardzo cię kocham. Proszę, wyjdź za mnie.

Przygryzła wewnątrz policzka, żeby się nie rozplakać.

– Wiem, to powinno wyglądać inaczej. Chciałem ci się oświadczyć dziś w restauracji...

– Nie o to chodzi. Bardzo cię lubię. Za bardzo, żeby za ciebie wyjść.

– Lubisz mnie? Moja kochana! Najukochańsza!

Nachylił się i pocałował ją. Najpierw leciutko w policzek, potem przyciągnął ją bliżej i poszukał wargami jej ust.

Oddała mu pocałunek. To już nie miało żadnego znaczenia.

– Boże! Jednak marzenia się spełniają! Pragnąłem cię pocałować od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem. Wciąż pamiętam, jak stoisz w drzwiach tej francuskiej knajpki i rzucasz żabojadom w twarz, że są tchórzami.

Patrzyła w jego śmiejące się oczy. Powinna powiedzieć mu prawdę. Tylko co to właściwie jest prawda? Czy ktoś w ogóle to wie?

– Zaraz nas stąd wyrzucą za obrazę moralności – powiedziała.

– Niech tylko spróbują. Zobaczą, jak potrafi walczyć Szkot w obronie damy swego serca. Klementyno, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!

– Dziwiłam się, że tam, we Francji, mnie z sobą wzięłeś. Nie byłam dla ciebie zbyt miła.

– To za mało powiedziane! – roześmiał się. – Byłaś zaprzeczeniem wszystkiego, co kojarzyło mi się z kobietami z mojej sfery: ciemnowłosa i czarnooka, żywiołowa, naturalna i bezpośrednia, za nic mająca konwenanse. W dodatku patrzyłaś na mnie z góry. To był istny szok. Nigdy nie spotkałem kobiety takiej jak ty.

– Naprawdę?

Czytając jego listy, czuła, że Aidan ma kogoś w Cape Town. Nie był kochliwy i czasem się zastanawiała, kim jest ta kobieta.

Aidan zmieszał się lekko.

– Skoro jesteś już prawie moją narzeczoną, nie będę kłamać. Była pewna dziewczyna. Mulatka. Miała na imię Mbali, co w języku plemienia jej matki znaczy „róża”. Przypominała mi ciebie. Była żywiołowa i niczego się nie bała. Idziemy na herbatę? Zaszło mi w gardle z emocji.

– Co się z nią stało?

– Z Mbali?

Pokiwała głową.

– W zeszłym roku jej matka poprosiła mnie o posag dla Mbali. Zdecydowali się wydać ją za mąż za jakiegoś Zulusa. Dałem im pieniądze i obie wyjechały.

– Zraniła cię tym?

– Skądże. Taka jest kolej rzeczy w Afryce, jeśli ktoś, tak jak ja, nie gustuje w domach publicznych. *À propos*, pamiętasz przybytek *Madame Martin*?

Klementynie stanęła przed oczami jasnowłosa właścicielka burdelu, która ich przenocowała, gdy nikt inny nie otworzył im drzwi.

– Pamiętam, jak niezręcznie usiłowałeś się wymigać od spędzenia nocy z tą ładną brunetką, która nam śpiewała piosenkę o zawiedzionej miłości.

– Dlaczego niezręcznie? Przecież mi się udało!

– Z wyniosłą miną powiedziałaś: „Wolę zasłużyć na miłość kobiety, niż za nią płacić”. O mało nie parsknęłam śmiechem.

– Powiedziała wtedy coś o płaceniu za miłość. Pamiętasz?

– „Zawsze się płaci. Różnica jest tylko jedna: u nas cennik wisi na ścianie”.

– Wiesz, Klementyno, to cudowne, że mogę z tobą tak rozmawiać. Jak z najbliższym przyjacielem.

– Zawsze będę twoją przyjaciółką. Tego nic nie zmieni.

Alejką przeszedł dozorca w szarym uniformie, od czasu do czasu potrząsając dzwonkiem.

– Zamykają – powiedział Aidan. – Nie napijemy się herbaty. Ale pójdziesz ze mną na kolację, prawda? A może zostaniesz w Londynie jeszcze kilka dni? Czy w ogóle musisz jechać do Cromarty Park? Najlepiej by było...

– Muszę – przerwała mu Klementyna.

Rozejrzała się wokół. Słońce zachodziło, dzieci znikły, spacerowicze kierowali się w stronę bram ogrodu.

– Przejdźmy się jeszcze tą aleją – poprosiła. – Pamiętam, że tam gdzieś rośnie lipa.

Mijali klomby chryzantem, kępy rudbekii i nowoangielskich astrów, potem grabowy żywopłot, za którym rozciągała się łąka fioletowa od zimowitów. Klementynie ścisnęło się serce – przypomniała sobie krokusy, które w czterdziestym roku widziała w Tatrach.

Gdy prawie straciła nadzieję, a dzwonki dozorców stawały się coraz bardziej natarczywe, zobaczyła wyniosłe drzewo okryte popękana korą. Górne gałęzie były już nagie, na dolnych żółciły się sercowate listki. Puściła rękę Aidana, podeszła i przytuliła się do pnia.

– Co robisz? – zapytał.

– Słowianie wierzą, że dotknięcie lipy uzdrawia.

– Myślisz o swojej ręce? – spytał cicho.

– Nie. O duszy.

\*

Teofil nie zgodził się, żeby Bisia pojechała z nimi do Zakopanego. Odprowadziła ich tylko do końca lipowej alei.

– Do widzenia, kaczuszko. – Pocałował żonę. – Niedługo wojna się skończy i znów się zobaczymy.

– Wracaj jak najszybciej – powiedziała cicho.

Klementyna widziała łzy w jej oczach.

„Zrobię wszystko, żebyś jak najmniej cierpiała, choćbym do końca życia miała się nim z tobą dzielić”, pomyślała, ściskając ją na pożegnanie.

Na krakowskim dworcu były częste kontrole, postanowili więc jechać z Kalwarii i czekał ich teraz kilkukilometrowy spacer na stację.

„Dlaczego mamy się wymykać o świcie, ukradkiem, jak złodzieje? – spytała Klementyna, gdy

planowali wyjazd. – Przed służbą i tak nic się nie ukryje”. „Tak samo jak przed chłopami – uśmiechnęła się Olga. – Ale musimy zaznaczyć, że chcemy utrzymać ten wyjazd w sekrecie. Oni wszyscy doskonale to zrozumieją”.

Klementyna nic już nie powiedziała. Było jej zresztą wszystko jedno, czy pójdzie pieszo, czy też pojedzie furmanką albo koleją. Wyruszała w podróż z Teofilem! Tylko to się liczyło.

Szli w dół ścieżką między modrzewiami. Na czerwonych gałązkach zieleniły się młode igiełki. Pod białymi krzakami tarniny kwitły pierwiosnki, zawilce i fiołki. Klementyna odetchnęła głęboko.

Przecieli łąkę nad strumieniem, żółtą od kaczeńców, przeszli przez kamienny mostek i zaczęli się wspinać drogą, na której końcu czerniał las.

Na polach nie było żywego ducha. Nawet krowy nie pasły się jeszcze na łąkach.

– Maślanki. – Teofil wskazał fioletowoniebieskie kwiatki o pierzastych listkach. – W dzieciństwie pierwsze bukiety dla mamy zawsze robiłem z nich i z kaczeńców.

Zatrzymali się pod lasem i odwrócili w stronę Olszynki. Stojący w połowie przeciwległego wzgórza dwór było widać jak na dłoni. Szyby połyskiwały czerwono, zorzą odbitą od wschodzącego słońca.

Klementyna patrzyła na daleką lipową aleję, sad, oranżerię, ogród warzywny.

– Jak twoja mama poradzi sobie z tym wszystkim, teraz, gdy wasz ogrodnik nie wrócił z wojny?

– Nie znasz mamy. Jeśli będzie trzeba, sama chwyci sekator albo grabie. O uprawie ogrodu wie wszystko. Chodź, pokażę ci coś.

Wszedł między leszczyny. Za nimi był pas gęsto rosnących świerków, a gdy się przez nie przedarli, stanęli na małej polance.

– To moje sekretne miejsce. Latem jest tu czerwono od poziomek.

– Ktoś jeszcze je zna?

– Tylko Bisia, a teraz ty. Pamiętaj, to tajemnica.

– Nie wygadaj nikomu, słowo harcerza.

– Byłaś harcerką?

– Nie. Nigdy nie czułam pociągu do dyscypliny ani do munduru.

Uśmiechnął się.

– Tak myślałem. Wyobrażam sobie ciebie w łazience z porcelanową wanną i w wygodnym łóżku, nie pod namiotem i kąpiącą się w strumieniu.

– To wcale mnie nie znasz. Jest we mnie amerykański pionierski duch.

Na stacji Klementynie wydawało się, że ich ciężkie górskie buty i sportowe czapki zwracają powszechną uwagę. W miarę jak pociąg zbliżał się do Zakopanego, pojawiało się w nim jednak coraz więcej podobnie wyglądających młodych ludzi.

Klementyna zaszyła angielski paszport w wewnętrznej, prawie niewidocznej kieszonce plecaka. Używanie go w Polsce, gdzie zawsze mogło się zdarzyć, że spotka znajomego, rozpozna ją dawna koleżanka albo jakiś pacjent, uznała za niebezpieczne.

Dawno nie była w tych stronach. Siedziała na drewnianej ławce, przyciśnięta do okna, i czekała na moment, gdy zza pokrytych lasem wzgórz wyłoni się poszarpany łańcuch Tatr. W końcu pociąg wtoczył się na wzniesienie i wtedy je zobaczyła. Westchnęła mimowolnie. Dotknęła kolana siedzącego naprzeciwko niej Teofila i ruchem głowy wskazała okno. Góry stały na swoim miejscu, nieporuszone, monumentalne, obojętne na toczącą się wojnę. Białe szczyty lśniły w wiosennym słońcu.

Teofil spojrzął na nią ze zdziwieniem. Tak, dobrze wiedziała, że nie przyjechali tu, żeby podziwiać widoki, ale nie mogła od nich oderwać oczu.

Na zakopiańskim dworcu kilku granatowych policjantów sprawdzało dokumenty przyjezdnych przy wyjściu z peronu. Klementyna zobaczyła ich już z wagonu, gdy powoli przesuwiała się w tłumie, idąc korytarzem do drzwi. Nie nosiła opaski z gwiazdą Dawida, czarne loki miała ukryte pod czapką, a ten sam specjalista, który zmienił zdjęcie w paszporcie, przerobił imię matki w jej dowodzie osobistym i była teraz córką Zygmunta i Doroty. Wiedziała jednak, że jej ciemna karnacja i czarne oczy o kształcie

migdałów mogą wzbudzić podejrzenia. Niewiele myśląc, weszła do pustego już przedziału, wyjęła z plecaka góralską chustkę, zieloną w czerwone róże, i włożyła ją na głowę zamiast czapki.

Zeszli na peron i się rozdzielili. Teofil ruszył w kierunku granatowych, Klementyna wmieszała się w tłum góralek, których szerokie spódnice zasłaniały jej sportowy strój.

– Uf! – westchnął Teofil, gdy wyszedł przed stację i zobaczył czekającą na niego Klementynę. – Muszę przyznać, że się przestraszyłem. Ty za to nie tracisz zimnej krwi.

Objął ją i przytulił.

Klementyna zamknęła oczy. „Trzymaj mnie tak i nigdy nie puszczaj”.

Do tej pory myślami chyba był w domu, przy Bisi. Niewiele się odzywał, starał się nawet na nią nie patrzeć. Teraz ujął jej dłoń i wsunął sobie pod ramię.

– Pojedziemy do Kościeliska. Znają mnie tam od małego, na pewno nam pomogą.

Podeszli do kilku czekających na podróżnych bryczek.

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków.

– Zawieziecie nas, gazdo, do Kościeliska, do Leśniaków?

– A do ftórych?

– Do Urszuli Leśniak, na Wojdyłówkę.

– Znocie ich?

– Z Władkiem od małego chodziłem po górach i jeździłem na nartach.

– Władek Orsulcyn, hej!

Góral strzelił z bata i ruszyli.

Klementyna czuła ciepło Teofila, po lewej widziała Tatry, po prawej Gubałówkę, oddychała górskim powietrzem, w którym woń śniegu i mokrej ziemi mieszała się z ostrym zapachem wywiezionego na kamieniste poletka gnoju. Pod kocem, którym mieli przykryte kolana, poszukała dłoni Teofila i lekko ją uściśniła.

Spojrzał zdziwiony, a wtedy ruchem głowy wskazała szaro-białe góry, jak narysowane piórkiem na niebieskim papierze.

– Ech, ty niepoprawna romantyczko!

To nie miało nic wspólnego z romantyzmem, po prostu była szczęśliwa. Gdyby nie wojna, która wszystko wytrąciła z utartych torów, nigdy by tak nie jechała, z dłonią w jego dłoń.

Jak kiedyś, gdy w Juracie po raz pierwszy wzięła go za rękę i pierwszy raz pocałowała, pomyślała: „Dotykam cię w ciemności. Nie widzi nikt”.

Została w bryczce, gdy Teofil poszedł kamienistą ścieżką do małego drewnianego domu.

Wrócił po dziesięciu minutach.

– Władek jest na słowackiej stronie – powiedział cicho. – Pojedziemy do jego krewnych, na Skibówki.

Woźnica zawrócił konia i po półgodzinie pukali do góralskiej chaty. Usłyszeli szuranie drewnianej zasuw, później skrzyp otwieranych drzwi.

– Dzień dobry – powiedział Teofil. – Czy można kupić sera owczego?

Klementyna zagryzła wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Tak – odrzekł poważnie młody góral. – Ale proszę do środka.

– To mają być tajne hasła? – mruknęła pod nosem Klementyna. – Dziecko by się zorientowało, o co chodzi.

Z mrocznej sieni weszli do niewiele jaśniejszej izby.

– Siednijcie se. – Góral wskazał drewniane zydle przy stole. – Głodniście?

Klementyna pokiwała głową. Dochodziło południe, a ona od świtu nie miała nic w ustach.

Góral się uśmiechnął.

– A jakie hasło pani by wymyśliła? – spytał, przechodząc z gwary na najczystsą polszczyznę.

Zastanowiła się. „Dzień dobry, czy zastałam Władka? Dzień dobry, czy pan przeprowadza uciekinierów na Słowację? Niech będzie pochwalony, czy w górach zakwitły już krokusy?”

– Ma pan rację. Wszystko, co się powie w takiej sytuacji, brzmi podejrzenie albo nie ma sensu. Jestem Klementyna Zabierzeska.

– Jędrzek Stopka.

Przesunął rondel z brzegu blachy na środek pieca, zdjął z półki dwa garnuszki i dwa talerze, z kredensu wyjął okrągły chleb i miskę z białym serem.

Gdy Teofil opowiadał Jędrkowi o swojej znajomości z Władkiem Leśniakiem, Klementyna zajadała chleb z serem, popijając ciepłym mlekiem. Miała wrażenie, że młody góral patrzy na nią z powątpiewaniem. Pewnie się zastanawiał, czy kobieta tak inna od krzepkich góralek nie będzie w drodze ciężarem.

– Przez Czerwone Wierchy albo Zawrat byłoby wam trudno, bo wszędzie leży śnieg. Jakiście nie są zmęczeni, możemy iść jeszcze dziś, najpierw do Bustrzyckich na Gąsienicową, potem przez Liliowe do Doliny Cichej. Dalej pójdziecie już sami. – Jędrzek jeszcze raz zmierzył wzrokiem Klementynę.

– Szliście kiedy tą drogą?

Klementyna i Teofil spojrzeli po sobie.

– Byłam z ojcem w Murowańcu, tylko że w lecie. Wtedy to był prawie spacer.

– Jeśli można, to idźmy już dziś – powiedział Teofil.

Wyjął portfel i położył na stole dwa banknoty pięćdziesięci dolarowe.

„Pięćset złotych – pomyślała Klementyna. – Więcej niż moja przedwojenna pensja. Ale czy dość za narażanie życia?”

– Za przeprowadzanie do Sikorskiego nie biorę pieniędzy.

– Nie chciałem pana obrazić...

– Jędrzek. Mówmy sobie ty.

– Jędrzek, ja nie idę do Sikorskiego, tylko do rodziny w Anglii – odezwała się Klementyna. – Teofil i ja jesteśmy lekarzami w szpitalu Świętego Łazarza w Krakowie. Kiedy wojna się skończy, a ty albo ktoś z twoich bliskich będzie potrzebował chirurga, to możesz na nas liczyć. Ale teraz, bardzo proszę, weź te pieniądze. Nie za gościnę ani za przeprowadzenie nas przez granicę, tylko dlatego że jest wojna. Może ci się przydadzą albo kogoś nimi wesprzesz.

Jędrzek milczał chwilę, potem wyszedł z izby.

– Obraził się? – spytał Teofil.

– Mam nadzieję, że nie. Może poszedł się pomodlić, żebyśmy nie ustali w drodze. Pyszny ser, spróbuj.

Gdy Teofil dojadał swoją kromkę, wrócił Jędrzek z naręczem ubrań.

– Podjedziemy furmanką sąsiada, dokąd się da. Będzie szybciej, sił zaoszczędzicie, no i Niemcy mniej sprawdzają miejscowych.

Kierpce były na Teofila za małe i został w swoich górskich butach, ale w białych portkach, czusze i kapeluszu wyglądał prawie jak góral. Klementyna włożyła sięgającą ziemi spódnicę, haftowany serdak, korale, na głowie zawiązała swoją chustkę, a drugą, większą, zarzuciła sobie na plecy.

– Krucafuks! Ślicnopikna z ciebie baba! – powiedział Teofil.

Usiedli na wypchanych sianem workach na dnie furmanki. Jędrzek i jego sąsiad zajęli miejsce na koźle.

Jechali, omijając centrum, przez Księży Las i Żywczańskie, potem dawną górniczą drogą aż pod Boczań. Wóz kołysał się na kamieniach i przy każdym przechyle Teofil mocno ją obejmował. Klementyna patrzyła na szumiący potok, na krokusy rozkwitające na halach i chciała, żeby ta droga nigdy się nie skończyła.

– Stąd na Gąsienicową są jakieś dwie godziny marszu – powiedział Jędrzek, gdy zsiadli z wozu.

Klementyna zdjęła spódnicę, serdak i chustę, ale zostawiła sobie korale. Chciała jeszcze choć przez chwilę być góralką.

Jędrzek sięgnął po plecak Klementyny i zarzucił go sobie na plecy. Swoją niósł na ramieniu.

Szli w kilkunastometrowych odstępach, Jędrzek na przodzie, za nim Klementyna, na końcu Teofil. W razie jakiegoś niebezpieczeństwa Jędrzek miał dwa razy zakaszleć, potem przyklęknąć, jakby

chciał poprawić kierpce, a wtedy oni mieli wskoczyć w kosówkę i nie wychodzić, dopóki nie usłyszą trzykrotnego kasznięcia.

Klementyna starała się dotrzymać kroku przewodnikowi, choć ciężko jej się szło po śliskich kamieniach. Zamiast, jak nakazywał zdrowy rozsądek, cały czas patrzeć pod nogi, co chwila spoglądała to w dolinę, to ku Giewontowi. W połowie upłazu ciaśniej owinęła głowę chustką i przygarbiła się, bo chwilami zrywał się wiatr i uderzał, tak jakby chciał ją zrzucić z odsłoniętej ścieżki.

Po godzinie stanęli na Karczmisku. Klementyna, starając się nie sapać, w milczeniu patrzyła na oświetlone słońcem szczyty i ukryte w cieniu doliny.

Teofilowi też odebrało mowę. Tylko Jędrak równym głosem, bez śladu zadyszki, powiedział, wskazując na góry:

– Orla Perć, Kościelec, Kozi Wierch, Granaty, Żółta Turnia. Stąd już niedaleko do schroniska, jakieś pół godziny.

Kiedy Klementyna szła tędy z ojcem, droga z Karczmiska zajęła im prawie dwie godziny, bo co chwila stawali, żeby napawać się widokiem.

Było wpół do trzeciej, gdy Klementyna zobaczyła w oddali kamienne ściany i wieżyczkę Murowańca. Odetchnęła głęboko.

„Gorąca herbata i kawałek ciasta”, pomyślała.

W tej samej chwili Jędrak zakaszał głośno i przyklęknął.

Klementyna jak kozica skoczyła w kłujące krzaki. Rozpłaszczyła się na mokrej ziemi. Serce waliło jej jak oszalałe. Minęła długa chwila, zanim się odważyła wyjrzeć zza iglastych gałęzi.

Ich przewodnik stał na ścieżce i rozmawiał z jakimś wyrostkiem. Teofila nie było widać.

Jędrak zawrócił i gdy był blisko kryjówki Klementyny, trzy razy zakaszał.

Nieufnie wystawiła głowę.

– Chodźcie. – Jędrak machnął ręką. – To chłopak od Bustrzyckich. Są u nich Niemcy. Idą od Świnickiej do Kuźnic. Mamy szczęście, że się zatrzymali na sznapsa, bo inaczej natknęlibyśmy się na nich tutaj. Czekają na drugi patrol, który idzie od przełęczy Liliowe.

– Przekiekamy czy pójdziemy inną drogą? – spytała Klementyna. – Da się ominąć Murowaniec?

– Pewnie, że się da. – Jędrak się uśmiechnął. – Pójdziemy na Suchą Przełęcz koło Kasprowego. Stamtąd też można zejść do Cichej. Dacie radę? Droga nie jest trudna, ale przeważnie odkryta i musimy szybko iść.

Klementyna sięgnęła do swego plecaka, który Jędrak niósł tak, jakby nic nie ważył.

– Mam czekoladę i rodzyнки. To nam doda sił.

Przełamała tabliczkę czekolady na trzy części, nasypała wszystkim po garści rodzynek.

Zeszli z drogi.

„Kto chadza na skróty, ten w domu nie nocuje”, przypomniało się Klementynie.

Jędrak szedł szybko, oglądając się od czasu do czasu, czy za nim nadążają. Po jakimś czasie znów wyszli na ścieżkę.

Z początku Klementyna z zachwytem patrzyła na okrągłe stawki i wygrzewające się przy nich traszki, na Kasprowy Wierch i podwójny czub Świnicy, potem widziała już tylko kamienie i śnieg pod nogami, a gdy podniosła głowę – plecy Jędraka.

Akurat gdy pomyślała, że nie da rady zrobić następnego kroku, Jędrak się zatrzymał.

– To granica. Tam jest Krywań. – Wyciągnął rękę. – A tam Liptowskie Kopy w Cichej Dolinie.

– Odpocznijmy chwilę – wydyszała Klementyna.

– Nie powinniśmy tu stać. Widać nas z daleka. Grenzschatze jeszcze siedzą u Bustrzyckich, ale po słowackiej stronie granicy pilnują hlinkowcy, niektórzy gorsi od Szwabów.

Gdy zeszli trochę niżej, Jędrak jeszcze raz ogarnął spojrzeniem góry, potem wyjął z plecaka trzy długie czerwone linki.

– Obwiążcie się nimi w pasie, a drugi koniec puście wolno. Najbardziej lawinowy czas, od południa do trzeciej, już minął, ale śnieg może zejść nawet w nocy.

– Śniegu jest mało, dużo mniej, niż bywa o tej porze – zauważył Teofil.

Rzeczywiście, po wyjątkowo surowej zimie wcześniej nadeszła wiosna. „Ciepło jak w Sorrento”, powtarzała matka Teofila.

– Tak, tylko że nigdzie nie schodzi tyle lawin co w Cichej. Te wiosenne, z mokrego śniegu, mają mniejszy pęd, ale też są niebezpieczne.

– Gdzie jest bezpiecznie? – spytała Klementyna.

– Tylko na grani – uśmiechnął się Jędrak – a my musimy zejść na dno doliny, aż do potoku. Pamiętajcie: lawina schodzi zwykle żłebem albo korytem. Trzymamy się drzew i kosówki. Idziemy w odstępie trzydziestu kroków. Zachować czujność, oczy i uszy zwrócone ku górze. Jeśli ktoś zauważy ruch śniegu, ma zaalarmować resztę cichym wołaniem. Gdyby lawina nas ogarnęła, pływajcie w śniegu, tak żeby utrzymać się na jej powierzchni.

Klementynie zaschło w gardle.

– Widziałeś kiedyś lawinę? – spytał Teofil.

– Tak, i nie chciałbym zobaczyć jej dziś. Ruszamy.

Szli odkrytym zboczem, potem stromą ścieżką kluczącą wśród kosówki. Po godzinie, gdy zagłębili się w las, Jędrak się zatrzymał.

– Zaprowadzę was do szałas przy Cichej Wodzie. Przenocujecie tam, a rano pójdziecie wzdłuż potoku do Podbańskiej. To trzy godziny drogi. Do Podbańskiej często zaglądają hlinkowcy, więc się pilnujcie. Najlepiej niech jedno idzie przodem i sprawdza drogę. To mała wieś, ledwie parę chałup, ale trudno ją ominąć. Potem idźcie dalej wzdłuż potoku, drogą na Przybylinę. W połowie drogi, jakąś godzinę od Podbańskiej, w lesie po prawej stronie jest gajówka. Mieszka w niej Ján Hlava. Powołajcie się na mnie, to wam pomoże dostać się do pociągu.

Zeszli ze ścieżki i wąską dróżką, która wyglądała tak, jakby ją wydeptały dzikie zwierzęta, doszli do niewielkiej polany. Stał na niej szałas pokryty jodłowymi gałęziami, niemal zlewający się z otoczeniem. W kręgu z szarych rzecznych kamieni Klementyna zobaczyła resztki ogniska.

– Nie palcie ognia – przestrzegł ich jeszcze Jędrak. – Odpocznijcie, a gdy się rozwidni, idźcie dalej.

– „Iść spać o zmroku, wstawać przy gwiazdach, śpieszyć się powoli” – Klementyna zacytowała Zaruskiego.

– Hej! – Jędrak się uśmiechnął. – Niek wos Pon Bócek prowadzi!

– Dziękujemy! – Klementyna ucisnęła Jędrka i pocałowała w oba policzki. – Niech i ciebie bezpiecznie zaprowadzi do domu. – Głos jej się załamał.

Rozwiązała korale i oddała Jędrkowi, potem wyjęła z plecaka czekoladę.

– Weź na drogę – poprosiła. – I pamiętaj: szpital Świętego Łazarza w Krakowie. Tam nas znajdziesz po wojnie.

Gdy Jędrak znikł w lesie, Klementyna nie mogła powstrzymać łez.

– Cicho, ciii! – Teofil ją przytulił. – Bo ja też się rozplączę.

– Czuję się jak Małgosia zostawiona w środku lasu. – Klementyna rąbkiem chustki otarła łzy. – Przecież poznaliśmy go dopiero dziś, a wydaje mi się, że opuścił mnie najbliższy przyjaciel.

– Bo Jędrak jest przyjacielem. Chodź, obejrzymy naszą chatkę z piernika.

Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku, Klementyna zobaczyła drewnianą prycę wyścieloną gałęziami, na których ktoś położył duży siennik i kilka grubych koców. Na poprzecznej belce wisiały inne koce i baranie skóry. Pod drugą ścianą, na zbitym z nieheblowanych desek stole, stało kilka metalowych garnuszków, puszki, cebrzyk, okopcony sagan. W kącie leżał stos porąbanego drewna.

Klementyna po kolei otwierała puszki.

– Cukier... Czarna kawa... Tytoń... Sól.

– Czyli mamy wszystko do życia – zaśmiał się Teofil. – Zapalimy czy najpierw napijemy się kawy?

– Szkoda, że nie możemy palić ogniska.

– Nie można mieć wszystkiego, droga pani.

„Właśnie że można. Ja chcę wszystkiego. Ciebie”, pomyślała.

Teofil przyniósł plecaki i wypakował ze swojego chleb zawinięty w białą serwetkę, szynkę, masło, ser szwajcarski, ciasto, jabłka.

Klementyna chwyciła czerwone jabłko i wbiła w nie zęby.

– Okropnie chciało mi się pić – westchnęła. – Teraz, gdy widzę te frykasy, czuję, jaka jestem głodna.

– A co ty masz? – spytał.

– Jak to? Nie zapraszasz mnie na kolację, tylko chcesz żerować na mnie?

– Zgadłś. Pokaż, co masz dobrego.

– Przede wszystkim to. – Otworzyła plecak i wyjęła z niego ciasno zwinięty śpiwór. – Dostałam od ojca. – Rozwinęła go i strzepnęła, potem przyłożyła do twarzy. – Aksamit i puch z edredonów. Czy może być coś lepszego?

Teofil wyjął płaską butelkę w skórzanym pokrowcu.

– Masz wodę – ucieszyła się Klementyna.

– Wodę mamy w strumieniu. To coś lepszego.

Nalał koniaku do zakrętki w kształcie kieliszka i podał jej.

– Mmm... Ale rozgrzewa! – westchnęła.

– Martell, wiadomo. – Uśmiechnął się.

Umyli twarz i ręce w strumieniu, nabrali wody i wrócili do szałas.

Słońce już zaszło i robiło się coraz zimniej. Klementyna zwinęła się w kaszmirowy szal.

– Grzeje prawie jak ognisko – powiedziała. – Chodź, podzielę się nim z tobą.

Spojrzał na nią, ale nie podszedł.

– Zjedzmy kolację i chodźmy spać. Trzeba wstać przed świtem.

Fińskim nożem uważnie kroił chleb na białej serwetce, potem szynkę i ser. Klementyna, siedząc na pryczy, patrzyła z uśmiechem.

– Chirurgiczna precyzja – zauważyła.

Zrobił kanapkę i podał jej.

Ugryzła wielki kęs.

– Pycha!

– Przydałoby się trochę musztardy, korniszony...

– Przestań! – przerwała mu ze śmiechem. – Mój ojciec powtarza, że nie chodzi o to, żeby mieć to, co chcesz, ale o to, by chcieć tego, co już masz.

– Racja. Mamy wszystko, czego potrzebujemy.

– Prócz ciepłej wody. Nie cierpię myć zębów w zimnej.

Wyszedł z szałas, gdy zaczęła szykować się do snu. Żałowała, że zamiast flanelowej piżamy i wełnianych skarpet nie może włożyć jedwabnej nocnej koszulki. Trudno. I na to przyjdzie czas.

Strzepnęła pachnące dymem z ogniska koce. Miała nadzieję, że nie ma w nich pcheł. Wsunęła się do śpiwora.

– Już śpię! Dobranoc! – zawołała.

Przez półprzymknięte powieki śledziła każdy ruch Teofila. Widziała, jak zdejmuje kurtkę, sweter, koszulę. Nie nosił podkoszulka, co wydało jej się niezwykle nowoczesne i męskie. Widziała jego ładnie umięśnione plecy.

Włożył flanelową koszulę, usiadł na brzegu pryczy i schylił się, by rozsznurować buty. Doleciała ją woń jego wody kolońskiej i lekki zapach potu. Poczowała napięcie w całym ciele, tak nagłe, że aż bolesne.

Położył się obok niej, ale tak, by jej nie dotknąć.

Oddychała miarowo, lecz nie mogła zasnąć. Zastanawiała się, czy Teofil śpi. A gdyby tak ukradkiem ją pocałował? Wiedziała przecież, że wiele razy tego pragnął.

Pamiętała każdą sekundę tego świtu na plaży w Juracie, gdy się całowali. Wymknęła się wtedy nocą z hotelu i poszła pod jego dom. Stał na tarasie. W popielatym świetle budzącego się dnia widziała rozżarzony koniec jego papierosa. Podeszła do płotu, stanęła nieruchomo i tylko patrzyła. W pewnej



chwili ją zauważył, rzucił papierosa, przeciął trawnik, otworzył furtkę. Bez słowa wzięła go za rękę i zaprowadziła nad morze. Stali na plaży i w milczeniu patrzyli na szarą wodę, na daleki horyzont. Choć piasek był zimny, marzyła, by się na nim położyć i pociągnąć za sobą Teofila. Ciało miała tak napięte, że czuła, iż jeśli czegoś nie zrobi, to pęknie jak struna, wydając wysoki, płaczliwy dźwięk. Odetchnęła głęboko i zaczęła nucić starą szkocką balladę, którą w dzieciństwie śpiewała jej mama.

*And I will love thee still, my dear,*

*Till a'the seas gang dry.*

*Till a'the seas gang dry, my dear,*

*And the rocks melt wi'the sun:*

*And I will love thee still, my dear,*

*While the sands o'life shall run.*

*And fare thee weel, my only love,*

*And fare thee weel a while!*

*And I will come again, my love,*

*Thou' it were ten thousand mile.*

Jeszcze raz zanuciła ostatnią zwrotkę: „Żegnaj więc, mój jedyny, żegnaj na kilka tylko chwil. Wróć tu, chociażbym miała przejść dziesięć tysięcy długich mil”. Odwróciła się do Teofila i przylgnęła do niego całym ciałem. Pocałowała go, a on oddał jej pocałunek.

Całowali się zachłannie, pieściła jego uszy i kark, czuła jego dłonie na plecach i szyi. Pragnęła czegoś więcej, ale resztką świadomości podpowiadała jej, że jeszcze na to za wcześnie. Teofil nigdy by sobie nie wybaczył, że zdradził Bisię. Objęła dłońmi jego twarz, głęboko spojrzała mu w oczy, pocałowała go ostatni raz, odwróciła się i odeszła.

Leżąc teraz tak blisko, przypominała sobie dotyk jego warg. Splotła ręce, żeby ich nie wyciągnąć i go nie dotknąć. Szum lasu i zmęczenie w końcu jednak zrobiły swoje. Usnęła, sama nie wiedząc kiedy.

Obudziło ją zimno. Twarz miała lodowatą, zgrabiła jej ręka, którą wysunęła ze śpiwora. Zaczęła się zastanawiać, gdzie położyła wełnianą chustkę.

W szafasie było ciemno. Słyszała cichy oddech Teofila. Uniosła się ostrożnie, żeby go nie zbudzić.

– Zimno ci? – spytał zupełnie trzeźwym głosem.

– Tak. Jest tam gdzieś moja chustka?

Powiesiła swoje rzeczy na belce i żeby do nich sięgnąć, musiał wstać. Podał jej chustkę i wtedy poczuła, że ręka mu drży.

– Która godzina? Daleko do świtu?

Usiadł na pryczy, sięgnął po zegarek i nacisnął repetier. Rozległo się melodyjne „dong, dong”, potem „ding, ding, ding”.

– Za kwadrans trzecia. Słońce wschodzi o czwartej. Prześpij się jeszcze trochę.

– A ty?

– Ja chyba wstanę.

Przysunęła się bliżej i dotknęła jego twarzy. Była zimna jak lód.

– Przemarzłeś. Przeziębisz się.

– Nic mi nie będzie.

– Akurat.

Zaczęła rozsznurowywać śpiwór.

– Chodź tutaj – powiedziała. – Obojgu nam będzie cieplej.

Nie poruszył się.

– No, chodź. Zamarznę, jeśli mnie nie ogrzejesz.

Pogłaskała go po plecach i poczuła, jak przebiegają go dreszcze.

„Czemu jest taki uparty?” Nagle ją olśniło. „*Virgo intacta*. Dziewica jest nietykalna”. Zachciało jej się śmiać.

– Czemu wszyscy mężczyźni są tacy uparci? Mój mąż też taki był.

– Twój... mąż? Masz męża? – wyjąkał.

– Miałam.

Do śpiwora wkradło się zimno. Klementyna zadrżała, nie z chłodu jednak, tylko z pożądania.

– Błagam cię, chodź tutaj.

Ostrożnie wsunął się do śpiwora, przykrył ich kocami. Zesztywniał, gdy przyłgnęła do jego pleców.

– Nie jest ci za ciasno? – spytał.

– Nic a nic.

Czuła, jak ciepło rozchodzi się po jej ciele i jak Teofil się odpręża.

– Jak dobrze... – zamruczała. – Mogliśmy od razu tak się położyć, zamiast marznąć.

– Jesteś wdową? – zapytał po chwili.

– Rozwódką.

Chciała, żeby odwrócił się do niej twarzą, żeby ją objął, ale widziała, ile go kosztowało położenie się przy niej. Ciągle jeszcze myślał, że łajdactwa takie jak zdrada są nie dla niego.

– Mówiłaś, że jesteś ochrzczona w dwóch obrządkach. W którym wzięłaś ślub?

– W żadnym. To znaczy wyszłam za Żyda.

– Za Żyda?

– Dziwi cię to?

Nie odpowiedział.

Zastanawiała się, czy Teofil w ogóle wie coś o Żydach, czy ma do nich jakiś stosunek. Nieraz przejeżdżała przez małe żydowskie wsie i miasteczka i widziała Żydów w wyswieconych chałatach, niechlujne Żydówki w tanich perukach i ich dzieci bawiące się patykami na środku zakurzonej drogi. Skoro ona nie czuła z nimi żadnego związku, jak mógł go odczuwać Teofil? Nawet na Kazimierzu mieszkali Żydzi, którzy nie znali polskiego, o Polsce nie wiedzieli nic i równie dobrze mogli żyć na Księżycu.

– Nie wiedziałem, że Żydzi uznają rozwody.

Uśmiechnęła się w ciemności.

– Chyba wszystkie religie pozwalają się rozstać ludziom, którzy niebacznie przysięgli sobie przed jakimś Bogiem wierność aż do śmierci.

– Niebacznie?

– Mieliśmy po dwadzieścia lat.

– Bisia miała dwadzieścia dwa, gdy za mnie wyszła.

Musiała odciągnąć jego myśli od żony.

– Judaizm, tak jak katolicyzm, twierdzi, że po ślubie dwoje ludzi staje się jednością: jedną duszą w jednym ciele. Rabini porównują rozwód do amputacji, po której ta jedna istota staje się dwiema, mogącymi żyć niezależnie. Byłam wtedy po pierwszym roku medycyny i czułam, jakie to porównanie jest trafne.

– Trafne? Przecież to nie ma sensu. Amputowana ręka albo macica nie mogą żyć samodzielnie.

– No właśnie. Ciało, czyli mężczyzna, spokojnie żyje dalej, a odjęta część, kobieta, nie jest już pełnowartościowa i najlepiej byłoby ją spalić.

– Twój tato powiedział kiedyś o tobie „niebieska pończocha”.

Nie widziała jego twarzy, lecz była pewna, że się uśmiechnął, gdy to mówił.

– Czy trzeba być sufrażystką, żeby zauważać nierówności? Mój mąż mógł się ze mną rozwieść, gdyby mu nie smakowała kolacja albo gdyby mu się spodobała inna kobieta, albo w ogóle bez powodu. Nie musiał mnie pytać o zgodę.

– Naprawdę? Chciał się z tobą rozwieść?

– Nie. To ja chciałam.

– Dlaczego? Skoro za niego wyszłaś, to przecież musiałaś go kochać.

Ucieszyła się, że tak o niej myśli. Zresztą jej też się wtedy wydawało, że kocha Isaaca. Pomyliła popęd, wrzenie krwi, z miłością.

– To skomplikowana sprawa.

Odwrócił się twarzą do niej. Zobaczyła w mroku jego oczy.

– Możesz mi o tym opowiedzieć?

– Tak. Chciałabym, żebyś wiedział o mnie wszystko – szepnęła.

Zamknął oczy. Zmieniła ton na rzeczowy.

– Mój prapradziadek Abraham Lewinson przyjechał do Ameryki w tysiąc siedemset osiemdziesiątym roku z Antwerpii, która była wtedy małym prowincjonalnym miastem. Najpierw mieszkał w Nowym Jorku, potem rodzina przeniosła się do Bostonu. Tradycyjnym zajęciem naszej rodziny było *het vak*, szlifowanie diamentów, potem jubilerstwo i handel drogimi kamieniami.

– Pewnie stąd twoja pewna ręka i precyzja.

Uśmiechnął się. Zobaczyła błysk jego zębów.

– Babcia pokazała mi kiedyś pierścionek, który zrobił dla niej pradziadek. Oszlifował też do niego diament. Był mistrzem. Widziałeś kiedyś surowy diament?

– Nie.

– Przypomina zwykły kamyk. Czasem błyszczący, czasem jest matowy albo zabrudzony. Dopiero ręka szlifierza wydobywa z niego ogień.

Sięgnęła za dekollet, uniosła głowę i zdjęła z szyi łańcuszek, na którym wisiało kilka pierścionków. Zbliżyła do siebie kamienie i nawet w półmroku zabłyśły, jakby świeciły własnym blaskiem.

– To szlif okrągły, najpiękniejszy. Lubię też szlif Tolkowskiego, popatrz, ma pięćdziesiąt siedem fasetek... Ale miałam mówić o Isaacu. – Położyła pierścionki na sienniku nad głową. – Poznałam go, gdy po pierwszym roku studiów przyjechałam do babci na wakacje. Letni dom babci w Newport sąsiedował z willą jego rodziców. Studiował prawo na Harvardzie i był bardzo przystojny. Prawie tak jak ty.

Poruszył się niespokojnie, szybko więc podjęła opowieść.

– Do Nowego Jorku przyjechał po mnie jeden z kuzynów. Auto zajechało przed dom w Newport, Isaac otworzył drzwiczki, zanim zdążył to zrobić szofer, podał mi rękę, żeby pomóc mi wysiąść, i spojrzeliśmy sobie w oczy. Poczułam, jakby przebiegł mnie prąd. Staliśmy przy aucie, on nie puszczał mojej ręki, nagle się nachylił i pocałował mnie w policzek. Usłyszałam oklaski i wtedy się ocknęłam. Zgromadzeni na podjeździe przyjaciele domu i rodzina obserwowali nas z uśmiechem. Tylko babcia się nie śmiała. Już wtedy postanowiła wydać mnie za Isaaca.

Klementyna przypominała sobie gorączkę, w jakiej żyła, ukradkowe pocałunki i pieszczoty, wreszcie tę noc, gdy wśliznął się do jej sypialni. Leżeli tak, jak teraz leżała z Teofilem, poznając swoje ciała, najpierw rękami, potem ustami. Mimowolnie westchnęła na to wspomnienie.

– Co na to twoi rodzice?

– Mama była uszczęśliwiona, tata znacznie mniej. Uważał, że jestem za młoda na małżeństwo.

– Twój chrzest nie przeszkadzał w żydowskim ślubie?

– Nikt mnie o nic nie pytał. Jestem z Lewinsonów, jakoś przełknęli polskiego ojca. To zresztą była nowoczesna rodzina. Do synagogi chodzili dwa razy w roku, na Pesach i na Rosz Haszanę. Wiedziałam, że nikt mi nie ogoli głowy i nie będzie wymagał, żebym nosiła perukę.

– I co się stało? Był dla ciebie niedobry?

Poruszył rękami, tak jakby zaciskał pięści. Wzruszyło ją to.

– Chciał mi nieba przychylić. Gdy wyjeżdżałam do domu i żegnałam się z babcią, która nie mogła mi darować, że zerwałam małżeństwo, powiedziała: „Jesteś głupia jak twoja matka. Ptasiego mleka ci nie brakowało”. Umarła niecałe dwa lata później. Już nigdy jej nie zobaczyłam i nie wiem, czy mi przebaczyła.

Klementyna przypomniała sobie, jak stała na pokładzie, z całej siły ściskając stalową poręcz. Ludzie machali na pożegnanie, coś krzyczeli, grała orkiestra, a ona wiedziała, że jest sama, że babcia nie chce jej znać, że nikt jej nie odprowadził i już nigdy nie zobaczy Isaaca.

Ścisnęło ją w gardle, poczuła, jak kurczy się jej twarz, i nagle się rozplakała.

– Ciii... ciii...

Teofil głaskał ją po głowie, ocierał jej łzy, a ona łkała coraz rozpaczliwiej.

– Już dobrze... – szeptał. – Wszystko będzie dobrze.

Przyłgnęła do niego, ukryła mokrą twarz w zagłębieniu jego ramienia.

– Babcia miała rację. Jestem głupia – szlochała.

– Jesteś cudowna, wspaniała...

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Naprawdę tak myślisz?

Łzy kapnęły mu na twarz. Otarła oczy i nos rękawem jak mała dziewczynka. Potem scałowała swoje łzy z jego twarzy.

Objął ją, przycisnął do siebie i pocałował.

Wsunęła dłoń w jego włosy, a drugą ręką objęła go najmocniej, jak umiała.

Jęknęła, gdy wsunął rękę pod jej bluzkę i dotknął piersi. Nie traciła czasu na rozpinanie jego koszuli: szarpnęła za kołnierzyk, tak że prysnęły górne guziki, potem jeszcze raz, aż usłyszała odgłos dartego materiału, jednym ruchem zdjęła przez głowę górę od piżamy i przywarła do nagiego torsu Teofila. Czula jego napiętą męskość i całowała go coraz namiętniej. Pieściła uszy i szyję, ssała brodawki jego piersi. Walczyła z sobą, żeby nie dotknąć jego pośladków i brzucha. Chciała, by to on uczynił decydujący krok.

Czula na swoim ciele jego wargi i coraz gorętsze, coraz bardziej niecierpliwe dłonie. Zsunęła wełniane skarpety i nagą stopą pogładziła jego łydkę. Przy tym ruchu luźne spodnie od piżamy zsunęły się z jej pośladków. Dotknął ich i już nie miał odwrotu.

Obudził ją śpiew ptaków. Do szałasu zaglądało słońce. Teofil spał, obejmując ją ramieniem. Patrzyła na jego szerokie brwi, jasne włosy opadające na czoło, rozchylone usta. Pomyślała, że oddałaby dziesięć lat życia, żeby już zawsze budzić się przy nim.

Delikatnie wyswobodziła się z jego objęć i wysunęła z rozsznurowanego do połowy śpiwora. Włożyła sweter na gołe ciało, potem buty, wzięła ręcznik i worek z przyborami toaletowymi i poszła nad strumień.

Słońce jasno świeciło, słychać było ptaki, rozlany szeroko potok szumiał na kamieniach. Klementyna znalazła płytkie miejsce, gdzie przez wodę przeświecały drobne kamyki. Wyjęła mydło i gąbkę, a potem błyskawicznie się rozebrała.

Woda była lodowata. Szczękając zębami, namydliła całe ciało, potem weszła do wody i się opłukała. Kiedy włożyła sweter, gęsia skórka znikła: czuła się rześko i było jej ciepło.

Teofil posapywał przez sen. Naga, pachnąca świeżością i francuskim mydłem, wsunęła się do śpiwora.

Otworzył oczy.

– Boże! Ale jesteś zimna! – Przyciągnął ją do siebie.

Z Isaakiem spała nie tylko w nocy, także w deszczowe popołudnia, o zmierzchu, rano, ledwie się przebudzili. Lubiła z nim potem leżeć, gdy leniwie ją głaskał i opowiadał, co robił albo co będzie robić w ciągu dnia. Czasem budził ją pocałunkami w środku nocy, a potem zakradali się do kuchni, otwierali lodówkę i wyjadali resztki z kolacji albo ona smażyła omlet, jedyną rzecz, którą umiała przygotować.

Pomyślała o nim z wdzięcznością, gdy leżała w objęciach Teofila i słuchała, jak uspokaja się

jego oddech i serce zaczyna bić w normalnym rytmie.

– Nigdy aż tak... To znaczy nie wiedziałem, że może tak być. Jesteś cudowna – szeptał.

Mimo woli zaczęła sobie wyobrażać, jak to było, gdy spał z Bisią. Była nieśmiała? Nie dawała mu poznać, że sprawia jej przyjemność?

Nagle ją olśniło. Za dobrze się znali. Od dziecka widział, jak Bisia się cieszy, jak się złości, czuł, jak pachnie, bez trudu mógł zgadnąć, jak zareaguje. Była bezpieczną przystanią, ale czy mężczyźni nie wolą raczej tajemnicy, zaskoczenia, niebezpieczeństwa? Dlaczego w ogóle żenią się z kuzynkami?

– Nie powiedziałaś mi, dlaczego się rozwiodłaś.

Lekko ugryzła go w ucho.

– Au! – jęknął. – Ja bym cię nie puścił.

Przytuliła się do niego.

– Rozwód to bolesna operacja, bez znieczulenia, ale nie widziałam innego wyjścia – rzekła poważnie. – Przed ślubem Isaac obiecał, że będę mogła dalej studiować, potem pod wpływem rodziców zmienił zdanie. Miałam siedzieć w domu, pić kawę z jego matką i czekać, aż on wróci z zajęć. O tym, żebym została lekarzem, nawet mowy nie było.

– A co na to twoja rodzina? Babcia?

– Wszyscy prócz ojca uważali, że mam nie po kolei w głowie. Babcia zawsze miała na podorędziu takie sentencje, jak: „Żona nie odpowiada za męża, on za nią tak” albo „Mężczyzna toruje drogę przez świat, kobieta zdobi”. Naprawdę w to wierzyła.

– Dużo w tym racji.

– I ty, Brutusie, przeciwko mnie? – Uszczypnęła go lekko.

– W końcu jednak się rozstaliście.

– Tak, dał mi *get*, list rozwodowy, i wróciłam do rodziców.

Zastanawiała się, czy mu powiedzieć, jak to się odbyło. Isaac nie godził się na rozwód, a Żydówka nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Pozostaje wtedy tylko jedna droga: gdy żona przyznaje się do zdrady, mąż musi od niej odejść, nawet gdyby bardzo chciał jej przebaczyć.

– Co było w tym liście?

– Nie umiałam go przeczytać, bo napisał go sofer, po aramejsku. Ale wiem, że nic w nim nie było o przyczynie rozstania, tylko o tym, że jestem wolna i mogę wyjść za innego mężczyznę.

– Nie zrobiłaś tego.

– Nie, bo poznałam ciebie.

– Wtedy do głowy mi nie przyszło, że mnie pokochasz.

– Najpierw cię polubiłam, potem się zaprzyjaźniliśmy, a dopiero później zrozumiałam, że nie mogę bez ciebie żyć. Wszystko mi się w tobie podoba: to, co robisz, co mówisz, co myślisz, jak mnie dotykasz. – Pocałowała go. – Zostańmy tu przez cały dzień, dobrze? Pójdziemy dalej jutro rano.

– Mieliliśmy wstawać przy gwiazdach – uśmiechnął się. – Dobrze, ale proszę, zaśpiewaj mi to, co śpiewałaś na plaży w Juracie. Pamiętasz?

– Nigdy nie zapomnę. *Red, Red Rose*, ulubiona szkocka ballada mojej ciotki i mojej mamy.

I jak wtedy nad morzem zanuciła piosenkę o tym, że jej ukochany jest cudem, tak jak cudem jest kwitnąca w czerwcu czerwona róża, i że kocha go bezgranicznie.

*Póty cię będę kochać, miły,*

*Aż wyschną wody mórz do dna*

*I aż się w słońcu stopi głaz,*

*Będę cię kochać wciąż, mój miły,*

*Póki w mych żyłach płynie czas.*

\*

– Gdy będziemy dopływać do Cape Town, najpierw zobaczysz śnieżnobiałe chmury nad Górą Stołową. Wiatr gna je znad oceanu, ale zahaczają o wzgórza nad miastem i tworzą kaskady, pióropusze, fale. Potem usłyszysz wystrzał armatni ze Wzgórza Sygnałowego. Co dzień w południe strzela tam Noon Gun. Mam na przedmieściu stuletni biały dom z gankiem, który tam nazywamy *stoep*, i z dużą werandą od strony ogrodu. Pamiętasz lipcowe niebo w Pirenejach? Tam jest jeszcze piękniejsze. A widziałaś kiedyś drzewo jakaranda? Rośnie ich tam mnóstwo. Na wiosnę okrywają się liliowymi kwiatami podobnymi do dzwonek. Mamy wszystko: lasy i pustynie, rafę koralową, plaże i stacje narciarskie, dęby i baobaby, pingwiny i lwy. Wszyscy mówią po angielsku, lecz ty, jak cię znam, raz dwa nauczysz się afrikaans, a potem zaczniesz rozumieć nawet murzyńskie mlaski. O służbę domową jest bardzo łatwo, czarną naturalnie. Murzyni są jak owce: najpierw wydają się jednakowi, ale po miesiącu nauczysz się ich odróżniać. Ślub weźmiemy w Szkocji, w Boże Narodzenie. Uszczęśliwię moją mamę, gdy pozwolę jej się wszystkim zająć. Zaraz po weselu wsiądziemy na statek, więc do Afryki przyjedziemy w środku lata. Lepsza byłaby zima, lecz nie będę tak długo czekał. Marzę, żeby zobaczyć twoją minę, gdy spróbujesz waterblommetjie bredie albo naszego wina...

Aidan nie przestawał mówić. Klementyna słuchała go w milczeniu. Kiedy taksówka się zatrzymała, po raz pierwszy w życiu ucieszyła się na widok domu pani Hughes.

– Pomóc ci? – zapytał.

– Dziękuję, poradzę sobie. Mam tylko jedną walizkę. Dopakuję kilka rzeczy, pożegniam się z Wandą i zejść.

Wyjęła z torebki klucz, otworzyła drzwi ozdobione u góry zielonymi i żółtymi szybkami. W tym domu, do którego wprowadziła się na parę miesięcy, spędziła dziewięć lat.

Drzwi do mieszkania pani Hughes były zamknięte. Klementyna odetchnęła z ulgą. Nie będzie musiała drugi raz się z nią żegnać.

Z kuchni dochodził szum wody gotującej się w czajniku, brzęk sztućców i talerzy. Drzwi do salonu były uchylone i słyszała rozmawiających tam lokatorów pani Hughes. Nie miała ochoty z nikim się żegnać, szła więc powoli, starając się, żeby podłoga nie zaskrzypiała.

– ... zapach ciepłego oleju silnikowego rozchodzący się w kokpicie, a potem to uczucie wolności.

Z góry wszystko wygląda inaczej, nawet problemy robią się coraz mniejsze, aż w końcu znikają.

– Pamiętasz Jurka Kownackiego? Latał na liberatorach B-24.

– Pamiętam. Miał chłop pecha.

– To nie był pech, tylko Amerykanie źle je zaprojektowali. Jak można umieścić zbiorniki paliwa w górnej części kadłuba...

Już nigdy nie będzie musiała słuchać o awarii radiostacji na półwyspie Ankenes, o tym, jak Anglicy uciekli z Oosterbeek, zostawiając na wschodnim brzegu Renu osłaniających ich Polaków z Pierwszej Samodzielnej Brygady Spadochronowej generała Sosabowskiego, bo nie było dla nich miejsca w łodziach, o tym, że polskie skrzydła są najskuteczniejsze. Czasem miała wrażenie, że ona jedna w tym domu wiedziała, że czasu nie da się cofnąć.

Przebrała się, przed małym zmętniałym lustrem poprawiła włosy, wzięła walizkę i zapukała do Wandy.

Drzwi otworzyły się natychmiast, tak jakby Wanda stała przy nich i czekała na nią.

– Wychodzisz? – spytała ze zdziwieniem, widząc walizkę i płaszcz.

– Aidan zaprosił mnie na kolację. Z jego hotelu będę miała bliżej na dworzec.

– Z jego hotelu?

Wanda powiedziała to lepkiem, plotkarskim tonem, ale Klementynie było już obojętne, co pomyślała o niej w tym domu.

– Zostawiłam na łóżku trochę ubrań i innych rzeczy. Weź sobie, jeśli ci się przydadzą, resztę komuś daj albo wyrzuć.

– A niebieską sukienkę w groszki?

– Zostawiłam. Zawsze ci się podobała.

– Ach, dziękuję!

Wanda zrobiła taki ruch, jakby chciała rzucić się jej na szyję.

Klementyna postawiła walizkę na podłodze i objęła Wandę.

– Żegnaj, Wandziu. Życzę ci szczęścia.

– Nie wejdiesz na chwilę?

– Aidan czeka w taksówce.

– Rozumiem. Gdyby przyszedł do ciebie jakieś listy, odesłać ci je do Szkocji? Zostaniesz tam na stałe?

– Na pewno nic nie przyjdzie. Klucz położę na stoliku w holu i zatrzasnę drzwi.

Przez krótką chwilę patrzyły na siebie w milczeniu.

– To do widzenia! Szczęśliwej drogi!

– Dziękuję, Wandziu!

Wiele razy wyobrażała sobie, jak opuszcza ten dom. Ale w jej marzeniach walizkę niósł Teofil.

Kierowca stał przy aucie. Podszedł do drzwi, wziął walizkę i schował ją do bagażnika.

– Jesteś. – Aidan objął ją ramieniem. – Bałem się, że się rozmyśliłaś.

– Może gdybym nie była taka głodna...

Roześmiał się.

– Pamiętam twoją rozmowę z Mae i Arthurem. Ile razy ją sobie przypominam, tyle razy humor mi się poprawia.

Mae była śliczną blondynką, kuzynką Aidana, w której błyskawicznie się zakochiwali wszyscy jego koledzy. Po kilku próbach nawiązania z nią najprostszej rozmowy równie szybko się odkochiwali. Nawet jej matka powtarzała, że Mae powinna otwierać usta tylko przy jedzeniu.

– Co u niej? Udało się wam wepchnąć ją Arthurowi?

– Wyobraź sobie, że tak. Są naprawdę dobrym małżeństwem.

– Obciął jej język i teraz tylko na nią patrzy?

Aidan znów się roześmiał.

– To też muszę zapamiętać.

– A co jeszcze? To przecież niemożliwe, żebym rozmawiała z Mae i zapomniała o tak niezwykłym fakcie.

– Naprawdę nie pamiętasz? To było w sylwestra w czterdziestym pierwszym. Mae się upiła i zaczęła płakać, bo się jej wydawało, że Japończycy lądują w Dover i wszystkich nas pozabijają. Arthur ją uspokajał, że jesteśmy silni i mamy sojuszników. „Amerykanie przybędą nam na pomoc?”, spytała. Ty na to bezlitośnie: „Stracili wszystkie okręty w Pearl Harbor”. „Ale przecież nas nie zostawią?” „Skądże. Przybędą wpław”.

Sylwester czterdziestego pierwszego roku. Dzień wcześniej dostała list od Teofila – żył, a oblężenie Tobruku się skończyło – i była najszczęśliwsza na świecie.

Aidan dłuższą chwilę konferował z recepcjonistą.

– Nie mają pokoju od ogrodu. Wziąłem od ulicy i po prostu się zamienimy – powiedział, gdy do niej wrócił.

– Aidan, to przecież tylko jedna noc.

– Może zostaniesz dłużej...

– Nie wracajmy do tego, proszę. Cieszymy się tym wieczorem.

Ujął jej dłoń i pocałował.

Widząc jego szczęśliwy uśmiech, pomyślała: „Nie ma sensu się spierać. Niech przynajmniej on będzie dziś szczęśliwy”.

Zgadzała się na wszystko, co proponował. Poszli na kolację, potem na dancing. Gdy w tańcu coraz mocniej ją przytulał, a w końcu pocałował, oddała mu pocałunek.

Zajrzał jej w oczy.

– Mam dla ciebie niespodziankę. W moim pokoju. – Głos mu zadrżał. – Wejdiesz do mnie na

chwile?

Wzruszyła ją jego naiwność. W gruncie rzeczy był niewinny jak nowo narodzone dziecko.

– Dobrze.

Wjechali na górę. Na korytarzu nie było żywej duszy. Klementynie było to obojętne, ale ze względu na Aidana ucieszyła się, że nikt nie widzi, jak wchodzi do jego pokoju.

Rzeczywiście, jego pokój był większy i ładniejszy, z dwoma oknami wychodzącymi na rozległy trawnik i drzewa. Na stole stał srebrny kubek z butelką zawiniętą w białą serwetkę, obok we flakonie bukiet czerwonych róż.

„Jakie to proste i zwyczajne – pomyślała. – Tak właśnie kiedyś było w moim świecie”.

Wyjął róże z wazonu, starannie strzepnął z nich wodę, lekko podciągnął nogawkę i ukląkł przed nią na jedno kolano.

– Klementyno, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Zamiast odpowiedzieć, nachyliła się i pocałowała go.

Zerwał się na równe nogi i nie odrywając warg od jej ust, po omacku odłożył bukiet na stół.

Miał gładką twarz przybrązowaną afrykańskim słońcem, jasne włosy, silne ramiona. Próbowła sobie wyobrazić, że czas się cofnął: jest maj, długo czekała na peronie, aż przyjedzie pociąg pełen opalonych żołnierzy, którzy jeszcze przez rok po zakończeniu wojny pełnili służbę we Włoszech, i wreszcie widzi Teofila, biegnie do niego i obejmuje go z całych sił.

– Czy chcesz... czy możemy... – gorączkowo szeptał Aidan, głaszcząc ją po ramionach i szyi.

Westchnął, gdy dotknął jej piersi, a ona poczuła, jak prężą się jej sutki. Od pięciu lat nie dotykał ich żaden mężczyzna.

Nagle przypomniała sobie, jak się przebierała po dyżurze i do pokoiku dla sprzątaczek oraz salowych zajrzał ordynator. Wszedł, przekręcił klucz w zamku, oparł się plecami o drzwi i wbił w nią przenikliwy wzrok. Siedziała na krześle w samej halce. Właśnie zawiązała buty i miała włożyć wiszącą na wieszaku sukienkę. W milczeniu patrzyła na jego szare oczy i wąskie wargi. Gdy wyobraziła sobie, że te blade wargi błędzą po jej ciele, wstrząsnął ją dreszcz. Nagle ukląkł na podłodze, wyciągnął rękę i dotknął jej piersi. Z całej siły uderzyła go w twarz. Chwycił jej dłoń i pocałował jej wnętrze. Znów przebiegł ją dreszcz obrzydzenia. Sięgnęła po ręcznik wiszący na oparciu krzesła i ostentacyjnie wytarła dłoń. Wydał z siebie dziwny piskliwy dźwięk, zerwał się z podłogi, otworzył drzwi i uciekł.

– *I love you, Clementine* – szeptał Aidan.

– Proszę, powiedz to po polsku. Kocham cię.

– Kocham cię, kocham cię – powtarzał, a ona myślała: „Ja ciebie też, Teo. Nad życie”.

Dwa wygłodniałe ciała – jego ciało, pragnące właśnie jej, i jej ciało, tęskniące za dotykiem rąk innego – odnalazły wspólny rytm i szybkie zaspokojenie.

Oddychał coraz spokojniej, gładząc leniwie jej włosy, twarz, szyję, piersi.

Klementyna odpoczywała z zamkniętymi oczami, myśląc, że dawno nie leżała w tak wygodnym łóżku, w jedwabnej pościeli.

– Nie wytrzymam do Bożego Narodzenia – powiedział Aidan. – Jedź ze mną od razu, błagam. Przecież chciałaś popłynąć z Teofilem do Australii. Afryka jest bliżej i na pewno jest ładniejsza. Kapitan da nam ślub...

Delikatnie położyła mu dłoń na ustach.

– Będziesz miał czas na zastanowienie i zrozumienie, że jestem złą kandydatką na żonę. Czterdziestoletnia, bez posagu, bez pracy, bez widoków na przyszłość, okaleczona...

Teraz on jej przerwał – pocałunkiem.

– Chcesz się mnie pozbyć? – spytał. – Będę ci to utrudniał, jak tylko się da.

Sięgnął po jej lewą dłoń i całował blizny na palcach.

– Wiem, że jesteś lekarzem, ale pójdziemy do najlepszych specjalistów...

– Może za pięć lat, może za trzydzieści nauczymy się naprawiać nerwy, teraz, jeśli organizm sam tego nie zrobi, jesteśmy bezradni.

– Może to nie jest nerw.



– Jest. Nie mam czucia w opuszkach. – Prawą ręką zgięła kciuk lewej. – To się nazywa zginanie bierne. Ale zginanie czynne nie działa.

– Boli cię to? – zapytał cicho.

– Nie.

– Może kiedyś dasz radę je zginać.

– Najintensywniejszy proces regeneracji to pół roku od przecięcia. Jeśli do dwóch lat nerw się nie zregeneruje, to zwykle palec już taki zostaje – powiedziała beznamiętnie. – *Quod medicamenta non sanant, mors sanat.*

– Co to znaczy? Jestem słaby z łaciny.

– To słowa Hipokratesa. Czego nie leczą lekarstwa, leczy śmierć.

– Chryste! – westchnął. – Napijesz się szampana?

– Tak.

Owinął się w pasie prześcieradłem i wstał. Nie przeszkadzała jej męska nagość, choć nieraz myślała, że gdyby Pan Bóg stworzył Adama wcześniej, nie w szóstym dniu, kiedy był zmęczony, mężczyźni wyszliby mu lepiej, a ich genitalia nie wyglądałyby tak, jakby Stwórca w ostatniej chwili przypomniał sobie o nich, pospiesznie je uformował i dolepił na wierzchu.

Aidan włożył kwiaty do wazonu, tacę z szampanem postawił na nakastliku, podniósł z podłogi ich ubrania.

– Zapomniałem o najważniejszym! – zawołał.

Pogrzebał w kieszeni marynarki, potem podszedł do łóżka, z safianowego pudełeczka wyjął pierścionek i włożył jej na palec.

Podniosła dłoń do światła. Brylant sypanął ogniem.

Przyjrzała mu się z bliska. Jakieś dwa karaty, wyjątkowa biel D albo E, jeśli wrostki, to niewidoczne gołym okiem, szlif diamentowy.

– Przepiękny – powiedziała.

– Z Afryki Południowej. Tam jest wszystko, co najpiękniejsze na świecie. Tylko ciebie brakowało.

Otworzył butelkę i nalał szampana.

– Twoje zdrowie, najdroższa!

Usiadł na łóżku po turecku i patrzył na nią, naga, z kieliszkiem w ręku.

– Ja wiem, że mnie nie kochasz tak jak Teofila – powiedział nagle. – Ale poczekam i zrobię wszystko... – Urwał, odstawił kieliszek i pieszczotliwym ruchem przeciągnął dłonią od jej twarzy do stóp. – Jesteś dla mnie taka dobra, taka hojna. Wiesz, wtedy we Francji, gdy opowiadałaś o Teofilu, najpierw zapragnąłem, żeby jakaś kobieta pokochała mnie tak mocno jak ty jego, a później, żebyś to ty mnie pokochała.

Odstawiła kieliszek, podniosła się, objęła Aidana za szyję i przyciągnęła do siebie.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest w górskim szałasie, wsuwa się do śpiwora, w którym leży Teofil.

– Kocham cię, kocham – szeptał Aidan po polsku, ona zaś unosiła się nad nim i opadała, aż poczuła, że wypełnia ją jego nasienie, a jej rozgrzane wnętrze zaczyna pulsować rozkoszą. Odrzuciła głowę do tyłu i krzyknęła.

Gdy otworzyła oczy, napotkała jego wzrok. Co w nim było? Miłość, radość. Co jeszcze? Błaganie?

– Jesteś cudem – powiedział. – To chyba sen. Czy wszystkie Polki są takie... takie...

– Bezpruderyjne?

– Właśnie. Jesteś śmiała jak Murzynka... Och! Przepraszam!

Nachyliła się, pocałowała go, a potem położyła się obok. Objął ją i przycisnął do boku.

– Białe kobiety są chłodne, wyniosłe i sypiają z mężczyzn tylko z obowiązku.

– Skąd wiesz? Byłeś kiedyś żonaty?

– Nie, ale przy cygarach i koniaku, gdy panie wyjdą z jadalni, słyszy się niejedno.

– Wyobrażałeś sobie kiedyś, że jesteś kobietą?  
– Na szczęście urodziłem się... – Urwał.  
– Właśnie. Urodziłeś się jako mężczyzna i świat należy do ciebie. Pamiętasz swoją pierwszą kobietę? Kto to był? Służąca, prostytutka, przyjaciółka domu? Nie, nie odpowiadaj, tylko sobie wyobraź, że jej nie było i że wchodzisz w małżeństwo, nie mając pojęcia o jego fizycznej stronie. Nie wiesz, o co toczy się gra i ile masz do stracenia. Jesteś jednak mężczyzną i gdyby żona cię odstręczała, poszukasz innej. Kobieta nie ma takiej możliwości.

Milczał przez chwilę.

– Masz rację. To niesprawiedliwe, wręcz okrutne.

Przewrócił się na bok, oparł głowę na rękę i spojrzał Klementynie w oczy.

– Obiecuj mi, że zawsze będziesz ze mną taka szczerą. Że zostając moją żoną, nie przestaniesz być przyjaciółką.

– Zawsze nią będę.

– Wolałbym oczywiście, żebyś nie pracowała, ale nie będę się sprzeciwiał, jeśli w Cape Town zechcesz poszukać posady w jakimś szpitalu.

Mimowolnie uniosła lewą dłoń. Spojrzała na blizny.

– Już nigdy nie stanę przy stole operacyjnym.

– Możesz robić coś innego. Uczyć młodych lekarzy, zmienić specjalizację, nie wiem. Na pewno coś wymyślisz, a ja będę cię wspierał, zawsze i we wszystkim.

Poczuła ucisk w piersiach. Aidan ją kochał. Tymczasem ona tonęła i nie chciała pociągnąć go za sobą.

– Nigdy mi nie opowiedziałaś o tym wypadku. Co się właściwie stało?

Ujął jej lewą dłoń, pocałował białe blizny u nasady palców.

„Kto prócz niego będzie o mnie pamiętał? Wszyscy, których kochałam, nie żyją. Isaac... Jeśli pamięta, to dwudziestoletnią Klementynę, która już dawno nie istnieje”. Była jeszcze Bisia. „Tak, Bisia nigdy mnie nie zapomni”.

– To smutna historia. Nie wiem, czy to odpowiedni moment.

– Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Usiadła na łóżku, poprawiła poduszki, oparła się o nie.

– Pamiętasz kroniki z wyzwania Francji?

– Oczywiście. Francuzki tańczące z amerykańskimi żołnierzami, ludzie wznoszący toasty. *À propos* toastów... – Podał jej kieliszek. – Twoje zdrowie.

Wypiła niemal duszkiem. Szkoda, że miała mocną głowę. Dziś chciała się upić.

– Nigdy nie zapomnę, jak Francuzi się cieszyli, że mogą poddać się Niemcom, i jak skwapliwie to robili. Przez pięć lat siedzieli jak myszy pod miotłą, a jedyna inicjatywa, jaką się wykazali, to wielka akcja aresztowania paryskich Żydów i wywiezienie ich do Auschwitz.

– Dlaczego o tym mówisz?

– Bo myślałam o tych tchórzach, kiedy po wyzwoleniu golili głowy kobietom, które oskarżali o spanie z Niemcami, tak jakby sami przez cały ten czas się nie prostytuowali.

Patrzył na nią w milczeniu. Potem ujął jej dłoń, rozprostował i znów pocałował blizny.

– Brzytwa? – spytał cicho. – Kto ci to zrobił? I dlaczego?

– Gdybym wiedziała, że tak się to skończy, tobym się nie broniła. Chcieli mnie ogolić, ale im się nie udało.

Na samo wspomnienie tej chwili, gdy dwóch mężczyzn brutalnie wykręciło jej rękę, przemocą sadzając ją na taborecie, a trzeci chwycił ją za włosy, sycząc: „Oduczymy cię donosicielstwa, żydowska kurwo!”, poczuła taką wściekłość, że bez zastanowienia cisnęła kieliszkiem o ścianę.

Okruchy kryształowego szkła rozprysły się po dywanie.

– Ciii, ciii. – Aidan kołysał ją w ramionach. – Teraz już nic ci nie grozi.

Nie rozumiał jej, ale to nie miało znaczenia.

– Wyrzucą cię z hotelu, jeśli goście z sąsiedniego pokoju się poskarżą – powiedziała.

– Moja dzielna dziewczynka. Uwielbiam cię.

Pocałował ją, a ona gorączkowo przywarła do jego ust. Gładziła go po plecach, wsunęła dłoń pod prześcieradło i dotknęła jego pośladków. Chciała jeszcze raz zapomnieć o wszystkim prócz ciała, potem zasnąć i nigdy się nie obudzić.

– Chryste, ale ty masz temperament! Będę chyba musiał brać jakieś witaminy.

Uśmiechał się, oczy mu błyszczały.

– Pięć lat abstynencji – powiedziała. – Chyba rzeczywiście wypiszę panu jakąś receptę, panie MacKay.

– Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Jesteś tu czy tylko mi się śnisz?

Uszczypnęła go w ramię.

– Au! Boli!

– Żadnych półśrodków, taryfy ulgowej ani dróg na skróty.

– Dlatego że tak myślisz, zaatakował cię ten szaleniec z brzytwą?

Westchnęła.

„Skoro chce o tym mówić, to trudno. Nie zawsze może być miło”.

– Słyszałeś o polskim obozie karnym dla żołnierzy w Szkocji?

– W Rothesay na wyspie Bute? Tak. Gazety sporo o nim pisały w swoim czasie. Wasz generał Sikorski zesłał tam ludzi odpowiedzialnych za waszą przegraną z Niemcami, kolaborantów i alkoholików. Z tego, co wiem, jedyną karą prócz zakazu opuszczania wyspy było kontrolowanie korespondencji. My karaliśmy ostrzej, a chyba najsurowiej Amerykanie.

– Wyspa Węży... Skąd właściwie wzięła się ta nazwa?

– Nigdy jej nie słyszałem. Na Bute było uzdrowisko, ale nie sądzę, by leczono tam jadem.

Kochanie, nie zmieniaj tematu.

Klementyna westchnęła.

– Wiem, że przestępcy nie zawiesili działalności na czas wojny i zdarzały się morderstwa, rabunki, gwałty. Tylko że na Bute siedzieli ludzie, których o nic nie oskarżono. A przecież Brytyjczycy zastrzegli sobie, że karanie za przestępstwa popełnione na Wyspach należy do ich jurysdykcji.

– Kochanie, była wojna...

– Nie tłumaczmy wszystkiego wojną – przerwała mu. – Do której kategorii zaliczysz wdowę po marszałku Piłsudskim? Była nieudolnym dowódcą, kolaborantką czy alkoholizką?! – Klementyna zorientowała się, że prawie krzyczy. – Zresztą, nie mówię o Bute – ciągnęła już ciszej. – Gdy pracowałam w szpitalu w Perth, pewnej nocy policjanci przywieźli młodego Polaka, wycieńczonego, bosego, z odbitymi nerkami, poranionymi rękami i stopami, wybitymi zębami. Zachowywał się jak schwytane dzikie zwierzę. Z początku myślałam nawet, że jest chory psychicznie. Siedziałam przy nim całą noc. Spał niespokojnie, rzucał się na łóżku, jęczał i krzyczał. Dopiero po dwóch dniach nabrał do mnie zaufania i opowiedział mi swoją historię. Nazywał się Dominik Kulczycki. Studiował w paryskiej École nationale supérieure des beaux-arts, a latem trzydziestego dziewiątego roku wybrał się na malarską wędrowkę po Bretanii. Do wojska zgłosił się na ochotnika i po Dunkierce razem z polskimi oddziałami wylądował w Szkocji. Wojsko okazało się dla niego jednym wielkim rozczarowaniem: tępa dyscyplina, bezsensowne rozkazy, długie godziny musztry graniczące z torturą, żeby „przerobić na żołnierzy tych cholernych inteligentów”, na dodatek nieustanne sprzątanie szkockich plaż. Jeden z jego dowódców powtarzał: „Kiedyś przyjdą tu Niemcy, a to czysty naród. Zobaczą śmieci i powiedzą: »Ci Polacy to świnię«”. Pewnego dnia prosto po wyczerpującej mustrze pognano ich na plażę. Napisał na piasku wielkimi literami: „Wolę być świnią, niż sprzątać”. Sąd wojskowy uznał go za buntownika i przewieziono go do polskiego karnego obozu, piętnaście mil od Perth.

– Zawodowi wojskowi rzadko mają poczucie humoru. A odmowa wykonania rozkazu w czasie wojny... Sama wiesz.

– Być może powinien zostać ukarany, ale nie tak! W tym obozie, w Shinafoot, Polacy zbudowali baraki, obok nich rozbili na gołej ziemi kilkanaście dużych namiotów. Otoczyli je drutem kolczastym, na rogach postawili wieżyczki strażnicze. Wszędzie wisiały tablice zakazujące zbliżania się do drutów. To

odludna okolica, a nielicznym mieszkańcom powiedziano, że w obozie są dywersanci, szpiegowie i kolaboranci. Najgorsze jednak jest to, że na komendanta wyznaczyli sadystycznego psychopatę. Głodzenie i bicie było na porządku dziennym. Dominik opowiedział mi, jak skuto mu z tyłu ręce kajdankami i powieszono go za nie, a komendant bił go po twarzy, dusił, kopał po brzuchu i po nerkach. – Zakryła twarz rękami.

Aidan ją przytulił.

– Kochanie, to straszne, ale to już przeszłość. – Kołysał ją w ramionach jak dziecko. – Teraz sobie przypominam – powiedział. – Dziennikarze w Nowym Jorku, podczas wizyty Sikorskiego na początku czterdziestego drugiego roku, zapytali go, czy to prawda, że Polacy w Szkocji zbudowali nową Berezę.

– I co odpowiedział?

– Nie pamiętam dokładnie, ale zaprzeczył.

– Przecież musiał o tym wiedzieć. Koło Glasgow było brytyjskie więzienie wojskowe, w którym siedzieli Francuzi, Norwegowie, Belgowie, Czesi, Holendrzy. Tylko Polaków tam nie było. My byśmy nie pozwolili bić naszych angielskim strażnikom, woleliśmy robić to sami.

– Churchilla też o wiele się obwinia. Wszyscy przywódcy dla jednych są wcieleniem diabła, dla innych świętymi.

– Aidan, ja wiem, że przywódca rzadko jest skromny, miły, kocha dzieci i zwierzęta, a do tego ma poczucie humoru.

– Widzę, że jednak nie chcesz mi opowiedzieć o tym wypadku.

– Chcę. Cały czas do tego zmierzam. Wzięłam wtedy Dominika do swojego mieszkania. Bałam się, że w szpitalu go znajdą i zabiorą z powrotem do obozu.

– Wzięłaś go do tego małego pokoiku, który miałaś w Perth?

– Ja spałam na podłodze. On naprawdę był w złym stanie. Załatwiłam mu lewe papiery i kupiłam bilet do Londynu. Tylko tyle mogłam zrobić. Niedługo potem przeniosłam się do Glasgow i jeśli nawet napisał na adres szpitala w Perth, to nie dostałam tego listu. Sama za to zaczęłam pisać: do polskich władz, do Izby Gmin, do lorda Elgina, do króla Jerzego, gdzie tylko się dało.

– Pisałaś o tym obozie?

– Tak. Najpierw pojechałam do Shinafoot, zobaczyłam, choć z daleka, że istnieje i naprawdę wygląda tak, jak opisywał Dominik. Zresztą wieści już się rozchodziły i coraz więcej ludzi o nim wiedziało. Tylko że trudno było w to uwierzyć. Wiele wysoko postawionych osób zaczęło naciskać, żeby te polskie obozy zlikwidować, i w końcu tak się stało.

– Naprawdę jesteś odważna.

– Moi rodacy inaczej to ocenili. Kiedy w Glasgow wracałam ze szpitala do domu, jakaś kobieta poprosiła mnie, żebym jej pomogła wnieść wózek z dzieckiem po schodach. To była zasadzka. Czekają na mnie trzech mężczyzn, żeby za karę, za to, że kalam własne gniazdo, ogolić mnie do skóry. Nie pomyśleli, że chirurg nie może być słabowity, i nie wiedzieli, że przeszłam podstawowe szkolenie w zakresie samoobrony.

– Dałaś radę trzem mężczyznom?

– Przez zaskoczenie. Nie pomyśleli o zatkaniu mi ust i wrzeszczałam jak opętana. Chyba nie chcieli mnie pociąć tą brzytwą. Skaleczyli mnie przypadkiem. Gdy zobaczyli tryskającą krew, uciekli. Na szczęście to było blisko szpitala i udało mi się tam dojść.

– Jesteś taka dzielna! Wymyślmy coś, zobaczysz. W Cape Town są nowoczesne szpitale. – Pocałował ją. – Czy ten Baranek... Barankiewicz miał z tym jakiś związek? Bo jeśli tak, to jutro pójdę do domu pani Hughes i skuję mu mordę.

Po raz pierwszy w jej obecności Aidan użył tak ordynarnego sformułowania.

– Nie. Był kolegą komendanta obozu, stał po jego stronie i wie o moim udziale w całej sprawie. Sąd wojskowy skazał kilku strażników, ale komendanta uniewinnił. Pan Bóg jednak widział wszystko i tym razem zagrzmiał. Diabeł stróż wepchnął komendanta pod tramwaj w Edynburgu. – Westchnęła. – Która godzina?

Aidan sięgnął po zegarek leżący na nocnym stoliku.

– Dochodzi druga. O której masz pociąg?

– Kwadrans po ósmej.

– Zamówię budzenie na szóstą. Zjemy śniadanie i odprowadzę cię na dworzec.

– Nie musisz zamawiać. Budzę się o piątej.

– Zostaniesz ze mną do rana?

– Tak.

– Kocham cię – powiedział po polsku.

Obudziła się o piątej, jak co dzień. Wstała ostrożnie, ubrała się, potem zdjęła pierścione, na hotelowej papeterii napisała: „Wybacz mi”, jeszcze przez chwilę patrzyła na śpiącego Aidana, w końcu cichutko wyszła z pokoju.

Jej pokój był na końcu korytarza. Umyła się, wzięła walizkę i schodami zeszła na dół.

– Taksówka dla pani? – spytał boy, który na jej widok zerwał się z fotela w holu.

– Nie, dziękuję.

Przeszła przez Piccadilly i znalazła się w Green Parku. Nie musiała się spieszyć.

Świeżo opadłe liście szeleściły pod nogami. Wyobrażała sobie, że idzie Plantami. Mija Barbakan i Bramę Floriańską, potem mur Arsenału, pałac Badenich, pomnik Lilli Wenedy, zaraz zobaczy Pałac Sztuki i jeżeli skręci w Karmelicką, za dziesięć minut będzie w domu...

Zakręciło się jej w głowie, bo przestała oddychać. Przystanęła, postawiła walizkę na ziemi, oparła się ręką o ławkę.

Była w Londynie, w Anglii, a Anglia to nie jest miejsce, gdzie spełniają się marzenia emigrantów.

Minęła pomnik królowej Wiktorii przed pałacem Buckingham i skierowała się w stronę hotelu Rubens. Znała tę drogę na pamięć. Gdy w marcu czterdziestego szóstego roku Teofil napisał jej, że wraca z Włoch, wychodziła na każdy pociąg przyjeżdżający z Dover. Cenzura wojskowa bezlitośnie zamazywała w listach daty i godziny, tak jakby nadal trwała wojna. Nie była żoną, siostrą ani matką Teofila i dowództwo odmawiało jej informacji, pozostawiało jej więc stać na peronie z bijącym sercem, a potem ciężkim krokiem wracać do domu.

Zegar nad głównym wejściem na Dworzec Wiktorii wskazywał dwadzieścia po szóstej.

Usiadła w restauracji i zamówiła herbatę. Nie mogła się zmusić do przełknięcia grzanki, herbata jednak była gorąca i mocna i gdy ją wypiła, poczuła się lepiej.

Pociąg do Inverness miał być podstawiony za pół godziny. Prawie trzynaście godzin w wagonie, potem rzeka Ness i stojący nad nią brzydki zamek... Nie napisała do Cromarty Park, że przyjeżdża, będzie więc musiała poszukać noclegu w mieście, a rano wziąć taksówkę.

Idąc na peron, usłyszała zapowiedź pociągu do Penzance. To właśnie tam spędzili tydzień między powrotem Teofila z Włoch do Anglii a jego wyjazdem do Polski.

Zawróciła do kas. Wymieniła bilet do Inverness na bilet do Penzance i wsiadła do pociągu. Wakacje dawno się skończyły, tylko emeryci i bezrobotni, tacy jak ona, myśleli teraz o wyjeździe nad morze. Była sama w przedziale. Ułożyła walizkę na półce, zdjęła płaszcz, usiadła na miękkim siedzeniu i niemal natychmiast zasnęła.

Obudził ją konduktor. Dojeżdżali do Basingstoke. Spała prawie godzinę.

Poszła do toalety, umyła ręce i twarz zimną wodą. Spojrzała do lustra i napotkała twardego wzrok starej kobiety, która życie ma już za sobą.

Myślała o Aidanie – o tym, co zrobi, gdy się obudzi sam i zobaczy na stole pierścionek. Rozczarowała go, tak jak Isaaca.

Pięć lat temu jechała tą samą drogą z Teofilem. Trzymali się za ręce i całowali, gdy choć na chwilę zostawali sami w przedziale. Siedząca naprzeciw starsza pani przyglądała im się z uśmiechem. Klementyna nie wytrzymała i skłamała, że są w podróży poślubnej. „To widać”, odrzekła kobieta, a Klementyna roześmiała się szczęśliwym, gruchającym śmiechem panny młodej. Wojna skończyła się dla niej, dopiero gdy wrócił Teofil.

Wynajęli pokój z widokiem na morze, spacerowali po plaży, pływali, drwili z okropnego Domu Egipskiego, zachwycali się łąką z białą koniczyną i błękitnymi dzwonkami w ogrodzie Trengwainton, poszli do kina, choć akurat wyświetlano łzawy amerykański melodramat. Teofil nie mógł opanować śmiechu, gdy w kronice przed filmem pokazano migawki z wojennych ćwiczeń Home Guard.

Opowiadał jej, jak Australijczycy poczęstowali go herbatą i jak ją wypuł, bo była zaparzona na filtrowanej morskiej wodzie, i jak szybko się do niej przyzwyczaił, bo słodkiej wody w Tobruku nie było, jak bomby zapalające trafiły w skład benzyny, jak sucharami karmili szczury i jak potwornie cięży pchły, choć posypywali koce pokruszonymi włoskimi cygarami.

Gdy pociąg zbliżał się do Par, wyszła na korytarz, żeby zobaczyć morze, a gdy znów skierował się w głąb półwyspu, poszła do wagonu restauracyjnego. Zamówiła kanapkę z szynką i kieliszek porto, tak jak przed laty.

Zostawiła walizkę w przechowalni i poszła nad morze. Nic się tu nie zmieniło.

Spacerowała stromymi uliczkami. Chwilami wydawało się jej, że jeśli nagle się odwróci, zobaczy idącego tuż za nią Teofila.

Nie chciała, żeby jechał do Polski. Wiedzieli już wtedy, że wracający żołnierze wprost z granicy są przewożeni do więzień. Lecz wiedziała też, że Teofil nie zazna spokoju, dopóki nie rozmówi się z Bisią.

Ogarnęła ją nagła złość na myśl o Bisi. Czemu nie odpowiedziała na żaden jej list? Nienawidziła Klementyny, to oczywiste, ale mogła napisać jedno zdanie: „Nigdy nie pojadę z tobą do Australii ani w żadne inne miejsce na ziemi czy w piekle”.

Taki właśnie mieli plan – wyjazd we troje, może nawet we czworo, z Bisią i Olgą, do Australijczyków, którzy zaprosili Teofila z rodziną i obiecali załatwić mu pracę w szpitalu w Sidney. Klementyna zgodziłaby się mieszkać z grzechotnikiem, gdyby to był warunek życia z Teofilem.

Australia. Jak tam właściwie jest, na końcu świata?

Powoli wracała promenadą na stację. Było już po sezonie i przed budynkiem stała tylko jedna taksówka.

Klementyna otworzyła drzwiczki.

– Zawiezie mnie pan do hotelu Old Dairy?

– Do Land’s End? Oczywiście.

Wrzosowiska już kwitły. Gdy jechała tędy z Teofilem, były brązowozielone.

Wysiadła przed hotelem, a kiedy taksówka odjechała, poszła w stronę morza. Pamiętała tę ścieżkę. Trawa, wrzosy, skały i wielka woda. Tak podobno wygląda wybrzeże na południu Australii.

Słońce już zachodziło. Trwał przyptyw i morze huczało, kotłując się u podnóża klifu.

Rozgrzana drogą zdjęła płaszcz, położyła go na kamieniu, usiadła i patrzyła, jak słońce zbliża się do linii horyzontu. Potem zamknęła oczy i wyobrażała sobie, że jest w Juracie, na Bałtyku szaleje sztorm, a gdy się skończy, pójdzie na plażę zbierać bursztyny z roztrzaskanego pałacu morskiej królowny.

Kamień robił się coraz zimniejszy. Czowała jego chłód przez wełnę płaszcza.

Otworzyła oczy. Słońce zaszło, na niebie błyszczały pierwsze gwiazdy.

Wstała i poszła na brzeg urwiska. Popatrzyła na ciemniejący horyzont.

„To był piękny dzień”, pomyślała.

I skoczyła.

LORCIA

*Unde malum?*

(Skąd się wzięło zło?)

Gottfried Wilhelm Leibniz

Kobieta w zapiętym pod szyję futrze i wysokich sznurowanych trzewiakach siedziała przy oknie w jaskrawym słonecznym świetle. Ciemnoczerwone rumieńce wykwitły na jej policzkach, twarz lśniła od potu. Chwiała się na taborecie i wyglądała tak, jakby za chwilę miała z niego spaść.

– Chorąży!

– Tak jest, obywatelko porucznik!

– Wyście ją zatrzymali?

– Tak jest! – Uśmiechnął się szeroko i nachylił w jej stronę. – Po czym obywatelka porucznik poznała?

– Po tym numerze z ciepłym ubraniem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zawsze się na to nabierają.

Niesforna ciemna grzywka spadała mu na brązowe oczy. Na gładkiej twarzy z dziecinnie krągłą brodą często się pojawiał lekki rumieniec, któremu zawdzięczał przezwisko Panienska. Gdyby nie przesycony zapachem tytoniu i nieprzetrawionego samogonu oddech, mogłaby pomyśleć, że stoi przed nią licealista.

Chorąży Leszek Kołodziejski miał młodzieńczą konspiracyjną przeszłość: pisanie haseł na murach, gazowanie kin, kradzież broni dwóm żołnierzom Wehrmachtu, krótki epizod w jednej z powojennych reakcyjnych band. Zdezertował z niej, gdy leśni napadli na dom sołtysa w podkrakowskich Brzezinach, zgłosił się na UB i opowiedział, jak zaskoczyli sołtysa w stajni na pędzeniu bimbru, kazali mu zjeść partyjną legitymację, wydać cały zapas samogonu, w końcu odczytali mu wyrok – pięćdziesiąt batów, stracili jednak rachubę i zachłostali go na śmierć, a potem, żeby ukryć zbrodnię, podpalili gospodarstwo.

Lorcja obserwowała go podczas przesłuchania, zastanawiając się, jakim cudem krakowska mieszczańska rodzina dochowała się dziewiętnastolatka, który nonszalanckim krokiem wszedł do urzędu, zażądał rozmowy z osobą najwyższą stopniem i opowiedział, co po pijanemu zrobili jego koledzy z oddziału. Bez wahania pokazał na mapie kryjówek leśnych, ale gdy kazała mu jeszcze raz opisać scenę chłosty, w jego oczach zobaczyła łzy.

Od tamtej pory minęło pięć lat, dla Lorcji ciągle jednak stanowił zagadkę. Mieli w urzędzie kilku podobnych odszczepieńców, którzy spalili za sobą mosty i z neoficką gorliwością umacniali nową władzę, lecz tylko Kołodziejski próbował dyskutować z przełożonymi, krytykował metody pracy i najlepiej wypadał w zadaniach indywidualnych. Kurs dla podoficerów, na który wysłała go Lorcja, skończyłby z wyróżnieniem, gdyby nie konflikt z jednym z wykładowców, ćwiczenia na poligonie traktował nonszalancko i porównywał do harcerskich gier terenowych, ale gdy dowodził, jego oddział zawsze wygrywał. Chociaż w tak małym mieście jak Kraków musiał od czasu do czasu natknąć się na starego znajomego, nie próbował nawiązać kontaktów z dawnym środowiskiem ani z rodziną, która zawsze traktowała go jak czarną owcę. Być może dlatego szukał towarzystwa miejskiej hałastry, ludzi, od których mógł czuć się lepszy i na których tle błyszczał. Lorcja ceniła jego zdolności, nade wszystko jednak urzekał ją łotrzykowski humor, który pozwalał mu drwić ze wszystkiego i wszystkich.

Znów spojrzała na kobietę w brajstzwancach.

– Czemu tu siedzi?

– Kazałem jej stać, jak wszystkim, ale poszła z pół godzinki i runęła jak kłoda. Ledwieśmy ją podnieśli. Dałem jej taboret. Obywatel major zawsze powtarza, że materiał trzeba wstępnie obrobić, ale tak, żeby go nie zepsuć.

– Jest u siebie?

– Na naradzie u starego.

Kobieta wyprostowała się na taborecie i patrzyła na nich, mrużąc oczy w oślepiającym słońcu.

– Lorcja?

Szept był tak cichy, że Lorcja nie tyle go usłyszała, ile odczytała swoje imię z ruchu warg. Odwróciła się do chorążego i powiedziała ostro:

– Żebyście, Kołodziejski, nie przesadzili z tą obróbką materiału. Starzy ludzie mają słabe serce.



Zaprowadźcie ją do celi. I skończcie te wygłupy z ciepłym ubraniem i straszaniem wywózką na Sybir! My nie wywozimy na Syberię!

Zrobiła w tył zwrot, jak na ćwiczeniach musztry, i odeszła, tupiąc głośno wojskowymi butami na grubych podeszwach.

\*

– Chwył towarzysza Różańskiego, czyli rozmowę jak Polak z Polakiem i oficer z oficerem, przekonanie przesłuchiwanego, że wyjście z podziemia leży w jego interesie, a potem danie oficerskiego słowa honoru, że nic mu za to nie grozi, można było zastosować tylko raz. Ale nawiązanie kontaktu z przesłuchiwanym to ciągle najważniejsza rzecz. Bicie nie wystarczy. Są jakieś pytania?

Lorcja powiodła wzrokiem po twarzach słuchaczy. Siedzieli po dwóch w drewnianych ławkach i przez chwilę poczuła się jak nauczycielka w męskim gimnazjum, w klasie, w której wszyscy chłopcy walczą o pozycję prymusa. Nie wolno im było notować, w skupieniu chłonęli więc każde słowo, wpatrzeni w nią jak w tęczę.

– Skoro wszystko jest jasne, przechodzimy do drugiego tematu. Będziemy się nim zajmowali od października, dziś tylko krótki wstęp: nielegalne przekraczanie granicy.

Słuchacze poprawili się na krzesłach. Oczy im zabłyły.

Lorcja uśmiechnęła się w duchu. Jak mali chłopcy! Zawsze zainteresowani sensacyjnymi wątkami, przygodą i akcją.

„Podroczę się trochę z wami”, pomyślała.

– Nasza zachodnia granica lądowa jest praktycznie nie do przebycia. Prócz zaoranego pasa ziemi, na którym widać każdy ślad, mamy tam tysiąc sto kilometrów zasieków, tysiąc dwieście wież strażniczych stojących w odległości wzroku, ukryte miny, czujniki ruchu odpalające rakiety świetlne, a przede wszystkim trzydzieści tysięcy wopistów.

Widziała, jak starają się zapamiętać te do niczego im nieprzydatne szczegóły. Tylko jej ulubieniec, podchorąży Witold Mazurek, na chwilę przymknął oczy. Zamiast jak reszta gorączkowo powtarzać w myślach liczby, wyobraził sobie pewnie linię Odry i biegnący wzdłuż niej nieprzebrany mur złożony z ludzi i przemysłnych pułapek.

Lorcja podeszła do wiszącej na ścianie mapy Polski.

– Jak wiecie, rewizjoniści z NRF nie uznają naszej prastarej piastowskiej granicy. Mamy jednak układ zgorzelecki z NRD, a przede wszystkim wielkiego sojusznika w osobie towarzysza Stalina, który wraz z bratnim narodem radzieckim jest gwarantem naszych granic, szczególnie na Odrze i Nysie. Na początku tego roku towarzysze z NRD zgodzili się na korektę granicy na wyspie Uznam i od miesiąca Świnoujście ma dostęp do wody pitnej, po przyłączeniu do Polski kilkudziesięciu hektarów ze stacją uzdatniania wody nad jeziorem Wolgastsee. – Puknęła w wyspę drewnianym wskaźnikiem. – Na przyjaciół zawsze można liczyć.

– Nie wierzę Niemcom jak psom – mruknął siedzący pod oknem kapral Alfred Jedynak.

– Ja też – poparł go plutonowy Ernest Bulik. – Tyle lat się namyślali? Żałowali nam wody?

Zawsze trzymali się razem, trochę na uboczu grupy. Lorcja znała na pamięć teczki personalne wszystkich dwunastu uczestników kursu i od razu zauważyła, że Alfred jest niezwykle podobny do młodszego brata Ernesta, Januarego, który zginął zasypany razem z matką w warszawskiej piwnicy we wrześniu czterdziestego czwartego roku.

Nie skomentowała ich uwag, bo podtrzymywanie niechęci – żeby nie powiedzieć nienawiści – do Niemców było zgodne z linią partii. Polacy, nawet gdyby chcieli, nie mogli zapomnieć o krzywdach, jakie Niemcy im wyrządzili od czasów Bolesława Krzywoustego, gdy podczas oblężenia Głogowa Henryk V kazał przywiązać do wież oblężniczych polskich zakładników, a wśród nich syna dowódcy obrońców grodu. Imię tego nieszczęśnika zginęło w pomroce dziejów, ale tragiczny dylemat był żywy, jakby od tamtej pory nie minęło osiem stuleci. Co czuł, gdy kazał ciskać na maszyny płonące głównie albo chlustać na nie wrzącą wodą, gdy naciągał kuszę i kierował strzałę w pierś syna, przyjaciela, sąsiada? W szkolnych czytankach nie było ani słowa o tym, że Krzywousty zagroził ukrzyżowaniem

każdemu, kto się podda Niemcom. Może za jakiś czas Henryk nie odstąpi w nich od Głogowa sam, tylko przepędzi go jakiś zabłąkany na te tereny oddział dzielnych ruskich wojów?

– Chorąży Kołodziejski mówił nam kiedyś, że obywatelka porucznik dwa razy przeszła zachodnią granicę. Czyli granica nie jest nieprzebyta – odezwał się podchorąży Mazurek.

– Naprawdę? Jak obywatelka porucznik to zrobiła?

W głosie plutonowego Bulika było tyle podziwu, że gdyby Lorcja była próżna, musiałaby się zarumienić z zadowolenia.

– Miałam czapkę niewidkę.

– Niech nam towarzyszka porucznik o tym opowie – prosili chórem. – To przecież ostatnie zajęcia przed wakacjami.

– Dobrze, opowiem. Tylko najpierw spójrzcie na mapę i zastanówcie się, jaką drogę byście wybrali, gdybyście musieli przejść na Zachód przez zieloną granicę.

Posłusznie wlepili oczy w mapę.

– Kto na ochotnika?

Dwie ręce podniosły się do góry. Lorcja skinęła na plutonowego Bulika.

– Wybrałbym drogę morską, na Bornholm.

– Dlaczego?

– To tylko pięćdziesiąt mil z Kołobrzegu, czyli żaglówką można się tam dostać w ciągu jednego dnia.

– Zapominasz, że nasz obóz żeglarski jest w Górkach – uśmiechnęła się Lorcja. – Skąd weźmiesz pozwolenie na pobyt w Kołobrzegu? Znasz tamtejszy port? Jak zdobędziesz żaglówkę?

– To może z Górek? – podpowiedział kapral Jedynek.

– Zwariowałeś? – Bulik wstał, zdjął ze ściany długą drewnianą linijkę wiszącą obok innych przyborów geometrycznych, podszedł do mapy i zmierzył odległość z Gdańska do wybrzeża Szwecji. Spojrzał na podziałkę mapy. – To będzie jakieś... – Przez chwilę liczył w myślach. – ... Trzysta pięćdziesiąt kilometrów, a więc prawie dwieście mil. Przeciętną żaglówką półtorej doby przy sprzyjającym wietrze, czyli trzeba liczyć co najmniej dwie doby.

– Ciężka sprawa, prawda? – uśmiechnęła się Lorcja. – Czy Bałtyk sprzyja żeglarzom?

– To trudne morze. Krótka i stroma fala, gwałtowne sztormy, szybko zmieniająca się pogoda – wyliczał Bulik.

Kapral Jedynek na chwilę odwrócił wzrok od mapy i spojrział przez okno na ogród oraz pusty basen wyłożony kamiennymi płytami, które zarosły mchem.

– Morze jest okrutne – rzucił.

– Nie, kapralu. Morze nie jest okrutne ani wrogie, ani przyjazne, tylko bezwzględne. Wymaga od człowieka wiedzy i umiejętności. Dlatego amatorzy, którzy się na nie wypuszczają, nie uchodzą z życiem. A gdyby nawet im się udało, to... – Zawiesiła głos jak nauczycielka w podstawówce.

– To mamy kutry patrolowe i lotnictwo morskie – dokończył Bulik.

– No właśnie. Inne pomysły? Kapral Jedynek?

– Gdybym umiał pilotować samolot, to uciekłbym samolotem.

– Tylko że nie masz o tym zielonego pojęcia! Pilot nielot! Lata jak ptak kiwi! – rozległy się kpiące głosy.

Lorcja uniosła rękę i natychmiast zapadła cisza.

– Nie umiem, prawda, ale złożyłem prośbę o zakwalifikowanie na kurs szybowcowy. Niedługo wam oko zbieleje.

– Do rzeczy, kapralu.

– Tak jest, obywatelko porucznik. Na razie nie umiem latać, więc pomyślałem o drodze przez góry. Tam trudniej upilnować granicy. Pochodzę spod Cieszyna i dziadek nieraz mi opowiadał o starym przemysłowym szlaku do Pragi. Znam czeski, więc w Pradze po prostu kupiłbym bilet do Pilzna, a stamtąd przez Czeski Las dwa kroki do Norymbergi.

– Dobry pomysł – pochwaliła Lorcja. – Jaki jest najtrudniejszy punkt na tej trasie?

– Granica czesko-niemiecka.  
– Jak byś sobie na niej poradził?  
– Czesi pilnują tak jak my i chyba jedynym sposobem jest znalezienie kogoś miejscowego, kto przeprowadzi na drugą stronę.

– Bravo! Sama kiedyś szłam właśnie tamtędy i ta granica okazała się najtrudniejsza do przebycia.

– I jak obywatelka porucznik ją przeszła? – spytał podchorąży Mazurek.

– Śpiewając! – teatralnym szeptem rzucił plutonowy Bulik.

Lorcja udawała, że nie słyszy.

– W lipcu czterdziestego szóstego roku, gdy granice nie były tak szczelne jak dziś, udało mi się dostać do grupy uciekinierów, którą kurier prowadził właśnie tą trasą. – Podeszła do mapy. – Z Cieszyna do Pragi, potem kolejną do Pilzna i dalej ciężarówką do Mariańskich Łaźni. Kurier był jeden, zmieniali się przewodnicy, którzy przekazywali nas sobie z rąk do rąk. Zatrzymywaliśmy się w rozmaitych kryjówkach: w leśniczówce, w szopie z sianem, raz nawet w cmentarnej kaplicy. – Lorcja przypomniała sobie zapach kadzidła, wosku i pleśni, który snuł się w wilgotnej kaplicy, i rywalizację o jedyne suche miejsce do spania: na katafalku. – Moim zadaniem było poznanie sposobu przejścia przez niemiecką granicę. Sprawa okazała się banalnie prosta: przekupiony celnik. Zajmiemy się tym wszystkim w październiku, gdy znów się spotkamy w tej sali. Choć z niektórymi z was zobaczę się na obozie w Górkach. – Lorcja się uśmiechnęła.

– Obywatelko porucznik, a druga trasa? Proszę nam o niej opowiedzieć! – błagalnym tonem odezwał się plutonowy Bulik.

– Tak, prosimy! Bardzo prosimy! – wołali jeden przez drugiego.

Lorcja spojrzała na zegarek.

– Mamy jeszcze chwilę, więc dobrze. Druga trasa była krótsza, ale znacznie trudniejsza. Prowadziła przez morze.

– A mówiłem?! – wyrwał się plutonowy Bulik. – Żaglówka najlepsza! Obywatelka porucznik jest świetną żeglarką.

– Nie podlizujcie się, plutonowy. Nie będziecie mieć z tego tytułu żadnych forów na obozie. – Lorcja zrobiła surową minę. – Poza tym nie zgadliście. Przebyłam tę drogę wpław.

– O rany! – rozległ się jęk zachwytu. – Wpław? Do Szwecji?!

– Dwójka z logiki i godzina karnej musztry dla wszystkich. Nic nie mówiłam o Szwecji.

Znowu rozległ się głośny jęk, tym razem zawodu.

– Żartowałam. Cała sprawa zaczęła się daleko od morza, w Zgorzelcu. Czy któryś z was słyszał o operacji Źródło?

Wszyscy pokręcili głowami, nie odrywając od niej błyszczących ciekawością oczu.

– W czerwcu czterdziestego dziewiątego roku na granicy w Zgorzelcu celnicy znaleźli u pewnej kobiety dwa tysiące dolarów i zaszyfrowaną wiadomość. Aresztowali kurierkę i przekazali do naszego urzędu w Jeleniej Górze. Niestety, nie udało nam się odczytać szyfrogramu, a kurierka Eryka Morawiec prócz hasła знаła tylko jedno nazwisko: Szulc. Nikt wtedy nie przypuszczał, że tajny łańcuch łączności, którego Jadwiga Szulc była pierwszym ogniwem, biegnie z Berlina do kryjówki pod Krakowem. Wiedzieliśmy tylko jedno: tam, gdzie jest kurier... – Lorcja zawiesiła głos i spojrzała na słuchaczy.

– ... tam jest i siatka – dokończyli chórem.

\*

Drewniany, bielony wapnem domek nie był ogrodzony. Lorcja długo stała za węglem na wpół zrujnowanej szopie, patrząc na dwa błyszczące okna, na drabinkę oplecioną drobnymi pąsowymi różami, rząd różnokolorowych georginii, niskie pomarańczowe nasturcje płożące się wśród sztywnych łodyg różowych malw, omszałą studnię w cieniu krzaka bzu, brązowe kury szukające robaków w trawie. Z komina sączył się dym, ktoś więc był w domu. Zielone drzwi się otworzyły i przez wysoki próg przelazł chłopczyk ubrany w płócienne majtki zszyte z koszulką.

Lorcja ruszyła w stronę domu. Sprężysta trawa tłumiała odgłos kroków.

– Dzień dobry, Jasiu.

– Dzień dobry. A skąd pani wie, jak się nazywam?

– Wiem. – Lorcja uśmiechnęła się tajemniczo. – Mama w domu?

Zanim zdążył odpowiedzieć, w drzwiach pojawiła się młoda kobieta. Przeskoczyła próg i chwyciła chłopca na ręce.

– Czego pani tu szuka?! Mam spuścić psa?

– Przecież nie ma pani psa. Gdy umarł Troj, przyrzekła pani sobie, że żadnym innym go nie zastąpi.

Kobieta znieruchomiała. Przez chwilę przyglądała się Lorcji.

– Kim pani jest? – spytała.

Lorcja rozejrzała się dokoła, potem zrobiła krok w stronę kobiety i powiedziała cicho:

– Przysyła mnie pani mąż.

Oczy kobiety się rozszerzyły. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Lorcja widziała, jak nadzieja i radość, które rozbłysły na jej twarzy, zmieniają się w niedowierzanie, a potem w podejrzliwość.

– Mój mąż nie żyje.

Powiedziała to cicho, z wahaniem, jakby wbrew rozumowi chciała uwierzyć, że tamta wiadomość była fałszywa, że mąż cudem przeżył strzelaninę na granicy i udało mu się uciec.

Lorcji zrobiło się jej żal.

– Możemy porozmawiać na osobności? – spytała, ruchem głowy wskazując chłopca.

Kobieta mocniej go przytuliła.

Lorcja spojrzała na zrobioną z deseczki huśtawkę przywiązaną do gałęzi starej jabłoni.

– Jasiu, może się pohuśtasz? Muszę porozmawiać z twoją mamą.

– Mamusiu, ta pani wie, jak się nazywam.

Kobieta chwilę się namyślała, marszcząc czoło.

– Pobaw się grzecznie, Jasiu. Za chwilę będzie podwieczorek.

Postawiła chłopca na ziemi i spytała:

– Napije się pani kompotu?

– Bardzo chętnie.

Usiadły na ławce pod czereśnią, przy pomalowanym na zielono stole.

Lorcja wypila kompot, odstawiła garnuszek i powiedziała:

– Tego właśnie obawiał się Marian.

Kobieta spojrzała na nią. Miała przejrzyste szare oczy, w których Lorcja czytała jak w otwartej książce: „Czy to możliwe? Czy on naprawdę żyje?”, a potem: „Jesteście zaprzyjaźnieni? Mówicie sobie ty? To czemu cię nie znam?”.

– Bał się, że nie uwierzy pani obcemu. Dlatego kazał mi coś powiedzieć: „Skowronek śpiewał, ja o świcie wstałem, i czułem życie...”.

– „I życie kochałem” – dokończyła kobieta cicho i się rozplakała.

Lorcja objęła ją ramieniem.

– Gdy na czesko-polskiej granicy grupa Mariana natknęła się na wopistów i wywiązała się walka, tylko jednej osobie udało się uciec. Zresztą pani to wie, bo to był pani znajomy, Henryk Worszyłło, który się z panią skontaktował i opowiedział o wszystkim.

Kobieta otarła oczy.

– Też go pani zna?

– Tylko z opowiadań. Wiem, że wrócił do Polski po narzeczoną i że razem z nią szczęśliwie przeszedł zieloną granicę. Słyszałam, że mieszkają we Włoszech.

– A Marian? Naprawdę żyje? Gdzie teraz jest?

– W Berlinie, w amerykańskiej strefie. Przysłał mnie po panią.

Kobieta zeszywniała. Wyprostowała się i Lorcja cofnęła ramię, którym ją obejmowała. Czy to

możliwe, że w tak bliskim kontakcie, gdy się dotykały, wyczuła, że Lorcja kłamie?

– Wtedy na granicy zginęło dwóch wopistów. Reszta ze strachu strzelała do wszystkiego, co się poruszyło. Kiedy się rozjaśniło, przyjechało KBW i przeszukało całą okolicę. Kabewiaci znaleźli pięć trupów i dwóch rannych. Gdy ich przywieźli do Jeleniej Góry, okazało się, że jeden uznany za zabitego żyje, choć ledwo, ledwo. W tajemnicy przetransportowano go do szpitala wojskowego. Gdy powoli wracał tam do życia, przypadkiem zobaczył swego przedwojennego podkomendnego. Żołnierze go uwielbiali... Ale przecież pani to pamięta. Marian wiedział, że gdy tylko dojdzie do siebie, przewiozą go do ubeckiego więzienia. Przez tego żołnierza nawiązał kontakt z podziemiem. Choć go pilnowano, nasi wykradli go ze szpitala. Potem się ukrywał, a od miesiąca jest w Berlinie.

– Ale dlaczego nie dał znaku życia? Czemu pozwolił, żebym myślała, że nie żyje?

– Dla pani bezpieczeństwa. A teraz przysłał mnie po panią i po Jasia.

– Jak mnie pani tu znalazła?

Ciągle była nieufna. Lorcja widziała, jak bardzo chce uwierzyć w cudowne zmartwychwstanie męża i jak powstrzymuje ją przed tym zdrowy rozsądek.

– Pani przyjaciółka Adela Krzywobłocka powiedziała mi, gdzie pani teraz mieszka.

– Zna ją pani?

– Poznałyśmy się niedawno. – Lorcja ściszyła głos. – Czy mogę pani zaufać?

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona, ale kiwnęła głową.

– To, co powiem, musi zostać między nami. Przyjechałam nie tylko po panią. Mam pieniądze dla pewnych osób w kraju. Miałyśmy też przekazać listy... Bo wysłano mnie z jeszcze jedną kurierką. Jechałyśmy do Polski legalnie, koleją, i na granicy w Zgorzelcu celnicy coś u niej znaleźli. Nie wiem co, bo dla bezpieczeństwa jechałam w innym przedziale. W każdym razie zatrzymali ją i listy przepadły, także ten do pani. Proszę się nie bać, nie było na nich nazwisk ani adresów. Tych nauczyłyśmy się na pamięć. Hanna Kubicka, Kraków, Zielona pięć. Ach, ja się pani nie przedstawiłam. Jestem Brygida Król. – Lorcja się uśmiechnęła. – Wiem, że z Eryki nic nie wyciągną. Najgorsze jest to, że pani mi nie wierzy, bo list od pani męża przepadł. Do tego muszę wykonać zadanie Eryki i spotykać się z ludźmi takimi jak Adela, którzy spodziewali się jej, a mnie nie znają. Ale z tym sobie poradzę. Co będzie z panią i Jasiem? Zaufa mi pani i pojedzie ze mną do Berlina?

„Tylko w ten sposób dowiesz się, czy mówię prawdę”, pomyślała Lorcja, patrząc Hannie prosto w oczy.

– Pojadę. I jeśli tylko będę mogła, postaram się pani pomóc także w tej drugiej sprawie.

– Tak się cieszę! Jakżeby mogła spojrzeć Marianowi w oczy, gdybym pani nie przywiozła? Proszę zabrać jedynie najpotrzebniejsze rzeczy, najlepiej mały plecak. Przyjadę po was za kilka dni.

Gdy tylko się da, mówić prawdę. Lorcja ściśle się stosowała do tej najstarszej zasady szpiegów. Urząd Bezpieczeństwa do tej pory nie odszyfrował wiadomości, którą wiozła kurierka, i wyglądało na to, że Eryka Morawiec nie ma pojęcia, co w niej jest, od kogo pochodzi ani dla kogo jest przeznaczona. Z kurierki udało się wydobyć jedynie hasło oraz nazwisko i adres kobiety, z którą miała się skontaktować.

Ktoś, kto tworzył łańcuch łączności, znał się na swojej robocie – każda kolejna osoba mogła skierować kuriera tylko do następnego ogniwa w łańcuchu, nie miała jednak pojęcia, ile ogniw on liczy i do kogo prowadzi.

Szczęście sprzyjało Lorci. Jadwiga Szulc nie знаła Eryki Morawiec i nie zdziwiła się na widok obcej osoby. Gdy Lorcja podała hasło, bez wahania skierowała ją do Kalisza, do Czesławy Bąk. Adres miał dać Lorci bliski krewny Czesławy, właściciel pracowni krawieckiej na ulicy Kazimierzowskiej. Przypuszczając, że jego zadaniem jest sprawdzanie kuriera, Lorcja uciekła się do podstępów.

Władysław Woźniak był tak punktualny, że można by według niego regulować zegarek. Dokładnie o dziewiątej otwierał zakład, o pierwszej wychodził na obiad do domu, wracał o trzeciej, a o szóstej zamykał pracownię. Lorcja zjawiała się w niej o wpół do drugiej. O mało się nie rozplakała, gdy pracownica oznajmiła jej, że szef wróci dopiero o trzeciej i że czas obiadu jest dla niego święty. Miała przecież taką pilną sprawę do pani Czesławy! To kwestia życia i śmierci! Widząc rozpacz Lorci,

kobieta napisała karteczkę do pracującej dwie ulice dalej córki Woźniaka, prosząc ją, by podała Lorci adres Czesławy Bąk. Z Kalisza Lorcia pojechała do Zduńskiej Woli, tam skierowano ją do Radomska, a dalej do Częstochowy. I tu skończyła się dobra passa.

Irena Dudek była nieufna. Po długim milczeniu spytała, czemu przysłano kogoś, kogo nie zna. „Wie pani, ja też często nie rozumiem posunięć góry”, westchnęła Lorcia. Irena kiwnęła głową, ale zamiast skierować ją dalej, powiedziała, że musi pilnie wyjechać, wróci za dwa dni i wtedy sama zaprowadzi Lorcię do swojego kontaktu. Nie było na co czekać. Irena Dudek w każdej chwili mogła wszcząć alarm i zaprzepaścić całą operację. Gdy po południu wyszła z mieszkania, na ulicy zatrzymało ją dwóch tajniaków. Pod pretekstem sprawdzenia dokumentów wprowadzili ją do bramy, ogłuszyli i zanim ktoś zdążył cokolwiek zauważyć, wsadzili do auta i odjechali.

Na swoje nieszczęście Irena Dudek miała słaby punkt, który Lorcia szybko odkryła. Jej córka leżała w szpitalu – próbowała popełnić samobójstwo, gdy wyrzucono ją z politechniki za jakiś nierozważnie opowiedziany dowcip polityczny. Śledczy pokazał Irenie pismo rektora przywracające córkę na wydział architektury i w zamian za nie zażądał tylko jednego: nazwiska i adresu jej kontaktu.

Trzeba było się spieszyć. Lorcia jeszcze tego samego dnia pojechała do Wadowic, do Adeli Krzywobłockiej. Czowała, że jest blisko celu. I znów trafiła na mur nieufności. Tym razem jednak szczęście jej sprzyjało – rodzina Krzywobłockich od dawna była na celowniku wadowickiego urzędu. Lorcia spędziła całe przedpołudnie, przeglądając stos protokołów z przesłuchań oraz raportów z obserwacji i podsłuchów. Zainteresowała ją historia przyjaciółki Adeli, Hanny Kubickiej, której męża rok wcześniej zastrzelono podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy. W teczce były kopie protokołów z przesłuchań dwóch schwytanych wtedy uciekinierów: przewodnika, który słono sobie liczył za przeprowadzanie przez zieloną granicę i chcąc uratować nie tylko skórę, ale i majątek, odpowiadał na wszystkie pytania śledczych, oraz Władysława Basiuka, bliskiego znajomego Krzywobłockiej i Kubickich, który z początku milczał, potem jednak, gdy śledczy zręcznie manipulowali informacjami uzyskanymi od przewodnika, zaczął mówić.

To dzięki informacjom o Kubickich Hanna stała się kluczem otwierającym drzwi do kryjówki tajemniczego osobnika na końcu długiego łańcucha pośredników.

Lorcia odczekała jeden dzień i znów zjawiła się przed bielonym domkiem.

Hanna wieszała pranie. Na widok Lorci wypuściła z rąk mokrą poszewkę, wbiegła do domu, a za chwilę wyszła z niego z małym plecakiem i z Jasiem na rękach.

– Jestem gotowa – powiedziała.

Nie odwróciła się ani razu, gdy szły miedzą, a potem poznaną koleinami wiejską drogą.

Na skrzyżowaniu w cieniu lip stała kapliczka ze świętym Florianem polewającym wodą z dzbaną płonący u jego stóp dom. Hanna przyklękła na chwilę i modliła się z zamkniętymi oczami, nie wypuszczając Jasia z ramion.

– Bałam się, że pani mi się przyśniła – powiedziała, gdy ruszyły dalej.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponowała Lorcia. – Dwie koleżanki podróżujące razem nie rzucają się w oczy.

– Masz rację. Jestem Hanna.

– A ja Brygida.

– Dokąd nas zabierasz? – dopiero teraz spytała Hanna.

– Na razie do Krakowa. Ale najpierw pojedziemy do Wadowic. Muszę omówić pewną sprawę z Adelą Krzywobłocką.

– Mogę pójść z tobą? Dawno jej nie widziałam.

– Oczywiście. Nie zostawię was na dworcu – uśmiechnęła się Lorcia.

– Czy mogę jej powiedzieć o Marianie?

Lorcia już dawno przygotowała sobie odpowiedzi na podobne pytania.

– Tak, ale tylko jeśli jesteś pewna, że nikomu się nie wygada. – Spojrzała na zegarek i przyspieszyła kroku. – Za pół godziny mamy pociąg. Musimy zdążyć, bo następny jest dopiero jutro.

Na sennej stacyjce nie było żywego ducha. Weszły do maciupkiego budynku, który przypominał

raczej domek dróżnika niż budynek dworcowy. Na ich widok dwóch milicjantów zerwało się z ławki tak skwapliwie, że Lorcja poczuła złość.

– A obywatelki dokąd się wybierają? Dokumenty do kontroli! – powiedział jeden nienaturalnym głosem, jakby czytał kwestię z kartki.

Lorcja spojrzała na czterech mężczyzn siedzących w ciasnej poczekalni. Wszyscy się na nie gapili. Poznała śledczego, z którym rozmawiała w wadowickim urzędzie. Co oni sobie wyobrażali? Że dwóch milicjantów to za mało, żeby nastraszyć jedną kobietę z małym dzieckiem? A może myśla, że tajna operacja to zabawa, rodzaj przedstawienia?

Hanna była tak przerażona, że nic nie wzbudziło jej podejrzeń.

Lorcja wyjęła dowód i bez słowa podała milicjantowi. Trzęsły mu się ręce. Żeby odwrócić uwagę Hanny, powiedziała:

– Daj mi Jasia.

Hanna spojrzała na nią z wdzięcznością. Podała jej chłopca, zdjęła plecak i zaczęła szukać dokumentów.

Milicjant wziął jej dowód i jeszcze zanim go otworzył, powiedział:

– O, Hanna Kubicka. Skąd ja znam to nazwisko?

Lorcja miała ochotę go udusić. Jeszcze chwila i Hanna się zorientuje, że to przedstawienie.

Niewiele myśląc, uszczypnęła Jasia. Chłopiec krzyknął.

– Przepraszam, skarbie. Ciocia niechcący cię uszczypnęła. Zaraz pocałujemy nóżkę i przestanie boleć. – Lorcja wysoko uniosła chłopca i za jego plecami rzuciła milicjantom mordercze spojrzenie.

„Won!”, powiedziała bezgłośnie.

Do poczekalni dobiegł daleki gwizd lokomotywy.

– Panie władzo – odezwała się Lorcja przymilnym tonem, choć wewnątrz się gotowała – jedzie nasz pociąg, a my musimy jeszcze kupić bilety.

– Niech obywatelka kupuje, papiery ma obywatelka w porządku.

Lorcja, nie wypuszczając Jasia z objęć, podbiegła do kasy i poprosiła o bilety do Wadowic.

Milicjanci nadal oglądali dowód osobisty Hanny, jakby pierwszy raz w życiu mieli w rękach podobną szaroniebieską książeczkę.

Pociąg wjechał na stację.

– Panie władzo, niechże się pan zlituje! – zawołała Lorcja. – Jeśli pociąg nam ucieknie, będziemy musiały spędzić tutaj noc. Z małym dzieckiem!

Milicjant podał jej dowód, a Lorcja porwała go jak diabeł duszę.

– Hanno, szybko! – krzyknęła.

Wybiegły na peron. Hanna jak wiewiórka wskoczyła na wysokie metalowe stopnie, Lorcja podała jej Jasia i po chwili zdyszane opadły na drewnianą ławkę. Spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem.

– Ale miałaś minę! – powiedziała Hanna. – Myślałam, że ktoś taki jak ty niczego się nie boi.

– Strach jest zawsze – odrzekła Lorcja. – Tylko głupcy nigdy się nie boją.

– Ja się nie bałam – rzucił Jaś, objął Lorcję rączkami za szyję i wycisnął na jej policzku głośnego całusa.

Po opowieści Hanny o kontroli na stacji, a potem o planowanej ucieczce wszystkie wątpliwości Adeli się rozwiały. Zostawiła je na chwilę same, gdy zaś wróciła, podała Lorci list zaadresowany do Teresy Jasińskiej w Skawinie.

– Szczęśliwej drogi – powiedziała. – Pozdrów ode mnie Mariana – dodała, całując Hannę na pożegnanie.

Dowodzący operacją nalegał, żeby nie zwlekając, otoczyć dom i aresztować wszystkich jego mieszkańców, Lorcja jednak czuła, że to nie Teresa Jasińska jest celem. Coś jej mówiło, że za tym kobiecym murem kryje się mężczyzna.

Następnego dnia Lorcja i Hanna z Jasiem na rękach weszły do jednej z kamieniczek przy skawińskim rynku. Lorcja zapukała do mieszkania na pierwszym piętrze.

– Tereska? Tereska Korwinówna! – wykrzyknęła nagle Hanna na widok kobiety, która otwierała drzwi. – Co tu robisz? Nie mieszkasz w Sieniawce?

– Zabrali nam dwór i przenieśliśmy się do domu stryja. Ale skąd ty się tu wzięłaś, Haneczko?!  
Lorcja stała z boku i patrzyła, jak kobiety się ściskają. Koleżanki z gimnazjum! Hanna naprawdę przyniosła jej szczęście.

Nie nalegała, gdy Teresa odmówiła skontaktowania jej z „Prezesem”.

– Stryj spotyka się tylko z tymi kurierami, których zna – tłumaczyła. – Jeśli zostawi mi pani przesyłkę, jutro mu ją dostarczę.

Lorcja bez wahania wyjęła z torebki plik dolarów i szyfrogram.

Zygmunt Korwin, „Prezes”, „Anton”, „Stefan Mayer”, zażarty antykomunista, jeden z przedwojennych kierowników polskiej siatki szpiegowskiej na Białorusi, został aresztowany dwa dni później, gdy Hanna z Jasiem i Lorcja płynęli promem przez Świnę. Ostatnim zadaniem Hanny było wysłanie widokówki ze Świnoujścia do Teresy Jasińskiej i do Adeli Krzywobłockiej, wtajemniczonych w jej ucieczkę. Potem Brygida Król, Hanna Kubicka i jej synek mieli zniknąć, rozplątać się gdzieś na granicy jak poranna mgła.

– Ja też chcę się podpisać! – marudził Jasio, zmęczony całym dniem spędzonym w pociągu.

– Narysuj serduszko. Ciocia Terenia będzie wiedziała, że to od ciebie. – Hanna podała malcowi pióro.

– I przykleję znaczki! I wrzucę kartki do skrzynki!

– Eskalacja żądań – zaśmiała się Lorcja. – Niedługo zażąda przywrócenia święta Trzeciego Maja – dodała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Hanna, zapatrzona w tonące w morzu słońce, chyba nawet jej nie usłyszała.

– Już zapomniałam, jak tu jest pięknie – westchnęła.

– Zostaniemy tu kilka dni, żeby wypocząć przed drogą – powiedziała Lorcja.

Taki był plan. Zameldowanie się w domu wczasowym, kilka dni laby nad morzem, potem środki nasenne i utonięcie podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy. Lorcja sama go ułożyła i teraz, gdy patrzyła na Hannę i Jasia, uznała, że jako autorka może go zmienić. Jednak tak, by na zawsze pozostało to tajemnicą.

– Nie możemy jechać od razu? Chciałabym już być w Berlinie.

– Musisz poczekać. Pośrednik dostarczy mi twój paszport dopiero za trzy dni. Ale za to będziesz mogła wypróbować opalacz, który mam dla ciebie. Amerykański. Prezent od Mariana.

– Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

– Ja też chcę dostać prezent! – zawołał Jaś.

– Widzisz ten stragan? – spytała Lorcja. – Co tam sprzedają?

– Wiaderka i łopatki – westchnął chłopczyk z zachwytem.

– Może mają też foremki? Chodź, ciocia coś ci kupi.

Następny dzień spędzili we troje na plaży. Po obiedzie, gdy Jaś zasnął, Lorcja poszła na samotny spacer. Doszła aż do strażnicy WOP-u, a gdy wracała, miała już w głowie nowy plan.

Przepłynęła promem do portu, w ciemnym kącie wymieniła po nadzwyczaj niekorzystnym kursie pięćdziesiąt dolarów na wschodnie marki, potem wróciła do miasta i na poczcie zamówiła błyskawiczną z Krakowem, rozmawiała aż dziesięć minut, westchnęła głośno, gdy usłyszała, ile ma zapłacić, a w drodze do domu wczasowego zatrzymała się przy straganie i kupiła dętkę do pływania, komplet łątek i klej.

– Musimy zostawić Jasia – powiedziała od progu.

Hanna spojrzała na nią zaskoczona.

– Jak to?

– Wymieniłam w porcie trochę dolarów na wschodnie marki, a kiedy wracałam...

– Przecież wiesz, że za handel walutą grozi więzienie – przerwała jej Hanna przerażonym szeptem. – A gdyby cię złapali?

– Ale nie złapali. Tylko że ktoś za mną szedł aż tu. Nie udało mi się go zgubić. To tajniak.



Wyczuwam takich z daleka.

– I co teraz będzie? – jęknęła Hanna.

– Musimy uciekać.

– Jak to uciekać? Przecież jeszcze nie mam paszportu!

– Uciekniemy morzem. Tylko że Jaś nie wytrzyma kilku godzin w zimnej wodzie. Musimy go zostawić.

– Zostawić?! Nigdy go nie zostawię!

– Haneczko, jutro albo pojutrze nas aresztują. My zgnijemy w więzieniu, a Jaś trafi do sierocińca.

Chcesz tego?

– Aresztują? Za co?

– Zapominasz, kim jestem. A ty mi pomagasz. Więcej nie trzeba.

Hanna zaczęła płakać.

– Ty uciekaj – łkała. – Ja zostanę.

– Myślisz, że cię oszczędzą? Jeśli nie uda im się złapać mnie, zemszczą się na tobie i Jasiu.

– Co teraz zrobimy? O Jezu! – jęczała Hanna.

Lorcja chwyciła ją za rękę i posadziła na łóżku.

– Przrzekam, że niedługo ci go przywiozę.

– Ale jak go tu samego zostawimy?

– Dzwoniłam do znajomego do Krakowa. Przyjedzie rannym pociągiem i zajmie się Jasiem.

Musisz mu powiedzieć, że gdy się obudzi, będzie tu wujek Tadeusz i ma go słuchać.

– A jeśli obudzi się w nocy i zobaczy, że jest sam?

– Nie obudzi się. Dasz mu tabletki nasenne.

– Tabletki? Jakie tabletki?

– Posłuchaj, Haneczko. Masz do wyboru życie albo śmierć. Co wybierasz?

Przez następną godzinę Hanna, z trudem powstrzymując płacz, opowiadała synkowi o wujku Tadeuszu, którego Jaś nie zna, ale który weźmie go nad morze, kupi mu lody i oranżadę, i wszystko, na co tylko będzie miał ochotę.

Lorcja nacięła dętkę, wepchnęła do niej pieniądze, dokumenty, złotego schaffhausena i ubrania.

Potem przykleiła łatki i przycisnęła je nogą łóżka.

Zeszli na kolację.

Hanna niczego nie mogła przełknąć, Lorcja zrobiła więc kilka kanapek i zawinęła je w serwetki.

W pokoju Lorcja dała Jasiowi tabletkę, a gdy zasnął, z trudem odciągnęła płaczącą Hannę od synka.

– Obiecuję, że ci go przywiozę. Teraz musimy już iść.

Zachód słońca był wyjątkowo piękny. Tłumy wczasowiczów wyległy na plażę, żeby go podziwiać. Lorcja przewiesiła sobie nadmuchaną dętkę przez ramię i wesoło zagadywała Hannę, tak by przechodzący obok letnicy myśleli, że jej pociągająca nosem towarzyszką jest przeziębiona, nie zrozpaczona.

Ściemniało się, ludzi było coraz mniej i w końcu samotnie maszerowały brzegiem. Minęło ich dwóch młodych wopistów. Lorcja trajkotała z ożywieniem, by stworzyć złudzenie przyjaciółek na wieczornym spacerze.

– Odpocznijmy – powiedziała w końcu. – Musisz coś zjeść, bo inaczej szybko opadniesz z sił.

Gdy już wmusiła w Hannę kanapki, weszły do sosnowego lasu. Było tu ciemniej niż na plaży.

– Rozbieraj się! Masz krem. Natrzyj się jak najgrubiej. Na długo to nie wystarczy, ale przynajmniej z początku będzie ci ciepłej.

Zagrzebała ubrania pod korzeniami sosen, przewiesiła dętkę przez plecy.

– Przebiegniemy przez plażę najszybciej, jak się da, i od razu zanurzymy się w wodzie. Widziałam wczoraj, że jesteś dobrą pływaczką. Pamiętaj, nie możemy stracić z oczu brzegu i cały czas musimy być zanurzone, tak żeby nam wystawał tylko czubek głowy. Dętka jest ciężka i nie będzie wielką podporą, ale trzymaj się jej, żebyśmy się nie rozdzieliły.

Przemknęły przez plażę jak duchy. Woda była tak zimna, że nie zdołały powstrzymać mimowolnego okrzyku.

– Płyniemy! – zakomenderowała Lorcja.

Rzuciły się w fale, a morze wyniosło je daleko. Nie czuły gruntu pod nogami.

– Nie możemy za bardzo oddalać się od brzegu. – Lorcja odwróciła się na plecy i spojrzała na gwiazdy. – Gdyby coś mi się stało, płyn na zachód. Patrz, tam masz Gwiazdę Polarną.

– Wiem – spokojnym głosem odrzekła Hanna. – A po lewej mamy latarnię morską. I nie mów, że coś ci się stanie. Dopłyniemy. Jak to daleko?

– Jakieś cztery kilometry.

– Po czym poznamy, że jesteśmy w Niemczech?

– W Ahlbeck jest kilkusetmetrowe moło. Nie możemy go nie zauważyć. Pociąg do Berlina mamy kwadrans po szóstej. Następny odchodzi dopiero za trzy godziny, a my nie możemy kręcić się po stacji, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Na basenie Lorcja potrafiła przepłynąć pięćdziesiąt metrów w czterdzieści pięć sekund. Na pokonanie czterech kilometrów potrzebowałyby więc godziny. Doskonale jednak wiedziała, że nie uda się jej utrzymać takiego tempa na długim dystansie, do tego w morzu. Ciężka dętka też nie ułatwiała zadania.

– Okropnie zimna ta woda – odezwała się po jakimś czasie Hanna. – Jak myślisz, daleko jeszcze?

– Z każdą chwilą bliżej. Za jakąś godzinę będziemy mogły podpłynąć do brzegu i iść po dnie.

Wtedy odpocznimy.

– Skąd będziesz wiedziała, że tyle czasu minęło?

– Liczę w myślach. Robimy jakieś czterdzieści ruchów rękami na minutę.

Lorcja przypomniała sobie uwagi ratownika, że na szybkość największy wpływ ma układ ciała i liczba ruchów. Im mniej, tym lepiej. Łatwo się było stosować do jego wskazówek na basenie, tu były czystą teorią.

– O czwartej zrobi się jasno i wtedy musimy już być w Ahlbeck. Niemcy pilnują brzegu równie czujnie jak Polacy.

– Masz taki spokojny głos. Nie jesteś zmęczona? Bo ja okropnie – wydyszała Hanna.

– Wytrzymaj jeszcze trochę. Niedługo będziemy mogły zbliżyć się do brzegu.

Lorcja nie wiedziała, czy dno przy granicy zostało sztucznie pogłębione, czy też nigdy nie było tu płycizny, w każdym razie gdy po jakiejś godzinie zmarznięte i wyczerpane płynęły w stronę brzegu, wciąż nie czuły gruntu pod nogami.

– Nie możemy bardziej się zbliżyć, bo pogranicznicy na pewno obserwują morze.

– Jeszcze kawałek. Muszę na chwilę stanąć i odpocząć.

– Nie – twardo odrzekła Lorcja. – Poza tym zamrzniemy, jeśli nie będziemy się ruszać. Mam pomysł. Przełożę dętkę przez plecy, a ty się jej trzymaj. Poholuję cię trochę. Ręce ci odpoczną.

– Dziękuję – szepnęła Hanna.

Lorcja płynęła ostatkiem sił. Kolor wody zaczął się zmieniać, a gdy odwróciła głowę, zobaczyła na horyzoncie szarą kreskę. Nadchodził świt.

– Niedługo zrobi się jasno – wydyszała.

Hanna mruknęła coś w odpowiedzi.

– Ruszaj nogami, nie zasypiaj! Jeszcze trochę!

– Nie dam rady... Zostaw mnie.

Lorcja skierowała się w stronę coraz wyraźniej widocznego brzegu. Wiedziała, że to niebezpieczne, ale wszystko było lepsze niż utonięcie.

Nagle dotknęła stopą czegoś twardego. Dno!

– Haneczko! Czujesz? Jest dno!

Hanna jednak nie dała rady stać o własnych siłach.

Lorcja, nie bacząc na nic, szarpała ją i krzyczała:

– Dalej! Rusz się! Bo cię zostawię i już nigdy nie zobaczysz Jasia! No już!

Nawet jeśli jej krzyki dobiegały na plażę, nic się tam nie poruszyło. Chwyła Hannę za rękę i ciągnęła w stronę brzegu, nie patrząc nawet, czy ma głowę na wierzchu, czy pod wodą.

Plaża była szeroka. Lorcja z trudem pohamowała chęć położenia się choć na chwilę tuż przy wodzie, zarzuciła sobie Hannę na plecy jak worek i uginając się pod jej ciężarem, brnęła przez piasek w stronę lasu. Zatrzymała się, dopiero gdy weszła między drzewa. Niezbyt delikatnie zrzuciła ciężar z pleców, potem zdjęła z ramion dętkę i odetchnęła głęboko. Udało się!

– Obudź się! Jesteśmy na brzegu!

Hanna otworzyła oczy.

– Coś mi się stało – jęknęła. – Nie czuję ciała.

Rzeczywiście, była sina jak trup.

Lorcja zębami i paznokciami oddała łatki z dętki. Wyjęła zegarek. Dochodziła czwarta.

– Mamy dwie godziny. Musimy zdążyć.

Zdjęła mokry kostium, wyżeła go i rozwiesiła na gałęzi. Potem rozebrała Hannę i roztarła jej ciało.

– Oj, boli!

– Czucie ci wróciło. Wstań, musisz się ruszać!

Sama tak się rozgrzała przy ratowaniu Hanny, że czuła na twarzy kropelki potu.

Hanna się podniosła i zrobiła kilka chwiejnych kroków.

– Świetnie! Zaraz ruszamy! – powiedziała Lorcja.

Wytrząsnęła z dętki wszystkie skarby, potem rzuciła ją w krzaki.

– Chwała Bogu, że jest pogoda. Dziwnie byśmy wyglądały w cienkich sukienkach, gdyby lało.

Ubieraj się!

Rozczesała palcami mokre włosy, włożyła bieliznę i sukienkę, zwinęła mokre kostiumy i włożyła je do sznurkowej siatki.

– Jakby co, to wracamy z ранego pływania.

Hanna tylko pokiwała głową. Ciągle była sina i szczękała zębami.

Wyszły z lasu, przebiegły plażę i skierowały się na zachód, idąc po twardym pasie ubitego falami piasku.

– Patrz, molo! – Lorcja wskazała szary kształt wychodzący daleko w morze. – Dasz radę pobiec kawalek? Rozgrzejesz się.

Ruszyły truchtem. Niedługo zobaczyły molo w całej okazałości, a po lewej fantazyjne wieżyczki drewnianych willi zbudowanych za czasów cesarza Wilhelma. Secesyjny zegar przy wejściu na molo wskazywał dwadzieścia po piątej. Sprzątac szeroką miotłą zmiatał piasek z kamiennych płyt, poza tym jak okiem sięgnąć nie było żywego ducha.

– Kupimy bilety i napijemy się czegoś gorącego na stacji. O szóstej otwierają bar – powiedziała Lorcja, wyjmując z siatki lekkie plażowe sandały. – Pamiętaj, od tej chwili mówimy po niemiecku.

Parząca w język kawa z mlekiem była jak nektar i ambrozja: smakowała cudownie, a każdy łyk dodawał życia.

Przez dwie godziny i kwadrans spędzone w pociągu zamieniły ledwie kilka słów. Lorcja całym ciałem czuła drewniane siedzenie i w duchu dziękowała Bogu, że znów ma pod nogami twardy grunt.

W wagonie wciąż przybywało ludzi jadących do stolicy do pracy albo w interesach. Z jednej strony w tłumie łatwiej było się ukryć, z drugiej Lorcja się bała, że na tle ubranych po miejsku pasażerów ich lekkie, niemal plażowe sukienki zbyt rzucają się w oczy.

Pierwsze, co zobaczyła na dworcu Lichtenberg, to dwóch radzieckich żołnierzy sprawdzających w wąskim przejściu dokumenty niektórych podróżnych. Chwyła Hannę pod ramię, a gdy były blisko patrolu, zaśmiała się i zakręciła młynka siatką z kostiumami. Siatka przefrunęła tuż koło płaskiego azjatyckiego nosa, a Lorcja rzuciła ze skruchą: „*Entschuldigen Sie bitte!*”, i uśmiechnęła się do żołnierza.

– Masz żelazne nerwy – powiedziała cicho Hanna, gdy schodziły na stację metra.

– W takiej chwili ma się nieprzepartą chęć uciekać, schylić się albo nawet się czołgać, prawda?

Tymczasem to, co najbardziej widoczne, często jest niewidzialne.

– Pierwszy raz jestem w metrze – szepnęła Hanna. – Okropnie tu nisko. Czy ten tunel się nie zawali?

– Nie ma obawy. Wytrzymał bombardowania.

Lorcja pilnie śledziła nazwy kolejnych stacji. W pewnej chwili pociągnęła Hannę za rękę.

– Wsiadamy.

– Czy to... czy to już? – spytała Hanna, gdy stanęły na peronie.

– Tak. Jesteśmy w amerykańskiej strefie.

Hanna rzuciła się jej na szyję.

– Nie podziękowałam ci za uratowanie życia. Brygido, jesteś wspaniała! Jak ci się odwdzięczę?

– Mam na imię Elżbieta.

– Więc Brygida Król to konspiracyjny pseudonim?

– Nie. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Ale to jest tajemnica. Nie zdradź jej nikomu.

Wyszły z metra. Lorcja była w tej okolicy tylko raz, pamiętała jednak, że jest tam mała kawiarnia.

Usiadły na zewnątrz, w ciepłym lipcowym słońcu. Lorcja zamówiła śniadanie i dwa koniaki.

Uniosła kieliszek.

– Twoje zdrowie, Hanno. Czy tego chcesz, czy nie, jesteś po drugiej stronie, w najsmutniejszej stolicy na świecie.

– Nie rozumiem.

– Najpierw zjedźmy. Potem porozmawiamy.

Lorcja jadła szybko, od czasu do czasu zerkając na Hannę grzebiącą niemrawo w jajecznicę. Nie mogła sobie pozwolić na brak apetytu. Dla Hanny był to koniec drogi, ona musiała wrócić do Ahlbeck, a rano, ociekając wodą, zgłosić się na posterunek Volkspolizei i poprosić o skontaktowanie z polskim Urzędem Bezpieczeństwa.

– Znasz bajkę o Królownie Śnieżce? – spytała, odsuwając pusty talerz.

– Oczywiście.

– To pamiętasz myśliwego, który miał zaprowadzić Śnieżkę do lasu, zabić ją i na dowód przynieść macosze jej serce.

Hanna odłożyła widelec i uważnie spojrzała na Lorcję.

– W naszej historii ty jesteś Śnieżką, a ja myśliwym. Darowałam ci życie, ale teraz zostawię cię w środku lasu i będziesz musiała radzić sobie sama. A jeśli macocha się dowie, że dostała zajęcze serce, nie twoje, będziesz w niebezpieczeństwie.

Hanna milczała.

– Marian nie żyje, prawda? – spytała w końcu po polsku.

– Zginął na granicy. – Lorcja też przeszła na polski. Tu, w amerykańskiej strefie, mogły mówić nawet po chińsku.

– A do czego ja ci byłam potrzebna?

– Żeby zdobyć zaufanie Adeli Krzywobłockiej, a potem, już przypadkiem, Teresy Jasińskiej.

W oczach Hanny błysnął gniew. Otworzyła usta i Lorcja czekała, aż krzyknie: „Oszukałaś mnie! Wykorzystałaś! Jak mogłaś!”.

Rozejrzała się dyskretnie. Były w ogródku same. Hanna mogła sobie krzyczeć.

Spojrzała Hannie prosto w oczy i zobaczyła w nich łzy.

Powojenne życie nie było stworzone dla kobiet takich jak ona, wychowanych w przekonaniu, że ludzie są dobrzy, zawsze mówią prawdę, a kobieta jest po to, by się nią opiekować.

– Jaś... Co będzie z Jasiem?

– Dotrzymam słowa. Przywiozę ci go, choć jeszcze nie wiem kiedy.

– Kim ty jesteś?

– Nazywam się Elżbieta Maszczyk. Pracuję w Urzędzie Bezpieczeństwa. Staram się, by mój kraj był sprawiedliwy i bezpieczny.

– Sprawiedliwy? – Hanna zaśmiała się gorzko. – To dlaczego mój mąż, świetny oficer, niezwykle prawy człowiek, spędził rok w więzieniu? Czemu miał połamane żebra? Czemu...

– Spokojnie.

Ujęła Hannę za rękę, ale ta ją wyszarpnęła, a potem się rozplakała.

Lorcja weszła do kawiarni i za chwilę wróciła z dwoma kieliszkami koniaku.

– Wypij. To ci dobrze zrobi.

Hanna wzięła kieliszek i wychyliła go jednym haustem.

– Co będzie z Adelą, z Tereską i jej stryjem? – spytała.

– Na końcu ulicy, za tymi gruzami, jest dom Czerwonego Krzyża – powiedziała Lorcja, jakby jej nie słysząc. – Widzisz flagę? – Pokazała palcem. – Tam się tobą zaopiekują. Dam ci pieniądze. Nie jest tego dużo, ale na początek wystarczy.

– Nie chcę twoich pieniędzy.

– To zostaw je na stoliku albo komuś daj. Hanno, za chwilę wstanę i odejdę, i może już nigdy się nie zobaczymy, więc posłuchaj. Co dwa miesiące będę pisać do ciebie na adres tego domu Czerwonego Krzyża, żebyś wiedziała, co dzieje się z Jasiem. Obiecuję, że nie stanie mu się krzywda. Gdy tylko będę mogła, wyślę go do Berlina albo sama go przywiozę. Napiszę wcześniej, żebyś tu na niego czekała. Listy będę adresowała do Hanny Grimm i podpisywała Jan Myśliwy. Życzę ci szczęścia.

Lorcja dopiła koniak. Wyjęła z kieszeni plik dolarów i położyła na stoliku. Po chwili namysłu dołożyła zegarek. Wstała.

– Aha, zapłaciłam za śniadanie. Żegnaj, Hanno.

Hanna dogoniła ją, gdy Lorcja wchodziła do metra.

– Dziękuję, że uratowałaś mi życie. Jesteś dobrym człowiekiem. Nie zdradzę cię. Tylko błagam, jak najszybciej przywieź mi Jasia.

\*

– Zdrowie solenizantki!

– Stasiu, żyj nam sto lat!

– Zdrowie!

Lorcja piła wódkę, ze smakiem zjadała sałatkę jarzynową, śledzia w śmietanie, awanturkę, kielbasę, domowy pasztet. Potrafiła naprawdę dużo zjeść.

– A to znacie? Facet pyta w sklepie: „Towarzyszu, macie żyłетки?”. „Nie ma”, odburkuje sprzedawca. Klient wychodzi, a ekspedientka pyta: „Panie kierowniku, dlaczego mu pan nie sprzedał? Przecież mamy żyłетки”. „Jak on taki towarzysz, to niech się goli sierpem”.

– A wiecie, jak szef rozmawia z podwładnymi przez telefon? „*Niet, niet, niet, niet, da*”. „Na co się zgodziłeś?”, pyta Stasia. „Potwierdziłem, że to koniec rozmowy”.

– Zdrowie szefa!

– I jego lepszej połowy! Twoje zdrowie, Stasiu!

– A pamiętasz, Heniu, jak maszerowaliśmy nad Łabą? Noc czarna jak atrament, szosa gładka, asfaltowa, a my czwórkami, trzymając się pod ręce, idziemy i śpimy.

– Mieliśmy tylko broń i zdarte buty. Codziennie czyściłem broń, czyściłem buty i byłem gotowy do wymarszu.

– *Po drodze pylnoj, czto legła pod ukłon...* – zaśpiewał ktoś, a kilka głosów zaraz dołączyło.

Lorcja wstała od stołu i wyszła na balkon.

– Ela! Tu się ukrywasz!

– Chciałam zaczerpnąć powietrza.

– Nie lubisz wspomnień?

Lorcja wzruszyła ramionami.

– Pomóc ci w kuchni, Stasiu?

– Chodź, mam tam coś specjalnego.

Stasia otwarła kredens i wyjęła butelkę koniaku.

– Prawdziwy francuski. Wiem, że lubisz. No to nasze zdrowie!

W drzwiach kuchni, lekko chwiejąc się na nogach, stanęła Irena.

– Uważaj na nią – szepnęła Stasia. – Ona od Sielc cię nie lubi. Zaraz znowu zacznie o desusach, zobaczysz.

– Ty to się umiesz urządzać, Eluniu. Koniaczek tu sobie popijasz.

Stasia wyjęła trzeci kieliszek i naląła.

– Napij się, Irena. Znaj moje dobre serce.

– Ty, Stasiu, naprawdę masz dobre serce. Wczasy mi załatwiłaś. A Ela tylko o sobie myśli. Pamiętasz wtedy w Sielcach? Nie podzieliłaś się, choć wiedziałaś, że mam tylko jedną parę na tydzień.

– A nie mówiłam? – mruknęła Stasia.

– Jedna para majtek! Dopiero przed kąpielą w łaźni fasowałyśmy czyste. Wiecznie te bure, niedoprane trykoty. Rano przeparałam w rzece, wyjęłam i od razu wkładałam. Mokre. A one, po kursie oświatowców, miały po trzy pary.

– Trzeba się było zgłosić na kurs – powiedziała Lorcja. – Kto ci bronił?

– Dobrze ci mówić. Miałaś maturę, a ja trzy klasy.

Z pokoju dobiegły dźwięki tanga.

– Czy mogę prosić solenizantkę do tańca? – Do kuchni zajrzał Tadeusz.

– Zatańcz z Elą. Ja muszę zagrzać barszczyk.

Lorcja przytuliła się w tańcu do Tadeusza.

– Dziękuję, że mnie uratowałeś. Nie znoszę tej Ireny. Zawsze się mnie czepia.

– Wiem.

Od stołu dobiegały strzępy rozmów.

– Jak się wylało wiadro wody, to na ziemię spadały kawałki lodu... Tajga, wilki i niedźwiedzie...

W Kazaniu spaliśmy na podłodze w poczekalni, nagle zrobił się ruch, zgasło światło, a gdy znów się zapaliło, okazało się, że nasze worki z chlebem znikły... Jaka jest różnica między chorążym a kometa?... Składałam uroczystą przysięgę ziemi polskiej broczącej we krwi... Wasilewska tak pięknie wtedy mówiła... Lepioszki pieczone w popiele z kiziaka, susły łapano w stepie... Nawet ziemianki nie było, spaliśmy pod krzaczkiem wikliny, stłoczeni jak kuropatwy...

– Czy oni nigdy nie przestaną? – szepnęła Lorcja. – Nie mogę już tego słuchać.

– To silniejsze od nich. Przeszłość tkwi w naszym ciele i duszy, czy tego chcemy, czy nie.

Przypomniała sobie te słowa, gdy pieszo wracali do domu przez uśpione miasto.

– Pamiętasz, jak się spotkaliśmy w Sielcach? Od razu cię poznałam, choć byłeś w mundurze.

Otoczający cię żołnierze wyglądali dziwnie: w gimnastiorkach, z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, w furazerkach z orłem bez korony. A ty byłeś jak przedwojenny oficer, w zapinanym pod szyję mundurze, w eleganckich butach, z pasem z koalicyjką i ze skórzaną raportówką przewieszoną przez ramię. Spojrzałeś na nas, na tę zbieraninę w płaszczach, swetrach, podartych marynarkach, z walizkami, kuferkami albo zwykłymi workami na plecach, i powiedziałeś: „Surowy, zabiedzony materiał”.

– Naprawdę tak powiedziałeś?

– Tak. A potem przyszedłeś, gdy stałam na warcie. Noc była parna, taka jak dziś. Wiedziałam, że żołnierzowi na posterunku nie wolno rozmawiać, ale jak tu nie odpowiedzieć oficerowi. Dopiero wtedy mi powiedziałeś, że mnie pamiętasz z Bijska, z biblioteki.

– Czytałaś dzieła Lenina. To mnie zainteresowało.

– Tylko to? – Szturchnęła go łokciem.

– Przede wszystkim twoje piękne oczy, ale przecież nie mogłem od nich zacząć rozmowy.

Dlatego zapytałem o Lenina, a gdy powiedziałaś, że wszystko inne już przeczytałaś, nie uwierzyłem. W następną niedzielę zagadnąłem o ciebie bibliotekarkę. Powiedziała, że książki po prostu połykasz. Przychodziłem co niedziela, lecz już się nie pojawiałaś. Nie wiedziałem, że zachorowałaś na tyfus.

– Gdy cię zobaczyłam tam, nad Oką, pomyślałam, że to cud. W tę noc, kiedy rozmawialiśmy do świtu, zakochałam się w tobie.

Zatrzymał się, objął ją i pocałował.

– Widzę, że i ciebie po wódce wzięło na wspominki.

– Pamiętasz, jak wtedy spytałam, czy to wojsko rzeczywiście jest polskie, czy nie ma w tym jakiegoś podstępku? – mówiła, jakby go nie usłyszała. – Nie podobali mi się oficerowie w radzieckich mundurach, dziwny, pękaty orzeł bez korony, „Honor i Ojczyzna” bez Boga na sztandarze. A ty mówiłeś, że niedługo będą tylko polskie mundury i rogatywki, że dystynkcje są polskie, tak jak salutowanie dwoma palcami, że przecież śpiewamy legionowe piosenki, że w południe trębacz gra hejnał, że są kapelani, msze polowe, modlitwa na apelu i że zawsze tak będzie.

– A nie było?

– W Sielcach tak. Nigdy nie zapomnę biało-czerwonych sztandarów, pierwszych po czterech latach, obrazu z Matką Boską na tle Orła Białego nad ołtarzem w kaplicy polowej. Nikt nam wtedy nie mówił o socjalizmie, o przewodniej roli partii, o marksizmie-leninizmie, tylko o tym, że Polska będzie demokratyczna i sprawiedliwa. Ziemia dla chłopów, fabryki dla robotników, wolność i sprawiedliwość dla wszystkich.

– To wymaga czasu.

– Coraz bardziej się boję, że będzie tak jak w Rosji.

– Co masz na myśli?

– Pamiętasz, jak pluton Wołodii przekroczył granicę Prus? Wołodia kazał wtedy wszystkim wysiąść z ciężarówki i nasikać na niemiecką ziemię. A potem w pierwszym domu, do którego wszedł, zobaczył błyszczące podłogi, kredens pełen porcelany, białe firanki w oknach, kwiaty w doniczkach. Spytał mnie potem: „Dlaczego oni na nas napadli? Zachciało im się naszych chat z klepiskiem?”

– Przysięgałaś sojuszniczą wierność Związkowi Radzieckiemu – powiedział poważnym tonem.

– Tak, powtórzyłam każde słowo, które wypowiedział wtedy ksiądz Kubsz. Do dziś pamiętam rotę.

– Jesteśmy żołnierzami. Ta przysięga nadal nas obowiązuje.

– Ale dlaczego mamy udawać, że straciliśmy pamięć? Wiem, wiem, każda nowa władza pisze historię od początku. Tylko jak oni mogą się cieszyć, że Dzień Wojska Polskiego będziemy obchodzić w rocznicę bitwy pod Lenino? Zapomnieli, jak tam było? Że wcale jej nie wygraliśmy?

Tadeusz się zatrzymał. Położył rękę na ramieniu Lorci, drugą uniósł jej brodę i zajął w oczy.

– Podważasz opinię oficerów wyższych stopniem? – Uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. – Stało się coś? Dlaczego tak się uczepliłaś tego Lenino?

– Bo to były najstraszniejsze dni w moim życiu. Dwa dni piekła! „Rozpoznanie walką”. Żadna z nas nie rozumiała, co to znaczy, ale dowódcy przecież musieli wiedzieć, że połowy z nas już nie ma! Zacinający się stary karabin, za mało amunicji, huk bomb, stosy trupów i tylko jedna myśl: skoczyć za kamień, za krzak i przeżyć następne pięć minut. I na co to wszystko? Żeby się wycofać i żeby ten teren znów zajęli Niemcy.

– Wojna to piekło, masz rację. Tam nie ma pięknoduchostwa, rozważań o dobru i złu, tylko trzeba zabijać. Albo ty, albo on.

– Tadeusz, ja to świetnie rozumiem. Wiem nawet, że jeśli się wyśle piechotę na pole minowe, to straty nie będą większe niż przy ostrzale z broni maszynowej. Ale nigdy bym tam nie posłała swoich ludzi, a tym bardziej nie ustawiła za nimi cekaemu, żeby nie mogli się cofnąć. „Zasypać wroga trupami swoich żołnierzy”! To nie jest strategia, to zbrodnia.

– Przeżycie jest kwestią przypadku. Jednym się poszczęści, innym nie. Nam się poszczęściło.

– Oni nigdy ci się nie śnią? Poszli na te gniazda cekaemów, bo dyszeli chęcią zemsty na Niemcach i chcieli pokazać, jak walczą Polacy...

Delikatnie położył jej dłoń na ustach.

– Spokojnie, Eluniu. To już przeszłość. Powiedz, o co naprawdę ci chodzi. Bo przecież nie o Lenino.

Pokręciła głową.

Zabrał dłoń z jej ust i pogładził ją po policzku.

– Nie mówmy już dziś o wojnie, dobrze? I chodźmy, bo w tym tempie do rana nie dojdziemy do domu. – Objął ją ramieniem. – No, co się stało? Od wczoraj jesteś jakaś nieswoja.

– Siedzi u nas hrabina Olga Mężyńska.

– Jaka hrabi... Ta, która cię wychowała?

– Tak.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie. Widziałam ją tylko na korytarzu.

– A ona ciebie?

– Nie wiem. Chyba tak.

– Wiesz za co?

– Słuchanie Wolnej Europy i donosy obywatelskie. Przeczytałam je.

– No i?

– Są fałszywe. Musisz ją zwolnić.

– Muszę? Kocham cię i na pewne rzeczy patrzę przez palce, ale nie może być tak, że porucznik rozkazuje majorowi.

– Ja też cię kocham i pewnych rzeczy nie widzę wyraźnie albo wcale ich nie dostrzegam, ale nie może być tak, żeby ona miała rację.

Zaśmiał się i mocniej przycisnął ją do siebie.

– Pani hrabina? W czym nie może mieć racji?

– Gdy przyjechałam do niej po wojnie, spojrzała na mój mundur i powiedziała: „A więc zostałam komunistką? Pomyliłam się co do ciebie. Jeszcze bardziej pomylił się Teofil, ale jemu można wybaczyć, bo młodzi entuzjaści bywają naiwni. Myślą, że jeśli biedakom da się okazję, to z zapałem będą budować lepszy świat. Tymczasem oni chcą wszystko zburzyć i umieją tylko szczerzyć kły”.

\*

– Gdybyś sobie, Lorciu, utleniła włosy, byłabyś całkiem ładna.

– Teraz i tak nieźle wygląda. Jakbyś ją, Masza, zobaczyła, gdy pierwszy raz przyszła do dworu! Co to było za brzydactwo! Chude, brudne, łuszczyło się toto po szkarlatynie gorzej niż źle pomalowana ściana, a te czerwone włosy całe się ruszały, tyle w nich było wszy.

– Skąd się właściwie u nas wzięła?

– Pani hrabina z dobroci serca przygarnęła bękarta. – Kucharka zerknęła na Lorcię. – Nie tak było? Szczerą prawdę mówię!

Lorcja kiwnęła głową i dalej wyjmowała z kufra sukienki Bisi, strzepywała je i odwieszała do szafy.

Zachodzące słońce barwiło na rudo zielone czubki sosen i Lorcja wyobrażała sobie, jak pięknie o zmierzchu wygląda morze, które zobaczyła dziś z okien pociągu.

– Przynies walizki pana Teofila – poleciła kucharka i jeszcze nim Lorcja wyszła, nachyliła się do ucha Maszy. – Jej matka była najładniejsza we wsi. Chłopcy z całej okolicy smalili do niej cholewki, choć o posagu nawet mowy nie było. Aż ją któryś zepsuł.

Lorcja stanęła w drzwiach willi i głęboko odetchnęła. Wakacje nad morzem! Własny pokój! Żadnych obowiązków! W najśmielszych snach nie marzyła o czymś takim.

Usiadła na schodach, zdjęła buty, potem pończochy i dotknęła stopą nagrzaną sosnowych igieł pokrywających żółty piasek. Tak lekko się idzie, gdy bosymi nogami dotyka się ziemi!

Trawnik za domem i ścieżki były wygrabione, róże, petunie, goździki, nasturcje i kwitnące jeszcze krzaki jaśminu świeżo podlane. Lorcja urwała gałązkę jaśminu i przytknęła do nosa. Czysta słodycz zapachu na chwilę przeniosła ją do Olszynki. Wzdłuż dworskiego płotu, przez który czasem z innymi wiejskimi dziećmi podglądała zabawy dziewczynki ślicznej jak królewna z bajki, też rosły takie krzewy.

– Lorcja! Skaranie boskie z tą dziewczyną. Lorcja! – Z okna wychyliła się kucharka.

– Już idę!



– Ciebie to tylko po śmierć posłać! Skończ z kufrem panienki Bisi, a potem rozpakuj walizki pana Teofila. Myśmy już swoją robotę zrobili.

Lorcja wsunęła gałązkę jaśminu we włosy i poszła po walizki.

– Jak skończysz, przyjdź do kuchni na kolację. Nie myśl, że podam ci w stołowym. Gościem będziesz od niedzieli, gdy przyjedzie pani hrabina. Na razie jesteś służącą jak my – rzuciła kucharka, gdy mijala ją w przedpokoju.

Lorci nawet do głowy nie przyszło wymagać czegoś takiego. Już pokój gościnny, który na prawie dwa miesiące miał się stać jej pokojem, ją onieśmielał.

Kiedy Bisia wracała z wakacji, opowiadała jej o Paryżu, Rzymie, Zakopanem i Genewie tak obrazowo, że Lorci się zdawało, iż była tam razem z nią. Morza jednak nie da się opowiedzieć. Nie sposób sobie wyobrazić słonego wiatru pachnącego dalekim światem, jeśli nigdy nas nie owiał.

Skończyła wieszać sukienki i wzięła się do układania bielizny w lakierowanej na biało komodzie. Ktoś, kto wysprzątał dom na ich przyjazd, porozkładał w szufladach muślinowe woreczki z suszonymi płatkami róż i kwiatami lawendy.

Lorcja przyłożyła do siebie błękitną nocną koszulę i przeciągnęła dłonią po gładkim jedwabiu. Gdy Bisia ją włoży, Teofil będzie dotykał koronek i niebieskich wstążeczek. Podeszła do toaletki. Co by powiedział, gdyby to ona stanęła przed nim w tej zwiewnej jak mgiełka koszulce? Wyobraziła sobie, że ma rozjaśnione perhydrolem włosy, rumieńce na krągłych policzkach, fiołkowe oczy ocienione firanką czarnych rzęs – że jest podobna do Bisi. Spojrzała do lustra. Zobaczyła chudą dziewczynę o zniszczonych dłoniach, czerwonych włosach, bezbarwnych oczach z białymi rzęsami.

Starannie złożyła koszulę i wsunęła ją do pikowanego pokrowca leżącego na łóżku. Otworzyła walizkę Teofila, znalazła pasującą do nocnej koszuli piżamę w biało-niebieskie prążki. Na chwilę przytuliła ją do twarzy.

Lubiła dotykać rzeczy Teofila. Wyjmowała letnie garnitury, blezery, bieliznę, myśląc o jego szczupłych dłoniach, kręconych jasnych włoskach na przedramionach, długich palcach. „Ręce chirurga”, mawiała Bisia. Duma z męża ją rozpierała.

Lorcja odniosła puste pudła na kapelusze, kufer i walizki do schowka przy kuchni, wzięła swoje bagaże i poszła do pokoju gościnnego.

Stanęła w progu i patrzyła na szerokie łóżko przykryte białą kapą, biały dywan w ciemnoniebieskie romby, szafirowy fotel, lampę z jedwabnym abażurem, lakierowaną na biało komódkę przy łóżku, taką samą szafę, toaletkę z taboretom obitym szafirowym aksamitem, morski pejzaż wiszący na ścianie. W lustrze toaletki odbijał się wazon z herbacianymi różami.

Także tutaj ktoś ułożył w szafie i komodzie woreczki z lawendą. Lorcja otworzyła tekturową walizkę. Z namaszczeniem wyjmowała sukienki, spódnice, bluzki. Długą chwilę napawała się niezwykłym bogactwem swojej garderoby, na którą do tej pory, prócz szkolnego mundurka, składały się dwie sukienki, letnia i zimowa, biała bluzka i granatowa spódniczka. Przypomniała sobie pierwszą ładną rzecz do ubrania, którą dostała w życiu: białe futerko od Bisi. Nigdy w nim nie chodziła. Najpierw było za duże, potem przez dwie zimy, gdy mogła je nosić, nie miała odwagi włożyć czegoś tak pięknego. Takie futerko można głaskać, od czasu do czasu wyciągnąć z szafy i napawać się jego widokiem, ale nosić było szkoda. Za ładne.

Gdy Bisia i Teofil zaprosili ją na lato do Juraty, Lorcja w ogóle nie pomyślała, że nie ma strojów odpowiednich na wakacje w modnym kurorcie. Brzydkie dziewczęta nie muszą sobie nimi zawracać głowy. Zmartwiła się dopiero wtedy, gdy Bisia opowiedziała jej o balu maskowym. Zaraz jednak się pocieszyła: wystąpi w swoim mundurku i nikt się nie domyśli, że to jej codzienny strój.

„Czasu jest mało, ale porozmawiam z moją krawcową, na pewno coś wykombinuje”, powiedziała wtedy Bisia. „Po co zawracać jej głowę? Przebiorę się za uczennicę, to znaczy pójdę w swoim szkolnym mundurku”. Bisia zaczęła się śmiać. „Wszystkie stateczne mężatki, takie jak ja, nie mówiąc o paniach w pewnym wieku, pękają z zazdrości. Ale czy jesteś pewna, że można się dobrze bawić w stroju przypominającym o dyktandach albo klasówkach?”

Tego popołudnia Bisia przyszła na poddasze, gdzie mieszkały służące i gdzie był także pokój

Lorci, który dzieliła z młodziutką, wesołą podkuchenną. Na przybitych do ściany haczykach wisiała ich skromna garderoba. Bieliznę każda trzymała w walizce pod łóżkiem.

Bisia spojrzała na ubrania i powiedziała: „Widzę, że tak jak ja potrzebujesz paru nowych sukienek. Jedź z nami do Krakowa. Pójdziemy jutro na zakupy”. „Tylko że ja nie mam pieniędzy. Udzielałam koleżankom korepetycji, ale w naszej szkole to była praca społeczna”. „Ja też nie mam pieniędzy – zaśmiała się Bisia. – Będziemy musiały poprosić o nie Teofila”.

Wszystko, co w życiu najlepsze, spotkało Lorcię dzięki Teofilowi. Wiedziała, że wakacje w Juracie były jego pomysłem, a to, że nie odróżniała się od innych letniczek i miała modny opalacz, także zawdzięczała jemu. Nie tylko dał wtedy pieniądze na letnie stroje Lorci, ale poszedł z nimi na zakupy i namawiał obie, by sobie kupiły jeszcze to i tamto.

Gdy hrabina Olga wzięła ją na wychowanie, Teofil miał trzynaście lat. Przyjechał na niedzielę ze szkoły w Krakowie i przyszedł do kuchni zobaczyć nowego domownika. Lorcia, ogolona na zero, w chusteczce na głowie, siedziała na kuchennym taborecie i zjadała chleb z masłem. Kiedy go zobaczyła, na chwilę przestała jeść. Zaraz wróciła do swojej kromki, lecz wciąż nie odrywała od niego wzroku. Teofil stanął przy piecu, a gdy przełknęła ostatni kęs, zapytał: „Jak masz na imię?”. „Lorcia”. „A ja Teofil. Jestem już w pierwszej klasie gimnazjum. Wiesz, co to jest?” Lorcia pokręciła głową. „To szkoła, po której zdam maturę i pójdę na studia. Zostanę lekarzem”. „Ja też”. „Ty jesteś dziewczynką i możesz najwyżej być nauczycielką”. „Nie, lekarzem”, upierała się Lorcia. „Jak jesteś taka mądra, to powiedz, co w życiu jest najważniejsze?” „Chleb z masłem”.

Teofil opowiedział tę historię przy pierwszym obiedzie w Juracie. Ożywiony, w znakomitym humorze, sypał żartami i anegdotkami. Lorcia czuła, że ten nastrój w tajemniczy sposób wiąże się z obcą kobietą, która przywiozła tu dziś rodzinę Mężczyńskich wielkim autem.

– Czemu zadałeś jej takie pytanie? – spytała Bisia.

– Bo wtedy wydawało mi się najtrudniejsze na świecie.

– A dziś znasz odpowiedź?

– Tak. Dwie najważniejsze rzeczy to miłość... – Podniósł do ust rękę żony i pocałował. – ... I jedzenie. Bez tego nie da się żyć.

– Zdrowie Lorci, która już jako czterolatka знаła połowę odpowiedzi na najtrudniejsze pytanie na świecie. – Bisia ze śmiechem uniosła kieliszek.

Lorcia po raz pierwszy w życiu piła szampana, myśląc, jak dobrze wtedy wiedziała, co to jest jedzenie. Ale jeszcze lepiej – co to głód. Co to jest miłość, nie miała pojęcia, dopóki nie poznała Teofila. Poszłaby za nim na koniec świata, skoczyła w przepaść, bez wahania oddała za niego życie, nie spodziewając się niczego w zamian. Był mężem Bisi, kochał ją i ona go kochała, ale to przecież nie znaczyło, że nie może go też kochać Lorcia.

– Takie piękne popołudnie! – powiedziała Bisia. – Nie siedźmy w domu. Chodźmy na spacer nad morze, a potem na tańce do Café Casino.

Lorcia patrzyła na jej blond włosy błyszczące w letnim słońcu, na chabrową sukienkę przybraną białą rypsową wstążką, delikatne dłonie, tak zręcznie posługujące się sztucami do owoców, i bezgranicznie ją podziwiała. Bisia też była sierotą, należała jednak do uprzywilejowanej sfery ludzi chodzących z wysoko podniesioną głową, niemyślących o prozie życia, bo zwyczajne czynności wykonywali za nich inni. Lorcia, która do domu Mężczyńskich przyszła z chaty, gdzie woda często ciekła po ścianach, z wygodką skleconą nad gnojowiskiem, z jednym łóżkiem, na którym spali razem dorośli i dzieci, czuła się czasem jak polna mysz, której wyrosły skrzydła i która nie należy ani do jednego, ani do drugiego świata.

Patrzyła na adamaszkowy obrus, dekorację z róż, butelkę szampana w srebrnym kubku z lodem i myślała o codziennej harówce będącej udziałem biedaków, ich życiu w ciasnocie, zaduchu, brudzie, wśród upokorzeń i strachu, ze świadomością, że tuż obok, za niewidzialną szybą, za obrośniętym pachnącymi krzewami płotem jest inny świat, bez nędzy, błota i robactwa – świat skończenie piękny. Nawet jeśli pójdzie na studia i zostanie lekarzem jak Teofil, nigdy nie będzie taka jak oni. Bogate dzieci stać na swobodę, bo mogą popełniać błędy, a rachunek, jaki im za nie wystawia życie, nie jest

wygórowany. Rodzina i dobre szkoły hojnie je wyposażyły: dały im pewność, że są ważne, i nic im tej pewności nie odbierze.

– Zanim pójdziemy na tańce, chciałbym pogratulować Lorci, która zdała maturę najlepiej z całej szkoły, i życzyć, by spełniły się wszystkie jej marzenia – powiedział Teofil. – Mamo, pamiętasz, powiedziałem ci kiedyś: „*Ce serait dommage qu'elle devienne une bonne*”. Byłaś pełna wątpliwości, ale cieszę się, że w końcu przyznałaś mi rację.

– Rzeczywiście, *mon cher*, szkoda by jej było na gospodynię.

Teofil wyjął z kieszeni aksamitne pudełeczko i podał je Lorci.

– Mam nadzieję, że dzięki temu drobiazgowi będziesz pamiętała dzisiejszy dzień.

Lorcja otworzyła pudełko i wyjęła z niego złotą bransoletkę. Jej wewnętrzną stronę pokrywał misternie wygrawerowany tekst.

– Bisia chciała, żeby wygrawerować na niej to francuskie zdanie, ale po namyśle wybraliśmy inne: „Jestem tym, kim zdecydowałam się być”. To słowa Carla Gustava Junga, który kiedyś napisał: „Nie jestem tym, co mi się przydarzyło, ale tym, czym zdecydowałem się być”.

– Mam jeszcze dla ciebie dłuższą dedykację, która nie zmieściłaby się na bransoletce – powiedziała Bisia.

– Słowa Karola Marksa: „Niech klasy panujące drżą przed komunistyczną rewolucją. Robotnicy poza kajdanami nie mają nic do stracenia. A do zdobycia cały świat” – zażartował Teofil.

– Jesteś niemożliwy – powiedziała Bisia, potem podeszła do Lorci, uściskała ją i dała jej srebrną ramkę, w którą był oprawiony arkusik welinu z wykaligrafowanym wierszem.

– *Księga Tao* – przeczytała Lorcja. – Tłumaczył Jan Lemański.

*Jak woda morska, która lądom sprzyja,*

*Omywa wszystko, ale jest niczyja;*

*A choć ogłosi kto, że nad nią władnie,*

*Nikomu ona nie służy podwładnie:*

*Na ten żyj przykład. Bądź jak morska woda –*

*Element, który swojego ogromu,*

*Swych fal nie broni nigdy i nikomu,*

*Lecz się nikomu w niewolę nie poda.*

\*

– Może wystarczy tej pracy? – Tadeusz zajrzał do pokoju Lorci. – Okropnie długo dziś siedzisz. Noc cię tu zastanie. Jadłaś obiad?

– Nie miałam czasu.

– Ja też. To chodźmy coś zjeść.

– Do stołówki?

– Tam pewnie zostały tylko jakieś resztki. Mam ochotę na schabowego z młodą kapustą. Zapraszam cię do Hawelki.

– Rozpieszczasz mnie.

– Wcale nie.

Lorcja złożyła papiery, nad którymi ślęczała od wielu godzin, włożyła je do tekturowej teczki, zawiązała tasiemki.

– Aleś tu tego nazbierała! – Tadeusz powiódł wzrokiem po pudłach z fiszkami, stosach wycinków, półkach uginających się pod ciężarem kartonowych teczek.

– Informacje są kluczem do wszystkiego. Chciałabym, żeby ktoś wymyślił mówiącą maszynę do zapamiętywania. Wkładałoby się do niej dokumenty, ona by wszystko połykała, a potem umiała odpowiedzieć na każde pytanie.

– Mamy taką maszynę. Ciebie. – Tadeusz ją pocałował.

– Stało się coś?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Nigdy mnie nie całowałaś w biurze.

– Naprawdę? No to teraz nadrabiam zaległości.

Wartownik zasalutował na ich widok.

Lorcja przystanęła na szerokich schodach. Cieszyła się, że nie pracuje w jakiejś ponurej, zagrzybionej kamienicy, tylko w przestronnej przedwojennej willi z dużym ogrodem. Jej właściciel zginął w getcie, a gdy Niemcy uciekli, dom przejęło państwo.

Odetchnęła głęboko. Kochała zapach posuchy.

– Oby pogoda się utrzymała – powiedziała, wsuwając rękę pod ramię Tadeusza. – Trzy lata temu na obozie stale lało. Miałam wrażenie, że powoli zarastam pleśnią.

– Co ja zrobię bez ciebie przez dwa tygodnie?

– Będziesz musiał jeść w stołówce nie tylko obiady, ale także śniadania i kolacje. No chyba że poprzestaniesz na chlebie z kiełbasą.

– Po twoich omletach i jajku w szklance? Nigdy w życiu.

– Zawsze możesz poskarżyć się Irenie, jaki jesteś biedny i opuszczony. Na pewno się tobą zaopiekuje.

– Daj spokój! Irena po tobie? Cienki ulung po setce żytniej?

– Chyba masz coś na sumieniu. Nigdy mi się nie podlizywałeś.

– Nie podlizuję się. Mówię prawdę.

Weszli do parku Krakowskiego.

– Nigdy nie myślałam, że będę mieszkać w Krakowie. Marzyłam o tym kiedyś, gdy chodziłam tu do szkoły, ale było to marzenie z gatunku nierealnych.

– Dużo miałaś takich marzeń?

– Wyłącznie takie – zaśmiała się Lorcja.

– Przesłuchałem ją dzisiaj.

Lorcja zatrzymała się w pół kroku.

– Mówiła coś o mnie? – Od razu wiedziała, że chodzi o hrabinę Olgę.

– Wydawało się jej, że słyszała twój głos, ale nie jest pewna. Spytała, czy cię znam.

Zaprzeczyłem.

– Oczywiście. W końcu nie płacą nam za mówienie prawdy.

– Eluniu, miałem jej powiedzieć, że pracujesz w UB?

– Nie wstydzę się tego. Pracuję rzetelnie: robię to, co należy, nawet wtedy, gdy nie jest mi to na rękę.

– Ona to widzi inaczej.

– Wiem. Martwiłabym się tym, gdybym na lekcji matematyki nie usłyszała o rozkładzie Gaussa.

– W męskim gimnazjum o nim nie wspomniano. Zawsze mi się wydawało, że dziewczęta uczą się całkiem innych rzeczy niż my.

Uśmiechnęła się i znów wzięła go pod rękę.

– Na podstawie tego rozkładu można przypuszczać, że dziesięć procent Polaków to ludzie tacy jak my, dziesięć procent to nasi zdecydowani przeciwnicy, a reszta to ci, którzy po prostu się przystosowali, bo są leniwi, głupi albo się boją. Od początku świata pragnienie przetrwania jest silniejszym bodźcem niż chęć stawiania oporu.

– Nie przesadziłem. Jesteś jak setka na pusty żołądek, trzeba mieć mocną głowę – powiedział

żartobliwym tonem, ale zaraz spoważniał. – Wiesz, że jej synowa mieszka tu niedaleko?

– Wiem.

– Myślę, że ma kontakt z Anglią.

– Z Teofilem? – spytała Lorcja bez tchu.

Tadeusz spojrział na nią spod oka.

– Z Klementyną Zabierzeską. Ona też była w Juracie w to ostatnie przedwojenne lato, prawda?

– Tak.

– Nie lubisz jej?

Lorcja przypomniała sobie bal maskowy, Klementynę przebraną za Carmen, wpatzonego w nią Teofila. A potem tę godzinę, którą spędziła przy oknie, czekając, aż Teofil wróci z lasu, do którego zwabiła go ta obca kobieta w czerwonej sukni. Otworzył furtkę i szedł boso przez trawnik po kłujących szyszkach, niewrażliwy jak lunatyk, zatrzymał się na tarasie, uniósł ręce i zasłonił nimi twarz. Pomyślała wtedy, że jego dłonie, którymi tak zachwycała się Bisia, pachną Klementyną, i poczuła, że jej nienawidzi.

– Prawie jej nie znam.

– Tak czy siak, dobrze by było, gdyby ktoś dyskretnie wybadał Elżbietę Mężyńską i poradził, żeby pozbyła się listów.

– Pani Olga ci o nich powiedziała?

– Niechący. – Uśmiechnął się. – Wydaje się jej, że umie kłamać, ale słabo jej to idzie. Jej synowa była w obozie. Wiedziałaś o tym?

– Tak.

– Ze względu na to, a przede wszystkim ze względu na ciebie postaram się o zwolnienie pani hrabiny. Muszę jednak być pewny, że gdyby ktoś chciał połączyć Elżbietę Mężyńską ze sprawą pani Olgi, w razie rewizji niczego u twojej imienniczki nie znajdziemy.

– Dziękuję! – Lorcja przytuliła się do Tadeusza. – To od razu do niej chodźmy.

– Przestraszymy ją.

– Poczekasz na dole, a ja z nią porozmawiam.

Lorcja z daleka poznała szarą kamienicę z Michałem Archaniołem i smokiem nad bramą. Przypomniała sobie, jak tu nocowała zaraz po maturze, jak rano we troje zjedli śniadanie, zanim wyruszyli na zakupy, jak zazdrościła Anielci, że tu mieszka, tak blisko Teofila.

Nie widziała Bisi od tamtych wakacji w Juracie i zaskoczyły ją siwe pasma w jasnych włosach, kurze łapki, wychudzone ręce wyglądające z rękawów niemodnej bluzki. Tylko oczy były takie jak kiedyś. „Niebieskie jak chabry i jak chabry niewinne”, lubiła powtarzać Maszka.

Gdy schodziła po marmurowych schodach, ściskając w rękach szwedzką książkę, z trudem powstrzymywała łzy. Żałowała, że tu przyszła i zobaczyła to smutne, nieżywe mieszkanie, do którego wprowadzili się obcy ludzie i w którym wciąż wisiały zdjęcia Teofila, tylko jego już tu nie było.

– Co się stało?! – zawołał Tadeusz na jej widok. – Powiedziała ci coś przykrego? Czemu płaczesz?

– Bo jestem stara.

– Co ty mówisz, kochanie? Masz dopiero trzydzieści lat!

– No właśnie. – Pociągnęła nosem. – Widzimy, jak się postarzeliśmy, gdy spotykamy kogoś z naszej młodości.

Przytulił ją i długo nie wypuszczał z objęć.

– Już dobrze?

– Tak. – Westchnęła. – Wszystko załatwiłam. Miała tylko jeden list. Spaliłam go.

– To chodźmy. Jestem okropnie głodny.

– Dała mi książkę.

Tadeusz spojrział na okładkę z rysunkiem drutu kolczastego.

– To o obozie?

– Tak. *De dödsdömda vittna*. „Skazane zeznają”. Szwedzi zebrali w niej relacje więźniów,

których uratowali z obozów.

– Opisałi ludobójstwo, do którego sami się przyczynili, zaopatrując niemiecką maszynę wojenną?

– Przejrzałam ją tylko, ale wydaje mi się, że chodziło im raczej o to, co czują ludzie, których wydostali z piekła. O kondycję ludzką.

Znów ją objął i pocałował.

– Wracamy do rudymentów, czyli już ci lepiej.

– Ale nie chcę iść do Hawełki. Tam na rogu widziałam na wystawie szpinak. Co byś powiedział na makaron z pomidorami i szpinakiem?

– Świetny pomysł.

– Mamy jeszcze to włoskie wino?

– Mamy.

Schowała książkę do torebki i wzięła go pod rękę.

– Będziesz mogła skupić się na gotowaniu, wiedząc, że w torebce czeka nieprzeczytana książka?

– Z trudem! – Uśmiechnęła się. – Gdy przeczytam, oddam ją do naszej biblioteki. Trochę mi to zajmie, bo ciągle znam za mało słówek. Popatrz, melony! – Pokazała palcem na wystawie. – Okropnie drogie, ale kupimy. Mamy szynkę, więc zrobię polską wersję *prosciutto e melone*, żeby szybko zaspokoić twój wilczy głód.

Wybrała szpinak, pomidory, czosnek, melon, śliwki, jabłka.

– Będziemy mieć włoski wieczór – powiedziała, wręczając mu sznurkową siatkę.

– To dobrze. Bo już się bałem, że szwedzki. To znaczy, że obłożysz się słownikami i zatonesz w lekturze, a potem będą ci się śniły koszmary.

– Tak, to nie jest wesoła książka.

– Kobiety przypominające szkielety, niemogące się podnieść z noszy o własnych siłach, dzieci o wielkich oczach i zapadniętych policzkach, a w tle nienaruszone miasto, ludzie jadący jakby nigdy nie tramwajem do pracy...

– Mówisz tak, jakbyś to widział.

– Widziałem. Zaraz po wojnie Szwedzi przekazali nam trochę dokumentów dotyczących polskich więźniów i kopie kilku filmów, które nakręcili podczas ewakuacji.

– Są jeszcze u nas?

– W centralnym archiwum w Warszawie.

– Szkoda, że o nich nie wiedziałam. Obejrzałabym je, gdy tam byłam. Jak to się właściwie stało?

Przecież alianci nie wdawali się w negocjacje dotyczące cywilów?

– Tak, ale Duńczycy chcieli wydostać swoich z obozów i potajemnie nawiązali kontakt z Himmlerem, który najpierw zgodził się rozmawiać ze szwedzkim Czerwonym Krzyżem, a potem, na początku czterdziestego piątego roku, kazał uwolnić wszystkich Skandynawów. Myślał chyba, że dzięki temu po wojnie wymiga się od kary.

– I jak to przeprowadzili? Niemcy dostarczyli tych więźniów na linię frontu?

– Zgodzili się, by Szwedzi przyjechali po nich pod Hamburg, do obozu w Neuengamme. Obóz jednak był przepełniony i żeby zrobić dla nich miejsce, Niemcy zamordowali część więźniów, część Czerwony Krzyż przewiózł do innych obozów. Wielu umarło w transporcie.

– Straszne!

– Trzeba Szwedom przyznać, że uczciwie opisali to w dokumentach. Zgadząc się na plan Niemców, nie mieli pojęcia, do czego doprowadzi. Zmobilizowali wszystko, co mogło służyć do przewozu ludzi, a wtedy dostali wiadomość od aliantów, że pojazdy muszą się odróżniać od innych, aby były chronione przed atakami. Pomalowali więc wszystkie na biało. Kolumny białych aut przez cały kwiecień przewoziły więźniów do portów, gdzie czekały szwedzkie statki. Najpierw zabierali Skandynawów, potem Niemcy zgodzili się na innych więźniów, także Polaków.

– Czemu nic się o tym nie mówi?

– Bo większość została na Zachodzie albo wyemigrowała do Ameryki.

– Bisia wróciła. Tamci pewnie nie mieli do kogo. Ona ma teściową, czeka na męża... Dużo bym dała, żeby się dowiedzieć, co się dzieje z Teofilem.

– Był bardzo przystojny, prawda?

– Dlaczego mówisz w czasie przeszłym? Myślisz, że się postarzał?

– Kiedy pokazałaś mi to zdjęcie, na którym jesteście we czworo, myślałem, że się umówiłyście, że wszystkie będziecie na niego patrzeć. Teraz myślę, że wszystkie trzy się w nim kochałyście, każda na swój sposób.

Fotografia z Juraty była jedyną pamiątką, jaką Lorci udało się ocalić. Srebrną ramkę od Bisi wymieniła we Lwowie na bochenek chleba, wiersz wykaligrafowany na welinie podeptali enkawudziści nadzorujący deportację, bransoletkę od Teofila, chronioną jak największy skarb, ukradł jej konwojent w transporcie na Syberię. Tylko zdjęcie zrobione na tarasie Café Casino łączyło ją z dawnymi czasami i było dowodem, że to piękne lato jej się nie przyśniło. Wyjmowała je w syberyjskiej chacie, a potem na froncie, i patrzyła na Bisię w plisowanej spódnicy, batystowej bluzce i kapelusiku ze skrzyżowanymi na rondku dwoma jasnymi piórkami, Klementynę z chińską parasolką, w sukni z drukowanego w kwiaty jedwabiu, Teofila w letnim flanelowym garniturze, z panamą w ręku, i na siebie w dżersejowej sukience w paski i najmodniejszym tamtego lata kapeluszu z japońskiej słomki.

– Jego żona do dziś go kocha... – zaczęła Lorcia i nagle urwała.

Przed bramą ich domu stała Irena, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Po raz pierwszy w życiu Lorcia ucieszyła się na jej widok.

– Irena! – Pomachała do niej z daleka.

– Gdzie wy się włóczycie?! Czeka tu na was i czekam!

– Stało się coś? – spytał Tadeusz.

Irena spojrzała na siatkę w jego ręce, a potem przeniosła wzrok na Lorcię.

„Ty to się umiesz urządzać. Chłop niosący siatkę z zakupami!”, czytała Lorcia w jej oczach.

– No, mów! – ponaglił ją.

– Towarzysz Wiesław aresztowany.

Lorcia i Tadeusz spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

– Gomułka? – upewniła się Lorcia.

– Znasz innego towarzysza Wiesława?

– Przecież on jest w Krynicy, w sanatorium – powiedział Tadeusz.

Irena nachyliła się do nich i szepnęła:

– Teraz jest na obiekcie Spacer.

Lorcia westchnęła mimowolnie. Kryptonim Spacer nosiło tajne więzienie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Miedzeszynie.

Tadeusz rozejrzał się po ulicy. Ściemniło się, ludzie siedzieli przy kolacji, minął ich tylko jeden samotny przechodzień.

– Chodź na górę – powiedział do Ireny.

– Wracam do Stasi. Siedzi sama, szefa wezwali do Warszawy. Aha, kazali mu odwołać wszystkie wyjazdy zagraniczne. Żal mi cię, Eluniu, tak się cieszyłaś na ten Berlin.

– Co jeszcze wiesz? – spytał Tadeusz.

– Tylko tyle, że Światło aresztował go w czwartek rano. Jego i tę jego rozhisteryzowaną Żydówkę, jak jej tam, Fajgę czy Gołdę.

– Liwę – automatycznie poprawiła Lorcia.

– Więcej szacunku – warknął Tadeusz. – To jego żona.

– Naprawdę? – zdziwiła się Irena. – Od kiedy?

– Od trzech miesięcy.

– Irena, jakie to teraz ma znaczenie? – Lorcia spojrzała na Tadeusza. – Wracamy do biura?

– Jak szef się dowiedział? Przecież to ściśle tajna wiadomość.

– Pamiętasz Janka Koniecznego?

– Pupila szefa? Tego wywiadowcę? – powiedzieli jednocześnie Lorcia i Tadeusz.

- Był tam ze Świątłą.
- Kto jeszcze o tym wie? – spytał Tadeusz.
- Tylko wy.
- W takim razie nigdzie nie idziemy. Irena, może jednak wejdiesz na chwilę?
- Nie, nie. Lecę do Stasi. Na razie.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Lorcja spojrzała na Tadeusza.

– I co teraz?

– Nie stójmy tu, chodźmy na górę.

W mieszkaniu położył siatkę na kuchennym stole i ciężko usiadł na krześle.

Lorcja otworzyła kredens, wyjęła butelkę koniaku i kieliszki. Nalała i podała Tadeuszowi. Wypił jednym haustem.

– To hennessy. Szkoda go na takie picie. Chcesz wódki?

– Józek Światło – mruknął. – A skoro on, to na polecenie Bieruta. Nalej mi jeszcze.

Znów wypił jednym haustem, tym razem jednak Lorcja nic nie powiedziała.

– Byłaś niedawno w Warszawie, rozmawiałaś z różnymi ludźmi, jak myślisz, mają coś na niego?

Lorcja przypomniała sobie warszawskie archiwum i stalowe szafy w gabinecie podpułkownika Świątły, wicedyrektora Departamentu X.

„»Mają?« Chyba »mamy« – pomyślała. – Przecież mamy coś na wszystkich prócz Bieruta, którego teczka jest w Moskwie”.

– Tylko podejrzenia i pogłoski krążące od lat. Tę jego nieszczęsną opinię z czterdziestego drugiego roku, że Armia Czerwona nie wytrzyma naporu Niemców i że ruch robotniczy na całe lata został rozgromiony, więc trzeba się skupić nie na działalności partyjnej, lecz zarobkowej. Aresztowanie Fornalskiej i Findera, podobno na skutek donosu, by rękami Niemców zlikwidować pierwszego sekretarza i żeby kierownictwo partii mógł objąć Gomułka. Donos o drukarni AK, który Spsychalski na polecenie Wiesława napisał anonimowo do Gestapo, choć podobno Gomułka wiedział, że to drukarnia AL, nie AK. No i jeszcze trzy lata temu nie potępił Tity, powiedział nawet, że zarzuty o jego antyradzieckim nastawieniu są przesadzone. Do tego Gomułkowa twierdzi, że Amerykanie zwyciężą w Korei, a ogólnie wiadomo, że uważa męża za autorytet i powtarza jego opinie.

– Złożył samokrytykę na plenum, reszta zaś to jakieś bzdury.

– Też tak myślę, tylko że rozstrzelivano za większe bzdury. Tadeusz, to wszystko jest nieważne. Bierut kazał aresztować Gomułkę! Gomułkę! A to znaczy, że można aresztować każdego.

– Kujbyszewiaków nie ruszają. To elita resortu.

– Kujbyszewiaków nie ruszają?! Naprawdę w to wierzysz?

– Nie wolno nam zwątpić. Jesteśmy żołnierzami Stalina. Nie Polakami, nie Rosjanami, tylko komunistami. Tego mnie nauczono w Kujbyszewie.

– Przestań! Nie widzisz, co się dzieje? Nie ma już partyzantki, konspiracji ani opozycji, z którą walczyliśmy. Aresztujemy takich ludzi jak pani Olga: stare kobiety, bo słuchają radia i miejscowy przewodniczący rady ich nie lubi. Już nie chodzi o to, żeby wydobyć prawdę z aresztowanych, ale by potwierdzili teorie śledczych. Powiedziałaś dziś, że zgromadziłam mnóstwo materiałów. Tak, mamy miliony teczek. Tylko po co? Bo więziennictwo jest gałęzią gospodarki narodowej?

Nalał sobie koniaku, lecz tym razem wypił jedynie łyk. Odstawił kieliszek i spojrzał na nią.

– Dobry dowódca ignoruje wybuchy pocisków, ale i krzyki rannych, bo ma zadanie do wykonania.

– Nie tego mnie uczyłeś. Dowódca dba o żołnierzy i uczy ich, żeby dbali o siebie nawzajem, bo na polu walki są zdani tylko na towarzyszy broni.

– Rzeki nie wypijesz, kobiety nie przegadasz.

– Nie mów tak do mnie!

– Jesteś zła z powodu Berlina?

– Wiesz, jak bardzo chciałam pojechać, i wiesz dlaczego. Ale nie o to chodzi.



– A o co?

Lorcja pomyślała o pani Oldze przemocą posadzonej w upale w zapiętym pod szyję futrze, Bisi czekającej na Teofila w mieszkaniu, do którego dokwaterowano obcych ludzi, Hannie, do której już napisała, że we wrześniu przywiezie jej Jasia.

– Tamtego lata w Juracie były amatorskie regaty na zatoce. Teofil zaproponował, żebyśmy oboje wzięli w nich udział. Prawie cały czas prowadziliśmy, ale przy ostatnim nawrocie przeszliśmy tuż przed boją, zamiast za nią. Gdy minęliśmy linię mety, wszyscy wiwatowali na naszą cześć, a sędzia pogratulował nam zwycięstwa. Nikt nie zauważył naszego błędu i dostalibyśmy puchar, gdyby nie Teofil, który od razu się do niego przyznał. „To przecież tylko parę centymetrów”, powiedziałam wtedy. „Byliśmy pierwsi na mecie, czyli wygraliśmy, i nic innego się nie liczy”. „Liczy się to, jak się wygrywa”, odrzekł.

– Nie rozumiem, jaki to ma związek.

– Rozumiesz. Nawet jeśli ratujemy świat, to cel nie uświęca środków.

Wstał i wyszedł z kuchni.

Nalała sobie koniaku, a potem automatycznie zaczęła rozpakowywać zakupy.

– Nie lubię tego zdjęcia. – Tadeusz wrócił do kuchni i położył na stole fotografię z Juraty. – Patrzę na nie i widzę, że go kochałaś. Gdy zaś słyszę, jak wypowiadasz jego imię, myślę, że w jakiś sposób ciągle go kochasz.

Lorcja spojrzała na fotografię.

– Gdyby nie on, nadal pracowałabym w polu, gotowała, prała i szyła. Powiedział: „*Ce serait dommage qu'elle devienne une bonne*”, i ze służącej zmieniałam się w uczennicę. Był dla mnie niemal jak Bóg. Stworzył mnie na nowo. Jak mogłam go nie pokochać?

– Cały czas się bałam, że cię stracę. Że kiedyś znów go spotkasz i zostawisz mnie.

– Dlatego chciałeś, żebyśmy się przenieśli do Warszawy?

Pokiwał głową.

– Nawet jeśli go spotkam, nigdy cię nie zostawię. Kocham cię, a Teofil... Teofil należy do Bisi.

– Nie spotkasz go.

Powiedział to tak, że Lorcję przebiegł zimny dreszcz.

– On nie żyje.

– Skąd... skąd wiesz? – wyjąkała.

Zakręciło się jej w głowie i chwyciła się brzegu stołu, żeby nie upaść.

– Jest pochowany razem z czterema innymi, którzy też wtedy zginęli, w lesie koło Andrychowa.

– Skąd wiesz? – powtórzyła.

– Byłem przy tym, jak KBW otoczyło oddział Jastrzębia. Część się przebiła, kilkunastu złapaliśmy, a pięciu zginęło. Major Judel kazał ich zakopać na miejscu.

– Może to nie on?

– Nic się nie zmienił. Wyglądał jak na twoim zdjęciu. I miał przy sobie dokumenty.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Należał do tego oddziału?

– Nie. Czytałem potem w Bielsku zeznania złapanych. Przeszedł zieloną granicę i natknął się na ludzi Jastrzębia. Poprosił o nocleg. Podobno szedł do matki.

– Miał jeszcze niecałe trzydzieści kilometrów do domu... Kiedy to było?

– W lipcu czterdziestego szóstego, gdy ty sprawdzałaś przejście z Cieszyna do Niemiec.

– Czemu mi wtedy nie powiedziałaś?

Poczuła wilgoć na ręce i zorientowała się, że płacze.

– Nie wiedziałem jak.

\*

– Mocniej tymi pagajami! Jeśli na rzece sobie nie radzicie, to co będzie na morzu?!

Lorcja przeniosła wzrok z omegi na kajakarzy ćwiczących zmiany kierunku płynięcia. Wzięła

Jasia za rękę i podeszła do nich.

– Witek, nurt przylewa ci pióro – powiedziała. – Zakładasz kontrę za bardzo z tyłu kajaka. A ty, Broniek, pamiętaj, co mówiłam o kontrze na krótkiej łapce. Jeśli aż tak uginasz rękę w łokciu, to nie masz oparcia na wiosle. Jeszcze raz!

– Ciociu, chce mi się pić.

– Za pół godziny jest obiad, Jasiu.

– Dobrze – powiedział od razu.

„Zawsze był taki zgodny czy wytresowali go w domu dziecka? Na pewno uświadamiają wychowankom, że ich pragnienia się nie liczą”.

– Chodźmy do kuchni, dostaniemy kompotu. – Ścisnęła rączkę Jasia. – Koniec ćwiczeń! – krzyknęła. – Wszyscy na brzeg! Obiad za pół godziny!

– Mama robiła mi kompot – powiedział nagle Jaś.

– Pamiętasz ją, prawda?

– Nie wiem. Czasem przychodzi do mnie, gdy śpię. Ale jest ciemno i nie widzę jej twarzy.

„Co pamiętają dzieci? – zastanawiała się Lorcja. – Przecież te dwa lata to jedna trzecia jego życia”.

Uczestnicy obozu żeglarskiego mieszkali w dużych wojskowych namiotach, personel i ona z Jasiem – w białym parterowym budynku gospodarczym. Przyjeżdżała tu co sezon od pięciu lat i po ubiegłorocznym remoncie wreszcie miała pokój z małą łazienką. Teraz nie musiała czekać, aż chłopcy się umyją, albo wymykać się w czasie obiadu, by w spokoju wziąć prysznic. „Na pewno cię podglądają – powtarzał Tadeusz. – Zwłaszcza Bulik i Kołodziejski. Obaj się w tobie kochają”.

Trzymając Jasia za rękę, przecięła plac apelowy i weszła między puste o tej porze namioty. Nagle dobiegł ją głos chorążego Kołodziejskiego.

– ... rzeczowo go informuję: „Ja mówię, ty słuchasz. Ja pytam, ty odpowiadasz”. A potem spokojnie rozkładam narzędzia.

Spojrzała na Jasia, położyła palec na ustach, pokazała mu gestem, żeby nie ruszał się z miejsca, sama zaś podeszła bliżej ściany namiotu.

– Zawsze odpowiadają: „Ja nic nie wiem”. Wtedy biorę obcęgi i mówię: „Najpierw wyrwę ci paznokcie u rąk, potem u nóg. Nie dajesz mi wyboru. Może jednak coś sobie przypominasz, zanim się do ciebie zabiorę?”. Jeśli się to powie w odpowiedni sposób, większości rozwiązuje się język.

– A jakie to narzędzia? – zapytał ktoś.

– Zwyczajne. Młotek, śrubokręt, obcęgi, imadło, nóż. Mam też żelazko. Zepsute, ale oni o tym nie wiedzą. Nie chodzi o to, co się nimi robi, tylko co oni sobie wyobrażają, że możesz zrobić.

– A to prawda, że kazałeś Alfredowi bić się kijem po piętach?

– Prawda. Chciałem zobaczyć, co się wtedy czuje.

– I co? I co? – rozległ się chór podnieconych głosów.

– Najpierw tylko boli, ale potem czujesz się tak, jakby ktoś ci wbijał gwoździe w głowę.

– A baby? Co robisz z babami?

– Jedna taka patrzy na mnie hardo i mówi: „Proszę mnie nie bić, jestem w ciąży”. „To, kurwo, poronisz”. Palcem jej nie tknąłem, a powiedziała wszystko jak na spowiedzi.

Lorcja podeszła do wejścia do namiotu.

– Chorąży Kołodziejski, do mnie! – krzyknęła.

– Na rozkaz, obywatelko porucznik!

Na pryczy siedziało pięciu uczestników obozu. Nawet w mrocznym namiocie widziała ich zaczerwienione policzki i błyszczące z podniecenia oczy. Zerwali się na jej widok.

– Mielście naprawiać żagle.

– Wszystko naprawione, obywatelko porucznik – zameldował Kołodziejski. – Sprawdziliśmy też żagiel Juraty. Szwy były przetarte na jednym narożniku.

– Nie musieliście tego robić. To mój prywatny kajak.

– Obywatelka porucznik zawsze powtarza, żeby nie lekceważyć drobnych rozdarć.

– Dziękuję. Obiad za dwadzieścia minut.

– Tak jest!

„Mogę być z siebie dumna – pomyślała gorzko. – Wychowałam nowe, pracowite kadry”.

Spojrzała na niebo. „Kiedy czerwień o zachodzie, wie marynarz o pogodzie”. Poprzedniego dnia wszyscy podziwiali zachód słońca i wieczorne zorze, długo jeszcze barwiące niebo na czerwono. Jutro wiatr powinien się wzmóc, a pojutrze może przyjdzie deszcz. Taka właśnie pogoda była jej potrzebna: wietrzna, ale niegrożąca zatopieniem kajaka.

– Jasiu, chcesz po obiedzie popływać z ciocią po zatoce?

– Juratą?

– Tak, tylko my dwoje.

Pokiwał główką.

– To zjedz cały obiad. Musisz mieć dużo sił.

Zostawiła go pod opieką kucharki, z garnuszkiem kompotu w rękach, a sama poszła do swojego pokoju.

Wyjęła z walizki mały ceratowy chlebak, który uszyła ze starej peleryny, kartkę wyrwaną w bibliotece z niemieckiego atlasu, busolę, pakiecik zaszyty w żaglowe płótno, tubkę kremu, dwie tabliczki czekolady. Wzięła ze stołu wojskową manierkę i poszła do jadalni.

– Dobry był kompot? – spytała Jasia.

– Tak.

– To idź z tą manierką do pani Jadzi i poproś, żeby nam naląła do pełna, bo wypływamy na całe popołudnie.

Zerknęła na powieszony na tablicy jadłospis. Grochówka! Fatalnie. Jasio nie był grymaśny, ale grochówki nie znosił. Na drugie gulasz z makaronem. Już lepiej.

Poszła do kuchni.

– Pani Elu, mam z wczoraj trochę pomidorowej, może Jaś by zjadł? – powiedziała kucharka na jej widok. – Za grochówką bidulek nie przepada.

– Dziękuję, pani Jadziu. Jasiu, zjesz pomidorową?

– Tak.

– Marniutkie to takie – wzdychała kucharka, nalewając zupę na talerz.

– Biorę go na kajak na całe popołudnie. Da nam pani jakiś suchy prowiant, pani Jadziu? Przybijemy gdzieś do brzegu i Jaś zje podwieczorek.

– Pewnie, że dam. Pani też się przyda. Skóra i kości.

– Po każdym obozie przybywa mi parę kilo i potem nie mogę dopiąć spódnicy – zaśmiała się Lorcja. – Wszystko przez pani pyszną kuchnię.

Żeglarze nie narzekają na brak apetytu. Po kilku godzinach ćwiczenia halsów, stawiania i kładzenia masztu, machania pagajem albo wiosłem chłopcy pochłaniali ogromne porcje i Lorcja miała nadzieję, że wpatrzeni w swoje talerze, nie zauważą, że zjadła tylko kilka łyżek zupy, a drugiego dania nie wzięła wcale. Tłumaczyła sobie w duchu, że powinna jeść, tymczasem jedzenie nie chciało jej przejść przez ściśnięte gardło.

Rozdzieliła zadania na popołudnie, potem odgwizdała godzinną ciszę poobiednią, ubrała Jasia w sweter i pomarańczowy sztormiak, kilka razy zawijając za długie rękawy i nogawki, sama też włożyła sweter, ceratowe spodnie, na to bluzę z kapturem. Wyjęła z szafy krótkie gumki. Nie były to najwygodniejsze buty na kajak, ale wiedziała z doświadczenia, że świetnie się nadają do wybierania wody z łódki. W końcu dołożyła do chlebaka dwie wełniane czapki, manierkę, zapakowane do papierowej torebki pomidory, chleb z masłem i dwa kawałki drożdżowego placka. Rozejrzała się po pokoju.

Na łóżku Jasia leżał brązowy miś. Dała mu go, gdy po raz pierwszy odwiedziła go w sierocińcu, tuż po powrocie z Berlina. Miś był brzydki, twardy, bo wypchany trocinami, ale żadnego innego wtedy nie zdobyła. Ku jej zaskoczeniu stał się ulubioną zabawką Jasia i chłopiec się z nim nie rozstawał.

– Może weźmiemy misia na wycieczkę? – spytała.

– A nie zmoknie?

– Schowam go do chlebaka.

Lorcja zaczęła wpychać zabawkę między manierkę a torebkę z jedzeniem.

Usta Jasia wygięły się w podkówkę.

– Misia to boli.

Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, był płacz Jasia. Podała mu misia.

– Weź go na rączki i przytul. Zobaczysz, jak mu się spodoba na kajaku.

Chłopiec od razu poweselał.

„Nawet jeśli ktoś nas zobaczy i zdziwi się na widok misia, to trudno”, pomyślała.

Wzięła z magazynu wiosło i dwa pasy z kapoka.

– Gorąco mi – poskarżył się Jaś, gdy szybkim krokiem ruszyli na przystań.

Lorcja zwolniła.

– Mnie też – odrzekła. – Ale na wodzie jest chłodno. Chyba nie chcesz się przeziębnić i do końca obozu leżeć w łóżku, zamiast żeglować z ciocią?

Pięciometrowy morski kajak, któremu nadała imię Jurata, dostała dwa lata wcześniej w prezencie od Tadeusza. Zbudowany w skromnym chałupniczym warsztacie w Górkach, miał prócz dwóch wiosel cztery metry gaflowego żagla. Wyprawiała się nim sama na zatokę albo na morze w towarzystwie drugiego kajakarza. Trudno było liczyć na to, że sześciolatek Jaś będzie wiosłował, lecz przecież nie mogła go zostawić. Musiała zdać się na własne siły i los szczęścia, czyli zrobić coś, przed czym zawsze ostrzegała adeptów żeglarstwa.

Na pomoście koło ucha, do którego była przycumowana Jurata, siedział chorąży Kołodziejski w sztormiaku. Obok niego leżało wiosło.

Na obozie Lorcja rzadko używała stopni i nazwisk – wołała mówić do uczestników po imieniu. Teraz jednak musiała przywołać podwładnego do porządku.

– Co tu robicie, chorąży? – spytała ostrym tonem. – Podczas ciszy wszyscy mają być w namiotach.

– Czekam na panią. Nie sądziłem, że przyjdzie pani z Jasiem.

„Pani?” Nigdy tak się do niej nie zwracał.

– Nie zapominajcie się. To, że jesteśmy na obozie, nie znaczy, że przestałam być waszą przełożoną.

– Przed obiadem, gdy była pani w kuchni, wszedłem do pani pokoju. Wiem, co pani zamierza.

„Jak mogłam być taka głupia i zostawić wszystko na wierzchu! – strofowała się w myślach Lorcja. – Może jednak blefuje?”

Założyła kapok Jasiowi, zawiązała swój. Odwróciła się do chorążego Kołodziejskiego.

– Jeśli natychmiast wrócisz do obozu – powiedziała lodowatym tonem – to nie wyciągnę konsekwencji z twojego zachowania.

– Jeśli mnie pani z sobą nie zabierze, to podniosę alarm i nie dopłyniecie dalej niż do połowy zatoki.

Nie było sensu dłużej udawać.

– Nawet gdybym chciała, to Jurata jest dwuosobowa. Poza tym mam pozwolenie na wypłynięcie na zatokę tylko dla siebie i dla Jasia. Wopięci każą ci wysiąść.

– Dziś mają służbę moi znajomi. Wypiłem z nimi niejedną flaszkę. Nawet papierów nie będziemy musieli pokazywać.

Lorcja błyskawicznie rozważyła za i przeciw. W gruncie rzeczy nie ufała Kołodziejskiemu. Rys okrucieństwa, który ostatnio w nim wyczuła, niepokoił ją – pomyślała, że stać go nawet na to, by utopić ją i Jasia. Z drugiej strony silny młody mężczyzna, znakomity kajakarz, byłby nieocenioną pomocą.

– Tylko jak się pomieścimy? – spytała.

Uśmiechnął się i odgarnął ciemną grzywkę spadającą na oczy.

– Pani usiądzie z przodu, Jaś przed panią na moim kapoku, ja z tyłu.

– Dobrze. Skoro mamy razem płynąć, to mówmy sobie po imieniu.

– Nie zrobisz odprawy przed wypłynięciem, Elu? Nie powiesz, dokąd płyniemy i jakie niebezpieczeństwa czyhają po drodze? – spytał kpiącym tonem.

– Płyniemy do Szwecji. I jeśli umiesz, módl się, żebyśmy dopłynęli.

Ruszyli na wiosłach Martwą Wisłą. U jej ujścia do Zatoki Gdańskiej, na lewym brzegu, był posterunek WOP-u. Lorcja zastanawiała się, co będzie, jeśli wopiści zechcą jednak sprawdzić ich zezwolenie na wypłynięcie na zatokę.

Trzymali się prawego brzegu. Gdy dopływali do posterunku, z budki wybiegło dwóch wopistów, krzycząc i wywijając rękami.

Lorcja wyjęła z kieszeni pozwolenie i pomachała nim. Kątem oka widziała, że Leszek Kołodziejski daje wopistom jakieś znaki. Żołnierze jeszcze coś wołali, w końcu wrócili do budki. Pewnie poznali jej kajak. Widząc Jasia i małą łódkę, pomyśleli może, że daleko nie wypłyną.

– Mówiłem, że się uda.

Odwróciła głowę do tyłu i powiedziała bezgłośnym szeptem, żeby Jaś nie usłyszał:

– Wiesz, że mogli do nas strzelać.

– Wiem.

– I wiesz, że jeśli nas złapią, to w najlepszym razie pójdziemy na długie lata do więzienia?

– Tak.

– No to w drogę. Mamy przed sobą prawie dwieście mil.

– Czemu nie wzięłaś omegi? Byłoby łatwiej.

– Bo nie jestem złodziejką.

Przecięli zatokę i po trzech godzinach byli na wysokości Helu. Wiosłowali jeszcze pół godziny, potem postawili żagiel i mogli na chwilę odłożyć wiosła. Lorcja sięgnęła do chlebaka i wyjęła niemiecką mapę z zachodnią częścią Bałtyku. Podała ją Leszkowi.

– Płyniemy na północny zachód. Wcześniej czy później musimy trafić na Szwecję. Jeśli natkniemy się na łódź patrolową, mówimy, że wiatr i fale wyniosły nas w morze.

– Tak jest, obywatelko porucznik!

– Przestań się wygłupiać! To nie zabawa! Jeszcze nie dopłynęliśmy!

– Ciociu – odezwał się Jaś i Lorcja dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że do tej pory siedział cichutko jak myszka. – Czy my płyniemy do Szwecji?

– Tak, kochanie. Ale pamiętaj, to tajemnica i nikomu nie wolno o tym mówić.

– Dobrze. A czy to daleko?

– Tak. Będziemy płynąć całą noc i cały następny dzień.

– Ciociu...

– Tak?

– Czy tam będzie mamusia?

Lorcja poczuła, jak coś dławi ją w gardle.

– Tam jej nie będzie – powiedziała zduszonym głosem – ale napiszemy do niej albo lepiej wyślemy telegram i przyjedzie po ciebie.

Wiatr im sprzyjał i dwie godziny przed zachodem słońca minęli Rozewie. Woda z jasnozielonej zrobiła się mroczna, zniknął prześwitujący przez nią biały piasek mierzei. Byli na morzu i mieli tylko jeden cel: dojść bezpiecznie do portu.

– Ciociu, chce mi się pić.

Lorcja wyjęła z chlebaka manierkę. Żałowała, że nie wzięła kubka.

– Napij się, słoneczko, tylko ostrożnie.

Jaś napił się kompotu, potem Lorcja dała mu kawałek chleba z masłem. Pomidory postanowiła zostawić na czarną godzinę, gdy picie się skończy.

– Chcesz kawałek czekolady? – spytała Leszka. – Tylko że picia mamy mało, tyle co dla Jasia.

– Cholera, nie wzięłam papierosów.

– Na łódce się nie klnie.

– Przepraszam. Okropnie chce mi się palić.

Wieczorna bryza wiejąca od Helu pchała ich w stronę szwedzkiego brzegu. Słońce powoli tonęło w morzu, a na niebo zza horyzontu wypływały równe rzędy wełnistych chmur.

– Altocumulusy – mruknął Leszek. – Jutro pogoda się zmieni.

– Powiosłujmy trochę. Im bardziej oddalimy się od brzegu, tym lepiej.

Jaś, który już od dłuższej chwili kręcił się niespokojnie, pociągnął Lorcę za rękaw sztormiaka.

– Co się dzieje? Niedobrze ci?

– Siku.

Otaczała ich woda, siedzieli w mokrym kajaku, sztormiaki pokrywał wodny pył i Lorcia miała ochotę powiedzieć: „Sikaj w majtki”.

– Możesz klęknąć i wysiusiać się za burtę? Ciocia cię potrzyzyma.

– Boję się.

Lorcia odwróciła go do siebie, podciągnęła mu bluzę sztormiaka, rozpięła spodnie, potem zdjęła swój gumiak.

– Siusiaj do tego. Nic innego nie mamy.

Wiatr ustał, zrzucili więc żagiel i wiosłowali. Spokojna woda przypominała czarną maź, lecz gdy tylko znikły resztki światła, w burty zaczęły uderzać czające się w ciemnościach fale i zasypywały ich zimnym deszczem.

Lorcia podała gumiak Jasiowi.

– Wybieraj nim wodę. Rozgrzejesz się. Tylko uważaj, bo nie mam innych butów.

Było coraz zimniej. Wilgotne ubranie kleiło się do ciała, drżały zmęczone mięśnie, oczy piekły od soli.

– Masz jeszcze tę czekoladę? – spytał Leszek.

Podawała mu tabliczkę.

– A ty nie chcesz?

– Zjem pomidora, na pół z Jasiem.

– Odpocznij, sam powiosłuję.

– Dzięki – mruknęła.

Naprawdę była mu wdzięczna. Przeliczyła się z siłami. Paliły ją ramiona, bolały plecy, nie czuła skostniałych stóp.

Gdy wydawało się, że noc nie może już być bardziej czarna, woda zaczęła szarzeć. Zbliżał się świt. Było coraz jaśniej, tylko w jednym miejscu ciemność nie chciała ustąpić.

– Statek po lewej! Jak myślisz, nasz? – spytała Lorcia.

– Nie wiem. Na wszelki wypadek odpłyniemy, ile się da.

– Postawię żagiel. Wiatr mizerny, ale zawsze nas trochę podciągnie.

– Słyszysz? Zmienił się głos maszyn. Chyba nas zauważyli i zwolnili.

– Wyrzuć mapę. Jakby co, pamiętaj, wiatr nas wyciągnął w morze i nie mogliśmy wrócić.

Wyjęła z chlebaka busolę i upuściła ją do wody.

Statek był coraz bliżej. Wiosłowali miarowo, jakby byli na niedzielnej wycieczce. Lorcia zobaczyła nazwę Sturmvogel wypisaną na burcie i oficerów przyglądających się im z mostka przez lornetki.

Maszyny znów zmieniły ton i statek powoli zniknął w porannej mgłę.

– Niepotrzebnie wpadłam w panikę.

– Ostrożności nigdy za wiele. Poza tym mapa nam niepotrzebna. Szwecję trudno minąć.

Morze stało się gładkie, lekka perłowa mgła rozbieliła czerwień wschodzącego słońca. Zrobiło się trochę cieplej. Lorcia położyła wiosło na burcie i sięgnęła do chlebaka. Obudzony tym ruchem Jasio otworzył oczy.

– Jesteśmy już w Szwecji?

– Jeszcze nie, ale coraz bliżej. Jesteś głodny?

– Zimno mi.

Miał bladą buzię i cienie po oczach. Lorcia dotknęła jego dłoni. Były zimne jak lód.

Wyjęła krem, grubo nasmarowała mu rączki i buzię.

– A teraz zrobimy gimnastykę, dobrze?

Chwyciła jego ręce i machała nimi.

– Teraz główka... Teraz nóżki...

– Dam mu swój sweter – odezwał się Leszek.

– Suchy?

– Nie, no skąd.

– To nie ma sensu. Nie ogrzeje go i dziesięć warstw, jeśli wszystkie będą mokre. Chcesz trochę kremu?

– Krem jest dla bab. – Zaśmiał się cicho.

– Racja. Będzie więcej dla mnie. – Nałożyła grubą warstwę na popękane wargi.

Ułamała kawałek chleba i włożyła do ust, resztę podała Leszkowi.

Placek zamókł, ale Jasio był głodny i żuł go powoli. Lorcja czuła drożdżowy zapach i burczało jej w brzuchu.

Przełamała na pół tabliczkę czekolady. Połowę dała Jasiowi, drugą Leszkowi. Jeśli on opadnie z sił, to nie mają szans.

Marzyła o gorącej herbacie, gorącej owsiance, gorących naleśnikach. Choć bolało ją całe ciało, wiedziała, że najlepszym sposobem na rozgrzanie się jest wiosłowanie.

Zsunęła kaptur Jasia i dotknęła jego czapki. Mokra. Zdjęła swoją, która była tylko trochę wilgotna, i włożyła chłopcu na głowę.

Potem podała mu gumiak.

– Jasiu, wybieraj wodę. Pomożesz nam i rozgrzejesz się trochę.

Słońce powoli ogrzewało powietrze. Poranna flauta się przedłużała. W końcu Lorcja poczuła na policzku lekki powiew.

– Stawiam żagiel – powiedziała. – Muszę chwilę odpocząć.

Zdjęła drugi gumiak i razem z Jasiem wybierała wodę z dna kajaka.

Wiatr tężał. Najpierw wiał z zachodu, potem wykręcił i dmuchnął im w plecy, ostro wydymając żagiel. Maszt zatrzęszczał.

Lorcja spojrzała na niebo. Wypływały na nie szare chmury, jak zbite kłębki brudnej waty. Szedł sztorm.

Fale były coraz większe, ich długie grzbiety wieńczyła biała piana. Lorcja mocniej ścisnęła nogami Jasia.

– Potrzymaj mi wiosło – powiedziała do niego.

Rozwiązała swój kapok i założyła go chłopcu pod pachami. Umiał pływać, ale we wzburzonym morzu nie poradziłby sobie. Teraz żałowała, że nie ukradła omegi. Tam mogłaby go przywiązać jakąś linką. Wolą nie myśleć o tym, jaka zimna jest woda i ile dziecko mogłoby w niej przeżyć, gdyby fale przewróciły kajak.

– A teraz, słonko, wybieraj wodę.

– Powinniśmy zrzucić żagiel – powiedział Leszek.

– Wytrzyma jeszcze trochę.

Zobaczyła, że Jaś przestał machać gumiakiem. Nagle zgiął się wpół i zwrócił wszystko, co zjadł. Wyciągnęła rękę i wytarła mu buzię.

– Ciociu, wymiotowałem na spodnie.

– Nic się nie stało. Wypierzemy wszystko w porcie.

Wiosłując, patrzyła, jak Jaś niezmordowanie nabiera wodę gumiakiem i wylewa ją za burtę. „Człowiek jest dziwnie skonstruowany. Nawet taki malec walczy bez chwili odpoczynku, skupiony tylko na jednym, bo instynktownie chce przeżyć”.

Naraz wiatr wykręcił i uderzył od wschodu. Zanim zdążyła odknagować szot, usłyszała trzask i żagiel opadł.

– Pękły fały – powiedziała. – Moja wina. Przepraszam.

– Nie wygłupiaj się.

– Jasiu, przytrzymaj wiosło.

Uklękała i próbowała przywiązać łopocący żagiel do masztu.

– Puść go – powiedział Leszek. – Na nic już nam się nie przyda. W Szwecji kupimy sobie nowy. „Kupimy sobie!”, prychnęła w myślach.

Szli na wiosłach, tak jak pozwalała fala, starając się jednak utrzymać kierunek. Zimne bryzgi zalewały ich co chwila, morze ryczało groźnie. W pewnej chwili kajakiem silniej rzuciło i Lorcja zobaczyła, jak kłęczący na dnie Jasio, pilnie wybierający wodę, przewraca się i uderza o burtę. Zanim zdążyła pomyśleć, że następny przechył wyrzuci dziecko do wody, odruchowo wyciągnęła rękę i chwyciła Jasia za bluzę. Z całej siły zacisnęła palce. Czuła, jak ciężar chłopca wyrывa jej rękę ze stawu.

– Trzymam go! – usłyszała za plecami.

Pociągnęła Jasia i posadziła go sobie między nogami.

– Ciociu, twój gumiak wpadł do wody.

– Nic się nie stało. Kupię sobie nowe.

– W Szwecji mają gumiaki?

– Tak. Tobie też kupię. Niebieskie w kwiatki.

– Wolę czerwone.

Coś jej się stało w rękę i wiosłowanie sprawiało nieznośny ból. Na dłoniach miała rany od soli.

– Odpocznij chwilę – powiedział Leszek. – Wybieraj wodę.

– Nie. Musimy przeżyć tę nawałnicę.

– Przecież widzę, że naciągnęłaś sobie rękę. Odpocznij.

– Nie.

– Niełatwo się poddajesz.

– Nigdy się nie poddaję.

„Boże, nie jestem gotowa, żeby umierać. Mam jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. Błagam, nie tu, nie teraz”.

– Ciociu, czy my utoniemy?

– Nie, skarbie. Mówiłam ci, że toną statki, a szalupy nie. Dlaczego?

– Bo są małe.

– Jasiu, możesz wybierać wodę? Na siedząco. Jest jeszcze drugi gumiak.

– Tak.

– Czujesz? Wiatr siada – usłyszała za plecami.

– Niemożliwe. To morze. Ono nie współpracuje.

„Może lepiej się poddać, nabrać wody w płuca i opaść na dno? Tylko że to nie jest łatwa śmierć”.

– Ela! Kutry!

Z trudem otworzyła sklezione solą oczy.

– Gdzie?

– Po lewej!

Rzeczywiście, w ich stronę płynęły dwa kutry.

Leszek uniósł wiosło.

– Patrz! Dają sygnały latarnią! – zawołał. – Myślisz, że to już Szwedzi?

Gdy byli za blisko, żeby zawrócić, zobaczyła na burcie napis: „Möwe. Hamburg”.

– Niemcy – powiedziała.

– Zabijają nas? – spytał Jasio.

– Nie. Na morzu wszyscy są braćmi i sobie pomagają.

– Nawet Niemcy?

Rybaczy rzucili liny i przyciągnęli ich do burty. Lorcja obwiązała w pasie Jasia, a potem patrzyła, jak łąduje na pokładzie i wpada w objęcia brodatych olbrzymów. Przewiesiła przez plecy mokry chlebak i chwyciła linę.

Gdy znalazła się na pokładzie, usiadła, bo się bała, że zemdleje z wyczerpania.



– *Wer sind Sie?*

– Jesteśmy Szwedami, ale mówimy po niemiecku.

– Zaczepiliście kilem o linę, która ciągnie sieci. Nie wiem, czy uda się uratować wasz kajak.

– To nieważne. Dziękuję, że uratowaliście nas.

Lorcja poczuła, że ktoś bierze ją na ręce i niesie po schodach. W mesie ciemnej od papierosowego dymu było gorąco. Ktoś dał im suche flanelowe koszule i swetry, ktoś nalał sznapsa. Widziała, jak rybak układa w koi Jasia. Wypiła jeszcze jeden kieliszek wódki, położyła się obok chłopca, objęła go i zapadła w kamienny sen.

Gdy się obudziła, był jasny dzień. Jaś, z zaróżowionymi policzkami, spał zwinięty w kłębek.

Zdjęła wiszący na haczyku ceratowy płaszcz, włożyła go i wyszła na pokład.

Świeciło słońce, morze było zielone i gładkie. W oddali zobaczyła małą latarnię morską i biały kamienny falochron.

Rybak, z którym wczoraj rozmawiała, na jej widok wyjął z kieszeni sztywną książeczkę. Poznała dowód Leszka.

– *Schweden, a?* – powiedział. – Nie bój się. Rozumiemy was i pomożemy. – Wskazał brzeg. – To Szwecja.

## Epilog

„Długo żyję. Pewnie mam tu jeszcze coś do zrobienia. Nie za wszystko odpokutowałam. Ale przecież są winy, których odpokutować się nie da”.

– Proszę pani, przyszedł pan Tadeusz Brodzki. – W otwartych drzwiach sypialni stanęła Marta. Lorcja odwróciła się od lustra.

– Dziękuję, Martusiu.

– Pięknie pani wygląda.

– Kiedyś rzeczywiście bardzo chciałam być piękna. Gdy miałam dziesięć lat, podkrałam kucharce trochę wyciągu z włoskich orzechów, którym przyciemniała siwiejące włosy, i posmarowałam sobie twarz, żeby wyglądała jak opalona. Patrząc potem na brązowe plamy na czole i policzkach, modliłam się, żeby Bóg mi przywrócił białą, piegowatą skórę.

– Ma pani urodę swojej prababci Adelajdy. Dziewiętnastowieczną. Kobiety robiły wtedy wszystko, żeby ich skóra wydawała się jaśniejsza, malowały sobie nawet na dekolcie niebieskie żyłki.

– Martusiu, nawet gdybym o tym wiedziała, pewnie i tak bym marzyła o rumieńcach i ciemnej karnacji. Powiedz mi, jak on wygląda?

– Jest bardzo elegancki. Szczupły, siwy, lekko utyka.

– Połamali mu nogi podczas przesłuchania.

– Boże! Okropne! Niemcy czy ubecy?

„Koledzy z pracy”.

– Ci drudzy. – Lorcja odetchnęła głęboko. – Idę.

Marta otworzyła jej drzwi do saloniku i cicho je za nią zamknęła.

– Elunia!

Podszedł do niej i nie zważając na bukiet, który trzymał w ręce, objął ją i pocałował.

Zamknęła oczy. Używał teraz innych perfum, ale było w nich coś, co przypominało jego dawną wodę kolońską: bergamotka, lawenda, odrobina różanej słodyczy. „Jak ona się nazywała?”

– Przepraszam – szepnęła.

Wypuścił ją z objęć.

– Za co?

– Przede wszystkim za to. – Wskazała jego nogi.

– Wszystko wiesz.

– Nie... Ale lubię, gdy ludzie tak myślą.

Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech.

– Nic się nie zmieniłaś. Z wyjątkiem włosów, które teraz są jeszcze ładniejsze. A nogi to przecież nie twoja wina. – Spojrzał na trzymany w ręce bukiet. Kilka róż się pogniotło, nadłamana gałązka jaśminu zwisała smętnie. – Zapominam przy tobie o całym świecie. Nawet o tym, że przyniosłem ci kwiaty. Wciąż lubisz herbaciane róże?

– Tak. Dziękuję, że pamiętałeś.

Uniosła bukiet i odetchnęła jego słodkim zapachem.

– To chiński jaśmin, ale pachnie prawie jak nasz. Musiałem stoczyć o niego batalię, bo w kwaciarni uważali, że nie pasuje do róż. – Uśmiechnął się. – Nie mam teraz dla kogo kupować kwiatów i nie wiedziałem, że prawdziwe pachnące róże są dzisiaj takie rzadkie.

– Słyszałam o śmierci Ireny. Bardzo ci współczuję.

Włożyła bukiet do flakonu, który zapobiegliwa Marta postawiła na stole.

Rozejrzał się po saloniku, którego nowoczesność podkreślało kilka starannie dobranych antycznych mebli, potem spojrział na jej szafirowy naszyjnik, kolczyki, chabrową bluzkę z surowego jedwabiu, aksamitne wieczorowe spodnie, czarne lakierki na włoskich obcasach. Była pewna, że nie umie rozpoznać kroju Laurenta ani stylu Fouqueta, widzi jednak, że nie jest to gotowa konfekcja, a do takiej biżuterii bardziej pasuje słowo „klejnoty”.

– Jak to zrobiłaś? Jak sobie poradziłaś w tym obcym świecie?

Lorcja przypomniała sobie zalany słońcem szwedzki brzeg, maleńki port ukryty za białym falochronem, ludzi patrzących ze zdziwieniem, jak człapie po nabrzeżu w spadających z nóg za dużych męskich butach, grubego policjanta z szablą u boku. A potem inny brzeg, nad oceanem, Jonasa zginającego przed nią kolano i podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć huk fal, pytającego, czy zostanie jego żoną.

– Było mi łatwiej niż dzisiejszym emigrantom. Ludzie wtedy mniej się bali obcych.

– W dodatku znałaś szwedzki.

– Tak mi się wydawało. Nie miałam pojęcia, jaki ważny jest akcent i ile mają dialektów. Słuchali mnie, niewiele rozumiejąc, i pewnie myśleli: „Jaki ten polski jest podobny do szwedzkiego”.

– Opowiedz mi o tym. O tych wszystkich latach.

– Widzę, że masz dużo czasu.

Roześmiała się i jej napięcie ustąpiło. Poczuli się jak kiedyś, w tych dawnych czasach, gdy umiała czytać w jego myślach.

– Chodźmy na kolację – powiedział. – Przy jedzeniu dobrze się rozmawia.

– Bywasz jeszcze głodny jak wilk? – spytała w windzie.

– Już nie. Ale wciąż mam apetyt na życie.

Gdy szli przez hotelowe lobby, popatrzył na niebiesko-biały świetlik w kopule wieńczącej dach.

– Niebieski to twój kolor. Przyznaj, że to dlatego wybierasz ten hotel.

– Zgadłeś – uśmiechnęła się. – I jeszcze z powodu widoku na Bramę Brandenburską.

Przypomina mi, że choć pod Lenino nas zdziesiątkowali, to ostatecznie doszliśmy aż tu.

Wsunęła mu dłoń pod ramię. Nachylił się do niej i przez chwilę myślała, że ją pocałuje, ale tego nie zrobił.

– Dokąd idziemy? – spytała.

– Chciałbym tak jak kiedyś zaprosić cię do Hawelki.

– W takim razie muszę wrócić na górę po płaszcz.

Zaśmiała się cicho, przycisnęła łokciem jej dłoń, a ruchem głowy wskazała bar pod złotym żebrowanym sufitem.

– Właściwie to kusiło mnie, żeby cię zabrać na *Wurst*. Tylko że zamiast musztardy i chleba dają tu do niej sos curry, białą bułkę i frytki pakowane w imitację papieru gazetowego.

– Przypomniały mi się nasze ogniska nad Dunajcem...

– Zwyczajna, cebula i rydze na patykach albo kaszanka na starym ruszcie.

– Jeszcze chleb prosto z pieca. Parzył ręce i parował, gdy go łamaliśmy, bo nie dawał się kroić.

– Zarezerwowałem stół w Esszimmer. Przeczytałem w internecie, że ma gwiazdkę Michelin, ale takich frykasów pewnie tam nie dają.

– Jest za to ładnie. Ładny fresk na suficie, ładne obrusy, ładne jedzenie.

– Właściciele hotelu powinni być wdzięczni losowi, że nie piszesz recenzji kulinarnych. Ładne jedzenie!

– To nie znaczy niedobre.

– Wróćmy na górę po twój płaszcz.

– Jednak Hawelka?

– Niestety, nie. Ale przecież widzę, że nie masz ochoty na hotelową kolację. Chodźmy do baru, gdzie podają piwo w grubych kufiach, żeberka i kielbasę.

– Myślisz o jakimś konkretnym miejscu?

– Tak. Ale to dość daleko. W Charlottenburgu, nad rzeką. Mają smaczne jedzenie, piwo, lekko łysejący panowie grają stary dobry jazz.

– Charlottenburg? To przecież dwa kroki stąd. Przejdziemy przez Tiergarten.

– Czasy biegania się dla mnie skończyły. Zajmie nam to z godzinę.

– Chętnie się przejdę, jeśli i ty masz ochotę.

– Zawsze brałaś mnie pod uwagę w swoich planach. Prócz tego ostatniego – powiedział cicho.

Wsunęła dłoń spod jego ramienia i podeszła do recepcji.

– *Guten Tag!* Bardzo proszę, by przyniesiono mi z pokoju płaszcz. Proszę też odwołać rezerwację w Esszimmer, na nazwisko Brodzki.

– Oczywiście, pani hrabino.

Przed hotelem stał długi rząd taksówek. Lorcia przez chwilę miała ochotę udać, że straciła ochotę na spacer. Te jego nogi! Wiosną stare rany boleśnie o sobie przypominają. Jednak nigdy go nie okłamywała i teraz też nie chciała tego robić.

Stali przez chwilę, podziwiając Bramę Brandenburską w ostatnich promieniach słońca.

– Lubisz Berlin? – spytał.

– Rzadko tu bywam.

– A więc nie lubisz.

– Jest tu coś... – Zawahała się.

– Coś duszącego, prawda? W Berlinie zawsze snią mi się koszmary.

– Nie tylko ludzie mają pamięć, miejsca też.

– Wiesz, że w tej kamienicy na Dzierżyńskiego, w której pracowałem, są teraz zwykłe mieszkania, a tam, gdzie było twoje biuro, zrobili potem przedszkole?

– Naprawdę? Żal mi tych dzieci.

– Ludzie się cieszyli. Słoneczna willa, piękny ogród.

Weszli do parku. Lorcia spojrzała na łąn różnokolorowych tulipanów, kwitnące na żółto i różowo krzewy, wysokie trawy z białymi zwiewnymi wiechami, alejki rozchodzące się na wszystkie strony i ginące wśród starych drzew.

– W Berlinie lubię właściwie tylko parki, rzekę i jeziora. Podoba mi się ich dzikość.

– Kontrolowana – zaśmiał się. – Ale jak na Niemców, to prawie dżungla w środku miasta.

– Czujesz? To chyba czeremcha.

– Mhm. I coś jakby dym, frytki i mięso z grilla.

Rzeczywiście, po parku snuły się zapachy grillowania, które słabły, w miarę jak oddalali się od placu Paryskiego, zastępowane przez woń wiciokrzewu, bratków, goździków, trawy, wody.

– Mieszkasz na stałe w Szwecji?

– Tak. W Byn. To mała wieś na północy, koło Skellefteå. Mam dom nad zatoką.

– Pewnie daleko stamtąd do Sztokholmu?

– Osiemset kilometrów. Bliżej jest do koła podbiegunowego. Tydzień temu, gdy wyjeżdżałam, w ogrodzie leżał jeszcze śnieg.

– Mówiłaś kiedyś, że lubisz mieszkać w mieście.

– To było dawno temu. Poza tym w Skellefteå jest lotnisko. Niecałe dwie godziny i jestem w Sztokholmie.

– Często tam lataasz?

– Coraz rzadziej ruszam się z domu. Zobacz, bez! Już kwitnie!

Zatrzymała się na chwilę, wsunęła wieczorową torebkę do kieszeni płaszcza, wyciągnęła rękę i zbliżyła do nosa fioletową kiść.

– Widziałem cię dziś w telewizji.

– Nie lubię tego, ale od czasu do czasu muszę się pokazać w jakimś programie, żeby opowiedzieć o fundacji i pozyskać nowych sponsorów. A do Berlina i tak miałam zamiar przyjechać, bo Brama Brandenburska to najlepsze miejsce, by świętować wejście Polski do Unii.

– Prawdziwe zakończenie wielkiej wojny? – Przycisnął łokciem jej rękę. – Cieszę się, że dałaś im się zaprosić. „Wywiad na żywo z hrabiną Gylensson!” Od miesiąca trąbili o tym na swojej stronie internetowej i trudno się dziwić, bo mówiłaś najmądrzej ze wszystkich.

– Łatwo się wyróżnić w tego rodzaju programie – zaśmiała się. I żeby zmienić temat, spytała: – Byłeś kiedyś w Szwecji?

– Raz, w Sztokholmie, w osiemdziesiątym roku, na zaproszenie szwedzkiej policji. Pokazali mi też okolice. Wszędzie tylko jodły, świerki i skały. Do tego jednakowe brunatne domki z rzadka rozrzucone wśród niekończących się lasów.

– Tak, Szwecja to głusza. Ale w Skellefteå i w Byn mamy pola golfowe, w zatoce są łososie, a prostoduszni policjanci zajmują się głównie pijanymi i kradzieżami rowerów.

– Golf. Pasuje do hrabiny Nory Gylensson. Wyszłaś za hrabiego.

– To on ożenił się ze mną.

– Jaka to różnica?

– Dużo się teraz mówi o równouprawnieniu, jednak nawet w Szwecji mężczyźni oświadczają się kobietom, nie odwrotnie. Ty ożeniłaś się z Ireną. „Cienka herbatka”, tak ją kiedyś nazwałeś.

– Pamiętasz.

– Wszystko pamiętam.

– Jak mówiąca maszyna do zapamiętywania – zaśmiał się. – Irena była dobrą żoną.

– Naprawdę?

– Wyprasowane koszule, rosół w niedzielę. Żadnych niespodzianek.

– Dlaczego nie ożeniłaś się ze mną? Gotuję lepiej niż Irena.

– Wiesz, że nie poszedłbym do kościoła.

– Od końca pięćdziesiątego roku były już śluby cywilne. Myślałam wtedy, że czekasz na przykład z góry, i ucieszyłam się, gdy Gomułka się ożenił.

– Gdybyśmy mieli syna tak jak on...

Lorcja przypomniała sobie drżenie, z jakim zimą czterdziestego czwartego roku czekała na ból w podbrzuszu, zwiastujący zbliżającą się menstruację. Tadeusz był jej pierwszym mężczyzną, nic nie wiedziała o antykoncepcji i gdyby nie koleżanki z plutonu, odesłano by ją na tyły, urodziłaby wojenne dziecko i miała do wyboru: oddać je do sierocińca i wrócić na front albo zostać z nim w Rosji, być może na zawsze.

Przez chwilę kusiło ją, by mu opowiedzieć o siedzeniu niemal do omdlenia w gorącej łaźni, wypitej duszkiem ćwiartce spirytusu, krwi płynącej po nogach i wszechogarniającej słabości, w której nie było miejsca ani na radość, ani na rozpacz.

– Zresztą nie tylko o to chodziło, nawet nie to było najważniejsze. Czuję, że nie jestem ciebie wart, że nie powinienem cię wiązać, bo i tak cię nie zatrzymam.

„Najstarsza na świecie wymówka mężczyzn: nie jestem ciebie wart”, pomyślała ze złością.

Złość jednak minęła równie szybko, jak przyszła. To było tak dawno. Stało się i już się nie odstanie.

– Zostaliśmy stworzeni po to, żeby osiągać to, co niemożliwe – powiedziała ironicznym tonem.

– Skaranie boskie z tą kobietą! Wszystko pamięta! Nawet najgłupsze zdania wygłoszone sto lat temu!

– Kucharka w Olszynie tak mówiła: skaranie boskie z tą dziewczyną!

– Mówiła do ciebie Ela czy Eleonora?

Drgnęła. Imię bękarta i zniszczone pracą w polu dłonie – dwie rzeczy, których całe życie się wstydziała.

Na początku czterdziestego trzeciego roku, gdy władze ZSRR postanowiły obdarzyć zesłańców radzieckim obywatelstwem, większość, nie bacząc na konsekwencje, odmówiła. Polacy chcieli pozostać Polakami, choćby z obawy, że inaczej nigdy nie wydostaną się z Syberii. Lorcja najpierw spaliła przedwojenny dowód, potem sama się zgłosiła po radziecki paszport. Gdy otworzyła książeczkę w kolorze błota, była najszczęśliwsza na świecie: zmieniła się w Elżbietę Stanisławownę i na zawsze przestała być Eleonorą, córką nieznanego ojca.

– Znasz moje prawdziwe imię? Skąd?

– Dowiedziałem się, gdy przesłuchiwałem hrabinę Mężyńską. Eleonora Maszczyk, potem Elżbieta Maszczyk, teraz Nora Gylensson. Hrabina Nora Gylensson.

– Byłam jeszcze Malin Olson, Pernillą Fluur i Norą Boysen. Wszystkie lepsze od Eleonory Maszczyk.

– Nigdy nie spotkałem kobiety, która byłaby tak wspaniała jak ty i tak siebie nie lubiła.

„Nie lubiła? Mój Boże! Tyle lat się nienawidziłam. Oddałabym diabłu duszę, żeby być kimś

innym”.

– Robisz fantastyczne rzeczy. Dzieci, które ratuje twoja fundacja...

Zatrzymała się na środku alejki.

– Nie widzisz – przerwała mu – że to tylko mizerna próba zadośćuczynienia?

„I że pokutując, buduję z tych tak zwanych dobrych uczynków mur, za którym mogę się ukryć przed ludźmi? Przed samą sobą!”

– Zadośćuczynienia? Za co?

Lorcja spojrzała na niego z zaskoczeniem. Nie rozumiał jej czy nie chciał rozumieć?

– Przelana krew nigdy nie wysycha... – zacytowała przeczytane kiedyś zdanie.

– To brzmi jak z jakiejś marnej powieści – zaśmiał się, ale zaraz spoważniał. – Eluniu, oboje wiemy, że coś takiego jak sprawiedliwość nie istnieje. Weźmy choćby Norymbergę. Nikt się tam nie zająknął o wojennych zbrodniach aliantów i osadzono tylko dwudziestu dwóch Niemców. Naziści znikli, tak jakby rozplęnęli się w powietrzu. Tak samo znikły te setki tysięcy naszych informatorów, donoszących za pieniądze, za talon na telewizor, ze strachu albo ze złości na sąsiada. Nagle wszędzie są tylko opozycjoniści albo zwyczajni ludzie, mający czyste ręce i w duchu od zawsze sprzeciwiający się złej władzy.

„Zwyczajni ludzie są zdolni do wszystkiego. Ja jestem najlepszym przykładem”, pomyślała.

Delikatnie ujął ją za rękę.

– Chodźmy – powiedział.

Nie ruszyła się z miejsca. Kiedyś tak właśnie trzymał ją za rękę i tłumaczył, że muszą walczyć i zabijać, żeby wojna wreszcie się skończyła. Dzięki niemu przetrwała ten straszny czas.

„Mniejsze zło zapobiegające większemu złu. Ale zło, małe czy duże, jest po prostu złem”, myślała.

– Śni ci się czasem wojna?

Nie odpowiedział.

– Braterstwo broni. Koleżanka z oddziału jest ci bliska jak siostra. Jeśli zawiedziesz, ona zginie. Ale i tak najpierw strzelałam wysoko ponad głowami. A oni byli coraz bliżej. Do dziś pamiętam, jak z trudem wycelowałam, bo cała się trzęsłam, i nacisnęłam spust. Człowiek po tamtej stronie upadł. Może trafił go ktoś inny, może ja. Ale to nie była sylwetka na tarczy, to był człowiek.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował.

– Było mi słabo, kręciło mi się w głowie, czułam się jak w koszmarnym śnie. Codziennie wymiotowałam. Mundur był coraz luźniejszy, zapinałam pas o kolejną dziurkę ciaśniej.

– Kiedy widzisz poległych kolegów, wiesz, czemu musisz to robić.

– Tak. W końcu się z tym godzisz, obojętniejesz, niby żyjesz normalnie.

– Usiądźmy na chwilę. – Wskazał ławkę.

Przypomniała sobie o jego nogach i usiadła.

Objął ją ramieniem.

Zapadał zmierzch. Między drzewami majaczyła linia rzeki. Cztery lwy strzegły przerzuconego nad wodą mostku. Dzikie króliki, nic sobie nie robiąc z kamiennych drapieżników, kicały przez trawnik.

Lorcja odetchnęła głęboko. Poczwała zapach wody, trawy, słodką woń bratków kwitnących na klombie.

Nagle ogarnął ją wstyd. „Co ja gadam? Jak cierpiałam, robiąc straszne rzeczy?”

– Przepraszam. Nawet nie spytałam, co u ciebie.

– W styczniu osiemdziesiątego drugiego roku przeszedłem na emeryturę, mieszkam tam, gdzie mieszkałem, powodzi mi się nieźle.

– Myślałam o tobie, gdy usłyszałam o amnestii po śmierci Stalina.

– Tylko wtedy? Jestem rozczarowany. – Popatrzył na nią z szelmowskim błyskiem w oku. – Siedziałem prawie dwa lata, ostatecznie o nic mnie nie oskarżyli, a kiedy mnie wypuścili, dostałem awans na podpułkownika i przeniesienie do milicji, do wydziału kryminalnego, gdzie pracowałem już do końca. Teraz coś tam czasem przebąkują o odbieraniu emerytur mundurowym, ale myślę, że tego nie

dożyję.

- Notatka o ukończeniu Szkoły Specjalnej NKWD w Kujbyszewie nadal jest w twoich aktach?
- Znikła w niewyjaśnionych okolicznościach.
- Ale kujbyszewiaków nadal nie ruszają. – Uśmiechnęła się.
- No właśnie.
- Aresztowali cię przeze mnie.
- Naprawdę tak myślisz? – zaśmiał się cicho. – To był tylko pretekst.
- Wiem. Ale ja im go dostarczyłam.
- Gdybyś wtedy nie uciekła, znaleźliby coś innego.
- Wybaczyłeś mi?
- Nie od razu. – Objął ją mocniej. – Szwedzi dobrze was ukryli i z początku wszyscy myśleli, że utonęliście. Ja jeden byłem pewien, że żyjesz. Może jeszcze Irena.
- Złego diabli nie biorą.
- Tak właśnie mi powiedziała. Czekałem na jakiś znak życia. Lecz się nie odezwałaś.
- Pilnowali nas.
- Domyślam się. Ale ty przecież miałaś swoje sposoby.

Lorcja przypomniała sobie drewniany dom w lesnej głuszy, spaceru wzdłuż płotu z drutu kolczastego, śnieg, który spadł pod koniec września, dni trwające zaledwie kilka godzin i zapadające po nich egipskie ciemności, dające przedsmak nocy polarnej.

– Aresztowali mnie w przeddzień Wigilii, gdy szedłem do szefa na śledzika. Już wiedzieli, że jesteś u Amerykanów. Cieszyłem się, że żyjesz, w dodatku jesteś poza ich zasięgiem i mogą tylko opowiadać, co ci zrobią, gdy cię dopadną.

- Wtedy zacząłeś o nich myśleć „oni”?
- Tak. A ty?

Lorcja zastanawiała się chwilę.

– Chyba dopiero wtedy, gdy we Frankfurcie przez weneckie lustro obserwowałam przesłuchanie Światły po jego ucieczce. Amerykanie ściągnęli wtedy wszystkich, którzy mogli potwierdzić jego tożsamość. Znałam go przecież jeszcze z Sielc, a czułam się tak, jakbym zobaczyła kogoś z innej planety. Był pewny siebie, niemal arogancki, mówił tylko to, co chciał, gdy zaś próbowali go przycisnąć do muru, milczał albo odpowiadał półsłówkami. Gdy pozwolili mu się rozgadać, opowiadał, jak się wzruszył na widok ruin Warszawy, jak pracował dzień i noc, żeby wydobyć Polskę z nędzy, jak gryzło go sumienie, kiedy widział coraz większy terror... Patrzyłam, jak z cynicznym uśmiechem opowiada o najgorszych łajdactwach swoich przyjaciół, o sobie milczy i tylko nabija fajkę tymi grubymi paluchami, które tak lubił wkładać kobietom pod spódnicę...

- Z tobą też tego próbował?
- Byłam w jego gabinecie tylko raz, w większym gronie, ale niejedno słyszałam już u Berlinga.
- To była zwykła świnka. Uciekł jak szczur, gdy poczuł, że okręt tonie, a potem wydał wszystkich kolegów, z Romkowskim na czele.

– Ja też powiedziałam Szwedom i Amerykanom wszystko, co wiedziałam. Tylko że byłam pionkiem, do tego kobietą, i mnie nie uwierzyli. Nie mieściło im się w głowie, że Bierut wcale się nie kryje z tym, że jeździ do Moskwy, do Gospodarza, jak nazywał Stalina, po instrukcje polityczne i że nie ma pojęcia o decyzjach wojskowych, bo te dostaje bezpośrednio Rokossowski.

Odruchowo potarła palce, jakby nadal miała na nich przyklejone lepcem czujniki. „Czy jesteś kobietą?” „Tak”. „Czy nazywasz się Elżbieta Maszczyk?” „Tak”. „Czy masz zamiar kłamać?” „Nie”. „Czy twoi rodzice to Stanisław i Emilia?” „Tak”. „Czy przysłano cię tu jako agentkę?” „Nie”.

Podobno wariografu nie da się oszukać. Jeśli jednak głęboko się wierzy w wypowiedane kłamstwo, maszyna nie potrafi odróżnić go od prawdy.

– Agenci się roześmiali, kiedy im powiedziałam, że plan sześcioletni opracowała grupa radzieckich ekonomistów, mających na względzie głównie wojnę koreańską. Byłam przerażona nie tym, że nic nie wiedzą, ale tym, że pewnych rzeczy nawet nie umieją sobie wyobrazić i dlatego uważają je za

blagę.

– CIA jest przereklamowana. *À propos* CIA, Leszek Kołodziejcki napisał do mnie w czasach pierwszej Solidarności.

– Wiem.

– Zginął w Afganistanie w osiemdziesiątym ósmym, prawda?

– Skąd wiesz? To była tajna misja.

– Coś niecoś i my wtedy wiedzieliśmy.

– Był w Wietnamie, Laosie, Kambodży, Nikaragui. Dowiadywałam się po fakcie. Wpadał bez zapowiedzi, brał wędkę i szedł nad morze, wracał z siatką ryb, nalewał sobie whisky i skrobiąc ryby, opowiadał. Mówił o sobie *war junkie*. Uzależniony od wojny. Gdy widziałam go ostatni raz, powiedział: „Afgańczycy mają brzydki zwyczaj mordowania oficerów, którzy przyjechali ich szkolić”.

Właściwie poczuła ulgę, kiedy w Szwecji rozdzielono ją z Leszkiem. Nie ukrywała jego historii, gdy agenci o niego pytali, była zresztą pewna, że i on mówi o niej wszystko, co wie. Po kilku latach, gdy napisał ze Stanów, i potem, gdy zaczął ją odwiedzać, najpierw w Portugalii, potem w Szwecji, zobaczyła, jak wiele mają z sobą wspólnego. Różniło ich zasadniczo tylko podejście do wojny, bez której on nie umiał żyć. Mogli go wysłać do Wietnamu, na Grenlandię albo na Marsa. Miejsce nie miało znaczenia. Liczyła się tylko adrenalina. A właściwie dwa najgorsze motywy kryjące się za wojną: upajanie się władzą i przemocą.

– Wojna jest czasem ucieczką przed zwyczajnym życiem.

– Czy to nie za proste wytłumaczenie?

– Prostim ludziom przychodzą do głowy proste wytłumaczenia – odrzekł z uśmiechem.

– Kiedyś go zapytałam, o co tak naprawdę walczy. „Jak to o co? Wszyscy walczą o to samo.

O pokój”.

Nagle przypomniała sobie wesele Jasia. Przy jednym ze stolików żywo gestykulował Leszek. Otaczający go młodzi mężczyźni wlepiali w niego błyszczące z podniecenia oczy. Podeszła bliżej i usłyszała, jak Leszek mówi: „To, co masz na muszce, należy do ciebie. Decydujesz o życiu i śmierci”.

– Po wrażeniach, jakich dostarczała mu wojna, niewiele go cieszyło w życiu. Wiesz, że dwa razy się rozwiódł? Lubiłam obie jego żony i za każdym razem było mi żal obojga.

– Nie zauważałaś tego, ale wszyscy ci chłopcy, których szkoliłaś, kochali się w tobie. On nie był wyjątkiem. A po takiej kobiecie jak ty inne nie smakują.

Na moment przytuliła się do niego mocniej.

– Chodźmy – powiedziała, wstając. – Do rana nie dojdziemy na tę kolację.

Niemal jednocześnie w całym parku zapaliły się latarnie. Zablęsty liście różaneczników, w półmroku przeleciał biały ptak, jak mieszkający w drzewie duszek.

– Jak się nazywała woda kolońska, której kiedyś używałaś? Buteleczka była zapakowana w wiklinowy koszyk.

– Prastara.

– Racja. Prastara... Teraz sobie przypominam. Robili ją według kilkusetletniej receptury.

– Już jej nie produkują.

– Szkoda. Lubiłam ten zapach.

– Zawsze lubiłaś rzeczy z historią. Stare domy, antyki, obrazy. Jaki jest twój dom?

– Stary – zaśmiała się. – Ma prawie dwieście lat.

– To zamek?

– Skąd, zwykły piętrowy dom. Tyle że piękny.

– Zaskoczyło mnie w Szwecji, że ludzie mieszkają tam w małych domach, choć stać by ich było na większe.

– Szwedzkie *lagom*. W sam raz. Mój dom jest właśnie taki. Mam stare kafłowe piece, kominki, skrzypiące podłogi, dużo lamp, bo zimą dzień trwa tylko parę godzin, tkane w domu pasiaste chodniki obok perskich dywanów, portrety przodków Jonasa, obrazy z Olszynki, które przywiozła Bisia... – Urwała.



– Nie jestem na służbie, nie będę cię ściagał za przemyt dzieł sztuki – żartobliwie rzucił Tadeusz.  
– Bisia wprawdzie musiała dać różnym urzędnikom wiele kopert i butelek koniaku, ale w końcu dostała pozwolenie na ich wywóz.

– Zapisala ci je w testamencie?

„Należą bardziej do mnie niż do niej. Poprosiłam ją o to tylko dlatego, żeby nie komplikować spraw spadkowych”.

– Tak. Kiedyś może wrócą do Olszynki. O tym zdecyduje Jaś. Dostanie wszystko, co mam. Także mój dom nad zatoką.

– Przeniesie się z Hiszpanii na daleką północ?

– O nim także wszystko wiesz? – zaśmiała się Lorcja. – Zaraz mi powtórzysz słowa, jakimi oświadczył mi się Jonas.

Wziął ją za rękę.

– Żałuję, że ich nie znam – powiedział – bo bardzo jestem ciekaw, jak zdobył twoje serce.

„Jeśli będziemy mieć dzieci, to im powiemy, że miałaś na sobie wieczorową suknię, ja padłem na kolana, wręczyłem ci bukiet czerwonych róż, a potem były już tylko skrzypce, pocałunki i napisy końcowe”.

– Ożenił się ze mną, żeby zrobić na złość swojej rodzinie.

– Nie wierzę.

– No, może nie był to jedyny powód.

– Spodziewam się.

– Mówiąc w skrócie...

– Mamy czas. Chcę znać każdy szczegół.

Lorcja się uśmiechnęła.

– To się przyszykuj na długą i nudną historię.

– Nudna na pewno nie będzie.

– Pojechałam do Portugalii...

– Zacznij od początku. Wiem od Leszka, że cię zaszantażował, żebyś się zgodziła na wspólną ucieczkę. Napisał mi, że gdyby nie ty, w połowie drogi przestałby wiosłować i czekał, aż fale przewrócą kajak i pójdziecie na dno.

– To ja jemu zawdzięczam życie. Sama nie dałabym rady.

Oblizła wargi, jakby znów poczuła na nich sól. Przypomniła sobie lodowate strugi wody bijące po twarzy, opuchnięte od soli i bezsenności oczy, piekielny ból w ramieniu, gdy ostatkiem sił trzymała Jasia, żeby nie wypadł za burtę w otaczającą ich ryczącą otchłań.

A potem był zalany słońcem szwedzki brzeg, spadające z nóg za duże buty, niepewny krok na szerzej niż zwykle rozstawionych nogach, bo trzeba czasu, by ciało przyzwyczało się do stałego lądu.

Policjant zabrał ich do swego domu, jego żona poczęstowała kawą i piernikami. Grzali się w słońcu, siedząc we troje na ławce ustawionej pod kamienną ścianą domku, przytuleni do siebie jak pisklęta, i w milczeniu patrzyli na morze.

Lorcja kilka razy powtórzyła po szwedzku, niemiecku i angielsku zdanie, które już dawno sobie przygotowała: „Jestem pracownicą polskiej policji politycznej. Mam ważne informacje dla waszego rządu”. O tym, że policjant, który zamiast pistoletu nosił przy pasie szablę, zrozumiał, co do niego mówiła, przekonała się, gdy po południu przyszło po nich czterech marynarzy. Nocą przybili do jakiegoś nabrzeża, gdzie czekał na nich samochód, i dopiero po dwóch tygodniach, od Hanny, która przyjechała po Jasia, Lorcja dowiedziała się, że jest w Ystad.

– Kiedy w jakimś filmie słyszę o programie ochrony świadków, przenika mnie dreszcz na wspomnienie lat izolacji, najpierw w Ystad, potem gdzieś w lesie na północy, w końcu w małym niemieckim miasteczku, gdzie nie mogłam wyjść nawet na podwórze. Jediną rozrywką były rozmowy z ciągle zmieniającymi się agentami, Amerykanami, Anglikami, Francuzami, Niemcami. Łączyło ich jedno: nie wierzyli w to, co mówię. Dopiero gdy na Zachód uciekł Światło, oczy im się trochę otworzyły. We wrześniu pięćdziesiątego czwartego roku, gdy pozwolili zaprezentować go światu w Wolnej

Europie, uznali, że ja też nie jestem już im potrzebna. Dostałam szwedzki paszport, trochę pieniędzy. Całą jesień włóczyłam się po Europie, po wielkich miastach. Siadałam w kawiarni na najruchliwszej ulicy, piłam kawę, wino, calvados, ouzo albo piwo i patrzyłam na ludzi.

– Dostałam od ciebie widokówkę z Paryża. Po pięciu latach. Długo się namyślałaś, żeby do mnie napisać.

Ścisnęła jego rękę.

– Nie chciałam ci zaszkodzić.

– „Serdeczne pozdrowienia z Paryża przesyła E. PS Nigdy Cię nie zapomnę”.

– Pamiętasz.

– Mam ją do dziś, choć w pierwszej chwili chciałam ją podrzeć i wrzucić do kosza.

– Tego właśnie się spodziewałam. Ale nie tego, że pół roku później ożenisz się z Ireną.

Odwrócił się do niej, lecz zanim zdążył otworzyć usta, powiedziała:

– Nie, wcale nie chciałam, żebyś już nigdy nie spojrzął na żadną kobietę, codziennie stawiał świeże kwiaty koło mojej fotografii, a wieczorami się w nią wpatrywał.

Roześmiał się.

– To czego chciałaś? Żeby do ciebie przyjechał? Nie podałaś adresu.

– Dlaczego ożeniłaś się właśnie z nią?

– Bo była obok.

– Tak, ona zawsze się w tobie kochała – powiedziała Lorcja po chwili milczenia. – Zazdrościła mi wszystkiego i chciała zająć moje miejsce.

„Tak jak ja kiedyś chciałam zająć miejsce Bisi”.

– We wrześniu sześćdziesiątego czwartego pojechaliśmy na wczasy do Włoch. Nie mieliśmy jeszcze wtedy w domu telewizora i Irena całymi popołudniami siedziała w sali telewizyjnej, choć nie rozumiała ani słowa. W jakimś programie pokazali ciebie i twojego męża, jak po ślubie wychodzicie z kościoła w Lizbonie. Podobno miałaś piękną suknię.

– Nie wierzę, że Irenie się podobała.

– A jednak. Twój mąż trochę mniej. Nie wiedziała, że jest hrabią.

– No tak, to zdecydowanie ujmowało mu lat – zaśmiała się Lorcja.

– Powiedziała: „Ściskali mu ręce i gratulowali, bo jej nie znają”.

– Cała Irena!

– Co zrobił, że zgodziłaś się za niego wyjść?

– Zakochał się we mnie.

– A ty? Przecież był po osiemdziesiątce.

– Ja też nie byłam już młodką.

– Byłaś od niego o czterdzieści lat młodsza!

– To nie miało znaczenia.

Spojrzała na niebo, jakby stała na portugalskiej plaży, gdzie nad oceanem błyszczało milion gwiazd. Tu niebo było czarne, w świetle parkowej latarni lśniły tylko białe płatki japońskiej magnolii, jakby świeciły własnym blaskiem.

Tamtego dnia poszła na plażę o zmierzchu i wy płynęła dalej niż zwykle. Niesiona długą falą, pomyślała, że najlepiej będzie popłynąć przed siebie, zostawiając za sobą nieudane życie, przestać walczyć z nieprzyjawnym losem. Odwróciła się na plecy i spojrzała na ciemniejące niebo, a potem na brzeg. Przy jej niedbale rzuconym na piasek ubraniu ktoś stał. Wysoki, szczupły, o jasnych włosach. Jaś. Nie mogła mu tego zrobić, nie na jego oczach.

Gdy była już blisko plaży, spostrzegła, że to nie Jaś, lecz Jonas. Nalegał, by mu mówiła po imieniu, mimo że był dwa razy od niej starszy.

„Twoje ciało świeci własnym blaskiem”, powiedział. Udała, że nie słyszy. Sięgnęła po sweter, włożyła go i obciągnęła, by zakryć chude nogi. Dopiero potem wykręciła warkocz i rozpuściła włosy, żeby wiatr je wysuszył. Szybko wciągnęła spodnie, podniosła z piasku bieliznę i wepchnęła ją do kieszeni.

„Zobaczyłem, że twój kostium wisi na sznurku, i przyszedłem w nadziei, że kąpiesz się nago”. Dotknął jej ramienia. „Ukląkłbym, ale się boję, że mógłbym już nie wstać”. Wziął ją za rękę i zgiął kolano. „Kocham cię, Noro. Czy zostaniesz moją żoną?”

– Gdzie się poznaliście? W Paryżu? Wtedy, gdy do mnie napisałaś?

– Dwa życia później.

– Nie rozumiem.

– W pięćdziesiątym piątym roku, gdy już się nasyciłam nowymi krajobrazami i obecnością ludzi, przyjechałam do Paryża i zaczęłam szukać pracy. Nazywałam się Malin Olson, byłam Szwedką, wszyscy się do mnie uśmiechali. Jeszcze nie wiedziałam, że to nic nie znaczy, że to tylko uprzejmy odruch ludzi Zachodu. Wygodne dla nich było to, że mówię po francusku, ale i tak patrzyli na mnie z wyższością i byli zniecierpliwieni, gdy nie mogłam sobie przypomnieć jakiegoś słówka. Według nich każdy musi mówić po francusku, i to idealnie.

Nie chciała się skarżyć, tymczasem tak to zabrzmiało.

– Nieraz się zastanawiałem, dlaczego uciekłaś.

– No cóż, od początku świata ludzie się łudzili, że gdzieś indziej jest lepiej, i wędrowali w poszukiwaniu lepszego życia.

– Ale przecież nie ty. Uciekłaś ode mnie? Bo obwiniłaś mnie o śmierć Teofila?

Milczała chwilę.

– Nie, nie od ciebie. Od siebie.

– Nie chcesz o tym rozmawiać?

– Pamiętasz, opowiadałam ci kiedyś, że dostałam od Teofila bransoletkę z wygrawerowanym napisem: „Jestem tym, kim zdecydowałam się być”.

– Tak, pamiętam.

– W Paryżu byłam nikomu nieznaną biedną rudą Szwedką. Gdybym ufarbowała włosy i dostała inny paszport, byłabym blondwłosą Angielką albo Niemką, ale wciąż tą samą biedną, zależną od innych kobietą. Kiedy to do mnie dotarło, wyłączyłam żelazko, włożyłam płaszcz, wzięłam torebkę, zaskoczona pani domu, która mnie zatrudniła jako pomoc domową, powiedziała tylko: „Odchodzę. Do widzenia”, spakowałam walizkę i pojechałam do Ystad.

– Nie rozumiem.

– Emigrują biedacy, bo nie mają nic. Bisia wróciła do Polski, choć mogła zostać w Szwecji, tylko że tam byłaby robotnicą, nie panią doktorową, żoną hrabiego Mężyńskiego. W Paryżu zrozumiałam, że nie liczy się to, kim byłam w Polsce. Francuzi widzieli we mnie tylko Szwedkę, którą można zatrudnić jako służącą, bo umie utrzymać czystość. Tylko że ja nie chciałam znowu być służącą.

– Aha! Zdecydowałaś, że będziesz Szwedką, która odniosła sukces.

– Tak. Prosto ze statku poszłam do magistratu, zażądałam rozmowy z burmistrzem, powiedziałam mu, że znam biegle angielski, francuski, niemiecki, rosyjski i polski, i poprosiłam, żeby mnie przyjął do pracy jako tłumaczkę w kapitanacie portu, na próbę, bez wynagrodzenia.

– Zawsze podziwiałem twoją odwagę.

– Burmistrz daleki był od podziwu. Ale się zgodził. Potem zaczęłam współpracować z policją, a jeszcze później przypomnieli sobie o mnie agenci, którzy kiedyś mnie przesłuchiwali. Dostałam nowy życiorys, nowy paszport i na kilka lat stałam się Pernillą Fluur. Kiedy dotarło do mnie, że policja polityczna wszędzie działa tak samo, różni się tylko stopniem brutalności, wystąpiłam o zwolnienie. Oni z kolei zażądali, bym na dwa lata wyjechała do jakiejś dziury w Portugalii i nie wychylała stamtąd nosa.

– Tam go poznałaś?

– Tak. Przez pierwszy miesiąc tylko spałam, pływałam, łąziłam po plaży. Potem dostałam zgodę na zaproszenie Hanny i Jasia. Jaś skończył właśnie osiemnaście lat, a ja podświadomie spodziewałam się jasnowłosego chłopczyka...

– Miałaś mówić o tym swoim Jonasie.

Lorcia na chwilę przytuliła się do jego ramienia.

– Czyżbyś był zazdrosny? To śmieszne w naszym wieku.

– Jestem zazdrosny o każdą chwilę, którą spędziłaś beze mnie.  
– To brzmi jak z jakiejś marnej powieści – zaśmiała się.  
– Nie przedrzeźniaj mnie. I nie zmieniaj tematu. Skąd szwedzki arystokrata wziął się w jakiejś portugalskiej dziurze?

– Kupił tam dom, bo lekarze zalecili mu wypoczynek nad morzem.

– W Szwecji także jest morze.

– Też tak pomyślałam. Oczywiście w Portugalii jest znacznie cieplej, ale nieznośnie wilgotno, znad Atlantyku przychodzą nawałnice, jednym słowem, dziwne miejsce na kurację klimatyczną.

– Jeśli mi powiesz, że też był agentem na kwarantannie, to nie uwierzę.

– I słusznie – zaśmiała się. – Sprawa była znacznie prostsza. Jonas nie miał syna i po jego śmierci większa część jego majątku, objęta majoratem, miała przypaść kuzynowi, który sobie ubzdurał, że Jonas jeszcze raz się ożeni, spłodzi syna i że on nie dostanie ani grosza. Próbował go ubezwłasnowolnić i zamknąć w domu starców, sprawa stała się głośna i żeby uniknąć skandalu, Jonas na prośbę córki wyjechał do Portugalii. Był organicznie niezdolny do nauczenia się jakiegokolwiek języka obcego i rodzina wyobrażała sobie, że nawet jeśli jakaś ładna letniczka zabłądzi do tej zapadłej wsi, to i tak nie uda mu się z nią porozumieć.

– A tymczasem ty tam na niego czyhałaś.

– Tak właśnie potem myśleli. Ale on mieszkał tam już, gdy przyjechałam. Zobaczyłam go w miejscowej gospodzie. Z daleka kiwnął mi głową. Potem mi powiedział, że wyglądałam na Niemkę, a on nie lubił Niemców. Ja wiedziałam, kim jest, bo w takiej wsi nic się nie ukryje.

– O tobie też wszystko wiedzieli?

– Oczywiście. Wiedzieli, że jestem Szwedką, nazywam się Nora Boysen, że miałam romans z żonatym mężczyzną, a gdy mnie porzucił, próbowałam otruć się gazem.

– Wybrali ci nieciekawy życiorys.

– Przecież wiesz, że chodzi o to, by rzucić gawiedzi coś na żer. Wszyscy znają twoje wstydlive tajemnice i nikt o nic nie pyta.

– Powiedziałaś mu, kim naprawdę jesteś?

– Tak. Oczywiście nie od razu. Dopiero wtedy, gdy się zaprzyjaźniliśmy.

– Zaprzyjaźniliście się.

W głosie Tadeusza było tyle zwątpienia, że uśmiechnęła się w duchu. Przyjaźń z mężczyzną, w dodatku mężem. Tak, dla Polaka to niewiarygodne. Tymczasem Jonasowi mogła powiedzieć wszystko. I to on znalazł lekarstwo na jej największe kompleksy: piętno bękarta i ręce służącej.

– Gdy się dowiedział, że jestem Szwedką, zaprosił mnie do siebie na kawę. Jedyną kobietą, z którą mógł tam sobie pogadać, była jego sześćdziesięcioletnia gospodyni, stanowiłam więc odmianę. Ale akurat tego dnia byłam w podłym nastroju. Hanna i Jaś wyjechali i czułam się przeraźliwie samotna. Prowadziliśmy uprzejmą, nudną rozmowę i marzyłam o chwili, kiedy będę mogła się pożegnać, wrócić do siebie i schować się z głową pod kocem. W pewnym momencie powiedział coś w rodzaju: „Wy, młodzi, wszędzie czujecie się jak u siebie w domu. Przyjeżdżacie, po dwóch dniach jesteście zadowoleni, a po tygodniu piszecie do przyjaciół, że kochacie to miejsce i zostajecie dłużej”. „Tak, tak to właśnie z nami jest. Ja też kocham to miejsce, tak jak słoń kocha cyrk”, odrzekłam bez namysłu.

– Szok dla arystokraty.

– A właśnie że nie. Roześmiał się, a na drugi dzień przysłał mi skrzynkę wina z karteczką: „Lekarstwo na smutki. Nie łączyć z pływaniem w oceanie ani z występami w cyrku”.

– Był alkoholikiem.

– Daj spokój. Trochę przypominał mi ciebie.

– Starym dziadem stałem się dopiero niedawno.

– Nigdy nie będziesz starym dziadem. Jonas też nim nie był.

– Zapomniałem, że zawsze lubiałaś to, co wiekowe. Starych ludzi, stare domy.

– No właśnie – zaśmiała się.

– Gdy się dowiedziałem, że twoja fundacja remontuje dwór w Olszyncie, myślałem, że chcesz

w nim zamieszkać i że wrócisz do Polski.

– Nigdy nie wrócę.

– To przecież był twój dom.

– Nie. Ja tam tylko służyłam.

Minęli małą fontannę, podświetloną na zielono, obsadzoną różowymi stokrotkami, i wyszli z parku. Lorcja odwróciła głowę i spojrzała na szpaler starych drzew.

– Mieliliśmy taką aleję w domu w Sztokholmie. Gdy po śmierci Jonasa oddałam ten dom jego córce, żal mi było tylko jej.

– Dlaczego wyremontowałaś dwór, odnowiłaś park, dałaś pieniądze na nową szkołę, na kościół, na cmentarz? – spytał, jakby jej nie słyszał.

Ona też udała, że nie słyszy.

– To gdzie jest ten bar? – spytała.

– Tam. – Wskazał mały pulsujący neon na końcu ulicy.

– Dawno nie byłam taka głodna. Świetnie mi zrobił ten spacer.

– O nie, tak łatwo się nie wymigasz. Dlaczego kupiłaś dwór?

– Żeby tam założyć sanatorium dla dzieci.

– Mogłaś wybrać mniej zrujnowany dom.

– Chciałam ten.

– Dlaczego?

– *À propos* cmentarza. Nie podziękowałam ci za pomoc przy ekshumacji szczątków Teofila. Bisia wszystko mi opowiedziała. Gdyby nie ty, nigdy by się to nie udało.

– O czymkolwiek mówimy, zawsze dochodzimy do niego. Widziałem nagrobek. „*Here lies One Whose Name was writ in Water*”. Skąd są te słowa?

– To Keats. Teofilowi zawsze się podobało epitafium wykute na jego grobie w Rzymie: „Ten grób kryje śmiertelne szczątki młodego angielskiego poety, który na łożu śmierci, zgorzkniały wskutek potęgi swych wrogów, kazał, by na jego nagrobku wyryto te słowa: »Tutaj spoczywa ten, którego imię zapisano na wodzie«”. Kiedyś powiedział, że chciałby mieć podobne.

– Irena wybrała jakiś górnolotny cytat ze Słowackiego, ale jej to wyperswadowałem. Wystarczą nasze imiona, nazwisko i daty.

– Gdzie jest pochowana?

– Na Rakowicach. Ja będę leżał obok niej.

– W poświęconej ziemi? Zgodziłeś się na to?

– W Polsce nie ma jeszcze cmentarzy dla psów, gdzie można by grzebać także byłych komunistów.

Porozumiewawczo uściśnił jej dłoń, a potem podniósł ją i obejrzał w świetle padającym z wystawy.

– Twoje ręce. Co się z nimi stało?

– Jonas namówił mnie na operację plastyczną. Zawsze się ich wstydziłam.

– A ja je lubiłem. Tak jak twoje imię. Ela. Eleonora też ładnie brzmi.

Z tonu, jakim to powiedział, domyśliła się, że wie, dlaczego właśnie tak ją ochrzczono.

– Pytałeś o Olszynkę.

Pokiwał głową.

– Chciałam zachować to miejsce. Syn Anielci, dawnej służącej Bisi, dobrze nim kieruje. Zmieniłam statut fundacji i to on, nie zarząd, wyznaczy kiedyś swego następcę, który będzie dbał także o cmentarz.

– Każesz się na nim pochować?

– Nie. Ja nie należę do tego miejsca. Jaś wsypie moje prochy do zatoki w Byn.

– O wszystkim pomyślałaś. Ale czemu mówisz, że to nie twoje miejsce? Przecież tam się urodziłaś.

„Tak, tylko że nikt mnie tam nie chciał. Przychodząc na świat, zniszczyłam życie swojej matki,

pani Olga latami musiała znosić moją obecność...”

– W Zaduszki byłem na grobie Ireny, a potem, sam nie wiem czemu, pojechałem na cmentarz do Olszynki. Teofil Mężyński, jego żona, tablica poświęcona Klementynie Zabierzeskiej... Pomyślałem, że jeśli i ty każesz się kiedyś tam pochować, będziecie wszyscy razem, jak na tym zdjęciu z Juraty.

„Najlepsi nie zawsze wygrywają”. Kazała te słowa, wypowiedziane przez Bisę, gdy jej opowiedziała o śmierci Klementyny, wykuć na tablicy upamiętniającej rodzinę Zabierzeskich: Klementynę, którą pochłonęło morze, i jej rodziców, wrzuconych do jakiegoś dołu wykopanego w getcie albo na żydowskim cmentarzu.

– Jurata... Najpiękniejsze lato w moim życiu.

– Masz jeszcze to zdjęcie? – spytał.

– Tak.

– Kilka dni po twoim wyjeździe do Górek zauważyłem, że znikło. Nigdy wcześniej go z sobą nie brałaś. Czułem, że nie wrócisz.

Neon z napisem „Baudelaire Club” pulsował czerwienią i złotem. Metalowe schody prowadziły w dół.

Tadeusz zatrzymał się na chodniku.

– Zostawmy przeszłość na zewnątrz i cieszymy się tym, co jest teraz. Chciałem ci jeszcze tylko powiedzieć, że nigdy cię nie zapomniałem. – Podniósł jej rękę do ust i pocałował. – Ma pani arystokratyczne dłonie, pani hrabino – powiedział z uśmiechem.

– To zasługa Jonasa. Ale zrobił coś więcej: sprawił, że te białe ręce zaczęły do mnie pasować. Dzięki niemu dowiedziałam się, kto był moim ojcem. Jestem córką Jana Mężyńskiego.

Tadeusz spoważniał.

– I hrabiny Olgi?

– Nie. Mój ojciec ją zdradzał. Uwiódł moją matkę, najładniejszą dziewczynę we wsi. A potem poszedł na wojnę z bolszewikami i już z niej nie wrócił.

– Jak się tego dowiedziałas?

– Kiedy umarła pani Olga i Bisia została całkiem sama, Jonas namówił mnie, żeby ją do nas zaprosić. Przyjechała na wakacje. Mimo że nie znała szwedzkiego i z Jonasem mogła rozmawiać tylko na migi, bardzo się polubili. Jonas zaproponował wtedy, żeby zamieszkała z nami na stałe. Urządziliśmy jej osobne mieszkanie w naszym domu w Sztokholmie i jak dawniej pomagałam jej rozpakować rzeczy. Pamiętałam nawet niektóre sukienki... Przywiozła też trochę mebli i obrazy, które dostała od pani Olgi. Wyjmowałyśmy je po kolei ze skrzyń, śmiejąc się z napuszonych min na portretach. Jonas siedział na fotelu i śmiał się razem z nami, choć nie rozumiał, o czym mówimy. Musiał być kompletnie zbity z tropu, gdy w pewnej chwili zamarłam z obrazem w rękach. Kobieta na portrecie miała moją twarz. Bisia schyliła się i przeczytała podpis na tabliczce: „Adelajda von Falkenberg, *primo voto* Albertowa Reuss-Pavels, *secundo voto* Karolowa Mężyńska”.

– A więc Teofil...

– Był moim przyrodnim bratem. Nasz ojciec zginął w sierpniu dwudziestego roku, a ja urodziłam się siedem miesięcy później.

– Myślisz, że pani Olga wiedziała, kim jesteś?

– Chyba tak, choć wolałabym myśleć, że wzięła mnie na wychowanie z dobroci serca.

– Nigdy wcześniej nie widziałaś tego obrazu?

– Nie. Był gdzieś schowany, choć Adelajda była ukochaną babcią mojego ojca.

– Pewnie zrobiłaś badania genetyczne?

– Tak.

– Hrabianka Eleonora Mężyńska. Pasuje do ciebie.

– Myślisz, że ojciec by mnie uznał?

– Na pewno. Jesteś przecież podobna do jego babci.

Przytulił ją i długą chwilę trzymał w objęciach.

– Zawsze kochałam Teofila i myślę, że ja też byłam mu bliska. Opiekował się mną jak brat.

– Gdybym wierzył w diabły i piekło, powiedziałbym, że jego matka pokutuje tam za to, co ci zrobiła. A teraz chodźmy coś zjeść. Jestem głodny jak wilk.

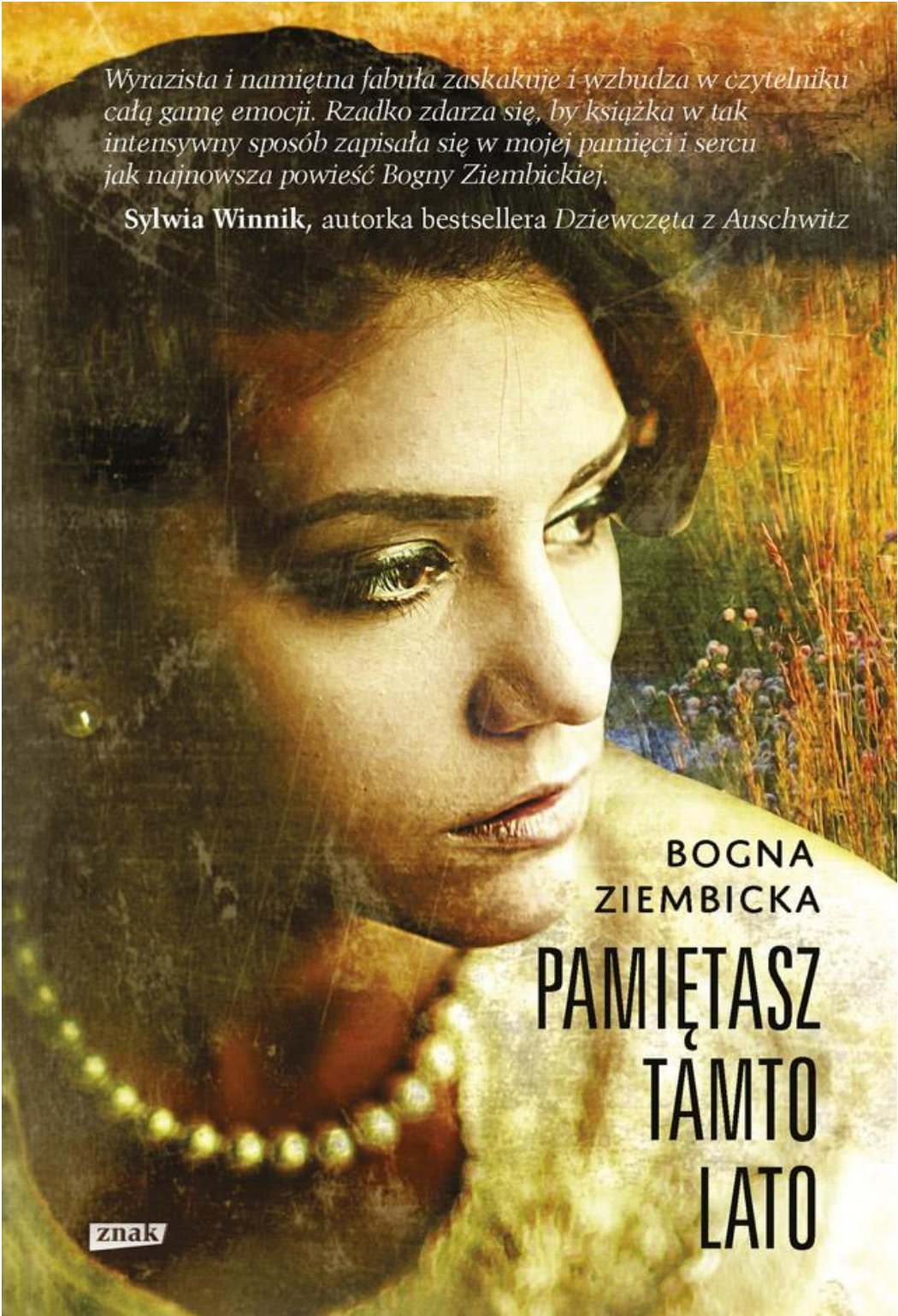
Wziął ją za rękę i poprowadził po metalowych schodach. Pomalowane na czerwono drzwi były uchylone. Lorcja spojrzała na czarny napis: „Baudelaire Club”.

„Jak to powiedział Baudelaire? – pomyślała. – Coś w rodzaju: Największym zwycięstwem diabła jest to, że ludzie nie wierzą w jego istnienie”.

## Od autorki

Aby odtworzyć w wyobraźni czasy, o których piszę w tej książce, przeczytałam wiele dzienników, pamiętników, wspomnień i tekstów źródłowych oraz wysłuchałam wielu opowieści. Moim uniwersyteckim wykładowcą historii Europy Środkowej i Południowej był profesor Waław Felczak, jeden z kurierów tatrzańskich. Historię nielegalnego przepłynięcia morzem przez granicę koło Świnoujścia zaczerpnęłam z opowieści Ludwika Niemczyka, który tak właśnie ją przeżył w 1951 roku, a opis przeprawy kajakiem do Szwecji oparłam na historii Stanisława Rankina, który w ten sposób uciekł z Polski w 1948 roku. Bohaterki tej książki są wymyślone, ale koleje ich losu – w dużym stopniu prawdziwe.





*Wyrazista i namiętna fabuła zaskakuje i wzbudza w czytelniku całą gamę emocji. Rzadko zdarza się, by książka w tak intensywny sposób zapisała się w mojej pamięci i sercu jak najnowsza powieść Bogny Ziembickiej.*

**Sylvia Winnik**, autorka bestsellera *Dziewczęta z Auschwitz*

BOGNA  
ZIEMBICKA

PAMIĘTASZ  
TAMTO  
LATO

znak